



Sarbjit  
Kaur Athwal

## **Wstyd**

Honorowe zabójstwo,  
które wstrząsnęło Wielką Brytanią

Świat Książki

Sarbjit Kaur Athwal

# Wstyd

Historia honorowego  
zabójstwa

Z angielskiego przełożył  
Jan Kabat

  
Świat Książki

TYTUŁ ORYGINALNY: SHAMED

REDAKTOR PROWADZĄCY: Beata Kołodziejska

REDAKCJA: Joanna Popiołek

KOREKTA: Jadwiga Przeczek

Copyright © 2013 Sarbjit Kaur Athwal with Jeff Hudson

Foreword Copyright © 2013 Clive Driscoll

Photographs courtesy of Sarbjit Kaur Athwal

First published by Virgin Books, an imprint of Ebury Publishing.

A Radom House Group Company

Copyright © for the Polish translation by Jan Kabat, Warszawa 2014

**Świat Książki Sp. z o.o.**

02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [Fabryka.pl](http://Fabryka.pl)

Dystrybucja

**Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. k. a.**

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

tel. 022 721 30 00 [olesiejuk.pl](http://olesiejuk.pl)

Wstyd

ISBN: 978-83-7943-884-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

## **Przedmowa**

W 1998 roku młoda Angielka wyjechała z kraju – i nigdy nie wróciła.

Jej jedyną „zbrodnią” był sprzeciw wobec stylu życia narzucanego przez osobników o skrajnych poglądach religijnych. Można by dowieść, że poglądy te są jedynie indywidualną interpretacją tolerancyjnej skądinąd wiary. Zawsze mnie oburzało, że sikhizm bywa kalany przez niektórych swoich wyznawców; przedstawiciele wszystkich religii, z którymi się zetknąłem, są w większości dobrymi ludźmi; prowadzą spokojne i uczciwe życie.

Niestety, jako funkcjonariusz policji miałem często do czynienia z przestępcami, którzy kryli się za fasadą swojej religii, by usprawiedliwić działalność kryminalną. Uważam, że jest niezwykle istotne, by policja w każdym przypadku prowadziła uczciwe śledztwo i szukała prawdy bez względu na okoliczności.

Powiedzmy sobie otwarcie: przemoc oparta na honorze jest plagą społeczną. Zmuszanie młodych ludzi groźbą lub podstępem do obrania ścieżki, którą nie chcą kroczyć, stanowi pogwałcenie ich podstawowych praw obywatelskich. Akt zabójstwa jako kara za nieprzestrzeganie zasad religijnych musi zawsze być traktowany jako zło i – w moim przekonaniu – ścigany z całą surowością, bez względu na to, o jaki kraj chodzi. Powinno to obowiązywać nawet w tych trudnych czasach, kiedy wszystkie służby policyjne Wielkiej Brytanii borykają się z problemami finansowymi. Zabójstwa i inne poważne przestępstwa, a także ochrona społeczeństwa, powinny stanowić w tym wypadku priorytet.

Wiemy bowiem, że groźba ujawnienia i skazania prawomocnym wyrokiem w znacznym stopniu pomaga zapobiegać tym strasznym przestępstwom.

Mój syn służy w piechocie morskiej; brał udział w wielu akcjach bojowych, stracił też niejednego towarzysza broni. Męstwo, jakim wykazują się każdego dnia ci młodzi ludzie – mężczyźni i kobiety – jest bezprzykładne. Jednak dzielność, którą okazała autorka tej książki, Sarbjit Kaur Athwal, występując w charakterze świadka, sprawia, że dorównuje ona odwagą żołnierzom służącym naszemu krajowi. Nie dotyczy to tylko i wyłącznie Sarbjit, ale także innych świadków, którzy zeznając w sprawach związanych z honorowym zabójstwem, zawsze stawiali prawdę i honor na pierwszym miejscu. Uważam, że pod względem odwagi dorównują oni ludziom służącym w naszych siłach zbrojnych i funkcjonariuszom policji, którzy strzegą bezpieczeństwa naszych ulic.

Nie należy też zapominać o presji, jakiej poddano Sarbjit przed procesem: były

to groźby, także ze strony jej własnych dzieci, które wykorzystywano brutalnie przeciwko matce. Metody te przypominały technikę stosowaną przez środowiska przestępcze.

Sarbjit nie dała się jednak złamać i spełniła swój sikhijski obowiązek.

Mam nadzieję, że czytelnicy tej książki podzielają moje zdanie: Sarbjit Kaur Athwal, wraz z innym świadkiem, którego tożsamości nie mogę ze względów prawnych ujawnić, odegrała w moim śledztwie kluczową rolę.

Chciałbym też wyrazić wdzięczność panu Jagdeeshowi Singhowi, a także matce i ojcu Surjit za pomoc, wsparcie i słowa zachęty, jakich nie szczędzili mi podczas dochodzenia.

Pragnę też osobiście wyrazić wdzięczność wszystkim funkcjonariuszom, którzy pracowali przy operacji „Yewlands”. Nie ulega wątpliwości, że policja właściwie wypełniała swoje obowiązki, choć niektóre działania powinny odpowiadać wyższym standardom; należy jednak podkreślić, że poświęcenie policjantów zaowocowało skazaniem Bachan Kaur Athwal i Sukhdave’a Singha Athwala.

Poczytuję sobie za wielki zaszczyt pełnienie funkcji starszego oficera śledczego we wszystkich sprawach o morderstwo, jakie prowadziłem; dziękuję policji londyńskiej za ten honor.

Dziękuję też wydawnictwu Virgin Books za to, że zwróciło się do mnie z prośbą o napisanie niniejszej przedmowy.

Główny Detektyw inspektor Clive Driscoll, 2013  
(starszy oficer śledczy operacji „Yewlands”)

## Prolog

### Postanowione

Było to na pierwszy rzut oka zwykłe spotkanie rodzinne. Typowy salon w typowym domu na typowej ulicy zachodniego Londynu. To jednak, co się tam później wydarzyło, nie miało w sobie nic zwyczajnego.

Czekaliśmy – dwaj bracia i ja, szwagierka – by usłyszeć, dlaczego nas wezwano. Wszystkie oczy wpatrywały się w matkę rodu, usadowioną na sofie między ukochanymi synami. Pełna pobożności, ubrana jak do modlitwy, rozejrzała się z dumą po pokoju, uśmiechnęła do swoich chłopców i zabrała głos.

– A więc postanowione – oświadczyła nobliwa pani. – Musimy się jej pozbyć. Zrozumiałam, że moja szwagierka ma umrzeć.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

HONOR

## Rozdział pierwszy

### ZAWSZE ZWYCIĘSKA

To prawdziwa uczta dla zmysłów. Powietrze jest przesycone wonią kadzidła i zapachami dochodzącymi z kuchni. Kobiety w jaskrawych strojach przepychają się wśród mężczyzn, którzy noszą kolorowe turbany i brody aż do piersi. Gwar rozmów przypominający szybką wymianę ognia przerywany jest między kęsami czapati i łykiem schłodzonego lassi wybuchami śmiechu. Typowy świąteczny dzień dla miejscowej sikhijskiej społeczności, ale choć wszyscy posługują się wyłącznie językiem pendzabskim, daleko jest stąd do Amritsaru albo Czandigaru. To Hounslow w zachodnim Londynie, gdzie zebrali się wszyscy, żeby powitać nowo narodzone dziecko.

Szczęśliwa, choć wyczerpana młoda kobieta tuli do piersi maleńkie kwilące zawiniątko, a na jej ustach znów pojawia się uśmiech. Nie może się od niego powstrzymać. Patrząc na małą dziecięcą twarzyczkę i słuchając szybkiego oddechu, czuje, jak zalewa ją nowa fala radości. Nie wyobraża sobie, by kiedykolwiek mogło być inaczej.

Otoczając ją twarze zdają się potwierdzać to przekonanie. Niewielki salon nigdy jeszcze nie gościł tak wielu ludzi i nigdy nie odbijało się w nim echo tak głośnych śmiechów; wszyscy przybyli tu, by zobaczyć maleństwo i potrzymać je w ramionach.

Matka patrzy, jak jej pierwsze dziecko jest przekazywane z rąk do rąk. Kobiety kołyszą maleństwo i gruchają do niego, podczas gdy mężczyźni stroją miny i próbują polaskotać niemowlę o szeroko otwartych oczach. Matka jest pośród przyjaciół i rodziny, ale ani na chwilę nie traci czujności i nie odrywa oczu od swego drobnutkiego skarbu, dopóki nie zostanie jej zwrócony.

Oddając jej dziecko, jedna z kobiet uśmiecha się szeroko.

– Gratuluję, Amarjit Kaur – mówi, dotykając miękkiego niemowlęcego policzka. – Ale szkoda, że to nie chłopiec.

Urodziłam się 6 listopada 1969 roku jako pierwsze dziecko Sewy Singha i Amarjit Kaur Bathów z Hounslow w Londynie. Być dziewczynką w hinduskiej rodzinie to nie jest dobry początek życia. W przekonaniu wielu ludzi okryłam bliskich wstydem. Po raz pierwszy.



Rodzice mamy zabrali całą rodzinę i drogą przez Singapur przyjechali do Anglii. Natomiast tata jako pierwszy z rodziny opuścił swoją wioskę w Pendżabie. Uczynił to już jednak jako człowiek żonaty. Sewa Singh i Amarjit Kaur zostali przeznaczeni sobie przez rodziny i wzięli ślub w Indiach, choć wcześniej nie widzieli się na oczy.

Nowożeńcy zamieszkali w Londynie w domu z czterema sypialniami – czy raczej w jego niewielkiej części. Moi dziadkowie zajmowali jeden pokój, siostra mamy z dziećmi drugi, brat mamy z żoną i swoimi dziećmi trzeci. Oznaczało to, że dla mamy i taty pozostaje czwarty, najmniejszy, który w dodatku dzielili z jeszcze jednym bratem! Kiedy pojawiłam się na świecie, udało im się jakoś zmieścić moje łóżeczko.

Dorastanie w tak ciasnym i przeludnionym domu było dla mamy i taty rzeczą jak najbardziej normalną, a ja nigdy nie doświadczyłam niczego innego. Cokolwiek oznaczała w Pendżabie prywatność, przez jakiś czas jej nie potrzebowałam. Pomijając chwile, gdy odpowiadałam na głos natury, nie przypominam sobie, by choć raz przebywało przy mnie mniej niż dwoje ludzi.

Bezustanna obecność krewnych miała też swoje dobre strony – nigdy nie brakowało kogoś, kto mógł mi opowiadać o wspaniałościach Indii, zwłaszcza wieczorami, przed pójściem do łóżka; siadywałam zasłuchana z kuzynami, a ciocia snuła jakąś barwną opowieść. Wraz z jej końcem pojawiały się na moich ustach niezliczone pytania.

- Czy słońce naprawdę świeci tam przez cały dzień?
- Czy naprawdę krowy przemierzają ulice jak samochody?

Daleki kraj jawił się jako magiczne miejsce.

Ciekawa jestem, dlaczego tata i mama chcą mieszkać tutaj, a nie tam.

Życie pod jednym dachem w wielkiej rodzinie nie było jedyną tradycją, jaką moi rodzice przenieśli z Indii na obcą ziemię. W gruncie rzeczy, pomijając pogodę, nikt by się nie domyślił, że przebywamy w pobliżu lotniska Heathrow, a nie w Pendżabie. W domu posługiwano się tylko językiem pendżabskim, jedynym, jaki znali rodzice. I jedynym, jakiego się uczyłam. Kiedy ojciec dostał pracę w British Airways na Heathrow, musiał błyskawicznie nauczyć się angielskiego. Nigdy jednak nie posługiwano się nim w domu. Nie miałam pojęcia o jego istnieniu, dopóki nie poszłam do szkoły.

Czasem wyglądałam przez okno swojej sypialni i widziałam, że przechodzący chodnikiem ludzie są inaczej ubrani niż ja. Nawet dziewczyny. W domu i poza nim zawsze nosiłam tradycyjny strój pendżabski: salwar kamiz – luźne spodnie i coś w rodzaju koszuli. Matka, ciotki i kuzynki miały dużo tych rzeczy, i to w różnych kolorach; lubiłam marzyć o wszelkich egzotycznych odcieniach, w jakie mogłabym się któregoś dnia przystroić. Najważniejsze jednak, że kiedy wychodziłam poza

próg drzwi frontowych, miałam głowę zakrytą chustą zwaną chunni albo dapatta. Dziewczyny za oknem nie nosiły niczego takiego, ale nigdy nie uważałam, że jestem inna. Wszyscy w domu ubierali się tak jak ja. I wszyscy, z którymi kiedykolwiek rozmawiałam. Był to jedyny świat, jaki znałam.

To dziewczyny za oknem są inne. Nie ja.

Nie tylko kobiety w naszej rodzinie zakrywały głowy. Ojciec, dziadek i wujowie bez wyjątku nosili turbany. Historycznie rzecz biorąc, w Indiach wolno było nosić tak zbytkowne nakrycie głowy tylko przedstawicielom arystokracji. Ale – powiedział mi ojciec – trzysta lat temu pewien człowiek, Gobind Singh, ogłosił, że żadna warstwa społeczna nie powinna wywyższać się ponad inną. Dowiedziałam się jednak później, że Gobind Singh też nie był zwykłym człowiekiem, lecz guru – jednym z dziesięciu ojców założycieli sikhizmu.

Jak w przypadku wielu innych rzeczy, nie byłam szczególnie świadoma tego, że pochodzę z religijnej rodziny. Tacy po prostu byliśmy.

Czyż nie każde dziecko tak właśnie żyje?

Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień jest wyprawa do dużego żółtego budynku niedaleko naszego domu. Była to, wyjaśnił mi ojciec, gurdwara, czyli świątynia. Wiedziałam tylko to, że przypomina zamek. Byłam oszołomiona widokiem dwóch pięknych białych kopuł na szczycie wysokich kolumn po obu stronach wejścia. W środku nie znalazłam jednak żadnych królów ani królowych, tylko setki ludzi ubranych tak samo jak my. Nie byłam jedyną dziewczynką, która włożyła z tej okazji najlepszy świąteczny strój, i przez kilka chwil czułam się niemal przytłoczona różnaitością jaskrawych barw.

Choć miałam na nogach najładniejsze buty, kazano mi je zdjąć. Poszłam w ślady pozostałych osób z rodziny i zobaczyłam setki par butów ustawionych pod ścianą. Potem ojciec, dziadek i wujowie udali się w jedną stronę, a matka i towarzyszące nam kobiety w drugą.

Nigdy jeszcze nie widziałam pomieszczenia tak wielkiego jak główna sala tej świątyni, ale przynajmniej byłam przyzwyczajona do przebywania w tłumie, choć nie w takim, gdzie osobno byli mężczyźni i kobiety. Zewsząd otaczali mnie ludzie – wszyscy pogrążeni w milczeniu, wszyscy siedzący w kucki na podłodze, wszyscy zatopieni w modlitwie. Wiedziałam, jak należy się modlić. Wszystkiego od najmłodszych lat uczyła mnie babcia. A teraz, jak powiedziała, nadszedł mój czas porozumienia się z Bogiem. Nie z „naszym” Bogiem czy „moim” Bogiem – sikhowie uważają, że istnieje tylko jedno bóstwo. Inne wyznania mogą oddawać cześć bogom o różnych imionach, ale bez względu na to, jak go nazywają, to wciąż jest ten sam Bóg, do którego się wszyscy modlimy.

Ogrom sali mnie zaskoczył, ale jej zdobienia odebrały mi dosłownie mowę. Patrzyłam z uniesioną głową na wielkie malowidła przedstawiające mężczyzn

w turbanach i z białymi brodami, którzy spoglądali w dół, i pomyślałam sobie: Takie same obrazy wiszą w naszym domu!

Gdy odpowiedziała mi spojrzeniem znajoma postać Guru Nanaka Dev Ji, założyciela sikhizmu, odniosłam wrażenie, że ogarnia mnie wielki spokój.

Podoba mi się tutaj.

Było kilka świątyń, które odwiedzała moja rodzina. Ta w Hounslow znajdowała się najbliżej, natomiast dwie inne w Southall – jedna przy Park Avenue, a druga przy Havelock Road – wydawały się służyć ważniejszym okazjom. Czasem odbywały się w nich nabożeństwa odprawiane przez duchownych, na ogół jednak zostawaliśmy sami z własnymi myślami. Odczuwałam ulgę, gdy po wrzawie i rozmowach rozbrzmiewających w domu mogłam zamknąć oczy i pogрузić się w pewnej ciszy.

Poza salą modlitwy świątynie stanowiły jednak niewiarygodne wręcz ośrodki życia towarzyskiego. Pamiętam, jak pewnego razu, zadzierając głowę, trzymałam za rękę matkę, gdy plotkowała z przyjaciółkami. Na drugim końcu sali widziałam ojca, który nad czapati i zupą z soczewicy wraz z innymi mężczyznami dyskutował o naprawie świata.

Poczułam nagle, że jestem strasznie głodna.

– Czy ja też mogę skosztować langaru, mamó? – spytałam.

Matka przerwała rozmowę i uścisnęła mi dłoń.

– Możesz – powiedziała. – Tylko zaraz wracaj.

Każda świątynia na świecie oferuje wszystkim chętnym langar, czyli wegetariański posiłek i napoje.

– Nie trzeba nawet być sikhem – wyjaśnił mi ojciec. – Wszyscy są tu mile widziani.

O drugiej nad ranem, gdy świątynia otwiera podwoje, zjawiają się ochotnicy i rozpalają ogień pod wielkimi kotłami, w których niejednokrotnie tli się żar z minionego wieczoru. Kiedy po raz pierwszy weszłam do gurdwary w Hounslow, od razu zrobił na mnie wrażenie wspaniały aromat przypraw i oleju. I tak się dzieje po dziś dzień.

Jeszcze jedna rzecz, która przypomina mi dom.

Były i inne związki z moim życiem rodzinnym. Jako dziecko tyle się nasłuchiłam o „społeczności”, ale nigdy jej nie widziałam. I nie miałam pojęcia, co to takiego, kim są „oni”. Zmieniło się to w chwili, gdy po raz pierwszy weszłam do świątyni w Hounslow. I oto byli wszyscy: mężczyźni, kobiety, przywódcy religijni i przyjaciele. Niektórych widziałam już wcześniej, u nas albo w ich domu, ale większość była mi obca. Jednak, jak mówili mi mama i tata: „Jesteśmy sikhami. Należymy do wielkiej rodziny”.

Potrafię zrozumieć, że przejście na sikhizm w dojrzałym życiu oznacza diametralną zmianę. Dopiero po wielu latach, już jako osoba dorosła, uświadomiłam sobie, jak niezwykle i odmienne muszą się wydawać niektóre z naszych zasad. Nawet coś tak prostego jak imię ma w naszej religii głębokie znaczenie. Jak wszystko inne, jest ono narzucone przez jednego z samych guru.

Tyle że ten guru nie jest osobą.

Kiedy dobiegał kres życia dziesiątego guru, Gobinda Singha, nie wskazał on swego następcy, co było tradycją jego poprzedników. Wybrał natomiast pewną rzecz. Księgę. Słowo Boga.

Jeśli wejdziecie dziś do jakiejkolwiek sikhijskiej świątyni albo domu, znajdziecie tam egzemplarz „jedenastego” Guru Grantha Sahiba – czyli Świętą Księgę – umieszczoną na podwyższeniu pod małym daszkiem lub przykryciem. Czerpiemy z jej 1430 rozdziałów całą swoją wiedzę. Określa ona wszystko, co robimy – nawet nasze imiona.

Kiedy się urodziłam, moi rodzice, tak jak wcześniej ich rodzice, otworzyli Świętą Księgę na przypadkowej stronie, a następnie, zgodnie z tradycją, wskazali pierwszą literę pierwszego słowa – S – i wybrali dla mnie imię. W kulturze sikhijskiej jest tylko kilkaset imion i wszystkie mają znaczenie religijne albo moralne. Sarbjit zostało na przykład wybrane przez mojego dumnego ojca, ponieważ znaczy „zawsze zwycięska”. Uważał, że jest odpowiednie dla pierworodnej. W późniejszych latach przyszło mi wielokrotnie kwestionować sensowność tego wyboru.

Niezorientowanym należy wyjaśnić jeszcze jeden niezwykle aspekt związany z imionami sikhijskimi. Mój szwagier ma na imię Sarbjit, co nie wywołuje w naszej społeczności zdziwienia. On nie nosi żeńskiego imienia, a ja nie noszę męskiego. Właściwie wszystkie imiona sikhijskie są pozbawione rodzaju, więc teoretycznie można wybrać imię jeszcze przed poznaniem płci dziecka. Ważne jest w tym przypadku drugie imię. Jeśli jest to Singh – lew – to wiadomo że chodzi o mężczyznę; jeśli jest to Kaur – księżniczka albo lwica – to wiadomo że chodzi o kobietę. Trzeba się do tego przyzwyczaić i nigdy tego nie kwestionowałam, tak jak wielu innych rzeczy z okresu dzieciństwa; niczego innego nie znałam.

Mój ojciec to Sewa Singh Bath, nie ulega więc wątpliwości, że to mężczyzna. Na tej samej zasadzie Amarjit Kaur musi być kobietą. Jednakże, jak w przypadku większości sikhów, moi prawdziwi rodzice nazywali się „honor” i „wstyd”. Wszystko, co każdy sikh w życiu robi, sprowadza się do prostego pytania: Czy jest to dobre, czy złe? Czy też, wyrażając to w inny sposób, obdarzę swoją rodzinę honorem czy wstydem? A trzeba pamiętać, że w przypadku naszej wiary rodzina nie ogranicza się do kilku osób...

W Wielkiej Brytanii mieszka jedynie około 400 000 sikhów, ale czasem odnosi się wrażenie, że wszyscy oni mają coś do powiedzenia w kwestii twojego życia! Moi rodzice musieli się liczyć nie tylko z najbliższą rodziną, ale też z ciotkami i wujami; wszyscy ich sąsiedzi i każdy członek lokalnej świątyni też wyrażał swoje zdanie, które należało brać pod uwagę. W latach dorastania wydawało mi się, że najgorsza rzecz, jaka może przytrafić się sikhowi, to utrata szacunku społeczności.

Zamierzałam zrobić wszystko, by tego uniknąć. Już raz, nie rodząc się jako Sarbjit Singh, przyniosłam wstyd rodzinie; nie chciałam, by się to powtórzyło.

Moi rodzice, co muszę im przyznać, nie przejmowali się zbytnio faktem, że jestem dziewczynką. Woleliby mieć bez wątplenia syna, ale głównie dlatego, że takie było oczekiwanie społeczności, a jeśli chodzi o sikhów, jej lekceważenie wiąże się z wielkim ryzykiem. Jednak to, że nie byłam chłopcem, nie oznaczało w ich przypadku, że nie mam żadnej roli do odegrania. Wręcz przeciwnie, od chwili gdy byłam dostatecznie duża, by utrzymać w dłoniach talerz, zaczęto nakładać na mnie pewne obowiązki. Zanim skończyłam pięć lat, nauczono mnie sprzątania ze stołu, zmywania i prania.

Wiedziałam od najmłodszych lat, że mam być taka jak matka i że właśnie do tego jestem sposobiona. Istniało jednak coś, z czym matka nigdy nie miała do czynienia, a z czym ja musiałam się zmierzyć.

Szkoła.

Rodzina mamy uważała, że w powojennych Indiach wykształcenie nie jest w przypadku małej dziewczynki najważniejsze. Matka nie czuła się z tego powodu dyskryminowana. Była kobietą. Po co jej jakaś edukacja? Dwadzieścia lat później mnie też nie wydawała się szczególnie ważna.

Jako pięcioletka dźwigałam na barkach różne obowiązki domowe, więc niechętnie myślałam o tym, że mam pójść do szkoły. Gdyby nie nakazywało tego prawo, wątpię, czy rodzice zaprowadziliby mnie tam kiedykolwiek. Po niedługim czasie zaczęłam żałować, że to zrobili.

Mój pierwszy dzień w szkole był trudny. Powiedziałabym nawet, że szokujący. Wszyscy nosili takie same stroje – inne niż te, do których przywykłam. Dziewczęta miały długie skarpetki i krótkie spódniczki. Bluzki, krawaty, swetry. Wszystko w tych samych kolorach, wszystko w tym samym stylu i wszystko całkowicie mi obce. Matka przeprowadziła mnie przez zatłoczone podwórze szkolne i odszukała miejsce, w którym zbierały się koleżanki z mojej klasy. Wychowawczynie uśmiechnęła się do mnie i zapewniła matkę, że wszystko będzie dobrze. Tak mi się w każdym razie zdawało.

Nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówiła!

Trudno mi sobie wyobrazić, że można posłać do szkoły dziecko nieznające

języka kraju, w którym mieszka. Ale uświadomiłam sobie, że tak właśnie stało się ze mną. Wychowawczynie, inne dzieci, panie w stołówce – wszyscy posługiwali się obcą mową. Równie dobrze mogłabym być głucha. Jak miałam się uczyć na lekcjach, skoro nie potrafiłam zrozumieć najprostszych zwrotów, na przykład „cześć”?

Z chwilą gdy matka mnie zostawiła, wybuchnęłam płaczem. Nie ja jedna, ale pozostali uczniowie wiedzieli przynajmniej, co się wokół nich dzieje.

Pierwszy dzień w szkole był piekłem. Drugi był piekłem. Trzeci był piekłem. Nienawidziłam każdej minuty każdego dnia. Dopiero gdy zaczęłam rozumieć język angielski dzięki intensywnym lekcjom, poczułam się trochę pewniej. Ale byłam jednocześnie przekonana, że nigdy nie przywyknę do mundurka. Miałam wrażenie, że jestem odsłonięta i jednocześnie w jakiś sposób ograniczona i skrupowana. Nie ulegało wątpliwości, że ja to ja, córka swoich rodziców, ponieważ z chwilą powrotu do domu wysyłano mnie do mojego pokoju, żebym się przebrała. Nie po to, by chronić śnieżnobiałe bluzki, tylko by zetrzeć z siebie wszelkie ślady zachodniej dekadencji. Gdybym mogła się przebierać przed powrotem do domu, to jestem pewna, że rodzice by mnie nie powstrzymali.

Po tych piekielnych godzinach spędzonych w szkole naprawdę byłam zadowolona, mogąc skupić się na obowiązkach w kuchni.

Przynajmniej wiedziałam, o co chodzi...

Nie wiem, jak radziłabym sobie z nauką, gdybym znała angielski w chwili pójścia do szkoły. Jednak pod koniec pierwszej klasy to nie język był moim największym problemem. Małe dzieci są niezwykle towarzyskimi istotami i nawet ktoś tak nieśmiały i nieporadny jak ja ma siłą rzeczy kontakty z innymi, czasem nawet z nimi żartuje. Nie nawiązałam w szkole trwałych przyjaźni, ale nie czułam się też szczególnie wykluczona.

Pewnego dnia po lekcjach ku swojej radości dostałam od jednej dziewczynki z klasy kopertę, tak jak kilka innych koleżanek. Nie kryjąc podniecenia, zajrzałyśmy do środka. Dziewczęta zaczęły piszczeć z radości, a ta, która wręczyła mi kopertę, była w centrum uwagi, kiedy się ubierałyśmy i wychodziłyśmy ze szkoły.

Powoli rozszyfrowałam słowa:

Droga Sarbjit Jesteś zaproszona na przyjęcie urodzinowe Claire w dniu...

Było to zaproszenie na przyjęcie. Teraz i ja byłam podekscytowana.

Nie mogłam się doczekać, kiedy pokażę to matce. Zanim jednak zdążyłam przetłumaczyć tekst do końca, pokręciła zdecydowanie głową.

– Mamo, to zaproszenie – przekonywałam. – Na przyjęcie! Mogę iść? Proszę.

– Nie – odparła w końcu. – To wykluczone.

– Dlaczego?

– Bo będą tam chłopcy.

Chłopcy? Nie przepadałam za nimi. Nie rozumiałam, na czym polega problem.

– Ależ mamo – błagałam. – Wszyscy idą.

– My to nie wszyscy – oznajmiła. – Koniec dyskusji.

Byłam zdruzgotana. Ta sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie, aż w końcu przestano mnie w ogóle zapraszać. Najpierw słuchałam, jak koleżanki z klasy rozmawiają podniecone o przyjęciu w najbliższy piątek, a potem, w następnym tygodniu, słuchałam ich relacji z imprezy; było to dla mnie torturą. W niektóre popołudnia przeklinałam znajomość angielskiego. Nie wolno mi było nawet pójść po lekcjach do koleżanki i pobawić się przez parę godzin. Nie mogłam pod żadnym pozorem zapraszać nikogo do domu, co wydawało mi się dziwne, ponieważ zawsze mnie uczono, że sikhizm nikogo nie wyklucza. Każdy jest mile widziany, i to bez względu na wiarę.

To tyle, jeśli chodzi o gurdwarę, czyli przystań dostępną dla wszystkich.

Do tej chwili nie wiedziałam, że czegoś może mi brakować. Wciąż nie miałam pojęcia o istnieniu angielskiej telewizji, więc nie tęskniłam za nią. Nigdy nie miałam prawdziwych zabawek, ale nie znałam nikogo, kto by je miał, więc to też nie stanowiło problemu. Każdego dnia dostrzegałam jednak inne życie poza swoim i im bardziej mu się przyglądałam, tym bardziej go pragnęłam. Mama też to zauważyła i postanowiła interweniować. Bezwzględnie.

– To, że ubierasz się jak inne dziewczęta, nie oznacza wcale, że musisz być taka jak one – oznajmiła.

Kiedy miałam sześć lat, wyprowadziliśmy się w końcu z domu dziadków. Praca taty w British Airways opłacała się na tyle, że zdołał uzbierać dość pieniędzy i dokonać wpłaty na własny dom. W samą porę.

Byłam zbyt mała, żeby pamiętać, jak w 1972 roku urodziła się moja siostra Karmjit, ale nim mama znów zaszła w ciążę w roku 1974, zdawałam sobie sprawę, że według zgodnej opinii gości w naszym domu – a tym samym całej społeczności – dwie dziewczynki w rodzinie wystarczą całkowicie. Tak więc wywierano na nią presję, by zdecydowała się na dziecko numer trzy, dziecko płci męskiej, której to presji jej ciało oparło się z powodzeniem. W 1975 roku na świat przyszła – przekornie – Kamaljit Kaur. Nie przejmowałam się tym zbytnio. Jaka sześciolatka nie chciałaby mieć młodszej siostry, z którą mogłaby się bawić? Nigdy nie spędzałam

czasu sam na sam z matką ani ojcem, nie miałam też zabawek ani książek, uważałam więc, że im więcej rodzeństwa, tym lepiej.

Rok później historia się powtórzyła. Do rodziny dołączyła jeszcze jedna siostra, Inder. Potem jednak, w roku 1979, nastąpiło epokowe wydarzenie. Bez szczególnych ceremonii – bądź co bądź działo się to już regularnie – mama zaczęła rodzić, a my skupiliśmy się na przydzielonych sobie rolach. Przechodziła przez to już tyle razy, że każdy wiedział, co ma robić, by dom funkcjonował pod jej nieobecność jak należy. Opiekowałam się siostrami. Tata pracował, a mamą zajmowali się jej rodzice. Życie poza murami oddziału położniczego biegło swoim ustalonym torem – z jednym wyjątkiem.

Tym razem mama nie wróciła do domu z dziewczynką.

Nie wiem, czy świętowano to wydarzenie bardziej niż zwykle ani czy gratulacje przyjaciół i bliskich były bardziej serdeczne. Wiedziałam tylko, że czekam z niecierpliwością na swojego braciszka. Nic innego mnie nie obchodziło. Miałam dziesięć lat. Różnica wieku wydawała się idealna. Niestety, pewne ważne wydarzenie dotyczące mojej osoby stłumiło wszelką myśl o radości, jaką mógł mi sprawić ktokolwiek z mojego rodzeństwa.

Jak zwykle pomagałam w kuchni, kiedy tata wrócił z pracy. Siekałam i kroiłam, prałam i suszyłam – tak wyglądało moje życie, jeśli nie byłam akurat w szkole albo nie zajmowałam się rodzeństwem. Po zwyczajowych powitaniach tata powiedział coś do mamy i oboje poszli do salonu. Rozsiedli się wygodnie i zawołali mnie.

Usadowiony pod portretem Nanaka ojciec sprawiał wrażenie szczególnie poważnego. Brodę miał krótszą i ciemniejszą niż pierwszy guru, ale wiedziałam doskonale, że jego słowo należy bezwzględnie uszanować. Tak przynajmniej myślałam, dopóki mi nie powiedział, o co chodzi.

– Jedziemy do Indii.

– Do Indii? Naprawdę?

Uśmiechnęłam się bezwiednie. Jedynymi wakacjami w moim życiu były ferie szkolne, a i wtedy nic się właściwie nie zmieniało. Nigdzie nie wyjeżdżaliśmy, co najwyżej odwiedzaliśmy rodzinę w weekendy. Miałam dziesięć lat i nigdy nie opuściłam Londynu, teraz zaś miałam się wybrać do Indii.

Indie! Sama nazwa przywoływała nieskończone możliwości i marzenia. Wszystkie moje ciotki i wszyscy wujowie mówili o kraju rodzinnym z wielką serdecznością; wciąż pamiętałam wspaniałe opowieści na dobranoc. O ile mogłam sobie przypomnieć, był to raj na ziemi – a my mieliśmy tam pojechać!

– Gdzie będziemy mieszkać? – spytałam z typową dla siebie praktycznością.

Teraz to tata się uśmiechnął.

– W moim domu, oczywiście.

No tak, jasne. Nie byliśmy specjalnie zamożni według europejskich standardów,



ale to, co tata zarabiał w British Airways, stanowiło w Czandigarze dużą sumę; po śmierci ojca kupił dla matki i innych krewnych dom w Patti na granicy pendzabskiej. Potem kupił jeszcze jeden, mniejszy, do remontu. Odwiedzał Patti przynajmniej raz w roku dzięki tanim biletom lotniczym, które przysługiwały pracownikom British Airways. Tata twierdził, że wyprawa do Delhi to dla niego jak jazda autobusem.

Biłam się z myślami. Tyle było spraw do rozważenia. Jeśli dom ojca przypominał ten, w którym mieszkaliśmy tutaj, to trudno byłoby w nim znaleźć choć jedno wolne miejsce do siedzenia.

– Gdzie będziemy spać? – spytałam.

Tata rozważał to przez chwilę.

– Przypuszczam, że zajmę pokój brata – wyjaśnił. – A ty będziesz spać z ciotką.

W naszej kulturze dzielenie łóżka z członkiem rodziny tej samej płci jest dość powszechne. Co więcej, odmowę w takim przypadku uważa się za obelgę. Nie znałam tej ciotki, ale jeśli chciała przyjąć mnie do swojego pokoju, oznaczało to dla mnie zaszczyt.

– Dobrze, ale gdzie będą spać Karmjit, Kamaljit i Inder? – spytałam. – I co z dzieckiem? Mają tam dla niego łóżeczko?

Tata przestał się uśmiechać. Czy zadałam zbyt wiele pytań? Popatrzyłam na mamę i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że nie odezwała się ani słowem.

– Twój brat i siostry nie będą potrzebowali łóżka – odparł tata.

– Dlaczego?

Tata westchnął.

– Bo nie jadą z nami. – Umilkł na chwilę. – Do Indii wybieramy się tylko we dwoje, moja córko, ja i ty, Sarbjit.

Wszelki ślad podniecenia zniknął tak szybko, jak się pojawił – a wraz z nim moja zuchwałość. Nigdy jeszcze nie czułam się tak mała i bardziej zmieszana. Nie wyglądało to już jak wakacje. Sama nie wiedziałam, o co chodzi, ale nie podobało mi się to ani trochę. I mimo egzotycznego powabu Indii byłam w tej chwili święcie przekonana, że nie chcę postawić stopy w tym kraju. Nie zamierzałam odwiedzać Indii w ten sposób. Sama, bez rodziny.

Zaczęłam gorączkowo rozmyślać. Dlaczego właśnie ja? Co złego zrobiłam?

– Czy to za karę? – spytałam.

Teraz odezwała się matka.

– Nie, nie, Sarbjit, nie zrobiłaś nic złego.

– To dlaczego mnie odsyłacie?

Mama spojrzała na tatę, który pokręcił głową, patrząc najpierw na nią, potem na mnie. Nie był zły, ale nie spodziewał się tylu pytań. Nie z mojej strony. Byłam jego najstarszą córką, ale też najbardziej potulną. Nawet mój brat, ledwie półroczny,

zdradzał już większe pragnienie niezależności niż ja. Co więcej, ojciec najwyraźniej oczekiwał, że będę skakać z radości. Miałam przecież okazję odwiedzić kolebkę naszej religii. Zobaczyć miejsce, z którego pochodzi nasza rodzina. Powinnam poczytywać to sobie za honor. A ja mu się niemal sprzeciwiałam.

– Zabieram cię do Indii, żebyś poznała obyczaje naszego kraju – powiedział z emfazą. – Twoja babka i ciotki nauczą cię, jak być kobietą. Nauczą cię, jak dbać o rodzinę, jak prowadzić dom, jak sprzątać i przyrządzać hinduskie posiłki.

Przyrządzać posiłki? Oboje wiedzieliśmy, że wyszłam właśnie z kuchni.

– Mogę się uczyć tutaj – odparłam i dodałam z naciskiem: – Uczę się tutaj.

Tak wiele myśli – pytań – kłębiło mi się w głowie. Czy mogliśmy żyć w sposób jeszcze bardziej hinduski niż tutaj? Nawet ta część Londynu była nazywana Małymi Indiami. Poza szkołą nigdy nie rozmawiałam z nikim, kto wyznawałby inną religię czy był przedstawicielem innej rasy. I jak długi okres mieli na myśli? Słowo „wakacje” nie padło ani razu. Nie miałam wrażenia, że potrwa to tak krótko jak letni wypoczynek.

I co miały znaczyć te uwagi o byciu kobietą? Miałam dziesięć lat i umiałam już gotować i sprzątać. Czego jeszcze miałabym się uczyć?

Bez względu na ich zapewnienia wciąż czułam się tak, jakby chcieli mnie za coś ukarać.

Byłam w głębokiej rozterce i myślałam ze strachem o tym, że wyślą mnie z domu do rodziny, której nigdy nie poznałam. Ale moje słowa niczego nie mogły zmienić. Mama próbowała mnie uspokoić, a ja zorientowałam się po jej zrezygnowanej minie, że decyzja została już podjęta.

– Nawet się nie obejrzysz, jak będziesz tu z powrotem – powiedziała, a potem dorzuciła: – I nie przejmuj się obowiązkami, jakie tu na tobie spoczywały.

Moje obowiązki? W ogóle nie zaprzętałam sobie nimi głowy. A brat i siostry? Czułam się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy się z nimi bawiłam. Co będzie, jeśli pomyślą, że chcę ich zostawić?

A jeśli zapomną, kim jestem?

Jeżeli chodzi o rodziców, sprawa była postanowiona już w chwili, gdy powiedzieli mi o podróży do Indii. Ja ze swej strony nie wyrzekłam się nadziei, że to tylko zły sen.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie ucieknę z salonu i powiem o wszystkim siostrze, które zapewnią mnie być może, że mama i tata tylko żartowali. Albo będą ich błagać, by zmienili zdanie.

Zastałam Karmjit i Inder w naszym pokoju. Przekazałam im szybko nowiny i już po chwili wszystkie płakałyśmy. Coś jednak było nie tak. Nie o to mi przecież

chodziło.

Myślałam wyłącznie o sobie, kiedy im o wszystkim opowiadałam, ale w chwili, gdy zobaczyłam łzy w ich oczach, stałam się silniejsza. Nie miałam wyjścia. W ciągu dziesięciu minut wszystko się zmieniło. Krzyczałam rodzicom w twarz: „To niesprawiedliwe”, a chwilę później broniłam ich decyzji. Za nic w świecie nie chciałam niepokoić młodszych siostr i z pewnością nie chciałam, by pomyślały, że i one zostaną któregoś dnia odesłane do kraju.

Nawet jeśli wiedziałam, że tak się właśnie stanie.

Nie, to był mój problem i sama musiałam go rozwiązać. Od tej chwili, ilekroć śmiałam przyznać, jak bardzo jestem nieszczęśliwa, robiłam to przed sobą i Bogiem.

Od momentu, w którym się dowiedziałam o swojej przyszłej podróży, do wyjazdu upłynęło kilka miesięcy. Każdego dnia miałam wrażenie, że nad moją głową wisi miecz, który może lada chwila spaść.

Czy to dzisiaj? Czy to ten dzień, o którym mówili?

Nie chciałam pytać ojca. Kierując się dziecięcą logiką, myślałam: jeśli o tym nie powiem, to może zapomną. Kiedy jednak zobaczyłam na stole kuchennym podanie o paszport z moim imieniem, zrozumiałam, że wszystko jest już tylko kwestią czasu. W końcu tata mi powiedział, że stara się dostosować prace remontowe związane z zakupionym domem do pobytu w Indiach. Potem zamierzał kupić bilety i wyruszyć w drogę.

Tymczasem wszystko toczyło się po staremu – z jednym zasadniczym wyjątkiem. Nadszedł wrzesień 1980 roku i zaczęłam naukę w szkole średniej dla dziewcząt w Brentfordzie. Sądziłam wcześniej, że w podstawówce w Hounslow jest ciężko, ale liceum, pięć razy większe, okazało się miejscem równie przerażającym. Nie byłam tam jedyną sikhijką, ale mówiłam po angielsku gorzej niż większość uczennic. Trudno się dostosować, kiedy ma się wciąż problemy z językiem. Odstaje się wtedy od reszty.

Już pierwszego dnia jakaś starsza dziewczyna uśmiechnęła się do mnie złośliwie i oświadczyła: „Wracaj do swojego kraju”.

Omam się nie rozplakałam. Nie chodziło o rasizm kryjący się za jej słowami, ale o to, że dotknęła czułego miejsca. Byłam w swoim kraju, ale niedługo miałam pojechać do kraju rodziców.

Pomijając wyzwiska i wysiłek związany z nauką, musiałam dźwigać jeszcze inny ciężar: nie wolno mi było z nikim się zaprzyjaźnić. Podczas gdy moje koleżanki odwiedzały się po lekcjach, ja nie mogłam przebywać w szkole dłużej, niż było to wymagane, a potem musiałam wracać od razu do domu, zdając „odrażający” mundurek – jak wyrażał się mój dziadek – i zajmować się obieraniem

warzyw i sprzątaniem. Nie było telewizji, nie miałam hobby ani przyjaciół. Żadnego wyboru.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłam do domu, mama na mnie czekała.

– Tata kupił dziś bilety – oznajmiła. – Już czas.

Przybywam do was, Indie.

## Rozdział drugi

### WITAJCIE W INDIACH

Najpierw poczułam upał. Angielskie lato, którego doświadczyłam jedenaście razy, nie przygotowało mnie na gorący dotyk powietrza na skórze, jaki poczułam, gdy tylko stanęłam za tatą u szczytu schodków prowadzących na płytę lotniska.

Potem dostrzegłam barwy. W Anglii też niebo jest niebieskie, ale nie takie. I nie tak ogromne. Choć zewsząd dochodził zapach paliwa, a ogłuszający ryk silników współzawodniczył z krzykami mechaników i pracowników naziemnych, kiedy postawiłam stopę na indyjskiej ziemi, myślałam tylko o jednym – jak bezkresne i czyste wydaje się niebo. Może to wszystko nie wyglądało tak, jak w opowieściach do poduszki, których się nasłuchiwałam, ale poczułam się pokrzepiona i uśmiechnęłam bezwiednie.

Może mi się tu spodoba.

Lotnisko Heathrow uchodzi za jedno z najbardziej gwarnych i zatłoczonych na świecie i z pewnością takie się wydawało, kiedy przeciskałam się z tatą przez tłum turystów i biznesmenów. Tu, w Delhi, wyglądało to inaczej. Odnosiłam wrażenie, że wszyscy prócz mnie wiedzą doskonale, dokąd mają się udać – i bardzo się spieszą, by tam dotrzeć. Pracownicy obsługi i pasażerowie przemykali we wszystkie strony jak stado motyli. Wydawało się, że o każdy centymetr kwadratowy terminala walczą przynajmniej trzy osoby. A jeśli chodzi o hałas – gwar na boisku szkolnym nie mógł się z nim równać.

Po trosze oszołomiona, po trosze wystraszona, ścisnęłam mocno dłoń ojca, szukając w jego wzroku pociechy. Roześmiał się.

– Przywykniesz do tego, ale nie puszczaj mojej ręki i nigdzie się nie oddalaj.

Przy bramce czekał na nas jeden z jego krewnych, który zaprowadził nas do starego zakurzonego samochodu; wydawało mi się, że ten wóz został zaparkowany zupełnie przypadkowo pośród innych, najwidoczniej porzuconych pojazdów. Tak, to już nie była Anglia.

Choć bardzo chciałam chłonąć wszystko wzrokiem, w samochodzie szybko zasnąłam. Kiedy się obudziłam, w oknach naszego wozu widniały twarze.

– Chodź, śpiochu – powiedział tata. – Czas przywitać się z rodziną.

Tata, wiedząc, że się boję, starał się uprzyjemnić mi tę podróż. Miałam

w samolocie książki i lalkę, a on próbował stłumić mój lęk związany z lotem, trzymając mnie za rękę i opowiadając o Indiach. Prawdę powiedziawszy, przez chwilę miałam wrażenie, że to naprawdę tylko przygoda. Jednak pierwsze spotkanie z rodziną uświadomiło mi prawdę.

To nie są wakacje. To obóz treningowy.

Wydaje mi się, że w moim dziecięcym umyśle ta hinduska rodzina jawiła się jako potwory. Wszyscy jednak wyglądali normalnie i na dobrą sprawę, pomijając kilku mężczyzn, którzy nosili szorty i koszulki z krótkimi rękawami, zachowywali się i ubierali tak samo jak moi bliscy w domu.

Stara kobieta, ta, która uściskała mnie najmocniej, była mamą taty i moją babcią; nazywała się Hernan Kaur. Miała osiemdziesiąt lat, ale wciąż wydawała się niezwykle żywotna. Lubiła też dużo mówić. Jakby chciała opowiedzieć tacie o wszystkim, co się wydarzyło od czasu jego ostatniej wizyty przed rokiem. Choć w domu rozmawialiśmy tylko w języku pendzabskim, jej akcent sprawiał mi kłopoty. Kiedy odezwała się siostra taty, uświadomiłam sobie, że będę musiała się naprawdę wysilać, żeby zrozumieć, o czym mówią.

Moi nowi wujowie i kuzyni wyjmowali bagaże z samochodu, a nas poprowadzono w stronę imponującego budynku obłożonego niebieskimi płytkami i z wielkimi kolumnami po bokach. Jak dotąd cały ten kraj wydawał mi się obcy i nieznany, ale wciąż starałam się zrozumieć to, na co patrzę. Budynek był piękny i bardzo, bardzo duży. Właściwie nieobecność innych budynków w pobliżu uświadomiła mi, że to nie hotel.

To ich dom!

I teraz, przez jakiś czas, miał to być także mój dom. Według londyńskich standardów ten rozległy jednokondygnacyjny budynek niewiele się różnił od rezydencji – nie mogłam wprost uwierzyć, że należy do taty. Kiedy myślę o tym teraz, wiedząc, jak niewiele kosztował w porównaniu z naszym domem w Hounslow, nie mogę wyjść ze zdumienia. Uderzało też to, że był to dom wolno stojący, miał osobne ogrodzenie i wysoką metalową bramę. Nigdy jeszcze nie widziałam niczego równie wspaniałego. Jedyne znane mi wcześniej domy zawsze przylegały do innych, jak karta do karty w talii. Gdzie się podziały bliźniaki i wieżowce?

Nigdy nie byłam też w żadnym miejscu, które musiało być otoczone murem, by nie uciekało stamtąd bydło. Na każdym kroku napotykałam coś nowego i nieznanego. Wcześniej nie widziałam nawet farmy, ale teraz, im bliżej podchodziłam, tym bardziej zapach otaczający to miejsce wydawał się „zwierzęcy”. Jak dotąd widywałam tylko psy i koty. Wonie i dźwięki niesione przez wiatr były zupełnie inne.

Różnice nie ograniczały się do żywego inwentarza. Kiedy zbliżyliśmy się do

drzwi wejściowych, zauważyłam, że niebieskie płytki tworzące elewację budynku zdobią małe żółte kwadraty. Przyglądając się im z bliska, mogłam dostrzec drobne, ale kunsztownie wykonane obrazki, które przedstawiały idylliczne sceny. Ktoś poświęcił temu domowi mnóstwo pracy.

Nie w środku jednak, jak się okazało. Przekroczywszy próg, doznałam czegoś w rodzaju rozczarowania, zwłaszcza po całej tej zewnętrznej okazałości. Tuż za drzwiami znajdowała się łazienka i osobna toaleta, dalej był salon, dwa pokoje dzienne, kuchnia, weranda i schody prowadzące na dach. Pomijając ogromną przestrzeń, dom oferował niewiele.

Ja jednak patrzyłam na niego oczami osoby z Zachodu. To, co na przykład wydawało mi się zwyczajną, typową kuchnią, stanowiło w Patti szczyt luksusu, jak się niebawem dowiedziałam.

– Nie znajdziesz tu domu z bieżącą wodą ani z piecykiem gazowym – oświadczył z dumą tata i poklepał znajomy biały sprzęt. – I z pewnością nie zobaczysz czegoś takiego.

– To lodówka?

Skinął głową i roześmiał się.

– Witaj w Indiach.

Kontynuowałam wędrówkę po domu. Zauważyłam, że mimo rozmiarów mieści tylko trzy sypialnie, każda z nich była wyposażona jedynie w to, co niezbędne. Pobieżne spojrzenie na tłum ludzi, którzy nas otaczali, nie pozostawiało wątpliwości, że naprawdę będę dzielić pokój z którąś ciotką.

Otrząsnąwszy się z szoku, jakim było dla mnie poznanie tych wszystkich osób, zaczęłam się z wolna odprężyć. Byłam przyzwyczajona do bezustannej obecności wielu ludzi, więc widok ojca, który witał się z wujem Tongą, swoją siostrą i całą rodziną, sprawiał mi przyjemność. Podobało mi się nawet to, że tata przedstawia mnie wszystkim z dumą, choć kiedy zaprezentował mi swoich siostrzeńców, straciłam nagle rezon. Mieli dwanaście i dziewięć lat i teoretycznie powinniśmy bez trudu znaleźć wspólny język. Ja jednak nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiałam z jakimś chłopcem. Przyłapałam się na tym, że wodzę wzrokiem po twarzach dorosłych.

Czy było to w ogóle dozwolone?

Po kolacji tata i ja położyliśmy się wcześniej. Choć przespałam większą część podróży, byłam zmęczona po niemal całodziennym locie. Podniecenie wywołane wyprawą w nieznaną ulotniło się prawie bez śladu. Gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, poczułam, że za chwilę zasnę. Potem jednak pojawił się niepokój. Nigdy wcześniej nie nocowałam poza domem. I nigdy nie mieszkałam pod innym dachem niż moja matka. Gdzie ona jest? Jak się miewają siostry? Co teraz robią? Nagle poczułam na twarzy łzy.

W końcu się uspokoiłam. Nie chciałam, żeby ciotka zauważyła, jak źle mi jest w jej domu. Oznaczałoby to brak szacunku.

To się niedługo skończy, upomniałam się w myślach. Nim się obejrzysz, będziesz z powrotem w Anglii.

No cóż, moje nowe lokum nie przypominało niczego, co widziałam na Zachodzie, ale zamieszkujący je ludzie żyli tak samo jak my – albo tak się wydawało. Miałam niebawem poznać prawdę...

Przebudzenie w obcym łóżku było dla mnie nowym i niesamowitym przeżyciem. Świadomość, że znajduję się w nieznanym kraju, i to nie z własnego wyboru, przyprawiała mnie o nerwowy niepokój. Tak wielu rzeczy nie wiedziałam jeszcze o swoim nowym domu i nie miałam pojęcia, dlaczego się tu znalazłam. Choć ojciec przebywał gdzieś w pobliżu, a mnie otaczali krewni, nigdy jeszcze nie czułam się równie samotna. Na szczęście po niespełna pięciu minutach w drzwiach pojawiła się ciotka i poprosiła, żebym pomogła jej przy śniadaniu w kuchni.

Zacząła się moja nauka „życia po indyjsku”.

Po śniadaniu tata poszedł doglądać prac remontowych na swojej drugiej posesji, która znajdowała się w tej samej wiosce. Ledwie zniknął, kiedy pokazano mi, jak sprzątać ze stołu, zmywać i odkładać wszystko na miejsce.

Jeśli sądziłam, że to koniec nauki na ten dzień, to szybko wyprowadzono mnie z błędu. Po śniadaniu ciotka i babka zaczęły przygotowywać obiad – a ja im pomagałam. Być może dziwiły się, że tyle już umiem, ale nie pokazały tego po sobie.

Ranek i pora obiadu szybko minęły. Stwierdziłam, że podoba mi się siekanie i krojenie, a także to, że wtajemnicza się mnie w różne arkana kuchenne. Choć posługiwanie się zbyt dużymi dla mnie sztucami i naczyniami było męczące, pozwalało przynajmniej skupić na czymś myśli. Nie miałam okazji się zastanawiać, co dzieje się w Anglii. Czy ktokolwiek powiadomił szkołę o moim wyjeździe? Czy dostanę tam burę po powrocie? Nie zdążyłam nikogo uprzedzić, że mnie nie będzie.

Choć przygotowywanie jedzenia i gotowanie sprawiało mi przyjemność, ciotka dała jasno do zrozumienia, że nie udziela tych lekcji dla samej sztuki. To nie były ćwiczenia dla wprawy. Jak powiedział wcześniej ojciec, szykowano mnie do roli kobiety – cokolwiek to znaczyło. I odczuwałam też ciężar presji; rodzina miała pod koniec dnia spożyć posiłek. Mój posiłek. Ilekroć o tym myślałam, drżały mi dłonie. Pół biedy, jeśli ugniatałam ciasto na chleb roti, ucierałam przyprawy albo mieszałam zupę z soczewicy, ale kiedy sieka się imbir nożem, który może bez trudu przeciąć kość, trzeba naprawdę panować nad nerwami.

Kilka następnych dni wyglądało tak samo – praca, jedzenie, praca, jedzenie,



praca, jedzenie, łóżko. Wydawało się, że wszyscy są ze mnie zadowoleni, oprócz mnie samej. Mając jednak tak niewiele wolnego czasu, nie tylko nie rozmyślałam ze smutkiem o domu; nie myślałam w ogóle o niczym. I choć ten niebieski pałac stał na uboczu, sprawiał równie klaustrofobiczne wrażenie jak nasz dom rodzinny. Pomimo pozornej przestronności wydawało mi się, że w pobliżu ktoś zawsze przebywa. Mogłam się cieszyć samotnością tylko przez kilka chwil w łóżku, nim ciotka położyła się obok mnie. Dopiero wtedy uświadamiałam sobie, jak bardzo jestem zmęczona po tej harówce w gorącej kuchni podczas indyjskiego lata. I tylko wtedy mogłam pomyśleć o swoich siostrach przebywających kilka tysięcy kilometrów stąd – a potem zasypiać z płaczem.

Nie miałam odwagi wyznać ojcu, jak się czuję; wiedziałam, że gdybyśmy nawet mieli spędzić tu całą wieczność, o nic by mnie nie spytał, a moja tęsknota za domem stanowiłaby obrazę dla babki i jej dzieci. Czyż nie byli moją rodziną? Czyżbym uważała ich za kogoś gorszego niż bliscy w Anglii? Czy dlatego chcę tam wrócić? Wielu ludzi mogłoby tego nie zrozumieć, ale tak właśnie jest u sikhów. To rodzina. Społeczność. Powinnam kochać jej członków jak własne siostry i małego braciszka. Nie dawało mi spokoju, że nie potrafię wzbudzić w sobie takich uczuć. Ale jestem jeszcze młoda, mówiłam sobie. Na wszystko przyjdzie czas. Nauczę się.

Znałam się na gotowaniu, byłam więc przekonana, że niewiele mogę się już dowiedzieć od ciotki i babki prócz tego, co wiedziałam już dzięki matce i jej siostram w Anglii. Dopóki nie poproszono mnie o ryż.

– Gdzie go trzymasz? – spytałam ciotkę.

Wskazała coś, co znajdowało się za moimi plecami. Nie było tam szafek ani półek, tylko otwarte okno.

– Chodź ze mną – powiedziała ze śmiechem, a ja ruszyłam za nią na dwór. – Widzisz to pole?

Nie bardzo rozumiałam.

– To, które jest pod wodą?

Skinęła głową.

– To poletko ryżowe. Nasze poletko. Trzeba je obrobić.

Kogoś, kto przyjechał prosto z Londynu, sam widok tak rozległej przestrzeni pod gołym niebem mógł oszołomić. Trudno było przyjąć do wiadomości fakt, że moja rodzina hoduje tak wiele produktów, które pomagałam mamie kupować w supermarkecie. Oprócz pól ryżowych, które ciągnęły się daleko jak okiem sięgnąć, pokazano mi także uprawy pszenicy, warzyw, owoców, a nawet trzciny cukrowej i bawełny. Zdawałam sobie sprawę, że to farma i że ludzie hodują na farmach różne rzeczy. Ale nigdy wcześniej tego nie widziałam.

No i były też zwierzęta hodowlane. Krowy, kurczaki, świnie, woły – wszystkie

miały swoje zagrody. Mieszkanke Londynu każde z tych zwierząt wydawało się niezwykle egzotyczne. Jak większość sikhów byłam wegetarianką i nie wyobrażałam sobie, by ktoś mógł spożywać którekolwiek z bożych stworzeń. Nie przeszkadzało mi to jednak obserwować z zainteresowaniem pełne namysłu stąpanie krów czy płochliwe i nerwowe zachowanie kurczaków. Były albo bardzo odważne, albo bardzo głupie; dostrzegały niebezpieczeństwo dopiero w ostatniej chwili, a potem rozbiegały się rozgdakane. Nie miałam żadnych zabawek ani hobby, więc patrzenie na nie stało się moją rozrywką.

Po tygodniu, gdy przygotowałam już swoje pierwsze w życiu curry, doszłam do wniosku, że najwyższy czas porozmawiać z tatą. Czekanie na chwilę, w której byłby sam, mogło przyprawić o frustrację. Pewnego wieczoru zastałam go na werandzie; nikogo nie było w pobliżu. Wiedziałam, że nadeszła ta wyczekiwana przeze mnie chwila – jeśli się odważę.

– Tato – zwróciłam się do niego z pewnością siebie, której nie odczuwałam. – Kiedy wracamy do domu?

– Jeszcze nie teraz, kochanie, ale już niedługo.

– Przecież byłam dobrą dziewczynką. Pracowałam ciężko. Uczyłam się, jak wszystko robić po indyjsku.

– Tak, pracowałaś ciężko, moja droga, i jestem z ciebie bardzo dumny. Ale to dopiero początek. Ciotka musi cię nauczyć jeszcze wielu rzeczy.

Nie chcąc obrazić nikogo, kto mógłby słyszeć naszą rozmowę, powstrzymałam się od sporów z ojcem. Tak czy owak, tata powiedział „niedługo”, i to musiało mi wystarczyć. Niestety, w miarę jak upływały kolejne tygodnie, a ja raz za razem zadawałam to samo pytanie, tata odpowiadał nieodmiennie: „Niedługo, kochanie. Niedługo”.

Wierzyłabym mu bardziej, gdyby pewne rzeczy nie przeczyły jego słowom. Dlaczego na przykład dowiedziałam się ni stąd, ni zowąd, że będę przez dwie godziny dziennie brała korepetycje? Skoro mieliśmy niebawem wyjechać, po co tata miałby zawracać sobie tym głowę? Nie zdradzał szczególnego zainteresowania moją szkolną nauką w Anglii. Skąd ta nagła zmiana?

Rzeczywiście, zjawił się pewien człowiek, a mnie poproszono, żebym poszła do salonu, gdzie siedział. Jak zwykle miałam w obecności mężczyzny chustkę na głowie. Uczył mnie pendzabskiego i hindi, a także wielu przedmiotów ogólnych. Podobało mi się, że obdarza mnie uwagą, poza tym stwierdziłam, że nauka w rodzimym języku idzie mi o wiele łatwiej.

Wreszcie, po czterech miesiącach, podczas których starałam się dostosować do nowego domu i nauczyć jak najwięcej, zauważyłam pewnego dnia, że tata się pakuje. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Urlop, który wziął w pracy, dobiegł końca.

Nareszcie.

Po długich szesnastu tygodniach rozłąki z rodziną, kiedy byłam traktowana niewiele lepiej niż służąca w kraju, gdzie nie miałam niczego i gdzie prawie nikogo nie znałam, wracałam do domu. Z powrotem do Anglii. Tam, gdzie moje miejsce.

Albo tak też sądziłam.

Tata przekazał mi nowiny w sposób jak najbardziej zwięzły – to on wracał do Anglii, a ja zostawałam. Nie mogłam w to uwierzyć. Uciekał, ja zaś miałam utknąć tu na dobre. Jedyne człowiek, którego w tym kraju kochałam, porzucał mnie. Nie potrafiłam powstrzymać łez. Nawet nie próbowałam.

– Nie płacz, Sarbjit, to nie potrwa długo – zapewniał mnie tata. – Muszę załatwić parę spraw w domu, a potem po ciebie przyjadę.

– Kiedy? – spytałam.

– Niedługo.

Znowu to słowo, które powiedziało mi wszystko, co pragnęłam wiedzieć.

Nie zobaczyłam ojca przez dwa kolejne lata.

Budziłam się już w Indiach z poczuciem samotności. Teraz była to prawdziwa samotność. Oderwano mnie od rodziny, zawieziono na drugi koniec świata i porzucono. Wiedziałam, co mówiła matka, wiedziałam, co obiecywał ojciec. Ale mając jedenaście lat, nigdy jeszcze nie czułam się tak przerażona. Tak jak tata zdawał się traktować lekko to, że mnie zostawia, tak też moja indyjska rodzina robiła dalej swoje. Ciotka i babka nie zaczęły traktować mnie inaczej po wyjeździe ojca. Kiedy teraz przypominam sobie tamten okres, to biorąc pod uwagę czas spędzany z moim korepetytorem, pracowałam – albo „uczyłam się” – czternaście godzin na dobę. Czy mogło być jeszcze gorzej?

Po wyjeździe taty zaszły jednak pewne zmiany.

Spędzając mnóstwo czasu w kuchni, właśnie tam dostrzegłam pierwsze znaki. Kiedy pewnego ranka podeszłam do lodówki, nie usłyszałam charakterystycznego szumu. Jej zawartość wciąż była zimna, ale światelko się nie zapaliło. Sprawdziłam przewód i zobaczyłam, że wtyczka jest wyjęta z gniazdka. Pomyślałam, że jest uszkodzona, lecz gdy chciałam skorzystać z piecyka gazowego, ciotka odciągnęła mnie na bok.

– Nie jest podłączony – wyjaśniła bez mrugnięcia okiem.

– Dlaczego?

– Nie lubimy korzystać z gazu.

Wyjaśniła, że lodówka i piecyk są włączane tylko na czas wizyt ojca. W końcu jest teraz mieszkańcem Zachodu – przynajmniej w ich oczach – i ma prawo oczekiwać udogodnień. Poza tym za wszystko płaci. Chcąc, nie chcąc, muszą korzystać z tych urządzeń, kiedy u nich mieszka.

Jej wyjaśnienia nie były pozbawione sensu. Jako rodzina woleli prostsze, bardziej naturalne życie indyjskie. Utrzymywali się na pustkowiu z tego, co dawała przyroda, i to im odpowiadało. Do pewnego stopnia. Trudno było mi jednak zrozumieć, jak teraz gotować posiłki.

– Korzystamy z ognia. – Wskazała palenisko w głównym pokoju. – Ale nie palimy drewnem.

– Czym wobec tego?

Na twarzy ciotki pojawił się uśmiech rozbawienia. Zawołała męża, który zaprowadził mnie do ogrodu, a potem na pastwisko, gdzie krowy i woły grzebały nosami w suchej trawie. W pierwszej chwili nie mogłam się zorientować, co chce mi pokazać. Dopiero kiedy zaprowadził mnie na pole z wiadrem i łopata, zaczęłam pojmować, choć nadal sądziłam, że żartuje.

Okazało się, że nie. Nabrał na łopatę wielki krowi placek i wrzucił go do wiadra. Podeszliśmy do następnego dużego wzniesienia czarnego koloru i wszystko się powtórzyło. Z bliska zapach był odrażający, a kiedy poruszało się te wzniesienia, stawał się jeszcze gorszy. Wuj zachowywał się tak, jakby chodziło o najnormalniejszą rzecz na świecie. Oczywiście, byłam tu obca i wcześniej widziałam co najwyżej psie kupy na chodniku niedaleko naszego domu. Sam musiał chyba przyznać, że to dosyć dziwne. Prawda?

Najwyraźniej nie.

Wiadro było wypełnione po brzegi, kiedy wuj je odstawił. Zakładałam – miałam nadzieję – że to koniec roboty. On jednak wręczył mi łopatę i powiedział, żebym sama spróbowała.

Nie tylko byłam nieodpowiednio ubrana do fizycznej pracy, ale czułam też, jak smród krowich odchodów przenika moje ubranie – i włosy. Tego wieczoru zamierzałam szorować się do żywego. Po kilku minutach zrozumiałam, że będę musiała prać też wszystko, co mam na sobie. Z początku zbieranie łajna wydawało się najprostszą rzeczą pod słońcem, choć oczywiście odrażającą. Przy pierwszej jednak próbie padłam jak długa na twarz – w błoto na szczęście. Za drugim razem udało mi się nabrać na łopatę tylko część odchodów. Zapach potęgował się z każdą chwilą. By się nie zniechęcać, spróbowałam ponownie. Poszło mi lepiej. Wuj poklepał mnie po plecach i przez chwilę odczuwałam dumę. Potem jednak odzyskałam rozsądek. Naprawdę doszło aż do tego?

„Jestem dumna, bo udało mi się nabrać krowiego łajna do wiadra?”.

Sądziłam początkowo, że zbieranie odchodów jest dziwne, ale to, co zobaczyłam później, wydawało mi się wręcz nieprawdopodobne. Poszliśmy z powrotem w stronę domu i mój wuj zrobił najbardziej obrzydliwą rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Sięgnął do wiadra, wyciągnął z niego garść krowiego łajna i uformował gruby owalny kształt. Przypominało to monstrualny placek patti

– tyle że nikt nie chciałby tego zjeść. Powtarzał tę czynność, aż wiadro było opróżnione, a na niewielkim nachylnym daszku pojawiło się kilkanaście krążków. Potem zaprowadził mnie do innej części podwórza i pokazał mi mniejszy, bledszy krążek.

– Suszymy je na słońcu, żeby zamieniły się w coś takiego – wyjaśnił, przysuwając odrobinę za blisko mojej twarzy stwardniały „placek”. – A potem ogrzewamy nimi dom i gotujemy na nich.

Po raz pierwszy podczas pobytu w Indiach poczułam szacunek wobec swoich gospodarzy i ich kultury. To było naprawdę życie „po indyjsku”. Mogłam przez lata chodzić do szkoły dla dziewcząt w Brentfordzie i nigdy nie dowiedzieć się czegoś takiego.

Wuj wspominał też, że większość domów w wiosce została uszczelniona i wzmocniona właśnie krowimi odchodami. Mieszało się ekskrementy z wodą i rozprowadzało jak cement po ścianach i podłogach.

– Jest równie trwałe jak wszystko, co stosujecie na Zachodzie – oznajmił.

Ale z pewnością bardziej cuchnące...

Kiedy już zostałam wprowadzona w kwestię końcowego produktu krów i pogodziłam się ostatecznie z faktem, że zbieranie odchodów na opał to mój kolejny obowiązek, zaczęłam się bardziej interesować tymi zwierzętami. Postanowiłam pewnego wczesnego ranka przyjrzeć się, jak wuj je doi, i gdy spytał, czy sama nie zechciałabym spróbować, zgodziłam się bez wahania. Trudno mi wyobrazić sobie coś dziwniejszego niż pociąganie za gumowate wymię i manipulowanie nim, aż tryśnie białym płynem. Kiedy popłynął po raz pierwszy, podskoczyłam z wrażenia. Na szczęście dla mnie krowa okazała mniej zdziwienia. Stała nieruchomo, a ja znów zaczęłam próbować, raz po raz, aż opanowałam tę sztukę. Wuj był pod wielkim wrażeniem i oświadczył, że mogę zrobić to jeszcze raz. Uświadomiłam sobie, że dojenie to fachowa robota. Nie przypominało w niczym obierania marchwi czy siekania szpinaku. Takie rzeczy mógł robić każdy, a to wymagało skupienia i specjalnych umiejętności. Okazało się, że je mam.

Te wielkie zwałiste stworzenia wciąż mnie fascynowały, więc nauczyłam się także, jak je karmić, i towarzyszyłam wujom, kiedy prowadzili bydło do strumienia, by je napoić i umyć. Po niedługim czasie powierzono mi i to zadanie. Krowy były ogromne, każda ważyła dziesięć razy tyle co ja. Opanowałam jednak odpowiednie komendy i posługiwanie się kijkiem; słuchały mnie jak swojego pana.

Oprócz zajmowania się żywym inwentarzem zaczęłam także zgłębiać warzywne strony swoich obowiązków domowych. Po pewnym czasie, ściskając papryczki chilli na gałązce, potrafiłam ocenić, czy są dojrzałe, grube i miękkie. Pokazano mi, jak zbierać kłaczki bawełny na polu. Potrafiłam odróżniać, siać i zbierać ziemniaki,

cebule, szpinak i wszelkiego rodzaju warzywa, a także banany, mango, jabłka i gruszki. Wszystko, co gotowaliśmy, rosło i było uprawiane na naszej własnej ziemi albo gdzieś w pobliżu. Miałam nawet okazję zbierać trzcinę cukrową, kiedy dojrzała, pokazano mi też, jak kosi się pszenicę i miele ziarno na mąkę. Niezła edukacja, ale, jak sobie uświadomiłam, pragnęłam jej sprostać. Byłam niemal szczęśliwa.

Niemal. Za dnia czułam głęboką satysfakcję, że potrafię zebrać odpowiednie składniki i przygotować dość wyszukany posiłek dla ponad dziesięciu osób. Ale to była tylko odskocznia. Staralam się po prostu uczynić swój los w miarę znośnym. Co miałam do wyboru? Odmawiać pracy i szlochać od rana do wieczora?

Nie. Płacz to było coś, co zachowywałam na porę nocną. Na tę godzinę czy dwie, kiedy leżałam w łóżku sama, nim ciotka położyła się spać. To byłam prawdziwa ja, bez względu na wizerunek, jaki znali inni. Nienawidziłam tego, że żyję z dala od swojej rodziny, ale też nie mogłam zapomnieć, że to ona mnie tu wysłała. Czy to, czego się uczyłam, mogłoby mi się w Londynie na cokolwiek przydać? Mimo wszystko mój brat i siostry nie mieli nic wspólnego z decyzją o moim wyjeździe. To z nimi chciałam być ponad wszystko w świecie.

Czy ich jeszcze zobaczę?

Wychowywano mnie zawsze na prawdziwą sikhijkę, która okazuje rodzinie i społeczności szacunek i posłuszeństwo. Byłam dobrą bogobojną córką nawet w wieku trzynastu lat. Oswojona z obyczajami religijnymi i świątynią przed ukończeniem drugiego roku życia, nie wyobrażałam sobie innej drogi.

Lecz choć moi rodzice byli niezwykle ortodoksyjni i niewzruszeni w swej wierze, ta indyjska rodzina wykazywała się jeszcze większą surowością, zwłaszcza gdy chodziło o mnie. Jeśli jakąś zasadę można było interpretować na dwa odmienne sposoby, wybierano ten bardziej dokuczliwy, bardziej karzący. Początkowo sądziłam, że tak po prostu żyją. Potem uświadomiłam sobie, że nie chodziło o mnie, konkretną osobę. Chodziło o to, kim jestem. Nie córką taty.

Dziewczyną.

Sikhizm opiera się na równości, na tym, że każda kasta traktowana jest tak samo, i na podobieństwach, nie zaś różnicach między mężczyznami i kobietami. Teraz, kiedy patrzę wstecz, zastanawiam się, dlaczego nie wolno mi było wychodzić samej? Dlaczego zmuszano mnie, bym zakrywała głowę z chwilą przekroczenia progu domu? Dlaczego musiałam to robić, gdy pojawiał się jakiś mężczyzna, nawet jeśli był jednym z moich wujów? Gdyby rzecz dotyczyła wyłącznie mojej religii, nie miałabym nic przeciwko temu. Ale wydaje się, że dotyczyło to wyłącznie mojej płci.

Naprawdę powinnam była urodzić się chłopcem...

Moim kuzynom oszczędzano wszystkiego, co ja musiałam znosić. Szli do miejscowej szkoły tuż po śniadaniu, które im szykowałam. Nigdy ich nie poproszono, by choć kiwnęli palcem, jeśli chodzi o obowiązki domowe. Wolno im było chodzić po posesji do woli, także po wiosce i poza nią. Ich obowiązywały inne zasady, mnie inne.

Praca w kuchni, szycie albo pomoc przy żniwach dawały mi mnóstwo czasu na zastanawianie się, dlaczego jestem traktowana inaczej. Wpajano mi, że należy szanować starszych i nie wolno się im sprzeciwiać, więc nie mogłam na dobrą sprawę pytać o nic dziadka, bo równałoby się to brakowi szacunku. Musiał jednak istnieć jakiś powód. Pamiętam, jak brałam pewnego wieczoru prysznic, a w głowie wciąż tkwiło mi to samo pytanie. Co takiego mnie ograniczało, podczas gdy inni cieszyli się swobodą? Czy naprawdę chodzi o to, że jestem dziewczyną? Czy to jest powód, dla którego mam pracować równie ciężko jak każdy mężczyzna, a mimo to nie cieszyć się żadnymi przywilejami? Chodzi chyba o coś innego. Na pewno.

Uchwyciłam swoje odbicie naturalnej wielkości w zaparowanym lustrze i dostrzegłam w nim twarze rodziców, które na mnie spoglądały. Ale coś jeszcze, jak sobie uświadomiłam, coś, czego wcześniej nie dostrzegałam. Po osiemnastu miesiącach ciężkiej pracy i bezlitosnych upałów straciłam na wadze, a ubrania na mnie wisały. Na rękach i nogach nie miałam ani grama zbędnego tłuszczu. Coś się jednak zdecydowanie zmieniło. Moje biodra wydawały się inne, szersze, bardziej miękkie. Klatka piersiowa nie odznaczała się jak dawniej płaskością i chłopięcym kształtem. Nie wiedziałam, w jaki sposób się to dzieje ani dlaczego, ale nabierałam krągłości. Zmieniałam się.

I czułam lęk.

Oczywiście dostrzegałam wcześniej fizyczne różnice między sobą a matką i babką. Ale wtedy nic nie wiedziałam o dojrzewaniu. Wszelkie zmiany, jakim miało ulec moje ciało, stanowiły dla mnie tajemnicę, w dodatku przerażającą. W chwili gdy dostrzegłam swoją nową postać, jakiegokolwiek pretensje żywione wobec matki za to, że wysłała mnie do Indii, ciesząc się jednocześnie obecnością mojego rodzeństwa, ulotniły się bez śladu. Naprawdę byłam wewnętrznie rozdarta. Potrzebowałam jej jak nigdy wcześniej.

Przebywając samotnie w Indiach, stawałam się kobietą. Niestety, nie tylko ja to widziałam.

Jednym z moich obowiązków były zakupy, które robiłam z ciotką. Najlepszy sklep znajdował się w sąsiedniej wiosce, co oznaczało godzinny spacer albo dwudziestominutową jazdę autobusem. Czasem udawałyśmy się tam na piechotę, a potem obciążone sprawunkami wsiadałyśmy do autobusu. Było to dla mnie coś nowego. W Anglii nigdy nie korzystałam z transportu publicznego. Rodzice nie

pozwalał mi na to. Nie podobało im się chyba, że my, dziewczęta, będziemy narażone na spojrzenia męskiej populacji; wszędzie woził nas ktoś z rodziny. Stojąc po raz pierwszy w kolejce do brytyjskiego niegdyś piętrusa w Patti, zastanawiałam się, co powiedziałyby na to tata.

Autobus był na ogół zatłoczony do granic możliwości, ale jakimś cudem zawsze znalazło się dość miejsca dla kogoś, kto chciał się jeszcze wepchnąć. Jeśli dopisywało nam szczęście, siedziałyśmy, czasem nawet obok siebie. Zazwyczaj jednak byłyśmy zmuszone stać, gdzie się dało.

Pamiętam jedną podróż; cieszyłam się, że stoję przy oknie. Moje zadowolenie trwało jednak krótko. Autobus czekał dość długo na przystanku, a do środka wchodziło coraz więcej pasażerów. Po krótkiej chwili poczułam ze wszystkich stron łokcie, ręce, nogi i torby pięciu czy sześciu całkowicie nieznanym mi ludzi. Nie śmiałam podnieść wzroku, ale wyczuwałam, że większość ich to mężczyźni i że wszyscy cuchną zastarzałym potem. Było to okropne, wstrętne.

I na tym nie koniec.

Autobus ruszył i wszyscy polecili do przodu, by odzyskać po chwili równowagę. Kiedy i ja zdołałam się wyprostować, nie upuściwszy toreb z zakupami, poczułam dłoń – męską dłoń – na swojej talii. Wykręciłam się instynktownie, próbując się uwolnić od tego dotyku. Dłoń przywarła do mnie jeszcze mocniej, a potem zaczęła się przesuwając w górę.

Chciałam krzyknąć, ale miałam wrażenie, że z autobusu wyszło całe powietrze. Chciałam wymierzyć natrętowi kopniaka, ale moje nogi i całe ciało skamieniały. Byłam tak zszokowana, że nie mogłam nawet płakać.

Upłynęło dwadzieścia najdłuższych minut mojego życia. Kiedy dojechaliśmy do naszego przystanku, zaczęłam przepychać się przez rzadniejący tłum z taką energią, że sprowokowałam gniewne okrzyki ze strony tych, którym deptałam po stopach. Nie przejmowałam się tym. Musiałam się stamtąd wydostać.

W następnym tygodniu próbowałam za wszelką cenę uniknąć powrotu autobusem. Zaproponowałam nawet ciotce, że poniosę wszystkie torby do domu. Ale ciotka się nie zgodziła. Tym razem miałyśmy miejsca siedzące i nic się nie wydarzyło. Nie mogłam się jednak odprężyć.

Nikt mnie już później nie obmacywał, ale kilku mężczyzn szeptało mi do ucha słowa, od których robiło mi się niedobrze. Niektórzy prosili mnie o pewne rzeczy, a potem śmiali się, kiedy milczałam przerażona. Inni sprawiali wrażenie rozzłoszczonych i obrzucali mnie wyzwiskami, których nigdy wcześniej nie słyszałam. I znów mogłam się tylko zastanawiać dlaczego. Dlaczego ja? Co takiego zrobiłam? Dlaczego ci mężczyźni tak mnie nienawidzą?

Dlaczego nie jestem chłopcem?

W pierwszych tygodniach pobytu w Indiach budziłam się każdego ranka,



myśląc: Czy dzisiaj jest ten dzień? Czy dzisiaj odeślą mnie do domu? Nie spodziewałam się żadnego znaku; tak jak wówczas, gdy opuszczałam Anglię. Tygodnie zamieniały się w miesiące; tata wyjechał, a miesiące zamieniły się w rok. Uświadomiłam sobie, że nie myślę już o wyjeździe do domu. Kiedyś nadzieja na powrót dawała mi siłę. Teraz napawała mnie smutkiem – że zostałam zapomniana, że moja własna rodzina wyrzekła się mnie.

Skupiłam więc całą energię na tym, by być najbardziej pojętną uczennicą, zgromadzić jak najwięcej wiedzy, modlić się i żyć zgodnie z zasadami sikhizmu. Ale było to trudne. Ta wiara zapewniała, że mężczyźni i kobiety są równi. Mówiła, że wszyscy sikhowie kochają się nawzajem i traktują społeczność jak rodzinę. Dręczyły mnie jednak pytania. Dlaczego, skoro przestrzegam ze swej strony zasad, jestem zmuszona uważać się za coś gorszego od mężczyzn? Dlaczego doznaję przemocy fizycznej i słownej tylko dlatego, że jestem młodą kobietą?

Nie znałam odpowiedzi, ale byłam pewna jednego: wzięwszy pod uwagę wszystkie doświadczenia z obcymi ludźmi w Indiach i postawę własnego ojca, który skazał mnie na taki los, nie zamierzałam nigdy więcej zaufać żadnemu mężczyźnie.

Życie toczyło się dalej. A potem, pewnego dnia, bez żadnej zapowiedzi, na ścieżce prowadzącej do domu pojawił się jakiś człowiek. Osłaniając dłońią oczy przed blaskiem słońca i mrużąc je, nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Wrócił. Przyjechał po mnie. Mój ojciec.

Serce zabiło mi żywiej i w chwili, gdy do mnie przemówił, cały gniew, ból i lęk zniknęły.

– Witaj, kochanie. Czas jechać do domu.

## Rozdział trzeci

### TO JEST CZŁOWIEK, KTÓREGO POŚLUBISZ

Przez dwa lata marzyłam o tym, żeby wrócić do domu. Kiedy jednak się tam znalazłam, wszystko wyglądało inaczej, niż się spodziewałam. Londyn się zmienił. A może ja się zmieniłam.

Wyjechałam jako mała dziewczynka, a wróciłam niemal jako kobieta, bliska głębokiej przemiany – fizycznej i psychicznej. Byłam spragniona widoku znajomych twarzy. Potrzebowałam matki. Ale ponad wszystko chciałam zobaczyć siostry.

Nasze spotkanie było tak magiczne, jak sobie wymarzyłam – uściski, którym towarzyszył radosny pisk przeplatany łzami. Kiedy jednak witałam się z bratem, mogłam dostrzec w jego oczach, że jestem dla niego kimś obcym. Była to prawda. Byłam obca. Umknęła mi większość jego dotychczasowego życia. Chciałam mu jednak powiedzieć, że to nie moja wina. Poczułam, jak rozpała się we mnie gniew na dźwięk głosu taty i mamy. Tak, cieszyłam się, że znów ich widzę – wszelkie pretensje pod adresem ojca zniknęły w chwili, kiedy się zjawili, by mnie uratować. Tak, rozumiałam ich punkt widzenia – że powinnam poznać dziedzictwo kulturowe swego kraju. Czy umiejętność obierania trzciny cukrowej mogła jednak zrównoważyć stratę, jaką odczuwałam, nie mogąc być świadkiem dorastania rodzeństwa?

Nigdy w życiu. Ale to już była przeszłość. Rodzice podjęli kiedyś określoną decyzję, a ja musiałam się do niej dostosować. Z jednej strony byłam szczęśliwa, że jestem z powrotem w domu, z drugiej martwiłam się, czy zdołam im kiedykolwiek wybaczyć. Jako sikhijka tak właśnie miałam postąpić. Jako córka nie przetrwałabym, gdybym im nie wybaczyła. Lecz jak miałam to zrobić?

Mimo tych moich wszystkich wątpliwości przez resztę dnia w domu panowała atmosfera radości. Karmjit, Kamaljit, a zwłaszcza Inder – młodsze o trzy, sześć i siedem lat – nie odstępowały mnie na krok. Miałam im tyle do powiedzenia, a one mnie. Różnica polegała na tym, że ja wierzyłam ich opowieściom, podczas gdy one zarzucały mi kłamstwo.

- Nigdy nie dotknęłaś krowiej kupy! – pisnęła Inder.
- Dotknęłam. I paliłam nią w piecu. Służyła nawet jako farba do ścian.
- Fuj, to paskudne!

– Wiem!

Śmiech rozbrzmiewał do późna w nocy. Wspaniale było wrócić do domu.

Nie było mnie tak długo, a jednak pod pewnymi względami zdawało mi się, że nigdy nie wyjechałam. Ledwie upłynął pierwszy dzień w Anglii, kiedy matka poprosiła mnie, żebym pomogła ciotce przy obiedzie. Oczekiwałam właściwie, że będę musiała wyręczyć ją w gotowaniu. Przygotowanie posiłku dla całej rodziny nie stanowiło dla mnie problemu. Potrafiłam obierać cebule i rzodkiew, siekać warzywa i przyrządzać czapati jak zawodowy kucharz. Jednak po dwóch latach wymuszonego odosobnienia nie zamierzałam utknąć od razu w rodzinnej kuchni. Chciałam spędzać czas z siostrami. Chciałam być pośród ludzi, których kochałam. Wciąż mieliśmy tyle zaległości do nadrobienia.

Nie chodziło tylko o kwestie towarzyskie. Tydzień po powrocie, ubrana w białą bluzkę, kasztanowy pulower i czarny żakiet, szykowałam się do pierwszego dnia w Cranford Community School. Pójście do nowej szkoły jest zawsze przeżyciem, ale rozpoczęcie nauki w połowie semestru przyprawiało mnie o tremę, która nie chciała ustąpić. Świadomość, że noszę spódniczkę do kolan, też nie pomagała. Zdawało mi się, że mam gołe nogi. Co, u licha, pomyślą sobie ludzie, kiedy wyjdę w takim stroju z domu?

Oczywiście niemal natychmiast zauważyłam na ulicy mnóstwo innych dzieci, które zdążyły do tej samej szkoły – a wiele dziewcząt pokazywało znacznie więcej niż tylko kolana. Gapiłam się na nie zdumiona. Dlaczego rodzice pozwolili im włożyć tak skąpe stroje? Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że te dzieciaki same o tym decydowały. Albo że niektóre ze starszych dziewcząt podwinęły brzeg sukienki o kilka centymetrów bez wiedzy ojca czy matki. Myśl o podobnej niezależności nie powstała mi w głowie.

Jeśli czułam się niepewnie, przekraczając bramę szkoły, to w chwili gdy zaczęły się lekcje, mózg omal mi nie eksplodował. O czym oni wszyscy mówili? To miała być matematyka. Dla mnie obcy język – jeszcze jeden. Na tablicy roilo się od greckich liter i bazgraniny, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Wokół mnie pochylało się w skupieniu trzydzieści głów. Wszyscy rozumieli to, nad czym ślęczeli. Wszyscy prócz mnie.

Po długiej godzinie pojawił się język, którego nie potrafiłam zrozumieć. Wcześniej stwierdziłam zaskoczona, że kiepsko radzę sobie z matematyką, ale teraz, kiedy zaczęłam lekcję angielskiego i okazało się, że mam do czynienia ze sztuką Szekspira, moja pewność siebie zniknęła bez śladu. Wydawało mi się, że znam angielski. Potrafiłam mówić i pisać po angielsku. Ale ta sztuka była napisana w języku, z jakim się nigdy nie zetknęłam. Jeśli nie czułam się pewnie w angielskim i matematyce, to jak miałam sobie poradzić z innymi przedmiotami,

o których nic nie wiedziałam?

Nim pierwszy dzień w szkole dobiegł końca, wszyscy w klasie zdali sobie sprawę, że idzie mi fatalnie. Wcześniej nie kochałam szkoły, ale też nie żywiłam wobec niej jakiejś szczególnej niechęci. Kiedy byłam młodsza, stanowiła po prostu miejsce, do którego chodziło się codziennie i gdzie spędzało się czas z ludźmi w moim wieku, podczas gdy tata i mama pracowali. Mimo to oczekiwałam jednego: że jakoś się dopasuję do reszty.

Dobre sobie!

Nawet gdybym miała dwie głowy, nie mogłabym się bardziej wyróżniać. Byłam nie tylko nowa; byłam głupia, nie miałam żadnych przyjaciół i oczywiście odznaczałam się odmiennym kolorem skóry, choć pod tym względem nie byłam jedyna, ale po dwóch latach spędzonych w Pendżabie mówiłam z tak silnym akcentem i czułam się tak nieswojo w zachodnim ubraniu, że w ogóle nie przypominałam kogoś, kto mieszka w Anglii. Gdyby ktokolwiek chciał mnie urazić, to nie zabrakłoby mu odpowiedniej amunicji.

Przywykłam szybko do tego, że inni przedrzeźniają mój akcent. Kiedy szłam na przerwie korytarzem, słyszałam zdania wypowiedane z przesadnie śpiewną intonacją. Potem, kiedy ten czy ów nabrał śmiałości, usłyszałam po raz pierwszy okrzyk „Paki!”, czyli pogardliwe określenie Pakistańczyka. Myślę, że kiedyś Patti rzeczywiście należało do Pakistanu, ale nie wydaje mi się, by stanowiło to źródło tego przydomka. Wiedziałam, że prędzej czy później usłyszę też coś bardziej znajomego: „Wracaj do swojego kraju”, i rzeczywiście, zdarzało się to przynajmniej raz dziennie.

Byłam już wcześniej ofiarą rasizmu. Cała moja rodzina go doświadczyła. Londyn lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nie był tak postępowy i otwarty jak dzisiaj. Nawet ludzie niemający zamiaru nikogo obrażać posługiwali się często językiem, który teraz uznano by za obraźliwy. Ale fakt, że było to takie powszechne, nie ułatwiał akceptacji. Kiedy zwierzyłam się ze swoich kłopotów ojcu, wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nie musisz mi tego mówić”. Był ode mnie starszy i nosił turban, a dorośli, zapewnił, potrafią być tak samo okrutni jak dzieci.

Obiecał jednak, że porozmawia z moimi nauczycielami. Tymczasem nie powinnam się bać i nie dawać sobie dmuchać w kaszę.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Niektóre z obelg dosłownie odbierały mi mowę. Pomijając to, że nie pochodziłam z Pakistanu i że Anglia była moim krajem, jakich mogłam użyć argumentów? Nie żywiłam do nikogo dostatecznie głębokiej nienawiści, żeby odpłacać mu pięknym za nadobne. Ale załamalam się, gdy jedna z dziewcząt oznajmiła, że cuchnę curry.

Spędzałam bardzo dużo czasu przy tej potrawie. Chyba naprawdę nią

pachniałam.

Świadomość, że tylko z powodu koloru skóry i akcentu jestem wyśmiewana i posądzana o tępotę, pomagała trochę, ale zdarzało się, że przez długie tygodnie zasypiałam z płaczem. Choć czułam się przygnębiona, nigdy nie zrobiłabym jednej rzeczy: nie poprosiłabym o to, żeby nie pójść do szkoły. Właśnie z powodu długiej nieobecności miałam te wszystkie problemy. Gdybym odpuściła sobie kilka dni, byłoby jeszcze gorzej.

Żałowałam, że rodzina patrzy na to inaczej. Kiedy mój brat poszedł do żłobka, a mama zaczęła pracować, dano mi jasno do zrozumienia, że jako najstarsza jestem odpowiedzialna za rodzeństwo. Przygotowywałam siostrom śniadanie i wyprawiałam je do szkoły. Nie miałam nic przeciwko temu. Zgodnie z zasadami sikhizmu szczęście zbiorowości jest ważniejsze niż szczęście osobiste. Wszystkich nas wychowano tak, abyśmy w miarę możliwości pomagali sobie nawzajem. Jeśli któreś z rodzeństwa chorowało, mówiono mi, żebym zrobiła sobie wolne i zajmowała się nim. W ciągu roku szkolnego straciłam kilka tygodni nauki, ponieważ opieka nie ograniczała się wyłącznie do brata i sióstr. Jeśli ktoś z dalszej rodziny nie mógł iść z jakiegoś powodu do szkoły, to i ja nie mogłam. Pewnego dnia zadzwoniła ciotka i poinformowała, że jej syn ma gorączkę – i że powinnam przyjść i zająć się nim. Co chwila odbierałam telefon z zapytaniem: „Dałaś mu to?”. „Ugotowałaś mu tamto?”.

Doszło do tego, że kiedy rankiem dzwonił telefon, odczuwałam strach; bałam się, że dzwoni jakiś krewny, który ma chore dziecko.

Choć oczekiwano po mnie, że w domu będę się zachowywać jak kobieta, poza jego murami wciąż traktowano mnie jak dziecko. Szkoła znajdowała się niedaleko, ale nigdy nie mogłam iść tam sama; zwykle podwoziła mnie jedna z ciotek albo któryś z wujów w drodze do pracy. A potem, punktualnie o wpół do czwartej, na ulicy czekał już dziadek, gotów odprowadzić mnie do domu. I biada mi, jeśli się spóźniałam. Zazwyczaj nie mogłam się doczekać chwili, kiedy rozbrzmiewał dzwonek, żeby uciec przed potencjalnymi prześladowcami. Ale gdy pierwszy semestr zbliżał się do końca i coraz rzadziej słyszałam obelgi – kilka osób okazywało mi nawet sympatię – nie musiałam się już tak bardzo spieszyć.

Pewnego słonecznego wiosennego popołudnia zauważyłam, że dziadek stoi przy samym wyjściu ze szkoły. Było to dość niezwykłe. Zazwyczaj wolał czekać gdzieś dalej. Tego dnia jednak przechadzał się nerwowo pośród tłumu dzieci wracających do domu. Kiedy się zbliżyłam, zaczął mnie przynaglać ruchem ręki. Gdy tylko znalazłam się na chodniku, dosłownie mnie chwycił i zaczął ciągnąć.

– Z kim rozmawiałaś? – spytał.

Jego ostry ton mnie zaskoczył.

– Słucham?

– Z kim rozmawiałaś? – powtórzył, tym razem głośniej.

– Z nikim, dziadku.

– Widziałem. Rozmawiałaś z jakimś chłopcem.

Zaczęłam rozmyślać gorączkowo. Z nikim nie rozmawiałam. A może jednak?

– Ach, o niego ci chodzi. – Przypomniałam sobie. – Jest z mojej klasy. Pytał, czy nie widziałam jego przyjaciela.

– I co powiedziałaś?

– Że nie.

Dziadek zmarszczył czoło. Spojrzałam szybko w inną stronę. Najwyraźniej zrobiłam coś złego, choć nie miałam pojęcia co.

– Nie rób tego więcej – oświadczył w końcu.

– Czego?

– Nie rozmawiaj z tym chłopcem ani z żadnym innym. Nigdy.

– A jeśli zwrócą się do mnie?

– Zignoruj ich. Odejdź.

– Ale czy nie będzie to niewłaściwe?

– Nie bardziej, niż gdyby widziano cię, jak z nimi rozmawiasz.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Podjęto kolejną decyzję dotyczącą mojego życia – decyzję, z którą się nie zgadzałam i której nie rozumiałam. Kolejną decyzję, którą miałam zaakceptować bez sprzeciwu. Byłam dobrą córką i dobrą sikhijką. Tak mnie wychowano.

Mimo to nie mogłam przestać o tym myśleć tego wieczoru, kiedy już uporałam się z obowiązkami. Dziadek powiedział, że mnie chroni, ale miałam wrażenie, że jestem karana. Co złego zrobiłam? Ten chłopiec ze szkoły był z pewnością miłszy niż jego rówieśnicy w Indiach. Jeśli mój dziadek tak bardzo się o mnie martwił, to dlaczego nie chronił mnie przed tamtymi?

\*

Choć w szkole nie odnosiłam żadnych sukcesów – ani też, jak mi się zdawało, nie zdobywałam jakichkolwiek kwalifikacji – czas, który spędziłam w Cranfordzie, pod wieloma względami nie był zmarnowany. Chodziło tam wielu uczniów azjatyckiego i afrykańskiego pochodzenia, więc rasizm, z jakim się wcześniej spotykałam na każdym kroku, był w zaniku. Chłopcy z mojej klasy witali się ze mną i żegnali w miejscach publicznych – choć nigdy w obecności dziadka – co więcej, zaprzyjaźniłam się z paroma osobami. Dwie z nich, Sarita i Suneeta, także pochodziły z Indii, nie mogły się jednak nadziwić surowym zasadom, jakie mnie obowiązywały. Odprowadzano mnie każdego popołudnia prosto do domu, gdzie

musiałam gotować i sprzątać, a one cieszyły się po lekcjach taką samą swobodą jak inna nasza przyjaciółka, Pam. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż móc je odwiedzać i słuchać płyt albo rozmawiać o modzie, choć nie znałam się ani na jednym, ani na drugim – lecz ojciec zabronił mi się z kimkolwiek spotykać. Ja też nie mogłam przyjmować nikogo w domu.

Nie okazywałam jednak niezadowolenia. Byłam odpowiedzialna za szczęście rodziny, jak wyjaśnili rodzice. Karmiłam i bawiłam rodzeństwo. Powinnam być z tego powodu zadowolona.

Jestem, zapewniałam.

Ale nie byłam, w każdym razie nie przez cały czas. Wychowano mnie tak, bym okazywała rodzicom absolutne posłuszeństwo. Już dawno udowodniłam, że mogę to robić i robię. Nie oznaczało to jednak, że mam być z tego powodu szczęśliwa.

Najczęściej moje obowiązki sprowadzały się do zajęć w kuchni. Niekiedy proszono Karmjit, żeby mi pomogła, tak jak ja pomagałam dorosłym, kiedy byłam w jej wieku. Nie wydaje mi się, by była tym zachwycona; narzekała bardziej, niż kiedykolwiek mnie przysłoby do głowy. Ale umiałyśmy się bawić na swój sposób, opowiadając sobie o swoim życiu, choć trudno byłoby je uznać za szczególnie barwne. Przynajmniej byłyśmy razem.

Na ogół jednak stałam przy kuchni sama, licząc jedynie na wsparcie matki, która też miała na głowie pracę i własne obowiązki. Pamiętam, jak po raz pierwszy przygotowałam posiłek dla rodziny bez niczyjej pomocy.

– Tyle się nauczyłaś – oznajmiła z błyskiem dumy w oczach. – Będzie z ciebie wspaniała żona.

Żona? Omal nie upuściłam chochli do garnka. Miałam czternaście lat, byłam dzieckiem i pamiętając to, czego doświadczyłam w Patti, nienawidziłam mężczyzn.

Jak mogłabym być kiedykolwiek żoną?

Mama wyszła, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Tego jednak wieczoru, kiedy już ucichła paplanina moich sióstr, jej słowa wciąż rozbrzmiewały mi w uszach.

Czy tylko tyle dostrzegła, gdy krzątałam się po kuchni? Czy naprawdę oceniała moją przydatność jako przyszłej żony i nic więcej?

Nagle moje dwuletnie wygnanie spędzone w Indiach nabrało koszmarne sensu. Nie wysłano mnie tam po to, bym poznała indyjskie życie wyłącznie na własny użytek. Uczylałam się go dla swego męża.

Wydawało mi się początkowo, że zdobywam te wszystkie umiejętności dla własnej korzyści, by stać się dobrą córką i pomagać rodzinie. Nie przerabiałam tych trudnych i wymagających lekcji, nie znosiłam rozłąki z rodziną – nawet nie uczyłam się zbierania bawełny – dla jakiegokolwiek mężczyzny!

No cóż, pomyślałam, jeśli mój mąż będzie miał krowy, które należy zaprowadzić do strumienia, to jestem gotowa!

Ta myśl przyprawiła mnie o śmiech. Uspokojona nieprawdopodobną wizją gnania krów przez podmiejskie ulice Hounslow, doszłam do wniosku, że nie ma się czym martwić. Jak miałam znaleźć męża, skoro nigdy nie rozmawiałam z żadnym chłopcem?

\*

Pomijając odrobinę urozmaicenia, na przykład rozmowy z przyjaciółmi podczas przerw szkolnych, wszystkie dni były podobne do siebie. Gotowanie, sprzątanie, odrabianie lekcji i wyprawy do świątyni – wszystko to sprawiało, że miałam bardzo mało czasu dla siebie. Raz czy dwa w tygodniu wolno nam było oglądać przez pół godziny telewizję, ale dopiero wtedy, kiedy ktoś dorosły uznał, że treści są dla nas odpowiednie. Nie mogłyśmy oglądać żadnego programu, gdzie pokazywano chłopca i dziewczynę, którzy się całują i tulą do siebie, albo gdzie choćby wspomina się o związku innym niż bratersko-siostrzany. Tym samym wykluczone były wszelkie opery mydlane, a sitcomy w rodzaju *Zdrówko* i *Diff'rent Strokes* miały opinię zbyt zachodnich.

Mimo wszystko, spotykając się z Saritą, Pam i Suneetą – niestety, tylko w szkole – poznawałam też inną stronę życia. Magazyny, które czytywały, i plotki, którymi się dzieliły, wydawały mi się zupełnie obce, i co tu dużo mówić, głupawe, ale nie kryłam fascynacji zdjęciami piosenkarzy i gwiazd filmowych, a także opowieściami na ich temat. Spędziwszy długie lata w mrokach średniowiecza, w wieku piętnastu i szesnastu lat czułam, że mam niezłe pojęcie o świecie poza ścianami naszego domu. Kiedy moje przyjaciółki rozmawiały o ulubionych piosenkarzach, takich jak Adam Ant albo Boy George, nie pytałam już bezustannie: Kto to taki? A gdy rozwodziły się nad tym, jak przystojny jest Sylvester Stallone, mogłam się bez wahania zgodzić. Oczywiście, nie widziałam żadnego z jego filmów, ale przecież widniał na rozkładówce jako Rambo czy Rocky.

Jedynym tematem, na który wciąż nie chciałam się wypowiadać, była płęć przeciwna i wszystko, co się z nią wiązało. Nie byłam po prostu zainteresowana. Ani całowaniem, ani randkami, nie wspominając już o małżeństwie.

Jest na to jeszcze mnóstwo czasu.

\*

Gdybym osiągała lepsze wyniki w szkole, to może bardziej bałabym się egzaminów. Lecz gdy nadszedł koniec piątej klasy i przystąpiłam do ich zdawania



– mniej wymagających niż maturalne – moja klęska była sprawą niemal przesądzoną. Wiedziałam jednak, że to nie moja wina. Robiłam, co w mojej mocy, ale miałam mnóstwo nieobecności i żadnego wsparcia w domu. Rok przed egzaminami, kiedy ukończyłam piętnaście lat, w naszej rodzinie pojawiła się jeszcze jedna mała siostrzyczka, Dalvinder Kaur. Była urocza, jednak jej narodziny oznaczały dla mnie więcej obowiązków i mniej czasu na naukę. To, że zdałam egzaminy, stanowiło niespodziankę, nie przesądzało jednak w żaden sposób o mojej akademickiej przyszłości. Nie było sensu przystępować do matury, więc uniwersytet nie wchodził w rachubę. Jedynym wyjściem było poszukanie sobie pracy.

Niestety, bez odpowiednich umiejętności i kwalifikacji nie było to łatwe, więc zapisałam się na kurs biurowy w Feltham. Ośrodek szkolenia zawodowego znajdował się w odległości zaledwie dwudziestu minut drogi, ale tata, zamiast znieść embargo na środki transportu publicznego, wolał sam mnie tam wozić. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jeszcze kiedykolwiek z własnej woli zechcę się czegoś uczyć, więc uczęszczanie na kurs było dla mnie jak łyk świeżego powietrza. Przede wszystkim nie musiałam nosić mundurka, więc mogłam wkładać swój zwykły – indyjski – strój. Dawało mi to więcej pewności niż w Cranfordzie, gdzie musiałam ubierać się jak wszyscy. Nawet jeśli wciąż byłam tak samo nieśmiała jak zawsze, to przynajmniej czułam się bardziej sobą.

Co ważniejsze, wszystkie kobiety na tym kursie zaczynały z tego samego poziomu co ja. Uczyłyśmy się pisać na maszynie, rejestrować dokumentację, odbierać telefony; przynajmniej raz w życiu nie wlokłam się na szarym końcu. Mimo wszystko, choć byłam zadowolona, że radzę sobie w nowym środowisku, tym bardziej sobie uświadamiałam, jak dużo mogłabym osiągnąć w szkole, gdyby moi rodzice pozwolili mi uczęszczać do niej regularnie. Nie chciałam ich winić za kiepskie wyniki w nauce, ale...

Trudno się więc dziwić, że w sytuacji, gdy wszystko tak dobrze szło, przeżyłam pewnego wieczoru szok. Siedzieliśmy przy stole, a tata podsunął mi kopertę. W środku znajdowało się niewielkie zdjęcie mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

– Kto to jest? – spytałam.

Tata się uśmiechnął.

– Człowiek, którego poślubisz.

## Rozdział czwarty

### TO ŻADEN ROCKY

Wszystko zaczęło się od kolejnej dyskusji rodzinnej w salonie. Siadając, przypominałam sobie ten koszmar, który się wydarzył, gdy wezwano mnie tu poprzednim razem.

Nie zamierzają chyba wysłać mnie znów do Indii?

Będąc siedemnastolatką, czego jeszcze mogłam się nauczyć w kwestii „indyjskiego życia”?

– Nie – zapewnił ojciec. – To już przeszłość. Ale chcę pomówić z tobą o przeszłości. Na pewno nie zamierzasz iść do college’u ani na uniwersytet?

Pomyślałam o tym, jak trudno było mi w szkole przy tych wszystkich opuszczonych lekcjach.

– Nie – odparłam. – To nie dla mnie.

– Wydamy cię wobec tego za mąż.

Dopiero później, w swoim pokoju, przetrzymałam wszystko, co powiedzieli. Wyjść za kogoś za mąż? Czy tak to się odbywa? Mogłam albo kontynuować edukację, albo zostać czyjąś żoną? Czy to dotyczyło tylko mnie, czy wszystkich dziewcząt? Czy moje siostry, osiągnąwszy mój wiek, zostaną postawione przed takim samym wyborem?

Jak bardzo żałowałam, że nie udało mi się częściej chodzić na lekcje. Ale to nie była moja wina, że się niczego nie nauczyłam. Nie z własnej woli wyjechałam do Indii, a potem opiekowałam się rodzeństwem i kuzynami przy każdej nadarzającej się okazji. Na dobrą sprawę nie mogłam iść na uniwersytet, nawet gdybym chciała – czy to możliwe, że o to właśnie cały czas chodziło rodzicom?

Nie, oczywiście, że nie. Od razu odrzuciłam tę nielojalną wobec ojca i matki myśl. Ale sam fakt, że coś takiego przyszło mi do głowy, dowodził, jak bardzo byłam zdruzgotana z powodu wizji przyszłości, jaką przede mną roztoczono. Nie chciałam wychodzić za mąż. Po prostu. Koniec, kropka.

Niestety, nie do mnie należało ostatnie słowo. Pół roku później, kiedy rodzice pokazali mi zdjęcie małego, nerwowego na pierwszy rzut oka mężczyzny, byłam zszokowana faktem, że moje obawy się ziściły – ale nie zaskoczona.

Pokazując palcem niewyraźną, ziarnistą fotografię, ojciec i matka wyjaśnili, że

tak właśnie zawiera się małżeństwa. Rodzice chłopca kontaktują się z rodzicami dziewczyny i kojarzą związek. Prosta sprawa. Dzieci nie mają nic do powiedzenia. Nie wyszukują sobie żony ani męża. Tak właśnie pobrali się moi dziadkowie z Indii i tak właśnie pobrali się moi dziadkowie z Wielkiej Brytanii; tak też wyglądały małżeństwa moich ciotek i wujów. Historia związku rodziców była zapewne najbardziej typowa. Matka wychowywała się w Singapurze, ojciec natomiast pochodził z Indii. Kiedy matka osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia, jej rodzice, przez swoje kontakty, przekazali wiadomość do Wielkiej Brytanii, a także do Singapuru, gdzie przebywała ich rodzina, i do Indii, ojczystego kraju, gdzie wciąż mieli wielu krewnych. Kilka tygodni później do domu matki dotarła koperta – taka sama, jaką i mnie przekazano. W środku znajdowało się zdjęcie młodego Sewy Singha Batha w mundurze armii indyjskiej. Mama zobaczyła tatę drugi raz, gdy stał obok niej podczas uroczystości ślubnej. Było to ich pierwsze w życiu spotkanie.

Dobrze znałam tę historię. Wiedziałam, że mama i tata uważają to za normalne. I wiedziałam, że tego samego oczekują ode mnie.

Tata patrzył na mnie wyczekująco, kiedy wlepiałam wzrok w leżące przede mną niezbyt wyraźne zdjęcie. Brakowało mi słów. Nic nie wiedziałam o człowieku na fotografii. Nie znałam jego imienia, jego sytuacji życiowej, nie miałam pojęcia, gdzie mieszka. I dlaczego dostałam tak małe zdjęcie? Był w turbanie i miał brodę, więc z trudem dostrzegałam jego rysy. Rodzice oczekiwali zaś, że powiem: „Tak, spędzę z tym obcym człowiekiem resztę życia”.

Ojciec wyjaśnił kilka rzeczy. Mężczyzna na zdjęciu był synem jego najlepszego przyjaciela w Indiach. Pochodził z dobrej rodziny i chciał się przenieść do Anglii.

– Więc nie ma pracy?

– Nie, ale niedługo ją dostanie – odparł ojciec. – Jest wykształcony i ma liczne umiejętności. To nauczyciel.

Wiedziałam, czego się ode mnie wymaga. Wiedziałam, że powinnam stanowić wzór dla swoich sióstr. Moim obowiązkiem było prowadzić życie, jakie rodzice przewidzieli dla Karmjit, Kamaljit, Inder i nawet małej Dalvinder Kaur.

Nie mogłam się jednak zgodzić.

– Nie – powiedziałam. – Nie wyjdę za niego.

– Dlaczego? – Głos taty był surowy, ale nie wyczuwałam w nim gniewu.

Musiałam wierzyć, że chodzi mu o moje szczęście. Co jednak dla niego ważniejsze, nie chciał, by nasza rodzina wypadła niekorzystnie w oczach bliskich tamtego człowieka. Nie chciał stracić twarzy w swojej społeczności.

– Jestem za młoda – wyjaśniłam, mówiąc całkiem poważnie.

Mogłam też dodać: boję się. Wspomnienia myszujących dłoni i obraźliwych słów tych osobników z autobusu w Patti wciąż były żywe. Skąd miałam wiedzieć,

czy ten mężczyzna z tego samego kraju nie będzie jak oni? Że nie będzie traktował kobiety jak obywatela drugiej kategorii, co spotkało mnie już ze strony tak wielu ludzi?

Mama i tata omówili krótko sprawę w mojej obecności i w końcu ojciec oznajmił:

– Dobrze, Sarbjit, tym razem możesz odmówić.

Te słowa, „tym razem”, zawisły w powietrzu. Tata uszanował moją decyzję i wziął pod uwagę mój młody wiek. Wysłuchał tego, co miałam do powiedzenia, ale to wszystko. Tak, mogłam sprzeciwić się wyjściu za mąż za tego człowieka, nie mogłam jednak oświadczyć, że nie wyjdę nigdy za mąż. Moje małżeństwo było już sprawą przesądzoną. Tak postępowali sikhowie. Tak postępowala moja rodzina. I ja też tak miałam postąpić. Następnym razem...

Mijały tygodnie i miesiące, ale poczucie ulgi zatruwała świadomość, że w każdej chwili mogą mi pokazać następne zdjęcie. W końcu tak się stało.

I udzieliłam identycznej odpowiedzi.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy lękałam się rozstania z rodziną, czy przeraziła mnie perspektywa życia z tym właśnie człowiekiem. Wiedziałam tylko tyle, że gdy spojrzałam na fotografię, po plecach przebiegł mi dreszcz. Prawie szczękałam zębami ze zdenerwowania. Myśl o tym, że będę musiała wyrzec się własnego życia dla tego obcego człowieka z kraju, w którym mnie porzucono, budziła przerażenie.

Poza tym czułam się naprawdę urażona, że dostałam od kandydata do mojej ręki albo od jego rodziny stare zdjęcie paszportowe, i to niezbyt dobre. Po co mi ono było? Jeśli ten człowiek tak bardzo pragnął mnie poślubić, dlaczego nikt nie zadał sobie trudu, żeby wykonać przyzwoite zdjęcie, zamiast przesyłać jakąś fotkę z automatu? Świadczyło to według mnie o braku szacunku i pogłębiało moją niechęć. Mogłam udzielić tylko jednej odpowiedzi.

– Nie mogę tego zrobić – oznajmiłam. – Nie mogę go poślubić. Przykro mi, tato, po prostu nie mogę.

Wiedziałam, że sprawiam zawód rodzinie i że ojciec i mama odczuwają ból. Wiedziałam też, że mam coraz mniejsze pole manewru.

Na początku 1989 roku, kiedy skończyłam właśnie dziewiętnaście lat, moi rodzice ponownie zaprosili mnie na rodzinną rozmowę. Tym razem, ze względu na prywatność, odbyła się ona w ich sypialni. Choć było tam przytulnie i mogłam się odprężyć, siedząc na łóżku, wiedziałam doskonale, że jest do omówienia tylko jeden temat i to niezbyt dla mnie przyjemny. Czekałam, aż pokażą mi zdjęcie kolejnego kandydata do ożenku, ale nie zauważyłam niczego w rękach taty i mamy.

– Znów chodzi o mężczyznę, którego mam poślubić? – spytałam.

- Tak – odparł tata. – Nie mamy jednak jego zdjęcia.
- Więc jak mam ocenić, czy mi się podoba?
- Zamierzamy się z nim spotkać. W przyszłym tygodniu.

Tata wyjaśnił logikę, którą się kierował. Mimo że wychowywał mnie bardziej na sposób indyjski niż brytyjski, nie mógł zaprzeczyć, że jestem dzieckiem Londynu. Chodziłam tu do szkoły, a teraz uczęszczałam na kurs zawodowy, który miał mi ułatwić znalezienie pracy. Byłoby zatem nie w porządku z jego strony oczekiwać, że poślubię człowieka wywodzącego się z innej kultury, takiego, który mógłby spodziewać się po mnie więcej, niż zdołałabym mu zaoferować.

– Tak więc – ciągnął – twoja babka znalazła idealną rodzinę. Mieszkają w Hayes i mają dwóch synów, którzy tu dorastali. Jeden z nich jest już żonaty, a drugi pragnie poślubić ciebie.

Podobnie jak rodzina mamy, Athwalowie mieszkali w Singapurze, nim przenieśli się do Wielkiej Brytanii, kiedy ich młodszy syn miał dwa lata. Wciąż utrzymywali ściśle kontakty z naszą rodziną. Jak widać, starsi przedstawiciele obu klanów zaaranżowali już małżeństwo.

Podsufwanie mi kandydatów z Indii to było jedno, ale fakt, że jacyś ludzie, o których istnieniu ledwie wiedziałam, pochodzący z nieznanego mi kraju, decydowali o moim zamążpójściu, budziło lęk, delikatnie mówiąc. Jakim cudem tak wielu obcych ludzi angażowało się w poszukiwanie dla mnie męża?

Wpływ „społeczności” na moje życie był większy, niż kiedykolwiek sądziłam.

W pewien zimny styczniowy poranek wcisnęliśmy się wszyscy do samochodu taty. Jak zwykle zadecydowały względy praktyczne; ja i Kamaljit dzieliłyśmy siedzenie z mamą, babcią i dziadkiem. Wydawało się śmieszne, że tłoczmy się w jednym aucie. Przygotowywałam się przez cały ranek przy pomocy mamy i babci, które pilnowały, żebym włożyła najlepszy salwar kamiz i nakryła głowę odpowiednio dobraną chustą, a teraz to wszystko miało się pognieść. Nie widziałam w tym sensu.

Pojechaliśmy do mojej ciotki, która mieszkała w Bedfont, dzielnicy zachodniego Londynu, między Hounslow i Feltham, około ośmiu kilometrów na południe od Hayes. Zgodziła się ona zorganizować spotkanie rodziny Athwalów i Bathów. Mimo że była członkiem naszej rodziny, jej dom traktowano jako miejsce neutralne. Wszyscy uczęszczaliśmy do tej samej świątyni, wszyscy wyznawaliśmy wiarę w tego samego Boga, wszyscy należeliśmy do tej samej społeczności.

Czy jednak mieliśmy stać się jedną rodziną?

Ciasnota w samochodzie pozwoliła mi zapomnieć na chwilę o tym, co mnie czeka. Lecz gdy tylko przekroczyłam próg domu ciotki, dały o sobie znać nerwy. Ścisnęło mnie boleśnie w dołku, a gardło miałam tak suche, że skinęłam tylko

głową i z trudem uśmiechnęłam się, odpowiadając na powitanie wujostwa. Cieszyli się, jakby chodziło o ślub ich własnej córki.

Był to ładny dom z dużym salonem. Wuj ustawił krzesła w dwóch rzędach naprzeciwko siebie – dla obu rodzin. Między nimi stał długi stół przypominający dzielącą je barierę. Zjawiliśmy się pierwsi, więc mogliśmy zdecydować, po której stronie będziemy siedzieć; zajęłam miejsce. Wszyscy stanęli nade mną – mama, tata, wuj, ciotka, dziadek i babcia; śmiali się i rozmawiali, pojadając czapati i popijając lassi. Miałam wrażenie, że patrzę przez okno na przyjęcie, na które mnie nie zaproszono. Z tą różnicą, że byłam gościem honorowym.

Obie, ja i siostra, siedziałyśmy w milczeniu pośród gwaru rozmów. Jestem pewna, że Kamaljit martwiła się o mnie, ale też zdawała sobie sprawę, że za kilka lat czeka ją to samo. Stanowiłam dla niej przykład – tata nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Musiałam mieć na względzie honor rodziny. Wiedziałam, że to, jak się tego dnia zachowam, wpłynie na życie wielu ludzi.

Na moich młodych barkach spoczywał ogromny ciężar; czułam się nim przygnieciona. Nagle tok moich myśli przerwał jakiś dźwięk.

Dzwonek do drzwi.

Nasłuchiwałam gwaru obcych i znajomych głosów docierających z przedpokoju, kiedy wuj zapraszał gości do środka, a moi dziadkowie witali swych singapurskich ziomków z hałaśliwą wylewnością. Trudno było kogokolwiek innego usłyszeć.

Wydawało się, że upłynął cały wiek, nim otwarto drzwi salonu i do pokoju wkroczyli Athwalowie.

Jest tutaj.

Ruszyli instynktownie w stronę rzędu pustych krzeseł, ale nie potrafiłam na nich spojrzeć. Wbijałam wzrok w podłogę; ogarniał mnie coraz większy niepokój. Salon, choć dość przestronny, wydał mi się nagle bardzo mały. Miałam wrażenie, że jego ściany napierają na mnie.

Oddychaj głęboko, Sarbjit!

Za żadne skarby świata nie chciałam sprawiać wrażenia podenerwowanej, podnieczonej czy w jakikolwiek sposób nieatrakcyjnej. Nie świadczyłoby to dobrze ani o mnie, ani o mojej rodzinie. I znowu, tak jak poprzednio, od paniki uwolnił mnie jakiś dźwięk. Nie był to tym razem dzwonek, tylko głos mojego ojca, który dokonywał prezentacji.

Nie miałam wyboru, musiałam podnieść wzrok. Zobaczyłam drobną i kruchą postać Giana Singha Athwala, głowy rodziny. Miał sympatyczną twarz i błyszczące, żywe oczy. Następnie zostałam przedstawiona jego żonie Bachan Kaur. Była wyższa niż kobiety w mojej rodzinie; nie odznaczała się nadwagą, ale sprawiała wrażenie potężnie zbudowanej. Ubrana była w suknię z najdoskonalszego jedwabiu, na głowie zaś miała prosty dastar – coś w rodzaju

kobiecego turbanu. Jej trzy córki w tradycyjnych strojach przypominały małe księżniczki. Obok stał starszy syn, Sukhdave, i ten, który stanowił powód naszej obecności: Hardave Singh Athwal.

Wiedziałam dzięki lekturze popularnych magazynów, jak ma wyglądać miłość od pierwszego wejrzenia. Nie było jednak spadających gwiazd, rozbłyskujących fajerwerków ani też akordów wygrywanych przez hollywoodzką orkiestrę. Hardave nie wkroczył na scenę w zwolnionym tempie, a jego zęby nie błysnęły jak na filmie rysunkowym, kiedy uśmiechnął się na powitanie. Odpowiedziałam mu uśmiechem; usiadł między bratem i siostrami, a ja odwróciłam wzrok, nim zrobił to samo.

Mogłam się zorientować, że Hardave prezentuje się bardzo dobrze, z pewnością lepiej niż ci dwaj mężczyźni na pogiętych i niewyraźnych zdjęciach, które mi pokazano. Przyszło mi jednak do głowy, że to żaden Rocky. Był po prostu mężczyzną, jednym z ośmiorga obcych ludzi w pokoju. Sprawiał wrażenie tak samo zdenerwowanego jak ja, ale nie oznaczało to wcale, że musi mi się podobać.

Kiedy już wszyscy zostali sobie przedstawieni, obie rodziny skupiły się przy stole. Uświadomiłam sobie nagle, że pokój przypomina arenę. Wyglądaliśmy nie jak dwie rodziny, które spotkały się na neutralnym gruncie, lecz jak dwie przeciwne drużyny na boisku. Nie byłam tym zachwycona. Wydawało mi się to niewłaściwe. Nie tak znajdowało się miłość. Jak mężczyzna i kobieta mieli się w tej sytuacji lepiej poznać?

Co ważniejsze – jak przeciwnicy mogą się ze sobą spotkać, skoro nie wolno im tego zrobić?

Podczas gdy moja siostra, rodzice i dziadkowie stali i rozmawiali przyjaźnie z rodzeństwem Hardave'a i jego krewnymi, mnie kazano siedzieć – tak jak i jemu. Nie ruszaliśmy się, nie odzywaliśmy; nie wolno nam było przejść na drugą stronę pokoju. Było to niewiarygodnie frustrujące. Równie dobrze mógł mi przesłać swoje zdjęcie. Wyszłoby na to samo.

Przynajmniej nie miałabym wówczas wyrzutów sumienia z powodu decyzji, jaką zamierzałam podjąć.

Im dłużej siedziałam w salonie wujostwa, niczym kanarek w klatce – podziwiana, ale pozbawiona swobody – tym większą odczuwałam niechęć. Nawet gdy podeszły do mnie siostry Hardave'a, byłam wobec nich uprzejma i okazywałam im zainteresowanie, ale w głębi duszy byłam zirytowana. Mężczyzna, którego wychwalały pod niebiosa, znajdował się niespełna pięć metrów dalej. Dlaczego sama nie mogłam z nim porozmawiać?

Atmosferę zabawy, która zapanowała na początku, zastąpił bardziej oficjalny ton, ale w pokoju wciąż wyczuwało się radosne podniecenie. Dlaczego? – to jedno pytanie kołatało mi w głowie. Mieliśmy być sobie tylko przedstawieni, nic więcej.

To nie były zaślubiny. Nikt nie wspomniał nawet słowem o tym, czy Hardave mi się podoba. A jednak jego rodzina i moja zachowywały się tak, jakby decyzja – bez wątpienia pozytywna – została już dawno podjęta.

Było jednak inaczej. Nikt nie wiedział, co myślę. Nikt nie wiedział, jakie żywię uczucia wobec wysokiej kobiety, która starała się nad wszystkimi dominować, i to tak bardzo, że jej męża ledwie było słycać. Nie wiedzieli, co myślę o paplaninie jaskrawo ubranych kobiet, które wychwalały zalety swojego brata. I nie wiedzieli też, co myślę o innej kobiecie obecnej na tym spotkaniu. Tej, która przez całe popołudnie nie wypowiedziała nawet słowa.

Kiedy Athwalowie zaczęli się zbierać, tak samo hałaśliwie jak się pojawili, uchwyciłam spojrzenie tej kobiety. Była drobna i piękna, ale wyraźnie zmęczona; przedstawiono mi ją jako żonę Sukhdave'a. Na imię miała Surjit. I, jeśli się nie myliłam, nie wydawała się szczęśliwa.

Nie udzieliłam w domu wuja żadnej odpowiedzi. Z drugiej strony o nic mnie nie spytał. Uznał chyba, że się zgodziłam. Dopiero po powrocie do Hounslow, kiedy zdjęłam odświętny strój i zasiadłam przy stole z rodziną, ojciec poprosił, żebym wyraziła swoje zdanie.

– Nie – powiedziałam. – Nie podoba mi się ta rodzina.

– Co masz na myśli? To porządni ludzie. Bachan Kaur cieszy się w świątyni wielkim szacunkiem. Nosi dastar, została ochrzczona, jest prawdziwą sikhijką.

Wzruszyłam ramionami. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wydawała się doskonała. Prawdę powiedziawszy, trudno było cokolwiek im zarzucić. Hardave był dość atrakcyjny, nie miał nadwagi, jednym słowem, ideał. Ale czułam się nieswojo w obecności tej rodziny. Było zbrodnią, że o tym wspomniałam?

– Nie podobałaby ci się żadna rodzina – oznajmił ojciec lekceważąco. – Wydaje mi się, że szukasz wymówek.

Wiedziałam, że tak nie jest, ale nie śmiałam się spierać. Zdawałam sobie sprawę, że to, co mówię, wobec braku konkretnych argumentów brzmi głupio. Mimo wszystko ufałam swoim wrażeniom.

– Proszę, nie każ mi za niego wychodzić – błagałam. – Proszę, tato.

Odrzucałam wcześniej kandydatury potencjalnych małżonków, tym razem jednak ojciec wydawał się rozgniewany. Nie chciał mi odpowiedzieć ani wdawać się ze mną w spór. Dwie godziny później zrozumiałam dlaczego. Zadzwonił telefon, a mama znieruchomiała. Popatrzyła na tatę, on zaś zebrał się w sobie i poszedł odebrać. Po chwili wiedziałam, kto dzwoni.

Proszę, nie zgadzaj się, proszę, nie zgadzaj się! – powtarzałam jak modlitwę, mając nadzieję, że ojciec nie skaże mnie na małżeństwo, którego nie chcę. Po kilku minutach wrócił do pokoju z chmurną miną i oświadczył:



– Poprosiłem o więcej czasu. Udzielimy odpowiedzi za dwa dni.

– Przecież już to zrobiłam – zawołałam płacząco.

Tata potrząsnął głową i wyszedł bez słowa. Mogłam się zorientować, że go rozczarowałam.

Znowu przyniosłam mu wstyd.

Nazajutrz, jak zwykle, przygotowałam się do wyjścia na kurs. Mineliśmy się z tatą w milczeniu i dziewięć godzin później wróciłam do domu. Droga w obie strony wydawała się koszmarem. Nie mogłam zapomnieć wyrazu twarzy ojca. Pocieszałam się myślą, że mu przejdzie. Czy jego chwilowa satysfakcja była warta nieszczęścia, które w moim przypadku trwałoby całe życie?

Jak zwykle po powrocie z Feltham przebrałam się w domowy strój i ruszyłam prosto do kuchni. Ojciec poprosił, żebym przygotowała więcej jedzenia, ponieważ spodziewamy się gości. Nie było w tym nic niezwykłego. Wizyty w domach przyjaciół i bliskich były na porządku dziennym. My chodziliśmy do nich, oni przychodzili do nas. Lecz gdy godzinę później ktoś zadzwonił do drzwi, stwierdziłam ze zdziwieniem, że to wuj i ciotka z Bedford.

Chciałabym powiedzieć, że okazali radość na mój widok. Lecz gdy dziękowałam im za gościnność, jaką nam okazali poprzedniego dnia, nawet się nie uśmiechnęli. Zrozumiałam, że rozmawiali wcześniej z tatą.

– Dlaczego nie chcesz wyjść za Hardave’a Singha? – spytał wuj. – To dobry człowiek, ma przyzwoitą pracę w fabryce sprzętu elektrycznego. Jest londyńczykiem, tak jak ty. Jego rodzina cieszy się szacunkiem w Anglii, Indiach i Singapurze. Czego więcej żądasz?

– Nie wiem – odparłam.

– Ona nie wie! – Wuj był zaskoczony, i to tak bardzo, że zaczął mnie przedrzeźniać. Zraniłam jego uczucia. Przykuł mnie spojrzeniem zagniewanych ciemnych oczu. – Pomyśl o tym, co robisz, Sarbjit. Pomyśl o swojej rodzinie. –

Wskazał pozostałe osoby obecne w domu. – Pomyśl o wstydzie, który ściągniesz na nasze głowy.

Wstyd? Co jest wstydlivego w tym, że ktoś nie chce wyjść za mąż? Chodzi po prostu o decyzję, jaką muszą podjąć chłopiec i dziewczyna.

Ale chodziło o coś więcej, i wiedziałam o tym.

Po chwili do dyskusji włączyli się dziadkowie. Nie mówili o moim szczęściu ani o niczym, co miałoby jakkolwiek związek ze mną. Podkreślali, że wuj i ciotka wyświadczyli nam wszystkim wielką przysługę, organizując spotkanie w swoim domu. Czy naprawdę miało to pójść na marne, a tym samym okryć ich wstydem, za co osobiście ponosiłam odpowiedzialność?

Rozumiałam ich punkt widzenia. Naprawdę. Ale czy chcieli powiedzieć, że

mam wyrzec się szczęścia, bo moi krewni urządzili przyjęcie, którego w ogóle nie pragnęłam? Czy naprawdę bardziej zależało im na tym, by nie ośmieszyć się w oczach Athwalów, niż zrobić to, co jest dla mnie najlepsze? Tak się właśnie wydawało. Gdybym nie zmieniła zdania, okazałoby się, że mój wuj tracił czas. Najwidoczniej nie dawało mu to spokoju bardziej niż cokolwiek innego.

– Co powiedzą na to Athwalowie? – Wuj teraz prawie krzyczał. – Cieszą się w świątyni wielkim szacunkiem. Okryje nas to wszystkich wstydem. Staniemy się pośmiewiskiem całej społeczności.

Znowu to słowo – społeczność! Nie obchodziła mnie w najmniejszym stopniu. To byli sąsiedzi, dalecy krewni, znajomi z pracy i obcy. To nie byłam ja. Jakie mieli prawo decydować o mojej przyszłości?

Matka zauważyła, że jestem wzburzona, i starała się załagodzić sytuację.

– Pamiętaj, Sarbjit, że ja nawet nie dostałam zdjęcia twojego ojca – powiedziała z uśmiechem. – A zobacz, jacy jesteśmy razem szczęśliwi. Ty przynajmniej poznałaś wcześniej swojego męża.

– Nie jest moim mężem!

No, powiedziałam to, po czym wyszłam z pokoju, starając się zachować godność i nikogo nie urazić; towarzyszyły mi pełne rozczarowania głosy. Byłam smutna i podenerwowana, czułam też brzemień bólu, który sprawiłam. Nie mogłam jednak poślubić człowieka, którego nie kochałam.

Byłoby to wbrew woli Boga.

Myślałam – miałam nadzieję – że skończy się na tej rozmowie. Następnego dnia jednak, podczas zajęć na kursie, nie potrafiłam ukryć tego, co czułam. Kiedy moja nauczycielka położyła mi dłoń na ramieniu, nie wytrzymałam.

– Co się stało? – spytała.

– Moi rodzice zmuszają mnie do poślubienia człowieka, którego nawet nie znam – zdołałam wydusić przez łzy.

– To niemożliwe. Nikogo nie można do tego zmusić.

Była białą Brytyjką. Nie znała sikhijskich obyczajów. Nie zrozumiałaby moich wyjaśnień.

– Powiedz im po prostu, że nie chcesz – poradziła. – To twoje ciało i twoje życie. Sama o sobie decydujesz. Nikt ci nie może niczego nakazywać.

Jej słowa były muzyką dla moich uszu, ale wiedziałam, że narażę się na śmieszność, jeśli powtórzę je w domu.

– Nie rozumie pani. Moi rodzice chcą, żebym go poślubiła. Taka jest nasza kultura. I tak muszę postąpić.

– Nie, nie. To jest Wielka Brytania w dwudziestym wieku. Sama wybierasz sobie męża, nie twoi rodzice.

Starła się za wszelką cenę okazać mi serdeczność i pomóc znaleźć w tej ciemności właściwą drogę. I udało jej się. Otarłam oczy, spryskałam w toalecie twarz wodą i zabrałam się do nauki. Potem, kiedy wróciłam wieczorem do domu, zwołałam zebranie z mamą, tatą i dziadkami.

– Mam wam coś do powiedzenia – oświadczyłam. – Zdecydowałam się. Poślubię Hardave’a Singha Athwala.

## Rozdział piąty

### JESTEM TERAZ TWOJĄ MAMĄ

Czasem trzeba po prostu podjąć decyzję.

Nie interesowało mnie wyjście za mąż za tego człowieka z Hayes bardziej niż dzień wcześniej. Powiedziałam jednak, że to zrobię, i muszę uczciwie przyznać, że w tym momencie spadł mi z barków ogromny ciężar. Koniec z kłótniami, szantażem moralnym, spojrzeniami pełnymi wyrzutu, naciskiem ze strony społeczności. Wystarczyło doprowadzić rzecz do końca, to wszystko.

Niewiele jednak brakowało, bym znów się wycofała, kiedy tata zadzwonił do Athwalów, by przekazać im moją odpowiedź. Potem rozłączył się i powiedział:

– Hardave też zgodził się na ślub z tobą.

Zgodził się na ślub ze mną? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłby żywić jakiegokolwiek wątpliwości! Zajęta wyłącznie sobą zapomniałam, że ktoś inny też został zmuszony do czegoś, czego w ogóle nie planował. Druga połówka mojego małżeństwa. Po raz pierwszy poczułam coś w rodzaju sympatii wobec Hardave’a Singha. Nie tylko ja cierpiałam. Być może wspólne doświadczenia mogłyby stanowić fundament udanego związku?

Skoro się spotkaliśmy – albo przynajmniej się zobaczyliśmy – w styczniu, to można by oczekiwać, że jako narzeczeni zaczniemy spędzać ze sobą więcej czasu, by poznać się lepiej, zorientować, co się lubi, a czego nie, opowiedzieć o swoich ambicjach i pragnieniach. Nie. To nie w stylu sikhów. Obie rodziny musiały załatwić mnóstwo spraw i, jak mi się zdawało, nikt nie zwracał sobie głowy tym, żeby narzeczeni lepiej się poznali. Co więcej, mieliśmy zobaczyć się ponownie dopiero w sierpniu, na pierwszym tradycyjnym spotkaniu rodzinnym, którego celem było przypieczerowanie naszego przyszłego związku.

Przez następnych siedem miesięcy było tak, jakby nic się nie wydarzyło. Zauważyłam tylko, że moi rodzice zdradzają większe niż zwykle ożywienie – jedyna dostrzegalna zmiana, jaka zaszła w naszym domu. Ze swej strony starałam się nie myśleć o swojej nowej rodzinie. Miałam na to dość czasu – całe życie.

Może poświęcałabym temu więcej uwagi, gdyby nie inne sprawy, które mnie zajmowały. Ukończyłam kurs i dzięki temu, że zdobyłam solidne podstawy zawodowe jako sekretarka, pracownica administracji i recepcjonistka, nie byłam

bez szans na rynku pracy. Po tygodniu, jaki upłynął od ostatnich zajęć, znalazłam zatrudnienie w EMI Records w Hayes. Pracowałam tylko w dziale produkcji, nieskończenie daleko od miejsc, które odwiedzały wielkie gwiazdy, ale czułam się wspaniale; po raz pierwszy w życiu cieszyłam się pewną niezależnością, nawet jeśli wciąż ktoś podrzucał mnie do pracy, a potem odwoził do domu.

Ten stan rzeczy też miał się niebawem zmienić, ponieważ moja edukacja nie ograniczała się do ukończenia kursu. Po kilkunastu lekcjach, jakich udzielił mi ojciec, zdałam za pierwszym podejściem egzamin na prawo jazdy, a zarobki kilku pierwszych tygodni przeznaczyłam na samochód, żółtego datsuna sunny. Był to właściwie stary gruchot, ale mój! Mając pieniądze i samochód, naprawdę czułam, że przyszłość – moja przyszłość – nabiera konkretnego kształtu.

Lubiłam jeździć do pracy i z powrotem. Czas spędzony za kierownicą datsuna należał wyłącznie do mnie. Co więcej, firma mieściła się przy Uxbridge Road między Hayes i Southall – w trójkącie tak zwanych Małych Indii – więc personel był mieszany, brytyjsko-azjatycki. Nigdy nie czułam się wyobcowana, nie spotkałam się też z nieprzychylnymi komentarzami. Tak jak sobie wymarzyłam.

Miałam spłacony samochód i wciąż mieszkaliśmy z rodziną w Hounslow, więc mogłam odłożyć znaczną część zarobków z myślą o ważnym wydarzeniu: swoim ślubie. Niewykluczone, że zdołałabym odwlec to w czasie, ale dzień zbliżał się nieubłaganie. Wkrótce miał nadejść.

Kiedy późna wiosna 1989 roku zamieniła się w lato, zaczęłam patrzeć w przyszłość z obawą. Może gdybym miała więcej do powiedzenia w tej sprawie, potrafiłabym zachować spokój. Nigdy się tego nie dowiem. Bez żadnych konsultacji ze mną – ani, jak przypuszczam, z Hardave'em – ustalono datę ślubu na 8 października. Lecz tradycyjne zaślubiny sikhijskie to długa uroczystość i w sierpniu machina ruszyła już na dobre. Po siedmiu miesiącach, podczas których pozwolono mi zajmować się swoim życiem, stałam się bohaterką uroczystości i ceremonii trwających przez osiem tygodni – nienawidziłam każdej ich minuty.

Pierwsza impreza miała się odbyć w naszym domu. Dzień wcześniej, wieczorem, stałam przed lustrem i odczuwałam panikę. To było właśnie to. Pierwszy krok w nowe życie. Życie z dala od tego domu, z dala od tej rodziny.

Nawet od tego lustra.

Im większy niepokój odczuwałam, tym głębsze były moje obawy. I tym bardziej lękałam się nadejścia kolejnego dnia. I nie tylko z powodu tego, co musiałam niebawem stracić. Ile tak naprawdę wiedziałam o osobie, z którą miałam spędzić resztę życia? Odpowiedź mnie przerażała.

Mój przyszły mąż zjawi się w moim domu – a ja nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wygląda!

Jestem pewna, że moja rodzina byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, że nie śmiem z nimi rozmawiać o swoich obawach. Wiedziałam jednak, ile znaczy dla nich moje małżeństwo. Zdawałam sobie sprawę z jego znaczenia w naszej kulturze i tak dalej, więc następnego ranka, po niemal bezsennej nocy, wzięłam udział w przygotowaniach, jakby to był najwykleszy dzień w moim życiu.

Kilka godzin później w Hounslow zjawił się Hardave z całą rodziną; uraczono ich jedną z moich najlepszych potraw. I znowu nie wolno nam było rozmawiać. Zdawało się, że z tej przyjemności mogą korzystać wszyscy, tylko nie my. Dopiero kiedy zjedliśmy, poproszono mnie, bym w ogóle coś zrobiła.

Próbowałam zająć się sprzątaniami, podczas gdy starsi przygotowywali się do ceremonialnej części popołudnia, ale nadzieje na to, że uda mi się schronić w kuchni, były krótkotrwałe. Wezwano mnie, bym stanęła przy ojcu, i gdy obie rodziny znów znalazły się po przeciwległych stronach pokoju, zostałam formalnie ofiarowana Bachan Kaur i Gianowi Singhowi. Następnie oboje mnie przywołali i gdy skłoniłam z szacunkiem głowę, Gian Singh wcisnął mi w dłoń dwanaście monet jednofuntowych i trochę słodczy, podczas gdy Bachan Kaur sprezentowała mi piękne nakrycie głowy, oznajmiając przy tym:

– Zostałaś zabrana.

Jesteś nasza.

Nie był to posag w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale symbol oznaczający początek mojej podróży – coś w rodzaju zaliczki na nowy samochód. Właśnie dobiegł końca początkowy etap mojego małżeństwa, a ja uczyniłam pierwszy krok oddalający mnie od rodziny, którą kochałam, i przybliżający do rodziny, którą dla mnie wybrano.

Hardave, obserwujący wszystko ze strony pokoju przeznaczonej dla Athwalów, ani na chwilę nie spuścił ze mnie oka. Czułam, jak mnie ocenia, przekonując samego siebie, że jestem odpowiednim materiałem na pannę młodą. Ani razu jednak nie zbliżył się do mnie. Byliśmy jak zwierzęta, jak psy, które obchodzą się ostrożnie i oceniają nawzajem. Kiedy transakcja dobiegła końca, wróciłam do swojej rodziny, a jego rodzice stanęli przy nim. Zaraz potem wyszli. Mieliśmy pobrać się za dwa miesiące, a wciąż nie zamieniliśmy ze sobą słowa.

W tym samym tygodniu mój ojciec udał się do domu Hardave'a i odbył identyczną ceremonię z przyszłym zięciem.

Jestem pewna, że powinnam była towarzyszyć ojcu, ale nie zrobiłam tego. Nie byłam zainteresowana. Podążałam wyznaczoną ścieżką i stawiałam ostrożnie kroki. Nie spieszyło mi się i tak naprawdę wcale nie chciałam dotrzeć do ostatecznego celu. Myślałam tylko: to jest tradycja. Jestem częścią tradycji, nie ma sensu z tym walczyć. Nie kwestionuj niczego. Spełniaj swój obowiązek – i uśmiechaj się.

Ale w miarę jak zbliżał się październik, wydawało mi się, że nie uśmiechnę się już nigdy więcej.

Jeśli pierwsza faza mojego ślubu – wymiana podarków – wydawała się ponad miarę długa, to następna ciągnęła się w nieskończoność.

Podobnie jak robi się to w innych kulturach, zorganizowano przyjęcie zaręczynowe, ale z pewnymi różnicami. Nie odbyło się w dyskotecie w sobotni wieczór i trwało przez trzy dni. Zamiast alkoholu podano lassi i soki. Miejsce didżeja zastąpił kapłan. Trzech kapłanów, ściśle mówiąc. Modlitwy stanowią ważną część uroczystości przedślubnych i przez trzy dni w domu mojego ojca jeden z duchownych odczytywał ze Świętej Księgi fragmenty dotyczące zaręczyn. Mówił przez trzy albo cztery godziny, a następnie przekazywał pałeczkę drugiemu. Dzięki tej sztafecie w naszym domu bezustannie rozbrzmiewało słowo naszych guru.

To uroczyste wydarzenie służyło głównie temu, by powiadomić o moich bliskich zaślubinach przyjaciół i krewnych. Nie oczekiwano, by ktokolwiek spędził u nas trzy dni, ale nie narzucano też żadnych ograniczeń. Jak w przypadku gurdwary, dom stanowił miejsce otwarte i każdy był mile widziany.

Bezustanne odgrywanie głównej roli było dla mnie wyczerpujące. Miało jednak dobrą stronę – pełnienie obowiązków towarzyskich przez tyle godzin z rzędu pozwalało zapomnieć o powodach, dla których wszyscy się tu zebrali. Jednak od czasu do czasu któryś z krewnych albo przyjaciół pytał mnie, czy jestem bardzo podekscytowana, a ja nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Więc zmuszałam się do uśmiechu i milczałam.

Przez nasz dom przewinęły się w ciągu tych trzech dni setki ludzi, z pewnymi jednak wyjątkami. Athwalowie i ich bliscy trzymali się z daleka. Jeszcze jeden przykład życia na sposób indyjski.

Uroczystości zaręczynowe przeznaczone były jedynie dla rodziny panny młodej. Rzecz ciekawa, po drugiej stronie Heathrow, w domu, którego na oczy nie widziałam, w Hayes, odbywała się jednocześnie identyczna celebrowanie jedzenia, picia i kontaktów towarzyskich. Tyle że w centrum uwagi nie znajdowała się nieśmiała i nieporadna dziewczyna, ale mężczyzna. Zastanawiałam się, czy Hardave bawi się równie kiepsko jak ja.

W przewrotny sposób jakaś część mnie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie po wszystkim. Nie musiałabym przynajmniej przez kolejne dni i wieczory skupiać na sobie powszechnego zainteresowania, i to z niewłaściwych powodów. Jednak kultura, w której się wychowałam, szykowała dla mnie kolejne tortury.

Kiedy do wielkiego dnia pozostały tylko dwa tygodnie, moi rodzice wydali jeszcze jedno przedślubne przyjęcie. Znowu trwało pół tygodnia. I, tak jak

wcześniej, nie szczędzono wydatków.

W przeciwieństwie do uroczystości modlitewnych przyjęcie miało charakter zabawy. Problem polegał na tym, że wciąż nie potrafiłam wzbudzić w sobie entuzjazmu. Jeden z wieczorów przeznaczono na malowanie henną; uczestniczyły w tym wszystkie kobiety. Z kolei wieczór poświęcony na gotowanie odpowiadał mi jak najbardziej, ponieważ mogłam schronić się w kuchni i pomagać przy posiłkach. Jednak bez tańców, na które przeznaczono ostatni wieczór, mogłam się doskonale obejść. Na szczęście prym wiodły ciotki z wujami, tak jak tylko one to potrafią...

Jestem pewna, że wielu czytelników tej książki nie rozumie, dlaczego znosiłam coś, co było tak sprzeczne z moją wolą. Prawda jest taka, że gdybyście wychowywali się w mojej rodzinie, zrobilibyście dokładnie to samo. Owszem, może gdybym miała wybór, to wcześniej bawiłabym się jak inne nastolatki. Nie zapominajcie jednak, że nigdy nie wychodziłam, nie utrzymywałam kontaktów towarzyskich, nigdy nie doświadczyłam tej strony życia. Nigdy niejechałam metrem! Nie można tęsknić za czymś, o istnieniu czego się po prostu nie wie.

Nie oznaczało to jednak, że cieszyłam się na myśl o nadchodzącym dniu 8 października. Im bardziej się zbliżał, tym częściej nawiedzały mnie koszmary senne. Nie były związane z osobą mojego przyszłego męża, wynikały raczej ze stresu, ale gdy budziłam się gwałtownie każdej nocy, widziałam jego twarz – i miałam nadzieję, że nigdy więcej jej nie ujrzę.

Nie było w tym nic osobistego. Nie mogło być – nie znałam go dostatecznie dobrze, by żywić wobec niego niechęć. I na tym polegał problem tego zaaranżowanego związku – nic nie wiedziałam o swoim narzeczonym. Wszyscy mówili, że jest miły, ale co to właściwie oznaczało? Odseparowana przez całe życie od męskiego towarzystwa, doświadczywszy jego najgorszej strony podczas pobytu w Indiach, nie sądziłam, bym potrzebowała Hardave'a czy jakiegokolwiek innego mężczyzny.

Czy były to typowe przedślubne nerwy, czy naprawdę miałam tego wszystkiego dosyć? Nie potrafiłabym powiedzieć. Ani też nie chciałam. Gdybym zdradziła rodzicom swoje wątpliwości, złamałoby im to serce. Musieli mieć na względzie miejsce, jakie zajmowali w społeczności, podobnie jak ja. I podobnie jak Hardave, co sobie w pełni uświadamiałam.

Znowu ujrzałam w wyobraźni jego twarz i poczułam znajomy ucisk w żołądku. Pamiętałam teraz przynajmniej, jak wygląda, ale zdawałam sobie sprawę, że wraz z upływem tygodnia będę na niego nie tylko patrzyła – będę z nim także rozmawiała.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Ubrana w czerwień, począwszy od nakrycia



głowy, a skończywszy na butach, wsiadłam do samochodu. Przynajmniej nie tłoczyliśmy się wszyscy w jednym aucie. Kiedy zjawiliśmy się w urzędzie stanu cywilnego w Hounslow, czekał już na nas tłum gości. Niektórych nie znałam. Musieli należeć do rodziny mojego przyszłego męża. Byłam już w budynku, kiedy nagle przyszło mi coś do głowy.

Kiedy stąd wyjdę, ci ludzie staną się także moją rodziną.

W końcu uświadomiłam sobie doniosłość tego, co miałam za chwilę zrobić. Wiedziałam, że robię to dla swojej rodziny, dla ich dobrego imienia i powszechnego szacunku, jakim się cieszyli. Owszem, powiedziałam im „tak”. Ale teraz miałam potwierdzić to formalnie i prawnie. Od tej chwili wszystko miało wyglądać inaczej.

W urzędzie stanu cywilnego o surowym wystroju tłoczyło się pięćdziesięcioro gości; kobiety nosiły stroje we wszystkich kolorach tęczy. Tego samego dnia miały się tu zjawić też inne pary, by wziąć ślub, ale byłam przekonana, że żaden orszak weselny nie będzie wyglądał tak pięknie jak mój.

Rodzice zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, a urzędniczka wskazała mi krzesło z przodu. Sąsiednie było przez kilka minut puste. Z jednej strony miałam nadzieję, że tak już pozostanie, z drugiej zaś panicznie się tego bałam. Byłabym ponizona, ale mogłam sobie wyobrazić, co oznaczałoby to dla mojej rodziny.

Chwilę później jednak, kiedy do oficjalnego rozpoczęcia ceremonii wciąż pozostawało sporo czasu, drzwi się otworzyły i do sali wkroczył klan Athwalów. Uśmiechy na twarzach rodziców mówiły same za siebie. Zauważyłam, że Hardave też się uśmiecha, zwłaszcza kiedy na mnie patrzy. Nie mogłam się powstrzymać i też się uśmiechnęłam.

Wychodzę za mąż!

Pomimo wszystkich wątpliwości wiedziałam jedno: jak sobie pościeliłam, tak się wyśpię. Dlaczego nie miałabym czerpać z tego radości?

Kiedy Hardave usiadł obok mnie, uświadomiłam sobie, że jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko jedno drugiego. Gdybym się przechyliła, mogłabym go dotknąć. Nie zrobiłam tego jednak. Nie pozwoliłyby na to nasze rodziny. Jeszcze nie teraz.

Urzędniczka zaczęła odczytywać kolejne punkty swojego scenariusza. Słuchałam, ale byłam na wpół przytomna, a na wpół oszołomiona. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. A potem wydarzyło się coś dziwnego: Hardave przemówił.

– Oświadczam uroczyście, że nie znam żadnych prawnych przeszkód, z których powodu ja, Hardave Singh Athwal, nie mógłbym zawrzeć związku małżeńskiego z Sarbjit Kaur Bath.

Uświadomiłam sobie, że wpatruję się w jego usta, które wypowiadają te słowa. Wcześniej nie odezwał się w mojej obecności ani razu. Jak śmieszne się to teraz

wydawało, że usłyszałam swojego męża po raz pierwszy podczas ceremonii ślubnej.

Tak bardzo skupiałam się na brzmieniu jego głosu, że ledwie docierało do mnie to, co powiedział. A potem poczułam, jak ujmuję moją dłoń i wsuwa mi złotą obrączkę na palec.

Dotyka mnie!

I znów szczegóły ceremonii umykały mojej uwadze. Myślałam tylko o dotyku twardej, suchej skóry Hardave'a. Niedługo mieliśmy zbliżyć się do siebie jeszcze bardziej – ale nie teraz. Kiedy urzędniczka oświadczyła wreszcie, że możemy się pocałować, żadne z nas nie skorzystało z tej propozycji. Wystarczyło, że nasze dłonie się zetknęły. Pocałunki musiały poczekać.

Aż do chwili zawarcia prawdziwego ślubu.

Ceremonia cywilna, choć uroczysta i gromadząca licznych świadków, nie ma w naszej kulturze żadnego znaczenia. Jest uważana za coś w rodzaju prawnej przeszkody, którą należy pokonać, jak posłanie dzieci do szkoły. Sprowadza się tylko do tego, że w świetle prawa brytyjskiego zostaliśmy sobie poślubieni. Ale nie według zasad indyjskich.

I nie w oczach społeczności.

Gdy tylko ceremonia dobiegła końca, odsunięto mnie od prawnie poślubionego męża. Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy; potem Hardave zniknął.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział mój ojciec. – Kiedy już pobierzecie się naprawdę.

Innymi słowy, kiedy zostaniemy pobłogosławieni w świątyni. Za tydzień.

Teraz, kiedy już cywilna część ceremonii była poza mną, stwierdziłam, że czekam z niecierpliwością na nadejście niedzieli. W gruncie rzeczy przez cały dzień po wizycie w urzędzie stanu cywilnego byłam w zaskakująco optymistycznym nastroju. Co jednak bardziej zdumiewające, to właśnie ojciec sprowadził mnie na ziemię, choć powinien być najszcześniejszy ze wszystkich.

– Zamierzam rozesłać zaproszenia na nabożeństwo w świątyni – powiedział. – Jeśli chcesz zrezygnować z małżeństwa, to właśnie jest odpowiednia chwila, żeby mi powiedzieć.

Robił sobie ze mnie żarty?

– Teraz mnie pytasz, czy chcę wyjść za mąż? – Byłam wściekła. – W styczniu powtarzałam setki razy „nie”, a wy wszyscy naciskaliście na mnie, aż się zgodziłam. A teraz... – Wzięłam głęboki oddech. Musiałam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć czegoś, czego bym żałowała.

Mówiąc poważnie – czekał, aż zawrę legalny związek małżeński zgodny z prawem brytyjskim, by zasugerować, że nie muszę się na nic zgadzać. Dlaczego

nie pozostawił mi tego wyboru w sierpniu, kiedy Bachan Kaur postanowiła przyjąć mnie do swojej rodziny? Albo w lipcu, czerwcu – w każdym innym momencie, byle nie teraz?

Wiem, że tata miał na względzie wyłącznie moje szczęście. Wtedy jednak, jako młoda dziewczyna, uważałam, że to ostatnia rzecz, jaka go trapi. Wydawało mi się, że bardziej obchodzą go koszty wydrukowania zaproszeń niż moje uczucia. Potem uświadomiłam sobie jednak, że nie o to chodzi. Że chodzi o społeczność. Co stałoby się ze mną, z nim, z nami wszystkimi, gdybym wycofała się później? Nie musiał mi udzielać odpowiedzi.

Od nabożeństwa w świątyni dzielił mnie tydzień. Nic nie zmieniło się w domu ani w pracy. Ale nie po pracy, jak się okazało. Wyszłam z biura w poniedziałek wieczorem i stanęłam jak wryta. Nie byłabym chyba bardziej zdumiona, gdybym ujrzała ducha.

– Witaj, Sarbjit – powiedział Hardave. – Możemy gdzieś porozmawiać?

Wciąż osłupiała, zaprowadziłam swojego „męża” do mojego małego żółtego samochodu. Otworzyłam drzwi po stronie pasażera i podeszłam do swoich. Musiałam odetchnąć kilka razy głęboko, nim dotknęłam klamki. Co się dzieje? – zadawałam sobie pytanie. Dlaczego tu jest? I jak mnie znalazł?

Niebawem uświadomiłam sobie, że Hardave jest tak samo zmieszany i zakłopotany jak ja. On też nie potrafił zrozumieć, dlaczego obie uroczystości, tę cywilną i tę sikhijską, oddziela przepaść. W każdej innej kulturze bylibyśmy już razem. Zmuszanie nas, byśmy wciąż żyli osobno, wydawało się torturą.

Nie spieszyło mi się do opuszczenia domu i rodziny, ale tak właśnie czułam.

Siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Przez głowę przelatywały mi różne myśli, ale jedna z nich powracała uporczywie. Nie znałam tak naprawdę tego człowieka, a on siedział obok mnie w moim samochodzie. To mógł być ktokolwiek. A jednak to był mój mąż. Potem zaskoczył mnie pytaniem:

– Jesteś szczęśliwa?

Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Czego pragnął ode mnie usłyszeć? W końcu odparłam zgodnie z prawdą:

– Tak.

Pomimo sprzecznych – jeśli nie wręcz negatywnych – emocji, jakich doznawałam w ciągu kilku minionych tygodni, już samo to, że Hardave naruszył zasady i odnalazł mnie, by spytać o moje uczucia, natchnęło mnie optymizmem. Tak więc, siedząc w tym samochodzie, w towarzystwie tego człowieka, w tej konkretnej chwili... owszem, byłam szczęśliwsza, bardziej niż mogłabym kiedykolwiek przypuszczać.

Doznałam tylko przelotnego wrażenia ciepła i serdeczności, ale wydawało się

niekłamane i choć wciąż byłam poruszona faktem, że Hardave zjawił się tak niespodziewanie, oboje się trochę odprężyliśmy. Podziękował mi i po długiej chwili milczenia, kiedy to wpatrywaliśmy się w zaparowaną szybę samochodu, oznajmił, że znów chciałby się ze mną spotkać.

– Jestem tu co wieczór – wyjaśniłam.

– Okay – odparł i odszedł tak szybko, jak się zjawił.

Zobaczyłam go dwa dni później. Choć oczekiwałam, że przyjdzie, przeżyłam szok, kiedy czekał przed wejściem do biura. Znowu poszliśmy do samochodu i znowu zapadło niezręczne milczenie. Ale tym razem nie trwało długo. Przełamaliśmy lody dwa dni wcześniej. Wciąż jednak nie wiedziałam, co powiedzieć, podobnie jak on; rozmowa nie kleiła się z początku, a tematy, które poruszaliśmy, wydawały się śmieszne – pogoda, nasza praca, rodzina. Wspomnieliśmy nawet o ceremonii w urzędzie stanu cywilnego, ale żadne z nas nie wdawało się w szczegóły. Wystarczyło, że słyszymy swoje głosy i że czujemy się w swoim towarzystwie coraz pewniej. Prawdę mówiąc, kiedy Hardave zaczął się zbierać, uświadomiłam sobie, że mogłabym go polubić. Gdy nachylił się, aby cmoknąć mnie w policzek, nie broniłam mu tego.

Po dwóch miesiącach bezustannych, jak się zdawało, spotkań rodzinnych, uroczystości i rytuałów, nadszedł wreszcie dzień moich zaślubin. Jeszcze w styczniu opierałam się im ze wszystkich sił, a teraz byłam prawie podekscytowana.

Oczywiście nie byłaby to sikhijska uroczystość, gdyby nie bawiono się przez kilka dni. Rodzice czterdzieści osiem godzin przed wiadomym dniem urządzili „dom otwarty”. Wszyscy, którzy otrzymali zaproszenia taty, mogli przychodzić przez dwa dni na lunch albo kolację, albo na jedno i drugie, a także tańczyć i uczestniczyć w malowaniu henną, jednym słowem cieszyć się świąteczną atmosferą panującą w naszym skromnym domu z trzema sypialniami.

Nie znałam wielu gości, ale była to rzecz jak najbardziej normalna. Najbliżsi krewni zaszczytli swą obecnością uroczystość w urzędzie stanu cywilnego, inni brali udział w zaręczynach i sesji modlitewnej. Jeśli jednak chodzi o sam ślub, zwyczajowo zapraszało się wszystkich: sąsiadów znanych tylko z widzenia, przyjaciół niewidzianych od niepamiętnych czasów, dalekich krewnych z całego świata; była to okazja, by spotkać się z nimi wszystkimi i zaprosić do uczestniczenia w rodzinnym szczęściu.

Nigdy nie lubiłam znajdować się w centrum zainteresowania, ale teraz, kiedy miałam szansę porozmawiać z narzeczonym i poznać go trochę lepiej, nie byłam już taka skwaszona. Nadal nie tańczyłam, ale humor mi dopisywał. Nie przeszkadzało mi nawet, że rodzice i wujostwo pokazują mnie wszystkim z dumą.

Po dwóch dniach bezustannego uśmiechania się i zabawy zwątpiłam, czy uda mi się przetrwać ten trzeci. Gdy jednak położyłam się do łóżka w wieczór poprzedzający ślub, uświadomiłam sobie, że jestem zdenerwowana, ale inaczej, niż mogłabym się spodziewać. Tak, odczuwałam lęk – lęk przed porzuceniem rodziny, przed wejściem w inny świat, w samodzielność. Ale byłam też podniecona. Musiałam wcześniej wstać i przygotować się odpowiednio, wiedziałam jednak, że nie zaśpię.

Będę miała szczęście, jeśli uda mi się choćby zdrzemnąć.

Rano zjawiała się ciotka, żeby mi pomóc w przygotowaniach do ślubu. Wielkość jej kosmetyczki przyprawiła mnie o zawrót głowy. Nigdy w życiu nie umalowałam sobie ust, a teraz ciotka miała polakierować mi paznokcie, podmalować brwi, położyć cienie na oczy i posmarować skórę nie wiadomo czym. Byłam trochę zdenerwowana i jednocześnie podekscytowana. Po kilku falstartach nadszedł wreszcie dzień, kiedy miałam stać się kobietą.

Myślę, że mi się to podobało.

Mama pomogła mi dobrać odpowiednie rzeczy. Włożyłam olśniewający wiśniowy salwar kamiz, który kupiliśmy w Southall za trzysta funtów. Dla kogoś wychowanego na Zachodzie ten strój nie różniłby się od luźnego topu i spodni, które zazwyczaj nosiłam, ale czułam na własnej skórze jakość materiału i doceniałam pracę, jakiej wymagał skomplikowany i wyszukany haft. Szal też był bogato zdobiony i cięższy niż zwykle.

Na ubraniu się nie skończyło. Zgodnie z obyczajem otrzymałam złoty łańcuszek – nath – którym ciotka mnie przyozdobiła, zawieszając mi go między uchem i nosem. Gdy już pomogła mi z bransoletkami i butami, a potem wybrała odpowiednią torebkę, czułam się zupełnie inną osobą. A kiedy spojrzałam na jej polecenie w lustro, uświadomiłam sobie, że wyglądam też inaczej, im jednak dłużej wpatrywałam się w swoje odbicie, tym bardziej mi się podobało.

Mam nadzieję, że Hardave'owi też się spodoba.

Żadne wesele nie obejdzie się bez uwiecznienia każdego szczegółu na kliszy i gdy już cała rodzina włożyła swoje najlepsze ubrania, nadszedł czas na robienie zdjęć. Fotograf miał także kamerę wideo. Z niechęcią myślałam o tym, że będę filmowana, ale musiałam przyznać, że po tych wszystkich zabiegach czułam się jak gwiazda ekranu.

Wreszcie, po niekończącej się sesji pozowania, wszyscy wyruszyliśmy do świątyni. Miejsce to, w przeciwieństwie do urzędu stanu cywilnego, gdzie byłam po raz pierwszy w życiu, wydawało się spokojną przystanią. Czułam się tam dobrze. Znałam duchownych i wielu członków naszej społeczności. Był to dom Boga, a ja wiedziałam, że będzie mnie strzegł.

Przez pierwszą godzinę raczyliśmy się herbatą, czekając, aż wszyscy się zjawią.

Nawet o tak wczesnej porze, o dziewiątej rano, powietrze w głównej sali przesycone było zapachem aromatycznych ziół. Wiedziałam, że gdybym się dostatecznie skupiła, to potrafiłabym zidentyfikować każde z nich. Potem, o dziesiątej, zaczęła się uroczystość i członkowie obu rodzin podeszli do siebie. Moi rodzice zbliżyli się do rodziców Hardave'a, moi wujowie do jego wujów, moje ciotki do jego ciotek. Każdy spotkał się ze swoim odpowiednikiem i choć zdążyli się już dobrze poznać poza murami świątyni, dokonali formalnej prezentacji i włożyli sobie na głowy wieńce zwane haar. To nasz ekwiwalent kwiatka wkładanego do butonierki, ale wielu ludziom przywodzi na myśl Hawaje.

Kiedy do sali wszedł Hardave i zasiadł ze swoją rodziną, tuż obok Świętej Księgi, ja pozostałam na zewnątrz z najbliższymi krewnymi płci męskiej. Mimo obecności ojca, brata, dziadka i wujów stwierdziłam zaskoczona po tak odprężającym poranku, że zaczynam się nagle bać.

Uczucie lęku pojawiło się znienacka. Zaledwie przed chwilą bawiłam się całą tą teatralną ceremonią, a nagle poczułam się słabo, jakbym miała na sobie zbyt ciasne ubranie. Chciałam się od niego uwolnić, choć doskonale wiedziałam, że to nie ono stanowi problem.

Naprawdę to robiłam. Wychodziłam za mąż. Tata miał rację. Ślub cywilny nie miał żadnego znaczenia. Najważniejsze działo się tutaj i teraz.

– Już czas.

Słowa ojca otrzeźwiły mnie gwałtownie. Drzwi głównej sali rozwarły się na oścież, a ja znów mogłam swobodnie oddychać.

Ruszyliśmy naprzód przy dźwiękach pieśni weselnych, obok setek gości siedzących w kucki na wykładanej dywanami podłodze, po czym zajęłam miejsce obok Hardave'a przed Guru Granthem Sahibem. O dziwo, nie byłam w ogóle zdenerwowana. Jakbym działała automatycznie. Setki razy ćwiczyłam tę chwilę w umyśle. Miałam wrażenie, że to tylko układanka. Najpierw ten element, potem drugi. Narożniki, krawędzie, środek. Żadnych emocji. Na razie.

Kolejnego elementu układanki dostarczył mi ojciec. Zgodnie z naszym obyczajem przyniósł ze sobą długi czerwony szal palla, który podał najpierw Hardave'owi, a potem mnie. Był to fizyczny symbol naszego związku; gdybym upuściła swój koniec, uznano by to za zły omen.

Duchowny rozejrzał się po sali, gotów wezwać obecnych do zachowania ciszy. Nie było takiej potrzeby. Wszyscy skupili wzrok na nim. Byliśmy gotowi. Zaczął odczytywać cztery święte wersy laavan z Guru Grantha Sahiba. W tym czasie ja i Hardave chodziliśmy wokół niego i okrążaliśmy Świętą Księgę, przystając tylko po to, by się pokłonić. Zrobiliśmy to cztery razy, zgodnie z liczbą wersów, siadając między poszczególnymi fragmentami. Miałam wrażenie, że czerwony szal w moim ręku robi się z każdą chwilą coraz cięższy.

Nie upuść go!

Im dłużej o tym myślałam, tym trudniejsze się to wydawało.

Kiedy znów zajęliśmy swoje miejsca, kapłan przeciągnął dłonią po Świętej Księdze i wsunął ją między stronicę, na chybił trafił. Był to całkowicie przypadkowy wybór, przypominał ceremonię nadania imienia dziecku, ale wszyscy wiedzieli, że wskazany losowo fragment wielkiej księgi będzie ważył na całym naszym życiu.

Kapłan odczytał stosowny fragment, a ja chłonełam słowa. Były nasze. Bóg je dla nas wybrał. I co ważniejsze, stanowiły początek naszego małżeństwa.

Mogłam zapomnieć na dobre o ceremonii w urzędzie stanu cywilnego – dopiero teraz zawarliśmy właściwy związek.

To samo uczucie ekscytacji, którego doznałam w Hounslow, powróciło. Słowa: „Jesteście mężem i żoną” przyprawiły mnie o dreszcz. Mogłam się później zastanawiać, czy rzeczywiście tego pragnę, ale w tym momencie nie miałam żadnych wątpliwości – czułam się tak dobrze. Lata przygotowań, które miały zrobić ze mnie żonę, opłaciły się.

Kapłan spełniał dalej swoje obowiązki, mówiąc o wymogach małżeństwa i sikhijskiej tradycji. Przypominał wszystkim obecnym, że naszą kulturę należy szanować i być jej wiernym.

– Słuchajcie swojej społeczności, słuchajcie modlitw, słuchajcie rodziny i słuchajcie wiary.

Wydawało się, że świątynia pustoszała po uroczystości nieskończenie długo. Potem wszyscy pojechaliśmy do auli znajdującej się niedaleko naszego domu na kolejną uroczystość. Do świątyni przyjechałam samochodem ojca, ale wracałam już innym. Gdy tylko wyszłam z gurdwary, westchnęłam z wrażenia na widok lśniącego kremowego rolls-royce'a. Prowadził przyjaciel Hardave'a. Była to pierwsza rzecz, jaką w naszym małżeństwie zrobił mój mąż, a ja aprobowałam to całym sercem.

Nie ma chyba bardziej towarzyskiej religii niż sikhizm. Przez następnych kilka godzin znowu królowały jedzenie, śmiech i taniec. Potem, o szóstej, po całym dniu zabawy, zaczęliśmy się żegnać z krewnymi, sąsiadami i dalszymi przyjaciółmi. Nadeszła pora na następną – i dzięki Bogu ostatnią – część tradycji. Był już czas, by ludzie najbliżsi młodej parze udali się do domu panny młodej, gdzie miał się odbyć końcowy rytuał.

Rytuał, na który wcale nie czekałam z niecierpliwością.

Po upływie kolejnych czterdziestu czy pięćdziesięciu minut, kiedy raczono się herbatą i słodyczami, obie rodziny, teraz stanowiące jedną, utworzyły coś w rodzaju honorowego szpaleru, który prowadził do drzwi wejściowych. Kiedy

stałam pośrodku pokoju, wydawało mi się, że mam nogi z ołowiu. Wiedziałam, co się zbliża.

Rodzice objęli mnie i ucałowali, a ja uświadomiłam sobie, że mój czas w tym domu i w tej rodzinie dobiegł końca. Zbliżaliśmy się do ostatniego aktu uroczystości, która zaczęła się jeszcze w sierpniu. Na każdym jej etapie mogłam liczyć na pomocną dłoń ojca, matki albo ciotki, tak jak – z czego zdałam sobie zbyt późno sprawę – przez całe dotychczasowe życie. Bliski już rytuał miał raz na zawsze położyć kres temu związkowi. Wiedziałam, że wraz z upływem dnia ogniwo w rodzinnym łańcuchu zostanie nieodwracalnie przerwane.

Będę zdana na własne siły.

W rzeczywistości jednak wcale nie miałam być zdana na własne siły. Rozstawałam się jedynie ze swoją rodziną.

To, co się odbywało, było w zamyśle uczczeniem mojej dojrzałości, tego, że stałam się kobietą. Lecz gdy moi rodzice oświadczyli, że przekazują swą miłość, by dalej towarzyszyła mi w życiu, miałam wrażenie, że to stypa. A gdy z symboliczną powagą włożyli mi w dłoń garść ryżu, zdawało mi się, że pali mnie niczym rozgrzane węgle.

Nie chcę tego.

Dla wszystkich obecnych ryż oznaczał, że teraz, kiedy opuszczam gniazdo i udaję się do swego miejsca w świecie, rodzice udzielają mi błogosławieństwa. Nie czułam tego. Nie oferowano mi wolności; rozdzielano mnie – z nimi, z rodziną Bathów, z bratem i siostrami. Powinnam się radować, że zaczynam nowe życie, ale ja myślałam tylko o tym, że jestem wyrzutkiem.

Świadoma, że każde ziarenko kłuje mnie w dłoń, rozejrzałam się po pokoju i odszukałam wzrokiem rodzinę. Dziadkowie, ciotki, wujowie, wszyscy spoglądali na mnie z dumą, nie dostrzegając mojego bólu. Potem popatrzyłam na Karmjit, Kamaljit, Inder, na brata i pięcioletnią Dalvinder. Dziewczęta płakały solidarnie, nie wiem, z radości czy ze smutku. Zmusiłam się do uśmiechu, a one też mi odpowiedziały uśmiechem. W tym momencie przypomniałam sobie, że jestem najstarsza z nich i co to oznacza. Ufały, że dam im przykład i wskażę drogę. Bez względu na to, co czułam w głębi serca, musiałam sprawiać wrażenie silnej.

Mój wzrok padł na Athwalów, którzy czekali przy drzwiach. Bachan Kaur, Gian Singh, brat mojego męża Sukhdave i jego piękna żona – wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. Hardave ujął mnie za łokieć i skierował ku wyjściu.

Ruszyliśmy w stronę otwartych drzwi. Tuż przed progiem przystanęłam, zacisnęłam palce, a potem, jak nakazywał obyczaj, rzuciłam ryż za siebie. Wraz z nim do moich rodziców powróciły symbolicznie ich roszczenia wobec mojego przyszłego życia. Roszczenia, które traciły z tą chwilą wszelką moc.

Nie obejrzałam się. Prawie nie słyszałam wiwatów i gwizdów. Płakałam,



wychodząc za drzwi i idąc w stronę uśmiechniętych Athwalów, którzy zgromadzili się przy swoich samochodach. Gdy podeszłam do rolls-royce'a, stanęło przede mną dwoje ludzi. Gian Singh położył mi dłoń na głowie i pobłogosławił, witając mnie w rodzinie. Uśmiechnęłam się, wyczuwając szczerłość w jego słowach, ale z powodu łez nie mogłam wykrztusić słowa.

Potem przyszła kolej na moją teściową, Bachan Kaur.

– Witaj w rodzinie Athwalów, Sarbjit – powiedziała, przytuliła mnie mocniej i dodała: – Jestem teraz twoją mamą.

## Rozdział szósty

### NIE WIERZ W TO

Nie należy osądzać książki po okładce. Tak mi zawsze mówiono. A jednak kiedy rolls-royce zatrzymał się z cichym warkotem silnika pod najzwyczajszym i bezbarwnym bliźniakiem w Hayes, poczułam, jak gaśnie we mnie serce.

Zapewniano mnie, że zawarłam udany związek małżeński, że mój mąż pochodzi z dobrej i zaradnej rodziny i że ma przed sobą przyszłość. Jednak dom przy Willow Tree Lane 90 robił znacznie mniejsze wrażenie niż ten, który dopiero co opuściłam – wiedziałam też, że musi się tu pomieścić sześcioro dorosłych osób. Po euforii, która towarzyszyła mi przez ostatnie trzy dni, ogarnęło mnie przygnębienie, a nadzieje nieco przygasły. Mimo wszystko, mówiłam sobie, jestem pewna, że w środku wygląda inaczej...

Prawdę powiedziawszy, choć dom był znacznie mniejszy od naszego, jego wnętrze podzielono w sensowny sposób. Cały dół na lewo od drzwi wejściowych, od frontu aż po tyły, wypełniał długi salon utrzymany w delikatnym kolorze beżu i odcieniach szarości. Jedyny barwny akcent stanowiło duże akwarium w kącie.

Na górze były trzy sypialnie, które w związku z moim przybyciem zmieniły dotychczasowych właścicieli. Sukhdave, jako najstarszy syn, ze swoją żoną Surjit zajmował największy pokój. Pakamera należąca wcześniej do Hardave'a przypadła teraz mojemu teściowi, czy też „ojcu”, jak musiałam go odtąd nazywać. Gian Singh cierpiał na poważną astmę i potrzebował dla siebie osobnego pomieszczenia. „Mama” przeprowadziła się do pokoju na dole, przerobionego z kuchni, której funkcję pełniła teraz przybudówka.

Oznaczało to, że średnia sypialnia, zajmowana niegdyś przez Bachan Kaur i Giana Singha, dostała się młodej parze. Był to dobrze urządzone pokój o przyzwoitych rozmiarach, z białymi meblami i miejscem na moje ubrania; na ścianie mogłam powiesić ulubiony portret Guru Nanaka Dev Ji i zdjęcie wspaniałej Złotej Świątyni w Amritsarze. Tak więc niemal wszyscy zmienili swoje dotychczasowe lokum.

Każdy miał jednak własny kąt – nawet owczarek alzacki Ricky, którego buda stała w ogrodzie – ale było niewątpliwie ciasno. Wiedziałam jednak, że przestrzeń to jeszcze nie wszystko. Dom mojej rodziny w Patti był pięć razy większy, a mimo to mógł przyprawić o klaustrofobię. Dom tworzą jego mieszkańcy.

Miałam nadzieję, że ci z Willow Tree Lane zaskoczą mnie pozytywnie. Chwilowo wcale nie byłam tego pewna. Co w końcu o nich wiedziałam?

Rodzina Athwalów mogła poczekać kilka godzin; najpierw musieliśmy przeżyć kolejną imprezę towarzyską. Ledwie podjechaliśmy pod dom, gdy jak na zawołanie otworzyły się drzwi kilkunastu samochodów. Wielu z tych, którzy nie zjawili się u moich rodziców, przyjechało prosto tutaj. To na ich cześć wydano przyjęcie.

Większości ich nie znałam, ponieważ byli to krewni ze strony męża. Gdy jednak zniknęli w ciemnościach nocy po kolejnym poczęstunku składającym się z czapati i przekąsek, ucieszyłam się, widząc dwoje znanych mi ludzi, którzy pozostali w domu: babcię i braciszka. Nie porzucono mnie do końca, nie zostawiono pośród wilków. Jeszcze nie. Tych dwoje było tutaj, by towarzyszyć mi tej pierwszej nocy z dala od rodziny.

Wyznawcy innych religii, a zwłaszcza ludzie niepraktykujący żadnej wiary, mogą taki obyczaj uznać za osobliwy. Jednak w sikhijskiej tradycji panna młoda dzieli w noc poślubną łóżko nie z mężem, lecz z krewnym płci męskiej. Ułatwia to przejście z jednej rodziny do drugiej. Kobiecie przyjdzie się zmagać z niejedną jeszcze zmianą w życiu. Czy nie lepiej zaczynać powoli, drobnymi krokami?

Głównym kandydatem był w tym wypadku mój brat, ale jako dziesięcioletek nie udźwignąłby ciężaru odpowiedzialności, więc moja babka postanowiła mu towarzyszyć – i mnie przy okazji. Nie mogłabym wyobrazić sobie nikogo odpowiedniejszego. To właśnie ona opiekowała się mną w dzieciństwie, kiedy mama była w pracy. Wydawało się rzeczą jak najbardziej naturalną, że będzie teraz ze mną. Bardziej naturalną niż to, bym dzieliła łóżko z mężem.

Choć po tym ekscytującym dniu żywiłam ciepłe uczucia wobec Hardave'a, wciąż był dla mnie kimś obcym. Nie zachwycała mnie myśl, że będzie mnie dotykał.

Na szczęście w naszej kulturze jest odpowiedni czas i na to. Jak w przypadku innych wyznań, mieliśmy się udać w podróż poślubną – ale jeszcze nie teraz. Zgodnie z obyczajem od tego etapu naszej znajomości dzieliły mnie jeszcze dwa tygodnie. Wraz z upływem następnego dnia uświadomiłam sobie, że wcale mi się nie spieszy. Pragnęłam wyjechać na wakacje, ale tak naprawdę nie chciałam się oddać temu mężczyźnie. Żadnemu mężczyźnie.

Nie wiedziałabym nawet jak...

Moje przejście ze świata Bathów do świata Athwalów nie zakończyło się jeszcze. Nazajutrz po ślubie pojechałam z mężem, teściami i ich krewnymi do Hounslow. Moi rodzice przygotowali wspólną ucztę z herbatą, a siostry nie mogły się wprost doczekać, kiedy wreszcie porozmawiamy o mojej pierwszej nocy poza domem. Dobrze było je znów zobaczyć. Jeśli jednak miałam nadzieję, że to

tylko pierwsze z licznych spotkań obu rodzin, to Bachan Kaur w trakcie drogi wyjaśniła bez ogródek, jaki jest cel tej uroczystości.

– Odwiedzasz ten dom jako gość. Już tam nie mieszkas. Masz pokazać rodzicom, jak jesteś szczęśliwa. – Uścisnęła mi rękę i uśmiechnęła się. – A potem wrócisz z nami do swojego prawdziwego domu. Jako moja córka.

Wieczorem, kiedy już odprowadziłam na jego nowe miejsce pod dom na Willow Tree Lane drugiego datsuna, tym razem wiśniowego – ślubny prezent taty – Bachan Kaur jeszcze raz poruszyła ten temat.

– To jest teraz twój dom – oznajmiła. – Jest tu wszystko, czego potrzebujesz.

Nie powiedziała wprost: „Nie wolno ci odwiedzać swojej rodziny”, ale tak to można było zrozumieć. Skinęłam z uśmiechem głową. W końcu był to mój ślubny weekend. Nie chciałam wywoływać nieporozumień. W głębi duszy jednak odczuwałam niepokój i troskę. Nie ma tu wszystkiego, czego potrzebuję. Mam cztery siostry i brata. Już raz mnie z nimi rozdzielono – nie może się to powtórzyć.

Jak się zdawało, obowiązujący mnie zakaz wychodzenia z domu dotyczył tylko kontaktów z rodziną. Wciąż oczekiwano, że będę jeździć do pracy, choć mój nowy dom znajdował się tak blisko biura EMI, że na dobrą sprawę mogłam tam chodzić pieszo.

Spędziwszy pierwszy dzień w pracy jako kobieta zamężna, wracałam samochodem do domu, zastanawiając się, co robić w wolnym czasie. Świat, w którym ojciec i matka nie kontrolowali już każdego mojego kroku, wydawał się dziwny. Jeśli mam być szczerą, pragnęłam podejmować samodzielne decyzje. Pomyślałam, że mogę się wybrać na spacer albo pooglądać telewizję.

Albo przygotować posiłek dla dwadzieściora ludzi.

Wydawało się, że uroczystości związane ze ślubem nie dobiegły jeszcze końca. Jak wyjaśniła mi Bachan Kaur, zgodnie z sikhijską tradycją młoda mężatka ma ugotować posiłek dla nowej rodziny. I że ten dzień jest właśnie dzisiaj. Oczywiście bardzo się ucieszyłam, choć biorąc pod uwagę fakt, że goście – córki i zięciowie Bachan Kaur – uczestniczyli we wszystkich poprzednich uroczystościach, nie bardzo rozumiałam, dlaczego znów mamy z nimi świętować. Ale jeśli tego właśnie pragnęła „mama”, jak kazano mi nazywać teściową...

Kiedy skończyłam siekać szpinak i zabrałam się do skrobania marchwi, w drzwiach pojawiła się inna postać. Smutna dziewczyna, którą już wcześniej widziałam. Surjit. Skinęłyśmy sobie głowami, mówiąc: „Cześć”. W trakcie mojego niekończącego się wesela zamieniłyśmy ledwie parę słów. Ją też wysłano do kuchni, żeby przygotowywała jedzenie, jak się domyśliłam. Cieszyłam się, że będę miała pomoc i towarzystwo. Jeśli ktokolwiek wiedział, co przeżywałam, wchodząc do nowej rodziny, to właśnie ta dziewczyna.

W ciągu kilku następnych lat Surjit miała mi powiedzieć wiele rzeczy. Takich,

które chciałam wiedzieć, i takich, których wolałabym nigdy nie usłyszeć. Tego jednak wieczoru zdradziła mi niewiele. Przypuszczam, że czuła się ze mną trochę nieswojo, tak jak ja w jej obecności. Ale dlaczego? Była żoną starszego syna w rodzinie. Zajmowała w tej hierarchii wyższą pozycję niż ja. Wiedziałam, że gdy rodzice umrą, to rządy w rodzinie przejmą Sukhdave i ona. Tak to funkcjonowało w społeczności.

Okazało się, że śmierć w rodzinie może zdarzyć się wcześniej, niż się spodziewałam. Mój teść cierpiał na zaawansowaną astmę.

– Dlatego właśnie było tak ważne, by Hardave znalazł sobie żonę – oznajmiła Surjit. – Ojciec chce, żeby wszystkie jego dzieci zawarły związek małżeński, nim umrze.

– To miłe – zauważyłam.

Pokręciła głową.

– Nie wierz w to.

Kilka następnych minut upłynęło w milczeniu. Przyszło mi do głowy, że Surjit jest przykro z powodu teścia. Bądź co bądź, sprawiał wrażenie wyjątkowo przyzwoitego człowieka. Choć znałam go bardzo krótko, mnie też ta sytuacja napawała smutkiem. Okazało się jednak, że nie. Także Surjit, jak się dowiedziałam, została poślubiona, ponieważ jej babka leżała rzekomo na łożu śmierci. Życzeniem starej kobiety, podobno ostatnim, było zobaczyć wnuczkę zamężną; tak więc Surjit i Sukhdave zeszli się w pośpiechu – czy też zostali sobie przeznaczeni.

– Musiałam wziąć ślub – ciągnęła Surjit. – Dni mojej babki były policzone.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Pierwsza zatańczyła na moim weselu. Jestem pewna, że przeżyje nas wszystkich.

Surjit dała mi też do zrozumienia, że powinnam przyzwyczajać się do pracy w kuchni. Miała tylko szesnaście lat, kiedy wyszła za męża. Po dwóch latach, jak powiedziała, po całym dniu pracy na pełnym etacie w Buck & Hickman, firmie zajmującej się sprzedażą narzędzi, wciąż musiała szykować i podawać posiłki rodzinie. Tego od niej oczekiwano. Ale może tak właśnie wyglądała rzeczywistość, bez względu na rodzinę. Surjit była młoda i była kobietą, więc miała swoje wyznaczone miejsce przy kuchni. Indyjskie życie...

Trudno mi było żywić pretensje do teściów o to, że mam pomagać w domu – oznaczałoby to krytykę pod adresem mamy i taty, którzy oczekiwali ode mnie tego samego. Sami przygotowywali mnie do roli mężatki. Nie byłam więc specjalnie zaskoczona. Na razie. Surjit jednak różniła się ode mnie pod tym względem. Jej rodzina pochodząca z Coventry nie uległa wpływowi Zachodu – była od tego daleka – ale Surjit nie wysłano do Indii w celu intensywnej nauki, a rodzice nigdy nie

zabraniali jej kontaktów towarzyskich z koleżankami w szkole. Wejście w świat surowych zasad i nakazów posłuszeństwa było dla niej jak zimny prysznic.

Pozostawała jeszcze kwestia jej wieku. Jako szesnastolatka, poślubiając Sukhdave'a, Surjit w pewnych kręgach nie uchodziła nawet za dorosłą. Poza tym przebywała z dala od rodziny, więc musiała czuć się naprawdę samotna. Nic dziwnego, że tak bardzo ucieszyła się na mój widok.

To uczucie było wzajemne. Lubiłam jej towarzystwo i mądrość. Choć była ode mnie młodsza, jej dorosłe życie zaczęło się znacznie wcześniej niż moje; dzięki temu miała coś do powiedzenia na niemal każdy temat. Było jednak coś, o czym nie rozmawialiśmy. Chodziło o podróż, którą muszę odbyć sama, a do której nie tęskniłam.

Podróż poślubna.

Tygodniowy pobyt na Majorce to coś, czego powinno się z niecierpliwością wyczekiwać. Jednak choć byłam podekscytowana perspektywą wyjazdu z kraju po raz pierwszy – pomijając zesłanie do Patti – czułam nad głową jakąś chmurę. Im bliżej upragnionego dnia, tym bardziej byłam zaniepokojona.

Jest się czym martwić? – zadawałam sobie pytanie. Czy można wyobrazić sobie coś lepszego niż wakacje z człowiekiem, z którym ślubowałam spędzić całą swoją przyszłość? Wydawało się rzeczą jak najbardziej słuszną, że powinniśmy się lepiej poznać. Musieliśmy znaleźć własną drogę, która ułatwiłaby nam wspólne życie.

Przez ostatnie dwa tygodnie żyliśmy niemal jak brat i siostra, prowadząc grzeczne rozmowy przy rodzinnym stole podczas posiłków albo w kuchni, kiedy Hardave stawał w drzwiach i gawędził ze mną, podczas gdy ja przygotowywałam jedzenie. Wszystko to było dość miłe, choć nie do końca naturalne. Pomimo tych przyjaznych stosunków i gestów, pozostawała jednak niejasna kwestia pewnego obowiązku, który napawał mnie niepokojem.

Tak, pragnęłam wyjechać z mężem i spędzić z nim więcej czasu sam na sam, ale wiedziałam w głębi duszy, z czym się to wiąże, z jakimi oczekiwaniami. Oczekiwaniemi, których nie byłam jeszcze gotowa spełnić.

Wszystko, co wiedziałam o funkcjonowaniu ludzkiego ciała, było rezultatem jednej lekcji biologii w Cranford Community School, więc moja znajomość rzeczy była, delikatnie mówiąc, powierzchowna. Niewykluczone, że było więcej lekcji poświęconych temu zagadnieniu, ale nie uczestniczyłam w nich ze względów rodzinnych. Z pewnością nigdy nie rozmawiałam na takie tematy z matką, ojcem czy ciotkami. To, co wiedziałam – czy też mgliście pamiętałam – zaczerpnęłam z tej jednej lekcji i obrazków w podręczniku. Robić coś takiego samemu... wydawało się to najbardziej nienaturalną rzeczą w świecie.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że Hardave żywi takie same obawy.

Lot był ekscytujący, a pierwszy dzień na Majorce piękny i pełen słońca. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałam na wakacje, więc zabrałam ze sobą tylko tradycyjny salwar kamiz, Hardave natomiast zapakował do torby podkoszulki i szorty. Choć nigdy bym czegoś takiego nie włożyła, nie mówiąc już o skąpych strojach, które nosiły kobiety na plaży, żałowałam, że nie mogłam zabrać ze sobą dżinsów i topów, bardziej pasujących do otoczenia. Po raz pierwszy tęskniłam za czymś z „Zachodu”.

Pamiętam, jak bawiłam się świetnie przy kolacji, dopóki sobie nie uświadomiłam, że robi się późno i że niebawem zaczniemy szykować się do snu. I że wszystko, czego tak bardzo się obawiałam, niedługo się wydarzy. Być może za bardzo się tym przejmowałam i utwierdzałam w swoich obawach, lecz kiedy wjechaliśmy windą na nasze piętro w hotelu i ruszyliśmy w stronę pokoju, chciałam po prostu uciec na dół.

Zdołałam położyć się do łóżka tylko dzięki temu, że przypomniałam sobie parę rzeczy: Hardave jest moim mężem, spędziliśmy miło czas tego dnia, a to, co mieliśmy zrobić, było dla pary małżeńskiej jak najbardziej naturalne. Muszę jednak wyznać, że jeśli o mnie chodzi, nie obyło się bez problemów. Bardzo chciałam okazać się dobrą żoną, ale oboje byliśmy zakłopotani; ja z powodu tego, czego ode mnie oczekuje, on z powodu niechęci, jaką mu okazałam.

Wydawał się szczerze zaskoczony reakcją z mojej strony. Szybko daliśmy sobie spokój, za co byłam mu wdzięczna, ale przyjacielska dotąd atmosfera ulotniła się na chwilę.

Miesiąc miodowy upływał; ten pierwszy, niezręczny raz, już się nie powtórzył. Nasz związek rozwijał się pod względem fizycznym, co było naturalne, i zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej. Ale nawet w chwilach największej namiętności nie mogłam zapomnieć, że oddaję się mężczyźnie, którego ledwie znam. Czy można się było z tym pogodzić?

I czego oczekiwano po mnie w przyszłości?

## Rozdział siódmy

### ZŁA CÓRKA

Kiedy po raz pierwszy zjawiłam się w domu przy Willow Tree Lane, miałam szczerzy zamiar stać się jedną z Athwalów i poświęcić temu życie. Chciałam być dobrą żoną, dobrą siostrą i dobrą córką. Tak zostałam wychowana, nawet jeśli początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie było to jednak łatwe.

I nie tylko ja się z tym zmagalam.

Wkrótce po powrocie z podróży poślubnej spytałam Bachan Kaur – czyli „mamę”, jak miałam się do niej zwracać – czy mogę odwiedzić swoją matkę.

– Ma urodziny – wyjaśniłam. – To dla niej bardzo ważne. I dla mnie.

Teściowa zastanawiała się przez chwilę. Potem pokręciła głową.

– Wykluczone. Przychodzą dziś do nas nasze córki. Podasz herbatę.

– A co z moją matką?

– Możesz ją odwiedzić jutro.

Ale to nie jest dzień jej urodzin!

Jestem zaskoczona, że w ogóle śmiałam o tym pomyśleć. Sprawa była jednak przesądzona. Mama poszła do swojego pokoju, a ja, kiedy już się trochę uspokoiliłam, od razu wiedziałam, dokąd się udać. Gdy weszłam do kuchni, Surjit już tam była.

Naprawdę chciałam jej się zwierzyć, ale nie miałam odwagi. Moją matką była teraz Bachan Kaur. Okazanie jej braku szacunku byłoby czymś, do czego nie mogłam się zniżyć. Nie byłoby to dobre. Na szczęście mogłam dać upust niezadowoleniu, słuchając Surjit – która nie była zdziwiona, że musi poświęcać swój czas i szykować herbatę swoim – teraz już naszym – szwagierkom.

– Są takie leniwe, i to wszystkie – narzekała. – Oczekują, że będzie im się usługiwało na paluszkach.

Nie odezwałam się.

– Nigdy w niczym nie pomagają, nie zaproponują nawet, że posprzątają ze stołu. Co by im szkodziło zebrać kilka talerzy? Nie zgodziłabym się oczywiście, ale powinny to zaproponować, prawda? Ja tak robię, kiedy jestem u nich. Ty też byś tak robiła, prawda?

Surjit narzekała i była wyraźnie zła, ale ja się tylko uśmiechałam. Nigdy nie słyszałam, by ktoś tak mówił. Nawet te najbardziej zbuntowane dziewczyny



w szkole nie posługiwały się takim językiem. Jakby niczym się nie przejmowała, a ja mogłam się tylko zastanawiać: co będzie, jeśli mama usłyszy? Jeśli do kuchni wejdzie nagle Hardave albo jego brat?

Przygotowałyśmy herbatę i gdy nasze siostry – Bhajan, Ajmar, Kalwant i Baldave – zebrały się wraz z mężami w salonie, zaczęłyśmy im usługiwać, podając przekąski i napoje. Bachan Kaur wychwalała nas pod niebiosa, zwłaszcza mnie, lecz gdy chciałyśmy zasiąść z gośćmi do stołu, uświadomiłam sobie, że nie ma wolnych krzeseł. Popatrzyłam na Surjit, szukając u niej pomocy. Po raz pierwszy znalazłam się w takiej sytuacji. Nie chciałam nikogo urazić.

Zauważyłam, że Surjit siedzi na podłodze. Też tak często siedziałam w świątyni, nawet mi się to podobało. Nigdy jednak tego nie robiłam, kiedy moja rodzina zajmowała miejsca przy stole. Jak mielibyśmy się w takich warunkach porozumiewać? Sprawa niebawem się wyjaśniła. Nie porozumiewaliśmy się.

Już po wszystkim, kiedy zmywałam w kuchni, wspomniałam Surjit o tym incydencie. Wzruszyła ramionami, jakby nie widziała w tym nic złego. Albo jakby była tak przyzwyczajona do siedzenia na podłodze podczas wizyt szwagierek, że już nie uważała tego za niewłaściwe. Zważywszy na to, czego się już o niej dowiedziałam, jej obojętna reakcja była aż nadto wymowna.

– Nie wydaje mi się, by chodziło o coś wyjątkowego.

Kiedy udało mi się nazajutrz odwiedzić matkę, popatrzyła na mnie ze smutkiem w oczach.

– Miałam wczoraj nadzieję, że przyjdiesz.

– Nie mogłam, mamó.

– Myślałam, że zadzwonisz.

Co miałam powiedzieć? Że Bachan Kaur nie pozwoliła mi nawet zatelefonować? Nie, nie należało o tym wspominać, to byłoby niewłaściwe. Przedstawiłoby moją nową rodzinę w złym świetle, a ja nie chciałam ponosić za to odpowiedzialności. Wiedziałam, jak funkcjonuje społeczność. Wiedziałam, jak szybko potrafi osądzać. Byłam teraz jedną z Athwalów. Musiałam okazywać im lojalność. Nam. Musiałam mieć na względzie nasze dobre imię.

– Przepraszam, mamó – wymamrotałam. – Jestem złą córką. W przyszłym roku nie zapomnę o twoich urodzinach.

Podczas gdy wbrew wcześniejszym nadziejom musiałam się nieco dłużej przyzwyczajać do postępowania teściowej, cieszyłam się ze znajomości z Surjit. Żałowałam tylko, że nie jest bardziej zadowolona. Ja robiłam swoje bez szemrania, ale ona nie potrafiła pokroić pomidora, by nie narzekać przy okazji, że w kuchni jesteśmy tylko my dwie. Trudno było pogodzić się z faktem, że nikt nie oczekuje

pomocy ze strony mężczyzn, ale Bachan Kaur była przecież jedną z nas, kobiet. Mimo to nie zamierzała kiwnąć nawet palcem, chyba że trzeba było nim wskazać, gdzie należy wytrzeć kurz.

Rodzina wciąż mnie onieśmielała, więc rzadko pytałam Surjit o cokolwiek. Na ogół słuchałam. Kiedy więc zwierzyła mi się pewnego dnia, że pokłóciła się z Sukhdave'em i że sypiają teraz w osobnych łóżkach, nie potrafiłam powiedzieć słowa, choć bardzo chciałam się dowiedzieć czegoś konkretnego. Stałam tylko z rozdziawionymi ustami, podczas gdy Surjit ujawniała kolejną rewelację.

Po doświadczeniach na Majorce ta historia z osobnymi łóżkami nie wydawała mi się szczególnie szokująca. Właściwie pomysł mi się spodobał i zaczęłam się w duchu zastanawiać, czy w końcu nie moglibyśmy go skopiować, ja i Hardave. Chwilowo jednak byłam zadowolona z tego, jak rozwija się nasze małżeństwo. Jeśli chodzi o jego fizyczną stronę, udało nam się znaleźć wspólny rytm, poza tym Hardave starał się być przyjacielski i zabawny, gdy byliśmy sami, tylko we dwójkę. Oboje tworzyliśmy ten związek; żadne nie wybrało sobie partnera, ale robiliśmy wszystko, by układało się nam dobrze. A jednak, pomimo uwagi, jaką darzył mnie na osobności, gdy tylko schodziliśmy na dół, jego życiem zaczynała rządzić wyłącznie jedna kobieta.

I nie byłam to ja.

W obecności jego matki mogłam równie dobrze nie istnieć.

Choć odczuwałam boleśnie ignorowanie ze strony męża podczas rodzinnych posiłków czy rozmów, to jednak fakt, że Surjit była tak samo traktowana przez Sukhdave'a, stanowił dla mnie pewną pociechę i dawał nadzieję. Pewność, że nie robię nic złego. Nadzieję, że moje małżeństwo jest trwałe i że zmierza we właściwym kierunku. Czy to możliwe, by obaj mężczyźni traktowali tak swoje żony bez żadnego powodu?

Właściwie jedynym człowiekiem, który obdarzał mnie uwagą podczas posiłków i w trakcie zebrań rodzinnych, był Gian Singh. Odznaczał się szczodrym sercem i serdecznością, której mi nie skąpił. Zabawne było patrzeć, jak Bachan Kaur gryzie się w język w jego obecności; jestem pewna, że mój teść z radością to wykorzystywał. Obaj synowie też go kochali.

To właśnie choroba ojca była powodem, dla którego Hardave i jego najmłodsza siostra Baldave zawarli związki małżeńskie; oba śluby odbyły się w odstępie zaledwie kilku miesięcy. Teść miał jeszcze jedno życzenie, którego spełnienia rodzina wyglądała z niecierpliwością.

Chodziło o wnuka.

W tym jednak wypadku Baldave i jej siostry nie mogły pomóc. Wnuk musiał przyjąć nazwisko Athwal, co oznaczało, że powinien być spłodzony przez synów Giana Singha. Jednak mimo dwuletniego małżeństwa nie zanosilo się na to, by

Surjit i Sukhdave mieli dziecko. Może to Hardave i ja obdarzymy rodzinę spadkobiercą i męskim potomkiem? – zastanawiałam się.

Niestety Gian Singh zmarł pół roku po moim ślubie w wieku zaledwie pięćdziesięciu dziewięciu lat. Tak jak się obawiano, powalił go silny atak astmy. Znałam swojego teścia krótko, ale odczuwałam ogromny smutek. Był uroczym i powszechnie szanowanym człowiekiem. Co ważniejsze dla mnie – jeśli nie dla społeczności – był także kochany. Choć śmierć Giana Singha bardzo mnie przybiła, musiałam zмагаć się z czymś gorszym: mój mąż niemal się załamał pod brzemieniem żalu, a ja nie potrafiłam go pocieszyć. Ten jeden raz dziękowałam Bogu, że mam mnóstwo obowiązków; pozwalały mi one zapomnieć.

Sikhowie nie wierzą, że śmierć oznacza koniec życia duszy, tak więc – przynajmniej w teorii – nie należy poddawać się przygnębieniu, kiedy ciało umiera. Z drugiej jednak strony tradycyjna kremacja i nabożeństwo w świątyni były posępными i bolesnymi uroczystościami. Płakałam bez końca i po raz pierwszy czułam niezachwianie, że należę do rodziny.

Kilka następnych dni było bardzo ciężkich. Oddawałam się bez reszty obowiązkom i przygotowaniom do kolacji ku czci zmarłego. Zjawili się moi rodzice, by złożyć kondolencje i wziąć udział w modlitwach. Cieszyłam się, że ich widzę, ale było mi przykro, że zjawili się w takich okolicznościach.

Hardave bardzo przeżywał śmierć ojca. Podobnie Sukhdave, o czym jestem przekonana. On musiał jednak panować nad emocjami. Bądź co bądź, wraz ze śmiercią ojca zaczął przygotowywać się do nowej roli – głowy rodziny.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej.

Dwa dni po śmierci Giana Singha zebraliśmy się wszyscy w salonie. Przed kolacją moja teściowa wzniosła toast za zmarłego męża. Mówiła z namysłem, a zakończyła słowami, które pamiętam do dzisiaj:

– Teraz ja jestem głową rodziny.

Czułam, jak Hardave drgnął, mogłabym też przysiąc, że Surjit aż podskoczyła na krześle. Wszyscy jednak spojrzeli raptem na Sukhdave'a. To on miał stanąć na czele rodziny. Tego właśnie wszyscy się spodziewali, zarówno mieszkańcy domu pod numerem 90 przy Willow Tree Lane, jak i inni. To była naturalna kolej rzeczy. A mimo to, dosłownie na jego oczach, ktoś inny rościł sobie prawo do tej roli. Ktoś, kogo Sukhdave kochał ponad wszystko w świecie. Ktoś, kto oplakiwał zmarłego męża. I ktoś, kto już cieszył się w społeczności szacunkiem, o jakim on mógł tylko marzyć. Co mu pozostało?

Bachan Kaur uśmiechnęła się.

– Będziemy bardzo szczęśliwi.

Objęcie tronu przez moją teściową wywołało w rodzinie istne trzęsienie ziemi,

dotykające każdego aspektu naszego życia. Podczas gdy Gian Singh był człowiekiem sympatycznym i niefrasobliwym, Bachan Kaur od razu zaczęła się rządzić. Zawsze była apodyktyczna i wścibska, ale teraz dysponowała władzą i autorytetem. Jej słowo stało się w domu przy Willow Tree Lane prawem. Wkrótce musiałam się przed nią ze wszystkiego tłumaczyć, i to co chwila. Nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób Hardave i Sukhdave dopuścili do takiej sytuacji. Jeśli Bachan Kaur mówiła: „Skaczcie”, jej synowie pytali: „Jak wysoko?” – a potem kazali robić to swoim żonom. Tak się czasem zdawało.

Kiedy zbliżała się pierwsza rocznica naszego ślubu, Hardave mnie zaskoczył: oznajmił, że powinniśmy to uczcić i wybrać się na kolację.

– Byłoby cudownie – powiedziałam.

Nadszedł ten dzień; szykowałam się, nie mogąc zapanować nad podnieceniem. Rzadko wychodziłam z mężem. Zazwyczaj spędzaliśmy czas w gronie rodzinnym. Nieczęsto mieliśmy okazję przebywać sam na sam w takim domu. Kiedy zeszłam na dół, Bachan Kaur wkładała płaszcz.

– Też wychodzisz? – spytałam.

– Oczywiście – odparła. – Nie możecie świętować rocznicy ślubu beze mnie.

Wykluczone! To nasza uroczystość.

Poszła jednak z nami, a Hardave nie zamierzał jej tego zabronić.

Moja praca w EMI stanowiła cenną przeciwwagę dla monotonii życia domowego. Okazało się wkrótce, że i w tej sprawie Bachan Kaur ma coś do powiedzenia.

– Okay – powiedziała pewnego dnia. – Będziesz musiała mi oddawać swoją pensję.

– Dlaczego? – spytałam. Nie była moim mężem. Moja pensja szła na nasze wspólne konto, moje i Hardave’a. Musiałam prosić go o pozwolenie, jeśli chciałam coś sobie kupić.

– Dlatego, że opłacam hipotekę z własnej kieszeni.

Dobre sobie. Już i tak dokładałam się do jedzenia i, o ile mogłam się zorientować, opłata hipoteczna wynosiła tylko dwieście funtów miesięcznie.

– Hardave się nie zgodzi – powiedziałam.

– Porozmawiaj z nim.

Obiecałam, że to zrobię. Nie zamierzałam jednak do niczego go przekonywać. Bachan Kaur nie miała w tej całej sprawie nic do powiedzenia i musiała to wiedzieć. Niestety, znała swojego syna. Kilka tygodni później moja następna pensja trafiła bezpośrednio na konto Bachan Kaur. Hardave nawet nie próbował się jej sprzeciwić.

Już od jakiegoś czasu kontroluje każdy mój krok. Teraz ogranicza moje wydatki. Do czego zmusi mnie następnym razem?

Miałam się niebawem przekonać.

Zawsze uważałam, że posiadanie dziecka jest naturalną konsekwencją zawarcia ślubu. Choć sikhowie nie sprzeciwiają się antykoncepcji, nie stosowaliśmy żadnych zabezpieczeń. Omówiliśmy to i doszliśmy do wniosku, że o wszystkim zadecyduje natura – i Bóg. Nie przewidzieliśmy jednak, że ktoś jeszcze będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Nie wolno ci mieć dziecka – poinstruowała mnie pewnego ranka Ajmar, moja szwagierka.

Byłam całkowicie zaskoczona i jednocześnie niemal pewna, że Ajmar sama na to nie wpadła. Tylko jedna kobieta w tej rodzinie miała dostatecznie dużo władzy i arogancji, by zdobyć się na takie orzeczenie. Czułam, że jego źródłem jest Bachan Kaur.

Ajmar wyjaśniła, że to Sukhdave, jako starszy syn, powinien postarać się o pierwsze dziecko w rodzinie.

Wobec tego będzie musiał znów zacząć sypiać w jednym łóżku z żoną! – pomyślałam. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak by wszyscy zareagowali, gdybym ośmieliła się powiedzieć to głośno!

– Słuchasz mnie? – upewniła się Ajmar. – Rozumiesz? Nie okryjesz go wstydem.

Okryć go wstydem? On i Surjit byli małżeństwem od trzech lat. Czyżby Bachan Kaur – za sprawą edyktu wypowiedzianego przez Ajmar – naprawdę zamierzała ryzykować, że nigdy nie będzie miała wnuków? Żeby syn, którego tak brutalnie pozbawiła należnych mu praw, nie czuł się urażony?

Te myśli też zachowałam wyłącznie dla siebie.

– Porozmawiam z Hardave'em – powiedziałam tylko.

To właśnie zrobiłam tego wieczoru. Przy mężu nie musiałam się wstrzymać.

– Nie ma prawa nam mówić, żebyśmy nie mieli dziecka!

– Uspokój się. Nie przyniesie to chwały rodzinie, jeśli okryjemy Sukhdave'a wstydem.

– Jak możemy okryć go wstydem, mając dziecko? Sam może go nigdy nie mieć. Niewykluczone, że któreś z nich ma jakiś problem, to się zdarza. A my? Co wtedy?

Zorientowałam się po jego spojrzeniu, że się ze mną zgadza, ale odparł tylko:

– Okażesz posłuszeństwo. Będziemy musieli poczekać. Mama wie, co jest dla rodziny najlepsze.

Patrzyłam mu prosto w oczy, aż w końcu odwrócił wzrok. Pojęłam wszystko. Nie zgadzał się z matką, ale wolał bardziej zadowolić ją niż mnie. Stracił w tym momencie mój szacunek.

Choć nie chciałam krytykować publicznie Athwalów, musiałam porozmawiać

z kimś spoza tej rodziny i tego domu: z prawdziwymi rodzicami. Gdyby mi powiedzieli, że postępuję egoistycznie, to wróciłabym i przeprosiła. Okazało się jednak, że mama jest wściekła.

- Nikt ci nie może mówić, żebyś nie miała dziecka.
- Ale oni tak mówią.
- To nie w porządku. Zignoruj ich.
- A wstyd, jakim ich okryję?
- Sami okrywają się wstydem.

Pomimo wsparcia ze strony mamy trudno mi było pogodzić się z myślą, że mój mąż jest wobec mnie tak nielojalny. Dlaczego życzenia matki były dla niego ważniejsze ode mnie i przyszłego dziecka?

Zauważyłam ze smutkiem, że nie tylko Athwalowie wywierają na mnie nacisk. Kiedy pewnego ranka mijalam się w domu z Surjit, zachowywała się tak, jakby nie usłyszała mojego powitania. Nie pojawiła się wieczorem w kuchni, kiedy gotowałam.

Potem przyszło mi coś do głowy. Czyżby i ona uczestniczyła w tym śmiesznym planie? Czy Bachan Kaur powtórzyła jej moje słowa? Czy straciłabym jedyne go sprzymierzeńca w domu, gdybym nie złożyła publicznej deklaracji, że nie zajdę zbyt szybko w ciążę?

Najwidoczniej. Z drugiej strony mogłam sobie wyobrazić, jakim naciskom jest poddawana. Bachan Kaur, szwagierki, mąż – wszyscy mówili jej, jak ma rozporządzać swoim ciałem. Nic dziwnego, że traciła panowanie nad sobą. Szkoda tylko, że skrupiało się to na mnie.

Mimo wszystko podjęłam dzięki temu pewną decyzję.

Możesz martwić się o własne dziecko. Nikt mi nie mówi, żeby nie próbowała.

Niejako na przekór naszej religii święta Bożego Narodzenia były w domu Athwalów czasem radości i zabawy. Obchodziliśmy je tak samo jak inni mieszkańcy naszej ulicy; choć nie wierzyliśmy w Świętego Mikołaja i inne historie, był to okres rodzinnej wspólnoty i jedności. Niezależnie od kultury każdy pragnie znaleźć idealny prezent dla najbliższych. Na szczęście miałam dla Hardave'a coś doskonałego. Byłam w ciąży.

– Jesteś pewna? – spytał, a ja zauważyłam szczęście wypisane na jego twarzy.

Skinęłam głową. Nie chciałam mówić mężowi, że kupiłam test ciążowy, a potem obserwowałam z niepokojem mały patyczek, modląc się, by zmienił kolor. Kiedy tak się stało, poczułam smutek, że jestem w tym momencie zupełnie sama. Gdy Hardave wrócił do domu, nie mogłam się doczekać, aż zostaniemy tylko we dwoje i będę mogła przekazać mu wspianą nowinę.

Choć Hardave był wniebowzięty, dostrzegłam na jego twarzy przelotny cień

troski. Myślał przez sekundę o tym, co powie jego matka. Potem przypomniał sobie, że przecież Surjit poinformowała tydzień wcześniej o swojej ciąży. Nie zamierzaliśmy odbierać nikomu palmy pierwszeństwa. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, oni pierwsi mieliby dziecko.

My zaś mogliśmy cieszyć się nadchodzącym szczęściem bez obaw o konsekwencje.

Czułam się wspaniale w ciąży – choć przeszkadzały mi spuchnięte stopy. Wszystko było dla mnie nowe, więc każdy kolejny etap przynosił nieznaną wcześniej doznania. Cieszyłam się, że mogę przeżywać to samo z Surjit i dzielić się z nią doświadczeniami. Wydawało się to trochę dziwne, że w domu jest ktoś jeszcze, kto przechodzi tak radykalną – fizyczną i chemiczną – przemianę, ale obu nam się to podobało. Cokolwiek znosiła prywatnie, zostało chwilowo odsunięte na plan dalszy. Mijając się w domu, obdarzałyśmy się sekretnym uśmiechem przyszłych matek.

Wraz z upływem miesięcy nasza więź zacieśniała się coraz bardziej. Ilekroć widziałam Surjit, miałam nadzieję, że wyglądam na tak samo szczęśliwą jak ona. Pewnego dnia, kiedy byliśmy w domu same, wyznała, dlaczego tak się cieszy. We wrześniu 1988, rok przed moim ślubem, zaszła w ciążę, ale krótko potem straciła dziecko.

– Przykro mi, Surjit. Nie miałam o tym pojęcia.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Okazało się jednak, że ta historia – czy raczej cierpienie Surjit – na tym się nie skończyła. Bachan Kaur zareagowała na wiadomość o poronieniu bardzo źle i oskarżyła synową o dokonanie aborcji.

– Dlaczego to zrobiła? – spytałam szwagierkę.

– Bo jest zła.

Zła? Bachan Kaur jest apodyktyczna i samolubna, owszem, ale zła?

– Co na to powiedział Sukhdave?

– A jak myślisz? Zgodził się z matką.

W to mogłam bez trudu uwierzyć. Widziałam na własne oczy, jak Bachan Kaur potrafi rządzić synami. Surjit, wspominając ten epizod, załamała się.

– Nazwali mnie morderczynią – wyszło chała.

Próbowałam ją pocieszyć, ale cóż mogłam powiedzieć? Nie wyobrażałam sobie, by kobietę mogło spotkać coś gorszego niż poronienie. Bez względu na to, jak przybity był Sukhdave, nie miał prawa oskarżać żony o celowy zamiar. A co do Bachan Kaur... Jaka kobieta oskarża drugą o coś takiego?

Nic dziwnego, że Surjit tak bardzo pragnęła zająć ponownie w ciążę.

Na jej prośbę nie rozmawiałyśmy o tym więcej, a ja starałam się zapomnieć

o zachowaniu teściowej. Zazwyczaj potrafiłam znaleźć pociechę w codziennych zajęciach. Niestety, łączenie pracy zawodowej z obowiązkami domowymi w sytuacji, gdy czułam się coraz bardziej wyczerpana, było bardzo trudne. Latem 1991 roku z trudem trzymałam się na nogach.

Nawet jeśli Bachan Kaur dostrzegała, jak jest mi ciężko, nie wspominała o tym ani słowem. Wciąż oczekiwano ode mnie, że będę jak zawsze sprzątać i gotować. Nie miało dla niej żadnego znaczenia, że po całym dniu w biurze bolą mnie koszmarnie stopy. Ani to, że jest mi trudno choćby stać przy piecu albo szafce kuchennej. Jakby w ogóle nie obchodziło ją moje dziecko.

Poza domem wszystko wyglądało jednak inaczej. W oczach przyjaciół Bachan Kaur jawiła się jako osoba niezwykle dumna ze swych przyszłych wnuków. Kiedy byliśmy w świątyni, uwielbiała ciągnąć mnie wszędzie ze sobą. Nie przywiązywałam do tego wagi. Trzymałam język na wodzy, podczas gdy teściowa mówiła, jaka jest dla mnie troskliwa i jak mi pomaga.

Zdawała sobie sprawę z tego, że kłamie, czy naprawdę w to wierzyła?

Nie potrafiłam się w tym zorientować. Wiedziałam jednak, że opinia ogółu ma dla niej ogromne znaczenie – zwłaszcza opinia współwyznawców ze świątyni.

Może wyjaśnia to, dlaczego po śmierci jej męża tak często chodziliśmy na spotkania modlitewne do domów przyjaciół albo do świątyni. Oczywiście to Surjit i ja ponosiłyśmy największe konsekwencje tych jej przejawów wiary. Jeśli nie odwiedzaliśmy akurat bywalców świątyni w ich domach, mama żądała, by zawieźć ją do gurdwary, co zdarzało się o każdej porze dnia i nocy – i zazwyczaj to ja musiałam prowadzić samochód. Nikt, kto mnie zna, nie powiedziałby, że nie jestem pobożną sikhijką. Modliłam się codziennie, chodziłam do świątyni i, co najważniejsze, żyłam w zgodzie z naukami i prawdami głoszonymi przez dziesięciu guru. Wychowano mnie w poszanowaniu surowych zasad, odbyłam nawet staż w Indiach. Czy mogłabym wykazać się jeszcze większą religijnością? A jednak nawet ja nie brałam nigdy udziału w całonocnej sesji modlitewnej, nim weszłam do rodziny Athwalów. Teraz działa się to regularnie, u boku teściowej. Nie było tam tłumów o tej porze, ale zauważyłam, że wychodzimy dopiero wtedy, gdy gurdwara zapełnia się wiernymi. Miałam wrażenie, że teściowej bardzo zależy na tym, by widziało ją jak najwięcej ludzi. I by uświadamiali sobie, że spędziła w świątyni całą noc. Zdecydowała się też na chrzest; przypuszczam, że chodziło o to, by mogła nosić turban – oznakę wyższego statusu religijnego.

Nie wystarczało jej, że jest pobożna. Pragnęła, by inni to widzieli.

Co nie ma nic wspólnego z zasadami sikhizmu.



Pod koniec sierpnia 1991 roku w naszym i tak już ciasnym domu pojawił się nowy mieszkaniec – Surjit i Sukhdave doczekali się pierwszego dziecka. Cieszyłam się niezmiernie, zwłaszcza że w ciągu tygodnia sama miałam doświadczyć tej radości, jeśli można było wierzyć terminom. Niestety, nie wszyscy byli tak podekscytowani jak ja. Bachan Kaur ledwie zdobyła się na uśmiech, spoglądając na małe zawiniątko. Pojęłam po kilku sekundach, o co chodzi. W moich oczach mała Pawanpreet była doskonała. Ale, jak sobie uświadomiłam, nie była wnukiem, którego tak wyczekiwała głowa domu.

Znowu zaczęłam odczuwać presję. Co, u licha, powie Bachan Kaur, jeśli jej młodszy syn ośmieli się spłodzić chłopca?

Mieliśmy się tego dowiedzieć 17 września 1991 roku. Miałam urodzić już dwa tygodnie wcześniej, ale dziecko nie zdradzało chęci przyjścia na świat. Mój lekarz oznajmił, że poród trzeba wywołać. Bałam się. Myśl o jakiegokolwiek interwencji medycznej budziła we mnie niepokój. Czy nie zaszkodzi niemowlęciu? To było moje pierwsze dziecko. Chciałam, żeby było niezwykle – ze względu na nas wszystkich – ale pragnęłam przede wszystkim, by nic mu się nie stało.

Wieczorem 17 września przyjęto mnie do Hillingdon Hospital i poinformowano, że zabieg zacznie się o dziewiątej rano. Hardave dowiedział się, że ma przyjść nie później niż o dziesiątej.

– Bądź wcześniej – poprosiłam go. – Nie chcę przechodzić przez to sama.

– Będę – powiedział. – Obiecuję.

Położna zjawiała się punktualnie z tabletkami i żelem i o wpół do dziesiątej zaczęły się skurcze. Dwadzieścia minut później były już znacznie częstsze – i bardziej bolesne. Przypominały za każdym razem gwałtowny ucisk w połączeniu z porażeniem prądem elektrycznym.

Gdzie jest Hardave?

Pielęgniarka dostrzegła moje zdenerwowanie i spytała, czy ktoś ma do mnie przyjść. Powiedziałam jej, że mąż obiecał się zjawić o dziesiątej.

– Jest już dziesięć po. Chce pani, żebym do niego zadzwoniła?

– Proszę!

Poinformowała mnie po chwili, że Hardave wciąż jest w domu.

– Ale już wychodzi. Niedługo się tu zjawi.

Może być za późno!

Ból stał się nie do zniesienia, więc zawieziono mnie na wózku na salę porodową i podano gaz i tlen. Kiedy spojrzałam na zegar, była dziesiąta pięćdziesiąt. Zrozumiałam, że mój mąż spóźni się na poród naszego dziecka.

Czy na pewno? Jednym z ubocznych efektów tlenu i gazu są senność i oszołomienie. Uświadomiłam sobie po kilku minutach, że ktoś trzyma mnie za rękę, ale musiało upłynąć parę sekund, nim rozpoznałam Hardave'a.

Zjawił się w samą porę. Po niespełna kwadransie wpatrywałam się w duże brązowe oczy swojej pięknej córki Taran Kaur.

Dokonałam tego!

Pomimo szczęścia i oszołomienia wywołanego tlenem i gazem mogłam sobie wyobrazić rozczarowanie Bachan Kaur. Martwiłam się wcześniej, że mogę dać jej wnuka; teraz martwiłam się, że tego nie zrobiłam. Co powie? – zadawałam sobie pytanie.

## Rozdział ósmy

### ZA DUŻO SOBIE POZWALASZ

Jeśli sądziłam, że świeżo upieczona mama może liczyć na jakąś pomoc w domu, to byłam w błędzie. Ledwie upłynął dzień od mojego powrotu ze szpitala, kiedy do drzwi naszej sypialni zapukała Bachan Kaur.

– Przyjdą moje córki. Przygotuj herbatę.

Dopiero co usiadłam...

– A co z Taran?

– Jestem pewna, że zechcą ją zobaczyć.

Koniec dyskusji. Otrzymałam polecenia. Nie ma wyboru, trzeba brać się do roboty.

Nie było żadnej ulgi, jeśli chodzi o gotowanie, sprzątanie i obowiązki kierowcy. O ile mogłam się zorientować, to samo dotyczyło Surjit. Ponieważ obie byłyśmy na urlopie macierzyńskim, mogłyśmy sobie przynajmniej pomagać. Ale jeśli jedna z nas składała rzadką wizytę swoim rodzicom albo szła na zakupy, druga siedziała w kuchni z Taran lub Pav – jak wszyscy nazywali Pawanpreet – i kroїła, gotowała, mieszała.

W ciągu tych dwóch lat, które spędziłam w domu przy Willow Tree Lane, starałam się korzystać z każdej okazji, by odwiedzić rodzinę. Niełatwo było przekonać teściową, żeby wyraziła na to zgodę, nawet jeśli chodziło o czyjeś urodziny, Boże Narodzenie czy inną ważną uroczystość. Jechałam jednak do swojego dawnego domu, gdy tylko mogłam. A teraz, kiedy urodziła się Taran, chciałam tam jeździć jeszcze częściej.

Moi rodzice robili to, co powinna robić Bachan Kaur, jak miałam niegdyś nadzieję. Brali dziecko na ręce, rozczulali się nad nim, przygotowywali jedzenie – i mówili mi, żebym się położyła i odpoczęła! To było cudowne, że ktoś chce dla mnie gotować. Prawdę mówiąc, nie myślałam jednak o jedzeniu. Marzyłam tylko o tym, żeby zamknąć oczy...

Jak bardzo pragnęłam z nimi zostać. Niestety, mieszkałam teraz w Hayes. Nie śmiałam nawet narzekać; bałam się, że rodzice będą robić sobie wyrzuty z powodu rodziny, którą dla mnie wybrali. Nie chciałam też, by się martwili. Byłam matką. Miałam obowiązki wobec maleńkiej córeczki. Bez względu na problemy z mężem i jego bliskimi, zamierałam sobie z nimi poradzić.

Muszę.

Dzięki córce ja i Hardave zbliżyliśmy się do siebie. Lubiłam patrzeć, jak się z nią bawi. I choć spadały na mnie wszystkie obowiązki związane z opieką nad dzieckiem, kiedy był w pracy, zajmował się od czasu do czasu Taran, gdy wyskakiwałam po zakupy. Cieszyłam się jak każda świeżo upieczona mama, że mogę mieć pół godziny dla siebie.

Hardave zaskoczył mnie też w inny sposób. Patrząc pewnego ranka, jak się ubieram, powiedział:

– Możesz kupić sobie džinsy, jeśli chcesz.

Słucham?!

– Powiedziałeś, że mogę kupić sobie džinsy?

Uśmiechał się.

– Jeśli tego chcesz, oczywiście. Widziałem, jak patrzysz na inne kobiety. Nie mam nic przeciwko džinsom, jeśli będzie ci w nich wygodniej.

– A mama?

– Też nie ma nic przeciwko temu.

A więc skonsultował to z nią.

Nie powinnam się dziwić, że uważał za słuszne spytać ją o zdanie. Byłam jednak zadowolona, nawet wzruszona, że pomyślał o mnie i zaproponował coś takiego. Nie przyszłoby mi do głowy poprosić. Nie śmiałabym. W domu, gdzie na każdym kroku podkreślano tradycyjne wartości, nigdy bym o tym nie wspomniała, gdyby Hardave sam tego nie zrobił.

Czułam się dziwnie, kiedy po raz pierwszy wyszłam na ulicę, nie mając na sobie kilku warstw bawełny i poliestru. Byłam też zdenerwowana. Czy ludzie gapią się na mnie? Czy oskarżają o to, że nie jestem dobrą sikhijką? Czy uważają, że przynoszę rodzinie wstyd? Zastanawiałam się, czy nie nosić tabliczki z napisem: „Bachan Kaur udzieliła mi pozwolenia”. Byłam pewna, że tylko w ten sposób zdołam się odprężyć.

Albo tak sobie tylko wyobrażałam. Już po chwili zauważyłam, że nikt nie patrzy na mnie podejrzliwie. Byłam jeszcze jedną kobietą w chuście na głowie, bluzce i spodniach.

Kiedy już uwolniłam się od paranoi, zrozumiałam powód, dla którego miliony ludzi, mężczyzn i kobiet, wkłada džinsy. Były tak praktyczne i wygodne.

Nie chcę nosić niczego innego!

Teraz, z perspektywy czasu, jestem zdumiona, że nigdy nie spytałam, dlaczego mam nosić tradycyjny strój, skoro Surjit często chodziła w džinsach i nawet moje szwagierki ubierały się czasem na zachodnią modłę. Tak jak ja zakrywały głowę i zawsze wkładały tradycyjne ubrania z okazji religijnych uroczystości, przed

wizytą w domu przyjaciółki, a zwłaszcza w świątyni. Nigdy jednak nie pomyślałam, że będę kiedykolwiek zachowywać się tak jak one. Kwestia wychowania.

O ile mogłam się zorientować, Surjit także pochodziła z tradycyjnej rodziny, co prawda, dalekiej od skrajności Athwalów pod rządami Bachan Kaur. W pewnym momencie jednak zaczęła myśleć przede wszystkim o sobie – jeszcze jedna lekcja, która mnie ominęła, jak się zdaje. Byłam kobietą i pojawiłam się na świecie, by odgrywać rolę córki, żony, matki. Taki przypadek mi w udziale los, do tego byłam przygotowywana. Nie kwestionowałam swojej roli w życiu, po prostu ją odgrywałam.

Więc dlaczego ona tego nie robiła?

Patrząc na szwagierkę, musiałam sobie niekiedy przypominać, że jest taka młoda. Należała do klanu Athwalów o dwa lata dłużej ode mnie, więc łatwo się zapominało, że jest w rzeczywistości o dwa lata młodsza. Nie chodziło jednak tylko o różnicę wieku między nami. Nie wyglądała na szczęśliwą, żyjąc tak, jak my żyliśmy. Kochała córkę i nie miała nic przeciwko obowiązkom domowym. Nie chciała tylko, by całe jej życie sprowadzało się wyłącznie do nich.

– To ma być Brytania lat dziewięćdziesiątych – skarżyła mi się kiedyś. – A można by pomyśleć, że są lata pięćdziesiąte.

– Co masz na myśli? – Moja wiedza o tamtej epoce była nikła.

– Wiesz, mężczyzna idzie do pracy, a kiedy wraca do domu, żona gotuje i przynosi mu kapcie. – Pokręciła głową. – Niewiele się różnimy od służących.

Skinęłam głową. To, co mówiła, nie było pozbawione sensu. Z tą różnicą, że ja nie widziałam tu żadnego problemu.

Tak po prostu jest.

Dzieliły nas tylko dwa lata, ale zdawało się chwilami, że wywodzimy się z innych pokoleń. Pragnęłam się jedynie dopasować, być pełną szacunku żoną i odpowiednio wychować córkę. Tak jak wcześniej moja matka i babka. Surjit tęskniła jednak za życiem poza murami domu pod numerem 90.

Zacząłam się zastanawiać, czy byłoby lepiej, gdyby darzyła Sukhdave'a większą sympatią. Pracowałam ciężko, żeby stworzyć z mężem udany związek. Owszem, zawiódł mnie, kiedy rodziłam córkę, nie podobało mi się też to, że oddawał matce wszystkie pieniądze, ale sam z własnej woli pozwolił mi nosić spodnie. Troszczył się o mnie. Tak to wszystko widziałam.

Natomiast nigdy nie słyszałam, by Surjit powiedziała cokolwiek miłego o swoim mężu. Niezręcznie było mi rozmawiać o jej małżeństwie, nawet jeśli byliśmy w domu same. Zdarzały się jednak dni, kiedy nie potrafiła się

powstrzymać. Sukhdave tak bardzo skąpi jej pieniądze, mówiła. Nie pozwala chodzić na zakupy, choć zarabia więcej niż on. Nie pozwala nosić sukienek.

– Nie pozwala mi widywać się z przyjaciółkami.

Z przyjaciółkami? Nie wiedziałam nawet, co to takiego. Lubiłam przebywać w towarzystwie Sarity, Suneety i Pam w Cranford Community School, ale kiedy ojciec i dziadek oznajmili mi, że te dziewczyny nie mogą przychodzić do nas, a ja do nich, oznaczało to dla mnie koniec dyskusji. Więc nigdy nie spotykałyśmy się poza szkołą i straciłyśmy wszelki kontakt w dniu ostatniego egzaminu. Nie zostały zaproszone na mój ślub – zresztą nikogo nie zaprosiłam. Bo nie miałam kogo zaprosić.

Mam dwadzieścia dwa lata i ani jednej przyjaciółki na świecie.

Nie tylko ja wysłuchiwałam narzekań Surjit. Czasem słyszałam, jak rozmawia przyciszonym głosem z naszą najstarszą szwagierką Bhajan Kaur Bhinder. Z jakiegoś powodu Surjit uważała, że może jej zaufać, i często bywała u niej w domu.

Nie wiem, co Bhajan radziła Surjit, ale musiałam przyznać – w kwestii strojów i miejsca żony w rodzinie – że prawdopodobnie podzielałam opinię Sukhdave'a!

Nigdy nie powiedziałabym tego Surjit, ale słusznie czy nie, wychowano mnie w przekonaniu, że mamy w życiu wyznaczone role. Bez względu na to, co podpowiadał mi instynkt, wpajano mi, jeszcze na długo przed pobytem w Indiach, że mamy być przede wszystkim dobrymi córkami, matkami i żonami. No, ale Surjit trafiła do rodziny Athwalów w bardzo młodym wieku.

Patrząc wstecz, nie mogę wprost uwierzyć, że byłam tak pruderyjna i pobożna. Ale tak mnie właśnie wychowano. Tak głęboka była w moim przypadku indoktrynacja naszej kultury. Przypuszczam, że obie z Surjit stanowiłyśmy dwie strony tej samej monety. Surjit kwestionowała wszystko, a ja podążałam ścieżką, którą mi wskazano. Żałuję tego teraz i na pewno nie chciałabym, by moje córki odznaczały się podobną uległością. Całe moje życie było jednak czymś w rodzaju edukacji, a moja młoda szwagierka sprawiała wrażenie najbardziej nieposłusznej dziewczyny w szkole.

Byłam w duchu przerażona niezależnością Surjit, ale inni głośno dawali wyraz swemu oburzeniu. A najgłośniej robiła to nasza teściowa.

Co powiedziałyby społeczność, gdyby ktokolwiek zobaczył Surjit w towarzystwie przyjaciółek, a nie męża? Jak ona, Bachan Kaur, mogłaby spojrzeć w twarz współwyznawcom w świątyni, wiedząc, że jej synowa kupuje sobie spódnice, sukienki i inne zachodnie akcesoria? Było to śmieszne, ale tak właśnie Bachan Kaur uważała. Więc obmyśliła pewien plan.

– Zostaniesz ochrzczona.

Chrzest w religii sikhijskiej to coś, czego nie należy traktować lekko. Jest to ceremonia, której może poddać się każdy mężczyzna i każda kobieta, kiedy uznają, że są gotowi uczynić następny krok w swej wierze. Wewnętrznie ktoś taki zobowiązuje się do ścisłego wegetarianizmu, częstszej obecności w świątyni i bardziej pobożnego stylu życia, któremu mają towarzyszyć modlitwy rano i wieczorem. Zewnętrznie ślubuje nosić przez cały czas pięć „k” (*kes, khanga, kara, kirpan* i *kacchera* – nieobcięte włosy, drewniany grzebień, stalową bransoletę, mały sztylet i określoną bieliznę), zgodnie z nakazem Dziesięciu Guru. Je na metalowych talerzach tylko specjalnie przyrządzone potrawy – ugotowane przez siebie samego albo przez kogoś równego mu pod względem duchowym (Bachan Kaur, co było dla niej dogodne, ignorowała tę zasadę, kiedy trzeba było ją obsłużyć). Wszystko, co wiąże się z chrztem, począwszy od turbanu, który Surjit musiałaby nosić poza swoim pokojem, miało służyć publicznemu okazywaniu wiary – której, jak sędzę, nie była gotowa przyjąć.

Bachan Kaur musiała o tym wiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że postrzegła chrzest jako metodę kontrolowania synowej.

W gruncie rzeczy postrzegła go jako metodę kontrolowania obu synowych – ja także otrzymałam polecenie uczestniczenia w tej uroczystości!

Nie miałam odwagi sprzeciwić się otwarciu Bachan Kaur, ale całą siłę mojego gniewu odczuł Hardave.

– Dlaczego chce, żebym to zrobiła? – spytałam, gdy tylko zostaliśmy sami. – Jestem religijna, modłę się codziennie, ubieram w odpowiedni sposób, chodzę do świątyni. Uważa, że to za mało?

Hardave wydawał się zaskoczony moją furią. Nie przywykł do czegoś takiego, z drugiej jednak strony nikt wcześniej nie kwestionował mojej wiary.

– Nie o ciebie się chyba martwi...

Wiedziałam, że ma rację, ale to było typowe dla jego matki – wziąć i mnie na postronek, korzystając z okazji. Kto jak kto, ale ona wiedziała, że chrzest powinien być sprawą osobistą, rodzajem kontraktu zawartego między sikhem a Bogiem. Jestem pewna, że rozważałabym ten krok, gdybym tylko doszła do wniosku, że jestem gotowa. Ale to nie wystarczało Bachan Kaur. Chciała mnie zmusić do ceremonii, ponieważ podniosłoby to ją w oczach tych, którzy uczęszczali do świątyni. Moje uczucia, moja wiara i moja łączność z Bogiem nie miały dla niej większego znaczenia. Bez względu na to, jak ciężko pracowałam, obie, ja i Surjit, byłyśmy tylko pionkami, które przesuwiała do woli, ilekroć uważała to za korzystne dla siebie.

Ceremonia odbyła się w Birmingham. Przewodniczyło jej pięciu wysokiej rangi ochrzczonych sikhów, a my w liczbie dwanaściora powtarzaliśmy ich słowa

i śpiewaliśmy hymny wraz z licznym zgromadzeniem. Potem nadszedł czas na łyk amrit – świętej wody – symbolizujący nasze oczyszczenie i oznaczający, że przyjęliśmy boską esencję. Była to piękna i pełna głębokiej refleksji chwila i to nie ona budziła mój sprzeciw. Z trudem godziłam się z myślą, że moje życie zostanie poddane kolejnym ograniczeniom i restrykcjom i że będę zmuszona nosić na głowie turban.

Choć było to ważne wydarzenie rodzinne, moich rodziców i rodzeństwa nie zaproszono. I nie była to moja decyzja. Przy pierwszej nadarzającej się okazji odwiedziłam bliskich. Ich pierwszy komentarz, co zrozumiałe, dotyczył mojego nakrycia głowy.

Siostry były zszokowane.

– Dlaczego nosisz coś takiego? – spytała piskliwym głosem najmłodsza Dalvinder. – Tylko tatusiowie je noszą.

Ojciec też był zaskoczony i skonfundowany. Co ja wyprawiam?

– Muszę to nosić, tato – wyjaśniłam. – Zostałam ochrzczone.

– Byłaś na to gotowa? To decyzja, której konsekwencje ponosi się przez całe życie.

Moje milczenie mówiło samo za siebie.

– Gdybym tam był, nie pozwoliłbym ci na to.

Co tłumaczy dobitnie, dlaczego Bachan Kaur ich nie zaprosiła...

Mama też była poruszona.

– Zgadzam się z twoim ojcem. Powinnaś go zdjąć z głowy, chyba że chcesz go nosić.

– Nie wolno mi.

– Oczywiście, że ci wolno. Nikt nie może cię do tego zmusić, jeśli ty sama nie chcesz.

– Nie rozumiecie!

– Czego nie rozumiemy? – spytał tata.

Wiedziałam jednak, że nie mogę mu powiedzieć, więc znowu ugryzłam się w język i opuściłam ich dom, wiedząc, że zmartwiłam i zdenerwowałam ludzi, którzy są mi najbliżsi na świecie.

Nosiłam turban chyba z rok. O dziwo, Surjit też tak długo wytrzymała. A potem, pewnego dnia, obie postanowiłyśmy pozbyć się tego nakrycia głowy. Chichocząc konspiracyjnie jak psotne uczennice, zeszyłyśmy jednocześnie na dół i czekałyśmy na to, co się wydarzy. Niewiarygodne, jak bardzo podniosło nas to na duchu. Jeszcze bardziej niewiarygodna była reakcja naszej teściowej. Nie złorzeczyła, wbrew moim obawom. Popatrzyła tylko z dezaprobatą, po czym przeszła nad tym do porządku dziennego, jakby się tym w ogóle nie zajmowała.



Czy zmusiła nas do tego bez powodu, na darmo?

Mogłam spodziewać się po niej wszystkiego.

Podczas gdy ja zdjęłam turban dlatego, że nie bardzo wierzyłam w to, co symbolizuje, a tym samym miałam poczucie fałszu, Surjit odrzuciła to nakrycie głowy w geście protestu. Nie poprzestała jednak na tym. Kiedy zeszła następnego dnia na dół, okazało się, że pozbyła się nie tylko turbanu.

Obcięła też włosy.

Oznaczało to w praktyce naruszenie jednego z pięciu „k”. Teściowa nie mogła być zadowolona.

I nie była, jednak jej reakcja wydawała się dziwnie wstrzemięzliwa. Albo tak sądziłyśmy. Kiedy jednak Sukhdave wpadł tego wieczoru we wściekłość, powód mógł być tylko jeden. Bachan Kaur poinstruowała go, co ma mówić.

– Jak śmiałaś obciąć włosy! – wrzasnął Sukhdave na swoją żonę.

– Twoje siostry też je obcięły – odparła chłodno Surjit.

– To co innego.

– Pod jakim względem?

– Ich mężowie im na to pozwolili.

– Więc?

– Więc... nawet mnie nie spytałaś.

– To nie twoja sprawa, jaką mam fryzurę.

– Owszem, moja. Jestem twoim mężem.

Kłótnia trwała bez końca. W domu o cienkich jak papier ścianach, gdzie wszyscy mieszkali razem, słyhać było każde słowo. Po pewnym czasie Sukhdave i Surjit nie próbowali nawet kryć się ze swoimi kłótniami. Nie musiałam ich słuchać, by wiedzieć, jak źle się między nimi układa. Surjit nie szanowała Sukhdave'a – ani jako swego szefa, ani jako partnera – i nie bała mu się tego okazywać. Trzeba na jej usprawiedliwienie zauważyć, że poślubiła człowieka, który – jak sama sądziła – będzie głową rodziny, tymczasem związała się z marionetką kontrolowaną na każdym kroku przez dominującą matkę, i w rezultacie wylądowała jeszcze niżej.

– Musisz nauczyć się okazywania szacunku. – Sukhdave pokręcił głową, wymaszerowując gniewnie z pokoju. – Za dużo sobie pozwalasz.

Jak pokazały następne miesiące, awantura o włosy była jedną z wielu. Paradoksalnie – zważywszy, jak bardzo się prowokowali – Surjit miała do męża największe pretensje o to, że nigdy go przy niej nie ma. Sukhdave, prócz tego, że pracował na pół etatu jako mechanik, spędzał mnóstwo czasu przy samochodach, które stały na podjeździe przed domem – czasu, który według Surjit powinien poświęcać jej i córce.

Atmosfera w domu stała się trudna do zniesienia, nawet dla mnie. Surjit coraz mniej liczyła się ze słowami, a ja nie chciałam, by mama albo jej córki oskarżyły mnie o znowę ze szwagierką. Wydaje się to z perspektywy czasu tchórzliwe, ale to nie był mój problem. Surjit sama musiała dogadać się z mężem – najlepiej bez udziału jego matki.

Uświadamiałam sobie, jak bardzo dopisało mi szczęście, że wyszłam za Hardave'a. Biorąc pod uwagę, jak niewiele miałam do powiedzenia w kwestii małżeństwa, mogłam równie dobrze poślubić jego brata. W naszym pokoju, kiedy Tara już spała, czułam się na tyle pewnie, by rozmawiać o tym, co się dzieje. Nie wypowiadając słowa krytyki pod adresem matki, Hardave zgadzał się, że byłoby znacznie lepiej, gdyby jego brat i Surjit mieszkali osobno. Jak się okazało, nie tylko my tak uważaliśmy.

Pierwszego stycznia 1994 roku Surjit wyprowadziła się z domu.

## Rozdział dziewiąty

### TO CHŁOPIEC

Wstyd.

Bachan Kaur nie kryła oburzenia.

– Nie mogła odejść tak po prostu. To niedopuszczalne. Dlaczego jej nie zatrzymałeś?

Biedny Sukhdave słyszał to pytanie co chwila. Nie dość, że opuściła go żona, to jeszcze musiał znosić tyradę matki, która twierdziła, że to wszystko jego wina. Było to tak niesprawiedliwe, że pewnie sam miał ochotę się wyprowadzić.

Ale jak Surjit powiedziała mi później, nie pierwszy raz odeszła z domu. Tym razem jednak zrobiła to z własnego wyboru.

Wydarzyło się to w 1988 roku, zanim w ogóle usłyszałam nazwisko Athwal. Jakby nie dość było koszmarnego oskarżenia o zamordowanie nienarodzonego dziecka, Sukhdave i Bachan Kaur kazali się Surjit wyprowadzić.

Wciąż przybita po tej koszmarnej stracie udała się do jedyne miejsce, jakie przyszło jej do głowy – do domu rodziców w Coventry. Dokąd mogła pójść? Kto przyjąłby ją pod swój dach?

Wydawało jej się, że nie zobaczy więcej męża. Myliła się jednak. Sukhdave pojawił się pewnego dnia w domu jej ojca, błagając o wybaczenie.

– Przepraszam, musisz mi uwierzyć. Proszę, wróć.

Obiecał, że się zmieni. Że wie, że nie ze swojej winy straciła dziecko. Błagał, by z nim wróciła. Choć bardzo chciała powiedzieć nie, zdawała sobie sprawę, że sikhijka, która odchodzi od męża, naraża się na nieprzychylność społeczności. To właśnie miało największy wpływ na decyzję Surjit, pomijając naciski ze strony rodziców, namowy teściów i po prostu wiarę.

– Nie mogę wrócić do tego domu – oświadczyła w końcu.

Sukhdave zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Dobrze. Znajdziemy coś innego. Tylko wróć ze mną.

– Okay.

Wyjechali razem jeszcze tej nocy. Nim dotarli do autostrady M6, atmosfera w samochodzie wyraźnie się pogorszyła. Po półgodzinie Sukhdave krzyczał, powtarzając obelgi i oskarżenia, które wcześniej zmusiły Surjit do odejścia.

Powiedziała mu wtedy, że pomyliła się i że nie chce jednak wracać.

Zjechał na pobocze autostrady i wrzasnął:

– Wysiadaj!

Popatrzyła w nocną ciemność. Panował ziąb, w pobliżu nie było żadnej drogi dla pieszych, a oni znajdowali się Bóg wie gdzie.

– Przepraszam – powiedziała. – Jedźmy do domu.

Nadszedł rok 1994 i tym razem Surjit opuściła dom z własnej woli – co bardzo się nie spodobało Bachan Kaur.

I znowu wysłano Sukhdave'a, by zwabił ją z powrotem. Odnalazł żonę w wynajętym pokoju przy Lothian Avenue w Hayes. Jak mi później powiedziała, nie dała się zwieść jego słowom. Zebrało się zbyt dużo złej krwi, wyjaśniła. Z początku Sukhdave zachowywał się spokojnie. Zakładał, jak sędzę, że jego żona się ugnie. Kiedy tego nie zrobiła, nie ograniczył się do wyzwisk. Użył jako argumentu pięści.

Surjit wezwała policję, ale Sukhdave zdążył wyjść, nim zjawili się funkcjonariusze. Zmieniła czym prędzej adres, ale mąż znowu ją wytropił. Nie chciała go wpuścić, więc zaczął dobijać się do drzwi. Najpierw ją błagał i wyznawał miłość. Kiedy to nie poskutkowało, przeszedł do grózb.

– Wróć do mnie, Surjit, bo cię zabiję!

Nie były to przyjemne słowa, ale przynajmniej nie posługiwał się pięściami.

Gdy tylko się zorientowała, kto stoi pod drzwiami, wezwała policję. I znów Sukhdave zdołał się ulotnić przed przyjazdem radiowozu. Wracał jednak kilkakrotnie, by przeproszać i grozić na przemian, nim zjawiała się policja.

Minął kolejny miesiąc i Surjit przeprowadziła się gdzie indziej. Miała niewiele pieniędzy; wiedziała, że uda jej się odejść od męża tylko wtedy, gdy zacznie więcej zarabiać; mogłaby nawet wziąć do siebie Pawanpreet i sama ją wychowywać.

W 1994 roku znalazła pracę w biurze podatkowym lotniska Heathrow, w wydziale ceł i akcyzy. Dowiedziałam się o tym tylko dzięki krążącym w domu plotkom, a Hardave'owi powiedział brat, który śledził Surjit!

Nie mam pojęcia, jak długo to robił, ale w końcu został zauważony.

– Sukhdave? Co ty tu robisz?

– Chcę tylko porozmawiać.

Słyszając o tym, przypomniałam sobie, jak przed wielu laty pod moim biurem pojawił się Hardave. Tamta wizyta zakończyła się naszym ślubem, ta zaś, dziwnym zbiegiem okoliczności, też miała pozytywny rezultat. Może dzięki pewności, jaką dawała jej praca, a może dlatego, że czuła się samotna, Surjit postanowiła zapomnieć o groźbach i prześladowaniach. Ale tym razem z jednym zastrzeżeniem.

– Nie wróć do tego domu.

Tak jak sześć lat wcześniej, Sukhdave się zgodził. Surjit była już jednak starsza i mądrzejsza. Nie dała się podejść i namówić, by zamieszkali chwilowo przy Willow Tree Lane, podczas gdy Sukhdave będzie rzekomo szukał jakiegoś lokum. A ponieważ była w lepszej sytuacji finansowej, mogła pozwolić sobie na czekanie.

Sukhdave musiał dokonać wyboru. Postanowiono ostatecznie, że wprowadzi się z Pav i Surjit do mieszkania w Hillingdon. Czy to on podjął tę decyzję, czy jego matka – Surjit nigdy się nie dowiedziała. Cieszyła się jednak, że nie jest sama. I że jest poza zasięgiem Bachan Kaur.

Jej zysk okazał się moją stratą. Wraz z odejściem Surjit musiałam poświęcać więcej czasu na opiekę nad dzieckiem i obowiązki domowe. Co gorsza, byłam w domu jedyną osobą, którą teściowa mogła prześladować. Bez względu na to, czy robiła to celowo, czy dlatego, że była z natury niemila, krytykowała mnie niemal na każdym kroku. Nie gotowałam dość dobrze i nie sprzątałam jak należy. Oczywiście sama mogłaby mi pomóc, gdyby tak bardzo martwiła się o niedoróbki. Ale nie o to jej chodziło. Nigdy.

Hardave też sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi nieobecnością brata. Nigdy się przede mną nie przyznał, że matka poświęca mu zbyt dużo uwagi, ale nie ulegało wątpliwości, że prosiła go, by spędzał z nią więcej czasu. Lubiła napić się ziołowej herbaty w towarzystwie kogoś z rodziny. Czasem posyłała po mnie, tak jak wcześniej po Surjit, a czasem zmuszała Hardave'a do rozmowy na błahe tematy. Myślę, że wszyscy odczuwaliśmy ulgę, kiedy szła do pracy na Heathrow, tak jak Surjit. Na szczęście dla mojej szwagierki lotnisko było duże. Jeśli Surjit bała się, że wpadnie któregoś dnia na Bachan Kaur, to nie okazywała tego.

Po dwóch miesiącach nieobecności Sukhdave wrócił nagle do domu, ale wcale nie po to, żeby oznajmić, że jego małżeństwo jest skończone. Przedstawił natomiast pewien plan. Nasz sąsiad, starszy człowiek, zgodził się sprzedać swój dom. Problem polegał na tym, że pensja Sukhdave'a jako kierowcy autokaru – ponownie na pół etatu – była zbyt niska, by mogła stanowić zabezpieczenie kredytu hipotecznego. Nawet przy uwzględnieniu zarobków Surjit kasa oszczędnościowo-budowlana udzieliła odpowiedzi odmownej. Koniec końców, Bachan Kaur oświadczyła, że to ja i Hardave będziemy widnieć na akcie notarialnym jako właściciele. Nie mieliśmy nic przeciwko temu. Nie płaciliśmy przecież ani grosza. Nie udawałam, że cokolwiek rozumiem. Wiedziałam tylko, że 23 sierpnia do domu pod numerem 88 przy Willow Tree Lane wprowadziła się Surjit.

Sądząc po zamieszkaniu, jakie moja teściowa robiła w związku z nabyciem domu, można było pomyśleć, że sama go kupiła. Dla Surjit była to bardzo zła wiadomość. Oświadczywszy, że nie chce mieszkać pod numerem 90, zrobiła to

tylko z jednego powodu: by uciec przed Bachan Kaur. W chwili jednak, gdy sfinalizowano nabycie nieruchomości pod numerem 88, mama stwierdziła, że też się tam wprowadza. Czy chciała zrobić na złość synowej, czy mieć ją stale na oku – nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jej ukochany syn nie sprzeciwił się temu, ja zaś nie posiadałam się ze szczęścia.

Niestety, okazało się, że nie uwolniłam się od teściowej całkowicie. Po wyprowadzce Bachan Kaur przerobiła pakamerę w naszym domu na pokój modlitewny. W rogu, pod tradycyjnym daszkiem, umieszczono Świętą Księżę i każdego ranka i wieczora teściowa zjawiała się na górze, żeby złożyć nam uszanowanie. Widywałam ją tak często, jakby wciąż tu mieszkała. Co gorsza, nigdy nie pukała. Siedzieliśmy w salonie albo w swoim pokoju i słyszeliśmy metaliczny dźwięk ogrodowej furtki. Chwilę później do naszych uszu dobiegał stukot drzwi kuchennych – znak, że mama wchodzi do domu. I choć nigdy się nie zapowiadała z wizytą, miała do nas pretensje, jeśli nie witaliśmy jej odpowiednio.

Mimo wszystko cieszyłam się, że Surjit mieszka tuż obok. Nie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami – przypuszczam, że zawsze dzieliła nas różnica poglądów na różne sprawy – ale, pomijając moje siostry, uważałam ją za najbliższą osobę na świecie. Nigdy nie zamierzałam wnikać w to, dlaczego uciekła; wiedziałam, że sama to wyjaśni w swoim czasie. Pewnego dnia jednak zjawiała się z wiadomością, której nie oczekiwałam.

Ponieważ Surjit pracowała teraz na lotnisku, zastanawiałam się nieraz, czy spotyka przypadkiem mamę. Nie zdarzyło się to dotąd, choć Surjit dzięki koledze z pracy coś odkryła. Owszem, mama pracowała na Heathrow, ale nie w bagażowni, jak twierdziła, ale przy sprzątaniu toalet.

Uważam, że praca to praca. Człowiek robi to, co musi, żeby zarobić na życie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Bachan Kaur dbała o swoją pozycję w społeczności. Ironia polegała na tym, że nikt w świątyni – jeśli był dobrym sikhem – nie osądzał człowieka po tym, czym się zawodowo zajmuje. Co innego kłamstwo. Uważano, że jest niedopuszczalne. Zwłaszcza kłamstwo wobec rodziny i przyjaciół. Bachan Kaur jednak nigdy tego tak nie postrzegła. Było jasne, że pomimo zewnętrznych objawów pobożności ego jest dla niej ważniejsze niż wiara.

Była jeszcze jedna kwestia, którą Surjit ku mojemu zadowoleniu wyjaśniła. Musiałam ją spytać, dlaczego, odchodząc z domu, nie zabrała ze sobą córki.

– Nie pozwolili mi.

– Ale przecież jesteś jej matką. Trzeba było postawić na swoim.

– Wiem. Powinnam była tak zrobić. Ale sądziłam, że Pav kocha naszą teściową bardziej niż mnie.

Wydawało się to śmieszne i nie ukrywałam tego.

– Dlaczego tak myślisz, na Boga?

- Nazywa Bachan Kaur mamusią.
- Bachan Kaur jej kazała! Wiesz o tym.

Uświadomiłam sobie wtedy, jak smutna i przygnębiona musi być moja szwagierka. Pomijając wszystkie inne powody, dla których nie należało ufać naszej teściowej, to, co zrobiła – rozdzielenie Surjit z córką – było jednym z jej najgorszych postępów.

I nie ostatnim, jak się okazało.

Bez względu na powody, jakimi kierowała się Surjit, wracając do Sukhdave’a, nie rozmawiali o nich. Kiedy znów pojawiła się na Willow Tree Lane, była inną kobietą niż przedtem. I co więcej, wciąż się zmieniała. Jak Sukhdave sobie z tym radził?

Myślę, że jakoś próbował. Oboje próbowali. Ale jak zwykle ktoś się wtrącił. Kiedy Sukhdave się zgodził, by Surjit odwiedzała znajomych po pracy, Bachan Kaur powiedziała mu, że źle postąpił.

– To twoja żona. Jej miejsce jest w domu, przy tobie, nie u obcych.

Jestem pewna, że się sprzeciwił; Surjit zgodziła się wrócić do niego pod jednym warunkiem: że będą żyć z dala od jego matki. I tak było już fatalnie, że Bachan Kaur zniweczyła ten plan. Gdyby Surjit się zorientowała, że jej teściowa znowu wszystkim rządzi, suszyłaby mężowi bezustannie głowę.

W końcu Sukhdave zrobił to, co zawsze, to znaczy ustąpił. Wciąż słysząc słowa matki, przekazał żonie to, co mu kazano. Nie zostało to dobrze przyjęte.

– Wiem, kto cię na to namówił.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Choć powtarzał to wielokrotnie, Surjit nie była przekonana. I z pewnością nie zamierzała wracać do dawnego życia, od którego już raz uciekła.

\*

Miesiące upływały, a klin wbity między Surjit i Sukhdave’a rósł z każdym dniem. Im dłużej pracowała, tym więcej miała znajomych. A im więcej miała znajomych, tym częściej była zapraszana. Bez względu na to, kim była w domu, w oczach świata uchodziła za radosną dwudziestotrzylatkę – w dodatku preferującą zachodni styl.

Sukhdave i Surjit zawsze spierali się o to, co ona chciała nosić i kto miał za to płacić. Surjit po swoim powrocie, na zasadzie ustępstwa, zgodziła się nie poruszać tego tematu. Jednak gdy Sukhdave złamał obietnicę, że nie będzie jej suszył głowy o znajomych, Surjit uznała, że nie musi ze swej strony przestrzegać zasad rozejmu. Z początku udawała przynajmniej, że respektuje życzenia rodziny, i wychodziła

z domu w tradycyjnym stroju. Ale było to tylko na pokaz. Po przyjeździe na Heathrow, nim zasiadła przy swoim biurku, przechodziła odzieżową przemianę. Potrzebowała niespełna dziesięciu minut w toalecie, żeby przebrać się w spódnicę i bluzkę. Nawet chusta na głowę lądowała w torbie, obok salwar kamizu.

Z tego, co mówił Hardave, wynikało, że Surjit nie poprzestawała na zmianie ubrania. Jak twierdził jego brat, zdarzało jej się wracać do domu z makijażem. Czasem zauważał, że wychodziła w jednym stroju, a wracała w innym. Ponieważ oba były tradycyjne, nie miał powodu się skarżyć. Ale to go nie powstrzymało...

W końcu Surjit przestała nawet udawać. To Bachan Kaur powiedziała mi pierwsza, jaką hańbę przynosi jej synowa, ale nie miałam ochoty tego słuchać. Wiedziałam doskonale, że teściowej nie chodzi o dobro mojej szwagierki. Kilka dni później rano dostrzegłam przelotnie jakąś kobietę w spódnicy, wychodzącą z sąsiedniego domu. Upłynęła chwila, nim zrozumiałam.

Czyżby to Surjit?

Czarna spódnica kończyła się powyżej kolan, więc to nie mogła być ona. Lecz kiedy się odwróciła, rozpoznałam te śmiałe, wyraziste rysy.

Nie mogę uwierzyć...

Sukhdave ją tracił. Nawet ja to widziałam. Kiedy Surjit zaczęła wracać do domu pijana i, jak twierdził, włączała stereo, żeby tańczyć w swojej sypialni, był to policzek wymierzony mężowi. Przecież została ochrzczona. Przysięgała, że nigdy więcej nie tknie alkoholu. A mimo to, wracając z trudem do domu, chichotała i chwiała się na nogach, po czym kładła się do łóżka. Sukhdave mógł zareagować w różny sposób, ale zdecydował się na przemoc i wyzwiska. Lecz jeśli sądził, że okiełzna w ten sposób żonę, to się mylił, osiągając skutek odwrotny do zamierzonego.

Przyznaję, że zachowanie Surjit budziło moje zdumienie i jednocześnie przerażenie. Przede wszystkim nie mogłam sobie wyobrazić, bym sama robiła takie rzeczy. Bez względu jednak na to, co czułam, nie było usprawiedliwienia dla jakiegokolwiek przemocy.

W rezultacie Surjit przestała przejmować się mężem. Obiecywała, że wróci do domu o siódmej, a zjawiała się po północy. I nie zamierzała przeproszać. Nie obchodziło jej, co Sukhdave sobie pomyśli, to było jasne. Co zamierzał jej zrobić? Znowu uderzyć? Nie ulegało wątpliwości, że ktoś w końcu nie wytrzyma. Było to tylko kwestią czasu.

Jak się okazało, ja pierwsza nie wytrzymałam. Tkwiłam w samym środku konfliktu między mamą, Sukhdave'em i Surjit i miałam tego dosyć. Wszyscy byli skłócenii i choć martwiło mnie zachowanie Surjit, wiedziałam, co jest źródłem wszelkich problemów. Także moich. I wiedziałam, jak sobie z nimi poradzić – musiałam tylko przekonać Hardave'a.



– Ten dom należy do twojej matki – powiedziałam. – Sukhdave jest właścicielem sąsiedniego. Najwyższy czas, żebyśmy postarali się o swój własny.

Nie od razu się zgodził. Nigdy by nie przyznał, że to jego matka zatruwa całą rodzinę, dostrzegał jednak zalety mieszkania osobno. W styczniu 1996 roku odebraliśmy klucze do domu z trzema sypialniami przy Bishop's Road, także w Hayes.

Miałam swoją córkę, męża i wolność. Niczego więcej nie pragnęłam.

Więc oczywiście ktoś musiał to popsuć.

Pewnego wieczoru zadzwonił telefon i Hardave odebrał. Kiedy wszedł do kuchni, od razu się zorientowałam, że coś jest nie tak.

– Muszę jechać do mamy.

– Po co?

– Jest sama. Boi się.

– Nie bądź taki łatwowierny. Ma Sukhdave'a za ścianą.

Hardave westchnął.

– Wiem, ale mówi, że nie chce im przeszkadzać.

Boże, pomyślałam tylko.

– Wykorzystuje cię, Hardave. Przeszkadzałyby im przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdyby przyszła jej na to ochota. Nie, chce ci pokazać, że to ona wciąż rządzi i wszystko kontroluje. Nie jedź do niej.

– A jeśli naprawdę się boi?

– Dobrze, jedź.

Byłam na niego wściekła, że jak zwykle nie potrafi się sprzeciwić. Nie dlatego, bym miała pretensje, że chce pocieszyć matkę, ale dlatego, że z jej strony była to gra o władzę, w której już zwyciężyła. Mieszkaliśmy osobno ledwie od miesiąca, a już wiadomo było, na co się zanoszą.

Dwa miesiące później wprowadziliśmy się z powrotem do domu przy Willow Tree Lane.

Relacje między Surjit, Sukhdave'em i Bachan Kaur były gorsze niż kiedykolwiek. Surjit nawet się nie starała ukryć swojej pogardy wobec ich prób kontrolowania swojej osoby; Sukhdave odchodził dosłownie od zmysłów. Był kierowcą autokaru na pół etatu i chciał mieć żonę w domu przez dwadzieścia cztery godziny, na każde zawołanie, choć jednocześnie doceniał to, że Surjit zarabia. Ożenił się z młodą, piękną kobietą, która nie zaznała dorosłego życia, nim zmuszono ją do małżeństwa.

Zostałam wychowana w określony sposób i uważałam, że to, czego chce Sukhdave, nie jest aż tak oburzające. Mimo to, im dłużej i częściej myślałam o ich związku, tym wyraźniej widziałam samą siebie i swoją sytuację.

Gdzie się podziało moje życie przed ślubem? Wieczory z przyjaciółkami? A co ważniejsze, same przyjaciółki? Po raz pierwszy zaczęłam powątpiewać w słuszność swoich decyzji.

Łatwo było postrzegać Bachan Kaur jako potwora, ale czy naprawdę oczekiwała czegoś więcej niż moja własna rodzina czy też inne rodziny w naszej społeczności? W jej świecie mężczyźni pracowali, a kobiety zajmowały się nimi – choć to ona przyjęła w swoim domu męską rolę. Obie, Surjit i ja, wychowano właśnie w taki sposób. Istniała między nami tylko jedna różnica – moja szwagierka uświadomiła sobie, że jest jeszcze inna droga. Pytanie sprowadzało się do tego, co była gotowa zrobić, by tą drogą podążać.

To, że moja szwagierka poszukuje własnej ścieżki, dawało mi do myślenia, ale niełatwo było wyrzec się wszystkiego, co wpajano mi przez dwadzieścia siedem lat życia, nawet jeśli widziałam na własne oczy, co dzieje się między Surjit i Sukhdave'em. Pomimo wszelkich wątpliwości, jakie się we mnie rodziły, wciąż w głębi duszy byłam dobrą żoną. Nie posiadałam się więc ze szczęścia, gdy wiosną 1997 roku okazało się, że noszę w łonie drugie dziecko Hardave'a.

Cała rodzina była wniebowzięta. Nawet Surjit. Nikt nie mówił po cichu, że powinnam ustąpić komuś innemu miejsca. Był to niezwykle szczęśliwy i, co ważniejsze, pełen szczerości czas.

A potem, trzy miesiące później, kiedy Surjit oświadczyła, że i ona spodziewa się dziecka, wszystko się niewiarygodnie skomplikowało.

– Miałam wrażenie, że nie sypiają ze sobą.

Jeśli Hardave był równie zaskoczony jak ja, to nie dał tego po sobie poznać.

– Najwidoczniej sypiają – odparł. – Mamy dowód jak na dłoni.

Musiałam przyznać mu rację. Tak często jednak słyszałam nocą podniesione głosy dobiegające zza ściany oddzielającej nasze domy, że zadawałam sobie pytanie, jakim cudem śpią pod jednym dachem, nie wspominając już o łóżku.

Bachan Kaur też nie wydawała się specjalnie zaskoczona. Liczyło się dla niej tylko jedno i przy pierwszej nadarzającej się okazji Surjit została zaprowadzona do lekarza na USG. Mama nie chciała czekać sześć miesięcy tylko po to, by znów przeżyć rozczarowanie. Jeśli miała przyjąć do rodziny kolejną dziewczynkę, to chciała wiedzieć o tym już teraz.

Szczerze mówiąc, byłam zbyt pogrążona w swoim własnym świecie, żeby zwracać uwagę na to, co dzieje się po sąsiedzku. Kiedy jednak nadeszły wyniki badań, Bachan Kaur bezzwłocznie przekazała wszystkim radosną nowinę.

– To chłopiec! Mamy chłopca!

Ktoś mógłby pomyśleć, że to jej własne dziecko. Z drugiej jednak strony, zważywszy na to, że kazała mówić do siebie „mamo”, może naprawdę tak uważała.

Szcześniejsza od Bachan Kaur była tylko jedna osoba – Surjit. I to nie z oczywistego powodu, jak by się mogło zdawać. W chwili, gdy się dowiedzieliśmy, że w rodzinie pojawi się męski potomek, Surjit zyskała władzę nad teściową. Kiedy następnym razem Bachan Kaur skrytykowała zachowanie synowej, ta odparła rzeczowo: „Myślałam, że cieszysz się z powodu wnuka”.

Bez względu na to, co jej zarzucano, Surjit tak właśnie reagowała. Była to jedyna odpowiedź, jakiej Bachan Kaur nie mogła nigdy podważyć. Jeśli starsza pani naprawdę wierzyła, że jej synowa dokonała już aborcji, to nie było żadnej pewności, że nie zrobi tego ponownie. Więc Bachan Kaur gryzła się w język, i to co chwila.

Choć jako pierwsza zaszłam w ciążę, praktycznie ginęłam w cieniu Surjit. Nie wiedziałam, czy będę miała chłopca, czy dziewczynkę – odpowiadało mi to. Mieliśmy już mnóstwo dziewczęcych ubranek, a gdyby trafił się chłopiec, tobyśmy mu kupili nowe. Chodziło o to – wyłącznie o to – żeby dziecko było zdrowe. Płeć była drugorzędna.

Jedenastego listopada 1997 roku wróciłam do Hillingdon Hospital. Tym razem Hardave okazał się bardziej odpowiedzialny. I tym razem urodziłam dziewczynkę, cudowną, maleńką Balveen Kaur Athwal. Był to magiczny czas – miałam nadzieję, że i Surjit będzie się tak samo cieszyć, kiedy i na nią przyjdzie pora. Nadarzyła się po temu okazja, gdy 7 marca 1998 roku wreszcie na świat przyszedł jej synek.

Jeśli wcześniej moja teściowa była uradowana, to teraz dosłownie szalała. Staralam się nie okazywać zazdrości, widząc, o ile więcej uwagi poświęca dziecku Surjit niż Balveen, ale byłam w gruncie rzeczy zadowolona, że się nie szarogęsi przy mojej córce. Zrobiło mi się jednak przykro, kiedy oświadczyła: „Musimy wyprawić przyjęcie na cześć dziecka!”, lecz nie tak bardzo, jak jej synowi.

– To nie jest chyba dobry pomysł, mamó – powiedział.

– Dlaczego, na Boga? Świat powinien wiedzieć, że doczekałam się wnuka, a ty pierwszego syna.

– Tak – przyznał Sukhdave. – Problem polega tylko na tym, że nie jest mój.

## Rozdział dziesiąty

### DOBRA SIOSTRA

Odkrył to przypadkiem.

Cztery lata wcześniej Sukhdave zaczął śledzić Surjit, kiedy jechała na lotnisko i wracała po pracy do domu. Mieszkała wtedy sama i chodziło mu o to, by móc z nią porozmawiać. Potem, kiedy zachowanie żony stało się dla niego źródłem kłopotów, chciał wiedzieć, z kim rozmawia.

Sądzę z perspektywy czasu, że Sukhdave byłby szczęśliwszy, gdyby się nigdy nie dowiedział.

Zazwyczaj kiedy Surjit pracowała, zajmował się ich córką. Lecz gdy w pobliżu była akurat jego matka, Sukhdave dzwonił do swojego szefa i prosił o przeniesienie na inną zmianę. Jeśli udało mu się to załatwić, jechał na Heathrow i czekał, żeby zobaczyć, jak Surjit wychodzi z pracy, dokąd się udaje, z kim się spotyka.

I ruszyć w ślad za nią.

Czasem Surjit mówiła mu, że po pracy idzie do przyjaciółki, żeby spędzić niewinny i odprężający wieczór przy pizzy i telewizji. Powtarzała tę opowieść nawet wtedy, gdy Sukhdave widział, jak wchodzi do pubu i po kilku godzinach opuszcza go na chwiejnych nogach. Zaniepokoił się jednak, kiedy naprawdę poszła do znajomej. Po pierwsze dlatego, że miała iść na przyjęcie, jak twierdziła. Po drugie dlatego, że weszła do budynku z mężczyzną.

Można było to wyjaśnić w różny sposób. Nic jednak nie przychodziło Sukhdave'owi do głowy. W następnym tygodniu ruszył za Surjit pod ten sam adres. Zobaczył ją w towarzystwie tamtego mężczyzny. I tym razem się całowali.

Tej nocy w domu doszło do konfrontacji.

- Gdzie byłaś dziś wieczorem?
- Mówiłam ci. Poszłam ze znajomymi.
- Dokąd?
- Do baru. Nie znasz go.
- Kłamiesz. Byłaś z jakimś mężczyzną.
- Co ty mówisz?!

Zdezorientowany i zraniony, Sukhdave starał się zapanować nad sobą.

– Widziałem cię. Z nim.

Surjit zaprzeczyła, tak jak zaprzeczała za każdym razem. Sukhdave jednak

wiedział. A później, kiedy jego żona była w ciąży, wiedział coś jeszcze: że dziecko nie jest jego.

Nie zbliżali się do siebie od wielu miesięcy.

Kiedyś byłabym przerażona niewiernością Surjit. Mimo wszystko starałam się wierzyć w to, co Sukhdave mówił o niej swojemu bratu: „Surjit jest młoda, ale to dobra sikhijka. Nie zrobiłaby tego”.

Nawet wtedy, gdy sama nie mogłam zaprzeczać temu, co zrobiła, nie potrafiłam jej winić. Musiała być taka nieszczęśliwa. Sukhdave prześladował ją, poniżał, wyrzucił z domu, znęcał się nad nią i bił ją. Najczęściej na polecenie matki. Oczywiście Surjit chciała uciec od tego wszystkiego. Uważała, że najlepszy sposób to znaleźć sobie jakiegoś mężczyznę. Było to sensowne, nawet ja tak uważałam.

Nie przewidziała tylko tego, że zakocha się w mężczyźnie żonatym.

Ten mężczyzna – którego nazwiska nie mogę z przyczyn prawnych podać – był starszy od Surjit. I tak jak ona miał rodzinę i dzieci, które czekały na niego w domu.

Ale Surjit się zakochała. Mimo to, kiedy oświadczyła, że spodziewa się dziecka, okazało się, że jest zdana na własne siły. Była w ciąży, czuła się samotna i zdradzona. Oczywiście, starała się wmówić mężowi, że dziecko jest jego. Ale on wiedział. Zawsze wiedział.

Nawet ja podejrzewałam, że coś jest nie tak. Jednak niektórzy ludzie zaprzeczali prawdzie, choć widać ją było gołym okiem. Bachan Kaur, jak można się było spodziewać, miała własne zdanie. Stanowczo odrzuciła przypuszczenie, że to nie Sukhdave jest w tym przypadku ojcem, chociaż sam ją o tym przekonywał.

– Nie mów tak – warknęła. – To twoje dziecko i nie zapominaj o tym.

Czy byłaby tak zaślepiona, gdyby rozmawiali o dziewczynce?

Znałam odpowiedź na to pytanie.

Na pierwszy rzut oka Bachan Kaur nie chciała przyjąć niczego do wiadomości. Zaprzeczała faktom. Dowiedziałam się jednak wkrótce, że miała swój plan. Tak jak zawsze, przekonałam się o tym na własnej skórze, i to dotkliwie. Wszyscy się przekonaliśmy.

Wkrótce po urodzeniu Balveen zjawiła się Surjit z pewnym pytaniem.

– Pamiętasz, jak ty i Hardave pomogliście mi dostać kredyt na dom?

– Oczywiście, że pamiętam – odparłam. – Cieszyliśmy się, że możemy pomóc.

– Zarabiam dostatecznie dużo, żeby wziąć wszystko na siebie. Możecie wycofać się z umowy?

– Czemu nie. Spytam wieczorem Hardave’a.

– Dzięki... ale dlaczego właściwie musisz go pytać?

Wzruszyłam ramionami.

– Pytam go o wszystko. To mój mąż.

Mogłam bez trudu dostrzec, że Surjit uważa mnie za nienormalną. Może naprawdę byłam nienormalna. Ale tak mnie wychowano. Problem polegał na tym, że Hardave też musiał pytać za każdym razem o pozwolenie, bo i jego tak wychowano. Ledwie wspomniałam mu o prośbie Surjit, od razu postanowił skonsultować się z mamą. Gdybym chciała poznać jej opinię, sama bym ją spytała.

– Dokąd idziesz? Jesteś mężczyzną. Ty podejmujesz za nas decyzje. Powiedz przynajmniej raz w życiu, co mam robić.

Patrzył na mnie przez chwilę, potem wyszedł z pokoju. Zastanawiałam się, jak długo będę jeszcze znosić jego tchórzostwo, nim stracę do niego wszelki szacunek.

Nie byłam szczególnie zaskoczona, kiedy wrócił po dziesięciu minutach w towarzystwie Bachan Kaur. Przynajmniej nie wahała się przed podjęciem decyzji.

– Nie możesz tego zrobić – oświadczyła. – Zakazuję ci.

– Dlaczego, u licha? Nie mieszkamy tam, nie płacimy za dom. Należy do Surjit i Sukhdave'a, nie do nas.

– Tak – odparła opryskliwie Bachan Kaur. – Ale jeśli Surjit postanowi rozwieść się z Sukhdave'em, to odbierze mu dom. Mój syn wyląduje na ulicy.

– To śmieszne. Nie rozwiodą się.

Nie wiem, dlaczego byłam taka pewna. Chyba dlatego, że – jak wierzyłam zgodnie z wychowaniem – zerwanie małżeństwa nigdy nie wchodziło w rachubę.

– Nie znasz tej kobiety – powiedziała Bachan Kaur, a potem zniżyła konspiracyjnie głos. – Jest zła. Nienawidzi mojego syna. Próbuje zmusić cię podstępem, żebyś go skrzywdziła.

Uznałam, że popada w paranoję. Surjit nigdy nie przyszedłoby to do głowy.

– Mama ma rację – wtrącił Hardave. – Nasze nazwisko pozostanie na akcie hipotecznym.

– Powiem Surjit – oznajmiła Bachan Kaur.

Myślałam, że na tym się skończy, ale gdy następnym razem Surjit się zjawiała, zauważyłam, że całkowicie mnie ignoruje. Nie byłam przygotowana na to, by znosić to we własnym domu.

– Jakiś problem, Surjit?

– Co ty wyprawiasz? – spytała gniewnie. – Dlaczego nie chcesz mi zwrócić domu?

– Mama powiedziała, żebym tego nie robiła – wyjaśniłam.

– Kłamiesz. Wiem, że to ty za tym stoisz. Chcesz tego domu dla siebie.

– Surjit, to nieprawda.

– Daruj sobie. Nie wierzę ci.

Wieczór upłynął w koszmarnej atmosferze. Przez kilka następnych tygodni

Surjit nie odzywała się do mnie. Hardave twierdził, że spotyka się z jej strony z takim samym traktowaniem.

Potem, niespodziewanie, zadzwonił do mnie ojciec. Było to niezwykle. Na ogół czekał, aż to ja do niego zadzwonię. Kiedy już wymieniliśmy uprzejmości, przeszedł od razu do rzeczy.

– Kto jest właścicielem domu pod numerem 88?

– Pod numerem 88? Chodzi ci o dom sąsiadujący z naszym?

Nawet kiedy odparł „tak”, nie mogłam się w żaden sposób zorientować, o co mu chodzi.

– To twoje nazwisko widnieje na akcie hipotecznym? – spytał.

Teraz byłam kompletnie zdezorientowana.

– Tak, tato. Moje i Hardave’a.

– Dlaczego?

– Sukhdave i Surjit nie mogliby dostać bez tego kredytu – wyjaśniłam sytuację.

– Rozumiem – odparł ojciec. – Masz udziały w tym domu? Zainwestowałaś w niego jakieś pieniądze?

– Nie. Wszystko ograniczyło się do podpisów. – Nie czekałam, aż zada następne pytanie. – Słuchaj, tato, o co właściwie chodzi?

Powiedział mi, że zadzwoniła do niego matka Surjit. Chciała koniecznie wiedzieć, dlaczego odmawiam jej córce prawa do własnego domu. Więc tata skontaktował się ze mną, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– To jasne – powiedział. – Musisz usunąć swoje nazwisko z aktu własności.

– Nie mogę.

Teraz to on nie rozumiał.

– Dlaczego, na Boga?

– Nie wolno mi. Mama, to znaczy moja teściowa, zabroniła tego.

Jak wyjaśniłam, Bachan Kaur obawiała się, że Surjit się rozwiedzie i wyeksmituje Sukhdave’a.

– No cóż, Surjit przedstawia to inaczej. Twierdzi, że nie chcesz usunąć nazwiska z aktu hipotecznego, ponieważ zamierzasz ciągnąć z domu zyski.

– To kłamstwo, tato!

– Wiesz, na czym polega problem? – powiedział w końcu. – Twoja teściowa każdej z was mówi co innego. Próbuje was skłócić. Muszę z przykrością stwierdzić, że nie jest wobec was szczerą, ani wobec ciebie, ani wobec Surjit. Przykro mi.

To nie była jego wina, ale to on sprawił, że w ogóle poznałam panią Athwal, i wiedział o tym. Zawsze uważałam, żeby w obecności rodziców nie mówić niczego złego o swojej nowej rodzinie. W końcu tata zorientował się w sytuacji.

Zadzwonił do mnie później i poinformował, że ponownie rozmawiał z matką

Surjit. Kiedy zobaczyłam szwagierkę następnym razem, okazała mi znacznie więcej sympatii. Obie wiedziałyśmy, na czym polega problem.

– Przepraszam. Powinna być wiedzieć, że jesteś dobrą siostrą – powiedziała.  
– Ale ona znowu to zrobiła. Jesteśmy wszyscy jak marionetki, a ona pociąga tylko za sznurki.

Musiałam się z nią zgodzić. Szkoda, że wcześniej nie przejrzałyśmy jej machinacji, ale przynajmniej między mną i Surjit znów zapanowała zgoda.

\*

Teściowa nie była zachwycona interwencją moich rodziców. Na dobrą sprawę była wściekła, że się wtrącają, podobnie jak rodzice Surjit. Uważała, że to sprawa rodzinna. Jakim prawem rozmawiałyśmy o tym poza ścianami domu przy Willow Tree Lane? Zapomniała, jak często jej własne córki, mieszkające przecież gdzie indziej, interweniowały u niej w różnych sprawach.

Nie potrafiłam się jej przeciwstawić, kiedy na mnie wrzeszczała. Żałowałam, że nie umiem ignorować jej krytycyzmu, tak jak robiła to Surjit. Ale Bachan Kaur jawiła się jako ktoś wszechwładny, gniewny, górujący nad innymi. I była głową mojej rodziny. Cokolwiek o niej myślałam, pełniła funkcję szefa.

Surjit nie tylko nie dawała jej się zastraszyć, ale też bez wahania się jej sprzeciwiała. Jeszcze raz postanowiła wyprowadzić się z domu pod numerem 88.

Tym razem jednak postanowiła zabrać ze sobą dzieci.

Wciąż mam wyrzuty sumienia, że ją powstrzymałam. Pewnego ranka, przypadkiem, zauważyłam ruch przy małym czerwonym samochodzie Surjit i wspomniałam o tym mimochodem Hardave'owi, który bez wątpienia otrzymał od brata jakieś instrukcje. Widziałam tylko Surjit i jej dzieci wychodzące z domu, ale on dostrzegł w tym spisek i podstęp. Od razu chwycił za telefon i zadzwonił do domu swojej siostry w Ilford, gdzie Sukhdave i Bachan Kaur byli w odwiedzinach.

– Słuchaj, Sukhdave, Surjit wsiada do samochodu z dziećmi i walizką. Co mam zrobić?

– Zatrzymaj ją! Zrób wszystko, co tylko będziesz musiał. Nie pozwól jej odjechać z moimi dziećmi.

Chwilę później mój mąż wybiegł na dwór i zabrał Surjit kluczyki. Kiedy po godzinie pod dom zajechał Sukhdave, wóz jego żony wciąż tam stał. Hardave zrobił, co do niego należało.

Surjit pogodziła się z porażką i wyjęła bagaże z samochodu. Ale był to tylko tymczasowy rozejm. Kilka tygodni później płakałam, słysząc jej krzyki dobiegające z sąsiedniego domu. Nasz przedpokój oddzielała od niego cienka ściana; słyszałam każde uderzenie, które Sukhdave wymierzał żonie, kiedy



próbowała uciec. Zrobiło mi się niedobrze, gdy usłyszałam, jak moja szwagierka upadła na podłogę. Potem rozpoznałam jeszcze jeden głos. Bachan Kaur. Zachłysnęłam się z przerażenia. Ona też atakowała Surjit.

Spojrzałam na telefon. Wiedziałam, że powinnam wezwać policję, byłam jednak skamieniała ze strachu.

Jeśli robią coś takiego Surjit, to zrobią i mnie.

Było tylko kwestią czasu, kiedy Surjit znowu spróbuje odejść. Tym razem zabrakło wścibskiej sąsiadki, która mogłaby zaalarmować swojego męża. Nawet gdybym widziała, jak Surjit opuszcza dom, nie powiedziałabym Hardave'owi ani słowa. Dostałam już nauczkę i wiedziałam jedno. Był lojalny wobec brata i matki. Nie wobec mnie.

Dokąd mogła się Surjit udać, jeśli nie do swoich rodziców? Będąc już na miejscu, zaczęła się rozglądać za szkołą dla Pawanpreet. Tym razem sprawa wyglądała poważnie. Na tyle, że Surjit wprowadziła się do nowego mieszkania i umeblowała je. Na tyle, że postarała się o zmianę pracy i przeniesienie służbowe na lotnisko East Midland. I na tyle, że skontaktowała się z adwokatem i wszczęła procedurę rozwodową. I, by uderzyć w samo serce rodziny, zainicjowała jeszcze jedną procedurę prawną. Chodziło o to, by z aktu urodzenia jej syna zniknęło nazwisko męża.

Choć Sukhdave był niemal w stu procentach przekonany, że dziecko nie jest jego, poczuł się straszliwie upokorzony. Nie chcąc przyznać się do porażki, bezustannie błagał żonę o powrót. Po trzech miesiącach udało mu się dopiąć swego. Nie wiem, co powiedział albo obiecał, w każdym razie Surjit zgodziła się w końcu wrócić do męża. Sukhdave nie posiadał się z radości. W typowy dla siebie sposób, zamiast zabrać żonę i dzieci swoim samochodem, podjechał pod dom furgonetką. Tak, pragnął odzyskać rodzinę, ale wiedział też, że w mieszkaniu znajduje się nowiutka lodówka, za którą zapłaciła jego żona. Ten sprzęt również miał być zawieszony na Willow Tree Lane, wraz z innymi dobrami, które Surjit kupiła. Była przecież matką jego syna...

Tak więc Surjit po dwóch miesiącach wróciła z Coventry, ale – co odkryłam później – nie z oczywistych powodów, jak się wydawało Bachan Kaur i Sukhdave'owi. I mnie. Surjit odnowiła związek z byłym kochankiem, człowiekiem, którego uważała za ojca swojego syna. Chciała być jak najbliżej niego. Musiała też brać pod uwagę pracę i dzieci. Więc wróciła.

Jak bardzo żałowałam, że się na to zdecydowała.

Było piątkowe popołudnie pod koniec listopada. Zajmowałam się na górze praniem. Hardave kręcił się bez celu, co chwila wchodził do sypialni i wychodził.

Surjit pracowała na nocnej zmianie, więc jej dzieci spały w naszym pokoju gościnnym, jak to się często zdarzało, kiedy miała się nimi zajmować mama.

Usłyszałam, jak trzasnęły drzwi kuchenne, i po chwili mama zawołała:

– Sarbjit, zejdź na dół i zaparz herbatę!

Żadnego „dzień dobry”, żadnego „proszę”, żadnych manier – nic nowego pod słońcem.

Zeszłam do kuchni i zauważyłam, że Sukhdave też się zjawił i że oboje poszli do salonu. To było bez znaczenia, musiałam tylko zagotować więcej wody. Nie miałam nic przeciwko temu; oparłam się o szafkę, patrząc na czajnik. Wiedziałam, że potrwa to chwilę.

Nagle w drzwiach stanęła teściowa.

– Sarbjit, przyjdź do salonu.

Co znowu?

– Parzę herbatę.

– Przykręć gaz. Nie spieszy się.

Poszłam za nią do pokoju. Czy tylko mi się zdawało, czy rzeczywiście panowała tam dziwna atmosfera? Mama zajęła należne jej miejsce na dużej szarej sofie, między synami.

Siadając przy stole, wyczuwałam coś złego. Czy chodziło o mnie? Obraziłam kogoś? Już samo to, że wszyscy usadowili się daleko ode mnie, przyprawiało mnie o nerwowość. Uświadomiłam sobie wtedy, że obaj bracia patrzą w skupieniu na Bachan Kaur.

– Rozmawiałam ze znajomym w Indiach – zaczęła. – Wszystko będzie załatwione.

Sukhdave skinął głową. Nie miałam pojęcia, o czym moja teściowa mówi, ale z powodu panującego w salonie nastroju nie śmiałam jej przerywać.

– To jej wina. Za dużo sobie pozwala – ciągnęła Bachan Kaur. – Przynosi rodzinie wstyd. – Sprawiała wrażenie zasmuconej. – Jesteśmy pośmiewiskiem całej społeczności.

Teraz wiedziałam, kogo ma na myśli – ale co to miało wspólnego z Indiami?

Nie zdążyłam nawet spytać.

– A zatem postanowione – oświadczyła dobitnie i bezdyskusyjnie Bachan Kaur. – Musimy się jej pozbyć.

Wszystko stało się tak szybko. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. „Wstyd”, „Indie”, „pozbyć się”? Rozumiałam tylko jedno: nie mogło to oznaczać tego, co – jak podejrzewałam – oznaczało. Nawet Bachan Kaur nie przyszłoby coś takiego do głowy.

Nie przyszłoby?

Owszem, przyszłoby.

– Rozmawiałam z kimś w Indiach – wyjaśniła. – Mówi, żeby ściągnąć Surjit do kraju, a on się nią zajmie. Nie będzie nam już sprawiała kłopotów.

Po raz pierwszy od chwili, w której znalazłam się w tym pokoju, zaczęłam się uspokajać. Ten szalony plan nie miał szans powodzenia. Surjit ledwie raczyła z kimkolwiek rozmawiać. W jaki sposób mama zamierzała wysłać ją do Indii?

Lecz gdy Bachan Kaur ujawniła, że w przyszłym miesiącu dojdzie do zawarcia ślubu w rodzinie i że zamierza poprosić Surjit, by jej towarzyszyła w podróży do kraju, serce we mnie zamarło.

Ona mówi poważnie. Naprawdę to wszystko przemyślała.

Czyżby? W tym konkretnym momencie Surjit nie wybrałaby się z Bachan Kaur nawet na koniec przydomowego ogródka. Skąd myśl, że pojechałaby do Indii na ślub dwojga ludzi, których nigdy w życiu nie widziała, na dodatek z kobietą, której całym sercem nienawidziła? Potem uderzyła mnie inna myśl.

A jeśli pojedzie?

Zrobiło mi się niedobrze, a usta miałam suche jak wiór. Nawet gdybym odważyła się coś powiedzieć, nie wydusiłabym z siebie słowa. Na szczęście Hardave mnie wyręczył.

– To głupie, mamó – oznajmił. – Nie możesz tego zrobić.

– To już postanowione – odparła. – Nie pozwolę, by przynosiła naszej rodzinie wstyd.

– Mamó, mówisz o żonie Sukhdave’a – przypomniał.

Wszyscy spojrzeliśmy na jego brata. Ale on po prostu siedział bez słowa, niewzruszony.

– Dosyć – oświadczyła stanowczo Bachan Kaur. – Omówiliśmy wszystko.

– Ależ mamó!

– Powiedziałam: dosyć! Decyzja została podjęta.

Byłam dumna ze swojego męża. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, ale teraz jako jedyny miał dość odwagi, żeby sprzeciwić się matce. Nawet ja tego nie zrobiłam. Z drugiej strony zawsze mi przypomniano: jesteś spoza rodziny, to nie twoja krew. Dlaczego Bachan Kaur miałaby mnie słuchać?

Co ważniejsze, nie mogłam się oprzeć myśli: zobacz, co zamierza zrobić z kimś, kto też jest spoza rodziny...

\*

Wreszcie pozwolono nam odejść, a ja niemal pobiegłam na górę do sypialni. Kręciło mi się w głowie. Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Ale co właściwie usłyszałam? W języku pendzabskim określenie „pozbyć się”

może znaczyć wiele rzeczy. Czy błędnie interpretowałam zamiar wyrażony przez Bachan Kaur? Gdy tylko Hardave wszedł do pokoju, spytałam go o to.

Wyraz jego twarzy dowodził, że się nie myliłam.

– Co ona wyprawia? – spytałam osłupiała.

Wyglądał na zdruzgotanego.

– Nie wiem, Sarb. Nie przyjmuje żadnych argumentów.

– Ale nie chcą chyba doprowadzić tego do końca, prawda?

– Raczej tak.

– Musimy ich powstrzymać. – Zaczynałam zachowywać się histerycznie. Zrozumiałam, że jeśli nie będę ostrożna, Bachan Kaur mnie usłyszy.

– Próbowałam – powiedział Hardave.

– Porozmawiaj z bratem. Niemożliwe, by chciał czegoś takiego. Przecież to jego żona.

Hardave umilkł. Wcześniej spierał się długo i zawzięcie z Sukhdave'em, ale nie przekonał go.

– Musimy więc powiedzieć Surjit – zaproponowałam.

– Nie!

Zauważyłam, jak zmieniła mu się twarz. Posunęłam się za daleko. Namawiać go, by porozmawiał z matką i bratem, to jedno, ale sugerować, by działał za ich plecami? To było nie do przyjęcia. Wciąż należał do klanu Athwalów.

– Mamie się nie spodoba, jeśli cokolwiek powiesz.

Wszelki szacunek, jaki jeszcze niedawno we mnie wzbudzał, zniknął bez śladu. Znow miałam przed sobą dawnego męża, który powtarza matczyne groźby.

– Więc jedyna nadzieja w tym, że Surjit nie zechce pojechać do Indii.

\*

Miałam wrażenie, że pęknie mi głowa. Wychowano mnie w niezachwianym przekonaniu, że nigdy nie wolno kwestionować zdania starszych. Przygotowywano mnie do małżeństwa, niemal programowano, bym stała się idealną żoną, i to od najwcześniejszych lat. Posłuszeństwo i honor były zakorzenione w mojej duszy, decydowały o wszystkim, co myślałam i robiłam. Ale rodzice chyba by nie chcieli, żebym milczała w takiej sytuacji?

Przez dwa dni prawie nie wychodziłam z pokoju, co najwyżej po to, żeby nakarmić dzieci. Biegłam do kuchni, chwyciłam coś do jedzenia i pędziłam z powrotem na górę. Wożenie Taran do szkoły i odbieranie jej po lekcjach stanowiło dla mnie ogromne wytchnienie. Zamieniałam piętnastominutową podróż w godzinną wyprawę. Gdybym przeciągała to bardziej, teściowa mogłaby nabrać podejrzeń. A ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam, to rozmowa z nią.

Tak się złożyło, że Bachan Kaur postanowiła stołować się przez te dni w sąsiednim domu. Może sama zaczęła mieć wątpliwości i liczyła na to, że Surjit zmieni zachowanie. Albo chciała mieć baczenie na synową, gdyby ta zdecydowała się uciec. Tak czy inaczej, odczuwałam ulgę, że mogę trzymać się od niej z daleka.

Bałam się też natknąć na Surjit. W końcu szczęście przestało mi dopisywać i pewnego ranka pojawiła się w kuchni. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Chciałam jej powiedzieć, żeby uciekała, żeby czym prędzej wyszła z domu, żeby udała się natychmiast na policję. Nie dopuściła mnie jednak do słowa. Była taka podekscytowana; pragnęła za wszelką cenę przekazać mi nowiny.

Patrzyłam na jej szczęśliwą twarz i prawie nie poznawałam tej posępnej kobiety, jaką zwykle widywałam. W ciągu dwóch ostatnich lat niemal się nie uśmiechała. To, co tak ją radowało, musiało być naprawdę niezwykle. Może chodziło o rozwód? Może chciała mi powiedzieć, że zdecydowała się odejść?

– Wiesz co, Sarb? – zwróciła się do mnie, a jej oczy zapłonęły blaskiem jak niegdyś.

– O co chodzi? – spytałam. – Z czego się tak cieszysz?

– Nie uwierzysz... jadę do Indii!

Nie jadłam od wielu dni, ale w tym momencie poczułam się tak, jakbym miała za chwilę wymiotować.

## Rozdział jedenasty

**0800 555 111**

Piątek 4 grudnia 1998 roku: dzień, który – jak miałam nadzieję – nigdy nie nadejdzie i którego nigdy nie zapomnę.

Odchodziłam od zmysłów przed wyjazdem Bachan Kaur i Surjit. Nie potrafiłam się skoncentrować na niczym z wyjątkiem tego, co ma się wydarzyć w Indiach. Wciąż nie mogłam w to uwierzyć. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, nierealne. Im bardziej się zamartwiałam, tym mniej jadłam, a im mniej jadłam, tym bardziej zamroczona się czułam. Gdyby nie konieczność opieki nad dziećmi, padłabym z nóg.

Wciąż nie potrafiłam pogodzić się z tym, jak łatwo Surjit dała się namówić na wyjazd. Wyglądało na to, że była to typowa taktyka teściowej. Najpierw poprosiła synową, by jej towarzyszyła. Nie chciała źle wypaść w oczach indyjskich krewnych.

– Moje imię okryje się wstydem, jeśli pojawię się tam sama.

Dni, kiedy Surjit miała na względzie dobre imię mamy, dawno już przeminęły. Nawet gdy Bachan Kaur płakała i mówiła, jakie to będzie straszne, Surjit zachowywała kamienną twarz, jednak jej opór zaczął kruszeć, kiedy teściowa obiecała, że kupi synowej w Indiach różne stroje, i to nie tylko na ślub.

– Jest między nami zbyt dużo nieporozumień, Surjit – oznajmiła starsza pani. – Chcę ci to wynagrodzić. Wierz mi, będę cię rozpieszczać.

Rok wcześniej najstarsza córka Bachan Kaur, Bhajan, uległa szaleństwu zakupów podczas pobytu w Indiach i po powrocie opowiadała o tym szwagierce. Myślę, że Surjit wyobrażała sobie, że i ją spotyka to szczęście. Nie mogła się doczekać, kiedy sama pojedzie do rodzinnego kraju. Może się to wydawać próżne, ale uważała, że dobrze będzie choć na jakiś czas rozstać się z mężem. A jeśli mogła przy okazji pobuszować sobie po ekskluzywnych sklepach odzieżowych w Delhi, to tym lepiej.

Bachan Kaur musiała o tym wiedzieć. I jeszcze o czymś, co mogło skutecznie skusić Surjit. Nawet teraz podejrzewam, że mogła zaproponować jej pewną niezwykle drogą rzecz wartą każdych pieniędzy – bezcenny, migoczący klejnot, którego Surjit pragnęła od lat: wolność. Wyobrażam sobie rozmowę: „Zrób to dla mnie wobec rodziny, Surjit, i jeśli wciąż będzie ci zależało na rozwodzie,

otrzymasz go z moim błogosławieństwem”.

Układ.

To mogło być takie łatwe.

Uświadomiłam sobie, że im bliższy jest dzień wyjazdu, tym więcej czasu Bachan Kaur spędza w naszym domu. Uważała zapewne, że jeśli ktokolwiek może zniweczyć jej plan, to właśnie ja. Miałam najlepsze relacje z Surjit, byłam jedyną prócz niej osobą spoza rodziny, no i byłam żoną Hardave'a. Choć tylko on sprzeciwił się jej zamiarom, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że przekazałby matce każde moje słowo na ten temat, każdy nieprzychylny komentarz. Miałam wrażenie, że Bachan Kaur nie chce mnie spuszczać z oka.

Zamierzała też zrobić wszystko, żebym nie rozmawiała z Surjit. Zdarzyło się kilkakrotnie, że kiedy chciałam coś od niej pożyczyć albo odebrać dzieci, nagle pojawiała się moja teściowa z jakąś pilną sprawą, którą tylko ja mogłam załatwić. Nawet w domu, gdziekolwiek się akurat znajdowałam, czułam na sobie jej przenikliwe spojrzenie.

Hardave stał się całkowicie bezużyteczny. Po jego wystąpieniu podczas zebrania w salonie Bachan Kaur utemperowała go; nie próbował już wpłynąć na matkę. Sukhdave też był niewzruszony.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem – powtarzał mój mąż. – Daj sobie z tym spokój. To sprawa rodzinna.

Boi się swojej mamy tak samo jak ja.

W czwartek wieczorem zorganizowano pożegnalne przyjęcie w domu pod numerem 88. Uczestniczyli w nim mama, Hardave, dzieci i paru znajomych. Mnie nie zaproszono. Bachan Kaur za żadne skarby świata nie chciała ryzykować; mogłam popsuć atmosferę uroczystości. Była tak blisko celu.

Siedząc samotnie w domu pod numerem 90, nie wiedziałam, co robić. Więc zrobiłam to, co zawsze, ilekroć potrzebowałam oświecenia.

Kiedy podniosłam wzrok i spojrzałam w łagodne oczy Guru Nanaka Dev Ji, poczułam w oczach łzy. Nigdy przedtem mnie nie zawiódł, więc modliłam się, by i tym razem tak było.

– Drogi Guru, proszę cię, ocal Surjit. Proszę cię, powstrzymaj ją przed wyjazdem do Indii. Obawiam się, że spotka ją najgorsze, jeśli wsiądzie do tego samolotu. Proszę, zrób coś. Błagam cię!

Nie mam pojęcia, jak długo tam siedziałam, zrozpaczona i z ciężkim sercem. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, ale bezustannie zadawałam sobie pytanie: co? Zakazano mi rozmawiać o tym z kimkolwiek poza domem. Mój mąż i głowa rodziny zgadzali się ze sobą. Choć uważałam ich zachowanie za nikczemne, nie wolno mi było wtrącać się w sprawy rodziny. Musiałam strzec jej honoru.

Tak jak oni.

\*

Wyznanie wszystkich swoich lęków przed obliczem Guru było oczyszczające, ale choć pokładałam w nim głęboką wiarę, wiedziałam, że muszę powiedzieć o tym komuś jeszcze. Tyle byłam winna Surjit. Tyle byłam winna Guru Nanakowi. I sobie samej. Milczałam już dostatecznie długo. Ale komu miałam powiedzieć?

Sama myśl o tym, żeby pójść na policję, przyprawiała mnie o dreszcz. Wychowano mnie w głębokim i niezachwianym przekonaniu, że wszystko można załatwić w rodzinie. Mój ojciec tak uważał, moi dziadkowie tak uważali, moja teściowa też tak uważała. Nawet jeśli przybrało to w jej przypadku skrajną formę, wciąż nie mogłam sobie wyobrazić, że idę na miejscowy posterunek policji i mówię wszystko, co wiem. A jeśli ktoś mnie zobaczy? Jeśli Bachan Kaur albo Sukhdave odkryją, co zrobiłam?

Wtedy przypominałam sobie serię telewizyjnych anonsów dotyczących pewnej infolinii i zachęcających ludzi, by przekazywali informacje o przestępczych działaniach. Do ludzi przemawiało przede wszystkim to, że można było dzwonić na ten numer anonimowo. Ale jak się ta infolinia nazywała? Szukałam w pamięci nieskończenie długo, aż wreszcie sobie przypominałam: Crimestoppers. Jedyne problem polegał na tym, by skontaktować się z nimi tak, aby nikt się o tym nie dowiedział.

Kiedy zeszłam w feralny piątek na dół, żeby przygotować śniadanie, przystanęłam w holu obok telefonu. Chciałam podnieść słuchawkę i uwolnić się od tego ciężaru. Było to jednak zbyt niebezpieczne. Słyszałam, jak Hardave bierze na górze prysznic. Taran biegała po swoim pokoju, Balveen wołała, żeby ją nakarmić. Bóg jeden wie, gdzie była Bachan Kaur.

Nie mogę tego tutaj zrobić.

Przyszło mi do głowy, że jedyna okazja nadarzy się wtedy, kiedy będę odwozić Taran do szkoły. Jednak świadoma tego, co zamierzam uczynić, zamieniłam się w kłębek nerwów. Upuszczalam sztućce i drżałam, przygotowując śniadanie.

– Nic ci nie jest? – spytał Hardave.

– Czuję się świetnie.

Nie czułam się jednak świetnie. Miałam wystąpić przeciwko rodzinie, a to przyprawiało mnie o koszmarny niepokój. Ale trzeba było to zrobić. Od tego zależało życie kobiety. Jej istnienie zależało ode mnie.

Drżałam jak galareta, prowadząc córkę do samochodu. Czułam na sobie wzrok Bachan Kaur, kiedy wsuwałam kluczyk do zamka, i modliłam się, by nie zauważyła, jak bardzo trzęsie mi się ręka. Ruszając spod domu, nie potrafiłam się rozluźnić. Dlaczego czułam się winna, jakbym sama robiła coś złego? Gdy już



odwiozłam Taran do szkoły i po kilku minutach podjeżdżałam pod budkę telefoniczną, z trudem panowałam nad nerwami. Niewiele brakowało, żebym stamtąd uciekła, ale wiedziałam, że muszę spróbować. Przynajmniej spróbować. Byłam to winna Surjit.

Ta rozmowa może ocalić jej życie...

Najpierw zadzwoniłam do biura numerów. Już samo to, że poprosiłam o podanie numeru infolinii Crimestoppers przyprawiło mnie o mdłości.

Naprawdę zamierzałam to zrobić? Naprawdę zamierzałam zdradzić rodzinę męża?

Stawką było to, co wpojono mi przez wychowanie – lojalność wobec najbliższych. Miałam postąpić wbrew zasadom swojej kultury. Miałam okryć nas wstydem.

Wciąż pamiętam, jak drżały mi palce nad klawiaturą telefonu. W końcu uświadomiłam sobie, że mogę zapanować nad dłonią tylko w jeden sposób – po prostu zadzwonić.

0-8-0-0-

Robię to...

5-5-5-

Już prawie...

1-1-

Nie mogę! Nie mogę wszystkiego ryzykować.

Nagle brzemień tego, co robiłam – złamanie danej mężowi obietnicy, że zachowam milczenie, narażanie na szwank imienia rodziny – spadło na mnie z całą siłą. Nie taki był cel trwającego dwadzieścia dziewięć lat wychowania. Ale wtedy przypomniałam sobie szczęśliwą twarz Surjit opowiadającej mi o podróży do Indii. Nie miała pojęcia, co ją tam czeka. Wcisnęłam ostatni klawisz.

1

– Halo, tu Crimestoppers...

Ten głos rozbrzmiewał mi w uchu przez kilka sekund, nim zdobyłam się na odpowiedź.

– Halo – powiedziałam niepewnie i cicho. – Chcę poinformować o planowanym morderstwie.

Kiedy już zaczęłam, było tak, jakby otworzyły się znienacka śluzy. Powiedziałam wszystko. O zebraniu rodzinnym, o planie, o podróży. O Bachan Kaur i Sukhdavie. Powiedziałam, że ma się to stać dzisiaj. Podałam godzinę, o której startuje samolot, numer lotu, miejsce przeznaczenia. I powiedziałam o tym, co zamierzają zrobić.

Potem stałam jak skamieniała, podczas gdy rozmówca dziękował mi za odwagę.

Odwagę? Robiłam po prostu to, co było słuszne. Potem przypomniałam sobie, która jest godzina. Za długo przebywałam poza domem. Bałam się, że teściowa zacznie coś podejrzewać.

Odwiesiłam słuchawkę, pobiegłam do samochodu i ruszyłam jak najszybciej do domu. Co ja zrobiłam? Jaką puszkę Pandory otworzyłam? Nagle zaczęłam się bać, i to nie na żarty.

To nie było odważne – to było głupie!

Kiedy dotarłam na miejsce, przed domem pod numerem 88 panowało poruszenie. Na ścieżce stały już walizki. W moim domu też było inaczej niż zwykle. Hardave nie okazał najmniejszego zdziwienia, że wróciłam później niż zwykle. W przeciwieństwie do mnie, kiedy oświadczył:

– Odwożę mamę i Surjit na lotnisko.

– Mówisz poważnie? – spytałam. – Po tym wszystkim, co powiedziałaś? Wiesz, co się stanie.

– Nie masz o niczym pojęcia – odwarknął. – Pilnuj swoich spraw.

Zignorowałam to. Wiedziałam już za dużo.

– Dlaczego Sukhdave nie może ich odwieźć? To jego żona. To jego plan!

Hardave spojrział na mnie z politowaniem, jakby nie mógł uwierzyć w moją naiwność.

– Nie może tego zrobić, nie rozumiesz? Surjit naopowiadała swoim znajomym na Heathrow kłamstw na jego temat. Nie mogą go tam zobaczyć w jej towarzystwie.

Nie potrafiłam zrozumieć jego logiki. Tak jak nie potrafiłam zrozumieć jakiegokolwiek logiki, która doprowadziła do tego, że mój mąż zamierzał współuczestniczyć w planowanym zabójstwie mojej szwagierki.

Wiedziałam jednak, że sprzeciwiał się temu tak samo jak ja. Musiałam więc spróbować ponownie. Błagałam go ze łzami, żeby nie jechał na lotnisko.

– Pomyśl o tym, co robisz. Pomyśl o nas. Pomyśl o Taran i Balveen – i o mnie!

A potem wszystko stało się jasne. Prawdziwy powód, dla którego nie chciał mnie słuchać.

– Muszę, rozumiesz? – krzyknął. – Mama mi każe!

Zrozumiałam, że jest to walka, której nigdy nie mogłabym wygrać. Bo kiedy mama mówiła mu, że coś ma zrobić, on to robił, bez względu na to, czy się z tym zgadzał, czy nie. Było to żalosne, ale jak najbardziej zgodne z jego charakterem.

Wstydziałam się, że jestem jego żoną.

Był już czas. Bachan Kaur skończyła pakować się w naszym domu, a potem podeszła do drzwi wejściowych. Ruszyliśmy za nią, ja i Hardave. Drzwi domu pod numerem 88 były już otwarte, więc zawołała, żeby Surjit się pospieszyła, podczas gdy jej syn wkładał bagaże do samochodu. Słyszałam przez ścianę pospieszny tupot na schodach i radosny głos młodej kobiety, podnieconej perspektywą wakacji życia.

To moja ostatnia szansa, pomyślałam. Muszę ją powstrzymać.

Zdawało się, że teściowa czyta w moich myślach. Odwróciła się na pięcie i popatrzyła na mnie gniewnie. Stałam za nią w drzwiach.

– Wejź do środka, Sarbjit – nakazała lodowatym tonem.

Nie poruszyłam się. Byłam niemal zahipnotyzowana widokiem swojej szwagierki prawie pędzącej do samochodu Hardave’a.

– Sarbjit! Wejź do środka! – rzuciła ponownie Bachan Kaur i zatrzęsnęła mi drzwi przed nosem.

Pobiegłam do pokoju frontowego, odsunęłam zasłonę i wyjrzałam przez okno. Bachan Kaur sadowiła się na przednim fotelu. Hardave uporał się już z pakowaniem i teraz uruchamiał silnik. Patrzyłam, jak Surjit wsiada z tyłu i macha do Sukhdave’a i dzieci stojących na trawniku.

Wiedziałam, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

Kiedy człowiek wyrzeka się nadziei, wyrzeka się wszystkiego.

Gdy Hardave wrócił tego popołudnia, musiałam wierzyć, że wszystko pojmowałam opacznie. Że kiedy Bachan Kaur mówiła, że zamierza pozbyć się Surjit, znaczyło to tylko tyle, by zabrać synową na wakacje i pokazać jej kulturę, którą powinna szanować. Przecież to wyrażenie w języku pendzabskim nie jest jednoznaczne.

Hardave musiał zauważyć, że płakałam, ale nie skomentował tego nawet słowem. Nie było o czym mówić. Mogłam mieć tylko nadzieję, że się myliłam – a jeśli nie, to że odpowiednie organy zdołają coś zrobić.

Godziny upływały nieubłagane. Nie wiem, czego się spodziewałam. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Na co liczyłam? Że Surjit zadzwoni i powie mi, że czuje się dobrze? Że Hardave obejmie mnie i zapewni, że wszystko było nieporozumieniem? Wiedziałam tylko, że ściska mnie w żołądku.

Może wyobrażałam sobie, że policjanci w Indiach aresztują właśnie Bachan Kaur i ratują życie Surjit?

Przecież na tym polega ich praca, czyż nie?

Pierwszej nocy ze zmartwienia nie mogłam spać. Ilekroć zamykałam oczy, ukazywała mi się zrozumiąca twarz Bachan Kaur decydującej podczas rodzinnego

zebrania o losie Surjit. Nie dość, że byłam tego świadkiem, to jeszcze zatruwało mi to sny. Nie mogłam się jednak uwolnić od tego przerażającego wspomnienia.

Rano zażądałam, żeby Hardave zadzwonił do Indii.

– Po co? – spytał.

– Żeby sprawdzić, czy wylądowały bezpiecznie.

– Już byśmy wiedzieli, gdyby coś się stało.

Zadzwonił jednak, prawdopodobnie dla świętego spokoju.

Następne cztery dni upłynęły mi jak we mgle. Wyjazd nastąpił 4 grudnia. Pierwszy ślub – córki Charana Singha, Harjinder Kaur – miał się odbyć piątego, a drugi, jego syna Bhupindera Singha, szóstego. Wyobrażałam sobie, jak Surjit tańczy podczas tych uroczystości, rozpuściwszy włosy, które skróciła już wcześniej. Liczyłam dni, jakie pozostały do 18 grudnia, kiedy miała wrócić.

Hardave nie chciał o niczym rozmawiać przez ten weekend. Powiedział, żebym przestała sobie cokolwiek wyobrazać i skupiła się na swoich obowiązkach. Jak bardzo chciałam mu wierzyć, kiedy zapewniał, że nic złego się nie dzieje. Potem jednak, w poniedziałek, usłyszałam hałasy dobiegające z sąsiedniego domu; zdziwiło mnie to, bo wiedziałam, że Sukhdave powinien być w pracy. Pod nieobecność Surjit zostawił dzieci u jej rodziców, więc nie musiał się nimi zajmować. Kiedy przyszedł tego samego dnia odwiedzić Hardave'a, ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? – spytałam.

– Poszedłem na zwolnienie.

– Co ci jest?

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie złym wzrokiem i poszedł porozmawiać z bratem.

Tak bliska obecność tego człowieka i dostrzegalnych na każdym kroku śladów jego matki była dla mnie piekłem. Biłam się z myślami i zastanawiałam, co więcej mogłabym zrobić. Spędzałam mnóstwo czasu w naszym pokoiku, modląc się do Guru Grantha Sahiba i prosząc o radę. W niedzielę poszłam do świątyni. Chciałam być tam, pośród wyznawców mojej wiary, by prosić o wybaczenie za wszelkie błędy i modlić się do Boga o odwagę, której tak potrzebowałam.

Z pozoru nic się nie zmieniało. Nic nie pomagało. Pewnego ranka zbudziłam się zapłakana. Brakowało mi tchu, byłam przerażona. Pewnie przyśniło mi się coś strasznego, ale nie mogłam sobie przypomnieć co. Pamiętam, że leżałam w łóżku pogrążona w myślach, smutna, opuszczona i samotna. Pomijając moich guru, nie miałam z kim porozmawiać. Nie mogłam pisać nawet słowa swoim rodzicom. Nigdy bym im nie życzyła, żeby cierpieli tak jak ja, chociażby przez minutę. Nikt nie chce sobie wyobrazić, że jego dziecko cierpi w jakikolwiek sposób.

Zawłaszcza że mogli czuć się odpowiedzialni za to, że znalazłam się w takiej sytuacji...

Pod ich nieobecność zwróciłam się do jedynej istoty, która była gotowa mnie wysłuchać. Czułam łzy spływające po policzkach, kiedy słuchałam własnej rozmowy z Bogiem. Naprawdę miałam wrażenie, że obserwuję, podsłuchuję samą siebie. Było to osobliwe. Prosiłam go o odwagę, która pozwoliłaby mi pomóc Surjit. Potem, coraz bardziej wzruszona i przejęta, zaczęłam pytać:

Dlaczego to wszystko się dzieje, Panie? Dlaczego pozwoliłeś jej zniknąć? Dlaczego tego nie powstrzymasz?

Dlaczego?

Byłam zmęczona, otepiała. Chciałam przeleżeć cały dzień w łóżku z głową pod kołdrą. Posłyszałam, jak mąż rusza się tuż obok, i to wyrwało mnie z odrętwienia.

Wolę spędzić cały dzień w kuchni przy piecu niż zostać z nim choćby przez minutę.

Tak, próbował podczas tamtego zebrania rodzinnego sprzeciwić się planom matki. Mógł jednak zrobić więcej. Z nas dwojga tylko jego Bachan Kaur byłaby gotowa wysłuchać. Dlaczego więc nie zmusił jej do tego?

Czyżby bał się tak jak ja?

Przez kilka następnych dni urywały się telefony. Z Indii, do Indii. Za każdym razem pytałam Hardave'a, czy z Surjit wszystko w porządku, a on nieodmiennie odpowiadał: „Oczywiście, że tak”.

Potem, mniej więcej po tygodniu czy ośmiu dniach, rozmowy z Bachan Kaur stały się rzadsze. Kiedy uświadomiłam sobie, że upłynęło czterdzieści osiem godzin bez jakichkolwiek wieści, zaczęłam błagać Hardave'a, żeby zadzwonił. Zrobił to, ale niechętnie. Gdy tylko odłożył słuchawkę, oznajmił:

– Mama powiedziała, żebym przestał ją nagabywać. Jest na wakacjach.

Żołądek podszedł mi do gardła. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego moja teściowa nie życzyła sobie kontaktów.

– Powiedziała, jak miewa się Surjit? – spytałam słabym i drżącym głosem.

– O co ci chodzi? – W oczach Hardave'a pojawił się gniewny błysk.

– Wiesz o co! Byłeś wtedy w salonie. To ty się jej sprzeciwiłeś. Powiedz mi, że nie zrobiła tego, co zapowiadała.

– Posłuchaj, Sarb – zaczął i umilkł. W końcu, chwytając się za głowę, krzyknął skrajnie poirytowany: – Przestań o tym gadać, dobrze?

Nie obchodziło mnie, jak bardzo jest wytracony z równowagi. Sama zalewałam się łzami.

– Powiedz mi tylko, czy wszystko w porządku. Nic jej nie jest?

– Na litość boską! – krzyknął znowu i walnął kubkiem z herbatą o podłogę. –

Zabraniam ci o tym wspominać. Surjit wróci do domu, jak już będzie gotowa.

Nie mogąc porozumieć się z mężem, który tracił cierpliwość, zwróciłam się do Sukhdave'a. Nie chodził do pracy, mógł więc dzwonić do Indii codziennie. Czego się dowiedział?

– Mama mówi, że świetnie się bawili na weselach. Żałuje, że wszyscy tam nie byliśmy.

Dlaczego? Bo nas też chciała zabić? Próbowałam wybić to sobie z głowy, ale nie mogłam zapomnieć tej rozmowy. Była to zwykła rozmowa, ale ilekroć ją sobie przypominałam, czułam dreszcz na plecach. Jak Sukhdave mógł zachowywać się tak zimno, tak rzeczowo? Czyżbym się myliła? Albo, jak twierdził Hardave, padłam ofiarą własnej wyobraźni?

Nie. To, że Sukhdave wziął sobie wolne w pracy, nie było zbiegiem okoliczności. Nic mu nie dolegało – pomijając jego umysł. To się działo naprawdę. Wiedziałam o tym. Na drugim końcu świata Bachan Kaur wcielała w życie swój nikczemny plan.

Muszę coś zrobić.

W sytuacji, gdy moja teściowa przebywała poza krajem, miałam znacznie więcej swobody. Wciąż jednak nie mogłam pójść na posterunek policji w Hayes. Członkowie naszej społeczności byli wszędzie. Wystarczyłaby jedna para oczu, żeby mnie rozpoznać, i jeden gadatliwy język, żeby przekazać Bachan Kaur, że mnie widziano; znalazłabym się w poważnych tarapatach. Nie mogło mnie to jednak powstrzymać przed napisaniem listu. Odszukałam adres i napisałam długi, szczegółowy list nakłaniający funkcjonariuszy policji do działania. Jak zawsze nachodziły mnie wątpliwości, wiedziałam jednak, że trzeba to zrobić. Wstyd, jaki sprowadzałam na rodzinę, był niczym w porównaniu ze wstydem, jakim rodzina okryła naszą wiarę. Sikhizm nie narodził się po to, by stanowić wytłumaczenie i motyw morderstwa. Nie mogłam pozwolić, by imiona guru zostały splamione złem popełnionym w mojej rodzinie.

List zawierał wszystkie szczegóły prócz jednego: mojego imienia i nazwiska. Nie mogłam ryzykować zdemaskowania. Ale dopiero wtedy, gdy zakleiłam kopertę, zrozumiałam w pełni, dlaczego tak bardzo zależy mi na zachowaniu anonimowości. Było to pod wieloma względami oczywiste. Czytelnicy tej książki już się zapewne domyślili. Jednak tak długo wzbraniałam się przed prawdą, że kiedy wreszcie do mnie dotarła, była jak niespodzianka. Okropna, przerażająca niespodzianka.

Jeśli moja teściowa była gotowa zabić Surjit w imię zachowania swego dobrego imienia w społeczności, to bez wahania zrobiłaby to samo ze mną.

Musiałam być ślepa. Dlaczego nie uświadamiałam sobie, że coś takiego jest

możliwe? Lecz nawet kiedy dzwoniłam na infolinię Crimestoppers, nie umiałam skojarzyć faktów. Wiedziałam, że gdyby Bachan Kaur odkryła mój postępek, zareagowałaby gniewem – ale tłumaczyłam to sobie dumą, która kazała jej chronić rodzinę, i obawą, że Surjit przyniesie jej wstyd, nie zaś faktem, że moja teściowa jest zdolna zabić każdego, kto stanie jej na drodze.

Pewne rzeczy z trudem przychodzą człowiekowi do głowy. I jak wkrótce sobie uświadomiłam, nie ja jedna miałam kłopoty z logiką.

W końcu nadszedł dzień 18 grudnia. Hardave i Sukhdave postanowili pojechać razem na Heathrow. Po tych najdłuższych dwóch tygodniach w moim życiu nie tylko oni chcieli się wybrać na lotnisko. Dzień wcześniej w miejscowych szkołach zaczęły się ferie świąteczne, więc Pav i Taran błagały swoich ojców, żeby je zabrali ze sobą. Obie tęskniły bardzo za „mamusią” – Bachan Kaur – a Pav oczywiście nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy swoją rodzoną matkę.

Sukhdave nie mógł się oprzeć jej błagalnemu spojrzeniu.

– No dobrze – powiedział. – Wskakujcie do samochodu.

Dziewczynki były zachwycone, podobnie jak ja, która obserwowałam wszystko z domu. Jeśli mężczyźni zabierali ze sobą Pav, oznaczało to, że Surjit musi wrócić. Nie mieściło się w głowie, że Sukhdave mógłby narazić córkę na straszliwe rozczarowanie, gdyby jej matka nie wysiadła z samolotu. Mimo że nienawidził żony, to kochał swoją małą córeczkę. Byłam tego pewna.

Kiedy to sobie uświadomiłam, dwie następne godziny upłynęły szybciej niż podczas minionych dwóch tygodni. Byłam taka szczęśliwa, że nawet powiedziałam małemu synkowi Surjit, którego poprzedniego dnia przywieziono z Coventry i oddano pod moją opiekę:

– Mama będzie niedługo w domu.

Gdy w końcu usłyszałam podjeżdżający samochód i dźwięk zatraskiwanych drzwi, wzięłam dziecko na ręce i podeszłam do okna. Zobaczyłam otwarty bagażnik, stos walizek na chodniku i obu braci, którzy rozmawiali ze swoją matką.

Surjit z nimi nie było.

# ZDJĘCIA





† Ja w dniu ślubu. Miałam wtedy dziewiętnaście lat.





† Moja teściowa Bachan Kaur Athwal.





† Z teściami w dniu naszych zaślubin. Zgodnie z tradycją rodzice błogosławią małżonków, kładąc dłonie na głowach obojga. Patrząc na to zdjęcie po 24 latach, nie jestem zdziwiona, że Bachan Kaur pobłogosławiła tylko swojego syna.





↑ Ze swoją nową szwagierką Surjit w dniu mojego ślubu.





↑ Surjit i ja w towarzystwie naszej teściowej. Wyraz twarzy Surjit jest niezwykle wymowny.





↑ Z moim bohaterem, inspektorem Clive'em Driscollem. W tle Peel House, ośrodek szkolenia, do którego uczęszczałam na kurs dla kandydatów do sił pomocniczych londyńskiej policji.

# CZĘŚĆ DRUGA

WSTYD

## Rozdział dwunasty

### NIE WRACAM

– Gdzie jest Surjit?

Byłam sama z Hardave'em i oczekiwałam konkretnych odpowiedzi. Gdyby nie chciał mi ich udzielić, zamierzałam pójść do jego matki.

– Postanowiła zostać w Indiach jeszcze parę dni – odparł. – Niedługo wróci do domu.

– W porządku. – Nie byłam przekonana. – Gdzie nasze córki?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zmieszanego. Jakby niemal zapomniał, co z nimi zrobił.

– Podrzuciliśmy je twoim rodzicom.

– Moim rodzicom? Po co, na Boga, tam pojechaliście?

– Przejeżdżaliśmy obok ich domu w drodze na Heathrow. Taran chciała się z nimi zobaczyć – wyjaśnił w końcu.

– Bardziej niż z twoją matką? A Pav? Wolą pojechać do nich, niż spotkać się z Surjit?

Nie miało to najmniejszego sensu. Czy to możliwe, by dopiero w drodze na lotnisko uświadomili sobie, jak źle by to wyglądało, gdyby córka Surjit się tam pojawiła, a ona sama nie? Powiedz mi, że nie jesteście tacy głupi. Zauważyłam, że Hardave jest coraz bardziej zdenerwowany; nie potrzebowałam żadnej odpowiedzi.

– Nie chcę o tym rozmawiać – warknął, wypadając za drzwi. – Powiedziałem, że niedługo wróci do domu. Niech ci to wystarczy.

Choć Hardave zachowywał się dziwacznie, wciąż nie mogłam uwierzyć, że to zrobili. Bo jeśli tak, to gdzie jest Surjit? Bałam się spotkania z teściową, ale musiałam wiedzieć.

– Tak jej się spodobały Indie, że postanowiła zostać – wyjaśniła Bachan Kaur.

Patrzyła mi prosto w oczy, a ja chciałam jej za wszelką cenę wierzyć. Jeśli kłamała, to robiła to bardzo przekonująco. Zwłaszcza iż wiedziała, że znam jej pierwotny plan.

Nie śmiałam drążyć tematu, ponieważ chwilami nie chciałam poznać prawdy. Był jednak ktoś, kto nie zamierzał tak łatwo uwierzyć w te zapewnienia.

W dniu wylotu do Indii brat Surjit, Jagdeesh Singh Dhillon, zadzwonił do niej.



Był zaskoczony, kiedy odebrał Sukhdave. Jeszcze bardziej tym, że jego siostra wyjechała z kraju.

– Przecież ja i moja żona mieliśmy się z wami spotkać dziś wieczorem – przypomniał Jagdeesh Singh. – Surjit chciała rozmawiać ze mną.

– O czym? – spytał Sukhdave.

Chwila wahania.

– Chciałem omówić z nią pewne sprawy – odparł Jagdeesh i nie musiał wyjaśniać, o co chodzi.

Sukhdave był w pełni świadomy narastających konfliktów w swoim małżeństwie i podejmowanych przez Jagdeesha próbach mediacji. W ciągu kilku ostatnich miesięcy szwagier wielokrotnie rozmawiał z każdym z nich z osobna.

– O ile wiem, miała lecieć do Bombaju w ramach szkolenia zawodowego – powiedział. – Tam właśnie jest?

– W Bombaju? Bzdura! – Sukhdave się roześmiał. – Poleciała do Indii na dwa wesela w rodzinie.

Jagdeesh Singh był zdumiony powodem, dla którego jego siostra wyjechała z kraju, ale kiedy się dowiedział, kto jej towarzyszy, dosłownie osłupiał.

– Mama poprosiła Surjit, żeby z nią poleciała. To nie ma żadnego związku z pracą – wyjaśnił Sukhdave.

Jagdeesh Singh nie mógł zrozumieć, o co chodzi. To wszystko nie miało sensu. Dlaczego siostra nie powiedziała mu prawdy? Powód mógł być tylko jeden – wiedziała, że będzie próbował jej wyperswadować tę wyprawę w towarzystwie teściowej. Po tym wszystkim, co Bachan Kaur jej zrobiła – a Jagdeesh był przekonany, że to tylko czubek góry lodowej – jak mogła w ogóle myśleć o tym, żeby pojechać na wakacje z kobietą, której nienawidziła?

Wydawało mi się, że znam odpowiedź. Niewiele miałyśmy radości w życiu, ja i moja szwagierka. Bachan Kaur skusiła Surjit obietnicami i tym samym nakłoniła ją, by okłamała brata. I oczywiście była jeszcze umowa dotycząca rozwodu.

Dzwoniąc do Sukhdave'a 4 grudnia, Jagdeesh Singh usłyszał wystarczająco dużo. Dowiedziawszy się, że Surjit ma wrócić osiemnastego, powiedział: „Dobrze, powiedz jej wobec tego, żeby do mnie zadzwoniła”, poprosił też o numer telefonu w Indiach.

Ten numer nigdy nie został ujawniony; Sukhdave powiedział, że w rodzinnym domu nie ma telefonu. Do kogo więc dzwonił każdego dnia i kto dzwonił do niego?

Sukhdave dotrzymał jednak słowa. Osiemnastego grudnia 1998 roku rodzina Surjit odebrała telefon. Bachan Kaur, która właśnie wróciła z Indii, zadzwoniła do matki Surjit w Coventry.

– Surjit tu nie ma – poinformowała. – Odzywała się do was?

– Co to znaczy, że jej nie ma? Nie jest z tobą w domu? – spytała matka Surjit.

– Nie, postanowiła wrócić wcześniej. Rozmawialiśmy dwa dni temu, powiedziała, że tęskni za dziećmi, więc poleciała do Anglii przede mną. Ale nie widziałam jej od tej pory. Myślałam, że jest u was.

Matka Surjit – i cała jej rodzina, kiedy tylko dowiedziała się o tym telefonie – od razu zaczęła podejrzewać najgorsze. Musiało się stać coś strasznego. Coś, co wymagało bardziej zdecydowanego działania niż przekazanie informacji przez telefon.

Dzień drugi.

Następnego ranka Jagdeesh Singh i jego żona zjawili się w domu przy Willow Street Lane. Nie wiem, co działo się w jego głowie, o czym myślał, ale utrzymywał uparcie, że Surjit ma poważne kłopoty. Rozumiał być może, dlaczego jego siostra nie chce wracać z Bachan Kaur – wiedział, że nie lubi teściowej – ale jeśli bilet na samolot został już kupiony, to nic nie miało tu sensu. Zwłaszcza że Surjit, jak sama mówiła, chce wrócić do domu wcześniej, żeby zobaczyć dzieci, a jak dotąd w ogóle się z nimi nie spotkała.

– Myślę, że powinniśmy pójść na policję – powiedział Jagdeesh Singh.

Sukhdave nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Nie, nie – odparł. – Niedługo wróci. Zaczekaj jeszcze ze dwa dni.

– A co to da? Powinna była wrócić tym samym samolotem, co twoja mama.

– Zmieniła plany – odparł Sukhdave. – Wiesz, jaka jest.

– Nie, nie podoba mi się to wszystko – upierał się Jagdeesh. – Już dawno powinna tu być. Dzwonię na policję.

Była to ostatnia rzecz, jakiej Sukhdave pragnął.

– Nie mieszajmy w to policji.

Jagdeesh zignorował jego słowa i zaczął się zbierać do wyjścia. Wiedział, gdzie znajduje się posterunek w Hayes. Zastanawiał się, co ma powiedzieć, kiedy Sukhdave wyciągnął asa z rękawa.

– Pomyśl o wstydzie, którym okryje się społeczność, Jagdeesh, jeśli pójdziesz z tym na policję, a twoja siostra wróci za dwa dni.

Jagdeesh Singh nie odpowiedział.

Jednak to, co usłyszał, zasiało w nim ziarno wątpliwości. Miał swoje podejrzenia, ale musiał być całkowicie pewien, nim zdecydowałby się wyjawic je – komukolwiek.

Jeśli Sukhdave potraktował brata Surjit lekceważąco, to z dziećmi poszło mu o wiele gorzej. Gdy Pav się zorientowała, że jej mama nie wróciła na czas, bardzo się zmartwiła. Nawet dziecko zaczęło sobie uświadamiać, że dzieje się coś złego. Z początku Sukhdave starał się poprawić dzieciom humor, mówiąc im, żeby się nie

martwiły. Potem stracił cierpliwość i kazał się uspokoić. Nie tego potrzebowały.

Widziałam, jak te maleństwa cierpią. Znowu nabrałam wątpliwości. Czy jakkolwiek ojciec byłby tak bezduszny i okrutny, wiedząc, że matka jego dzieci nigdy nie wróci do domu? Na pewno nie.

Egoistycznie pomyślałam o czymś innym. Jeśli Sukhdave naprawdę pozbył się Surjit i zachowuje się tak bezwzględnie wobec istot, które kocha – to co w takim razie byłby zdolny zrobić ze mną?

Dopiero gdy usłyszałam, jak Bachan Kaur rozmawia z kimś przez telefon, uświadomiłam sobie, że jej opowieść zmieniła się z dnia na dzień. Powiedziała mi najpierw, że Surjit postanowiła zostać w Indiach trochę dłużej. Teraz okazało się, że wyjechała dwa dni wcześniej. Czy to oznaczało, że z moją szwagierką nic złego się nie dzieje?

Rozmowa z Bachan Kaur i Sukhdave'em była wykluczona, a Hardave powtórzyłyby tylko jak papuga wszystko, co kazaliby mu powiedzieć. Było to bez znaczenia. Nauczyłam się, jak ich unikać. Gdy jednak chodziło o moją własną rodzinę, co mogłabym zrobić? Tak chciałam podzielić się z nimi swoimi podejrzeniami. Ale komu by to pomogło? Jak zareagowałby mój ojciec, gdyby usłyszał, że rozsiewam niczym nieuzasadnione plotki o swojej rodzinie? Okryłoby to wstydem nas wszystkich; byłam pewna, że tak właśnie by uważał.

Mimo wszystko nasza rozmowa przeprowadzona krótko po powrocie Bachan Kaur była istną męką.

– Twoja szwagierka dobrze bawiła się w Indiach? – spytał tata.

– Nie wiem.

– Nie rozmawiałaś z nią?

– Jeszcze nie wróciła.

Po drugiej stronie panowała przez chwilę cisza.

– Powiedziałaś chyba, że Bachan Kaur jest już w domu?

– Tak.

– Więc gdzie jest Surjit?

– Nie wiem.

– Musisz wiedzieć. Jesteście sąsiadkami. Jesteście jedną rodziną.

– Nie wiem. Nie wróciła, to wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Nie chciałam, żeby się martwił, ale skutek był chyba odwrotny do zamierzonego.

Moja teściowa była w domu już od dwóch dni i wbrew temu, co mówiła, a także wbrew temu, co mówił Sukhdave, Surjit nie dała znaku życia. Atmosfera w obu domach była okropna. Wydawało się, że dzieci działają wszystkim na nerwy i że

Ricky szczeka głośniej i zajadlej niż zwykle. Nie potrafiłam spojrzeć nikomu w oczy. Bałam się tego, co mogę w nich dostrzec.

Znowu pomyślałam o swoim liście do policji w Hayes, o telefonie do Crimestoppers. Musiały przecież odnieść jakiś skutek. Może właśnie dlatego nie mieliśmy żadnych informacji od Surjit – ponieważ policja dzięki moim informacjom ją uratowała? Słyszałam o bezpiecznych miejscach odosobnienia i programach ochrony świadków. Czy to możliwe, by funkcjonariuszom udało się w ostatniej chwili ocalić Surjit? Czy dlatego Bachan Kaur wydaje się taka zdenerwowana? Może naprawdę nie wie, gdzie przebywa Surjit.

Sama myśl, że tak właśnie jest, dodawała mi otuchy. Ale trwało to bardzo krótko. Naciskany przez Jagdeesha Singha Sukhdave zdecydował się powiadomić władze o niewytłumaczalnym zniknięciu żony. Udał się oczywiście na posterunek w Hayes, ale gdy opowiedział całą historię, nie zakuto go w kajdanki. Nikt nie oznajmił: „Tak, dowiedzieliśmy się o pańskim zamiarze zamordowania żony”. Spisano tylko jego zeznanie, potwierdzono, że Surjit nie wyleciała z Delhi 14 grudnia ani później, i wyrażono nadzieję, że niebawem wróci cała i zdrowa.

Wszystko to było stratą czasu.

Rzykowałam życie i zdrowie psychiczne na darmo.

Dzień trzeci.

Nadzieja.

Zadręczałam się pytaniem, gdzie jest Surjit, ale gdy Sukhdave postanowił wrócić 20 grudnia do pracy, poczułam ulgę. Nie mógłby chyba tego zrobić, gdyby wcześniej zamordował żonę, czyż nie? Tym bardziej że, jak zeznał później na policji, spotkał przypadkowo znajomą swojej żony.

A ona mu powiedziała, że Surjit żyje.

Twierdził, że gdy wyjmował walizki ze swojego autokaru na Heathrow, dostrzegł kobietę stojącą w niewielkiej odległości od grupy pasażerów. Miała około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i krótkie rude włosy; najwyraźniej na coś czekała, ale nie była to walizka.

– Pan jest Dave? – spytała, kiedy tłum się rozproszył.

– Tak.

– A pańska żona ma na imię Surjit?

– Wiele kobiet ma tak na imię – odparł ostrożnie.

– Czy poleciała ze swoją teściową do Indii?

– Tak, to ona – potwierdził. – O co chodzi?

– Zadzwoń do mnie. Prosiła, żeby panu przekazać, że czuje się dobrze, że jest szczęśliwa i że wróci za jakieś dwa miesiące.

– Ma pani jej numer?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Może jej pani przekazać, żeby zadzwoniła do rodziny w Coventry? Albo do kogokolwiek z nas i powiedziała, że wszystko jest w porządku?

Nieznajoma się zgodziła. Kiedy ruszyła w głąb terminala, Sukhdave zawołał:

– Jak pani ma na imię?

– Kate – odparła.

Było to o jedenastej dwadzieścia. Według mojego szwagra rozmowa trwała ledwie pięć minut. Nie miało to jednak większego znaczenia. Jak Sukhdave powiedział funkcjonariuszom z posterunku w Hayes następnego dnia, Surjit żyła i miała się dobrze, nie było więc sensu zajmować się dłużej jej poszukiwaniami. W najgorszym razie zrobiła sobie dłuższą przerwę. W jakim celu, tego Sukhdave nie potrafił wyjaśnić.

Tak czy inaczej, była to dobra wiadomość.

Tak się cieszę, że nic nie powiedziałam tacie!

Dzień piąty.

Skutki nieobecności Surjit zaczęły być odczuwane poza kręgiem rodziny i społeczności. Jej szef Mike Beglin, zapytany, kiedy Surjit ma wrócić do pracy, odparł:

– Jutro rano, na pierwszą zmianę. Zaczyna o szóstej.

Nie był jedynym pracownikiem lotniska, który oczekiwał jej tego dnia. Surjit była umówiona na spotkanie nie tylko z bratem, ale też na świątecznego drinka z dwiema koleżankami z biura, Kellie i Theresą. W wieczór poprzedzający wyjazd do Indii zadzwoniła na numer domowy Kellie i obiecała, że zdąży wrócić na bożonarodzeniowe przyjęcie. Nic z tego oczywiście nie wyszło i teraz jej przyjaciółki były bardzo zaniepokojone.

A gdy nie pojawiła się tego grudniowego ranka w pracy, wszyscy zaczęli pytać: gdzie jest Surjit?

Dzień szósty.

Był 23 grudnia. Bachan Kaur wróciła – sama – pięć dni wcześniej. W domu panowała atmosfera podniecenia przed Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem. Były to jednak tylko pozory. Przez wzgląd na dzieci. Kiedy Pawanpreet pokazała ojcu listę prezentów, które chce otrzymać od Świętego Mikołaja, złamało mi to serce. Pragnęła tylko obecności jednej osoby.

A my nie wiedzieliśmy, gdzie jest.

Jednak Sukhdave zdołał z nią porozmawiać. I znów, jak zeznał na policji, był tego dnia w pracy, tym razem obok terminala 1, kiedy zauważył znajomą postać.

– Kate?

- Surjit chce z panem rozmawiać – poinformowała go kobieta.
- Dzięki Bogu. Proszę podać mi jej numer.
- Nie, sama zadzwonię.

Wyjęła komórkę i wystukała numer.

Nic.

Sukhdave zaczął podejrzewać, że to tylko na pokaz, Kate poprosiła go jednak o cierpliwość i ponownie spróbowała się połączyć. Potem jeszcze raz i jeszcze.

Przy piątej próbie uśmiechnęła się. Odezwał się sygnał. Nawet stojąc w odległości pół metra, pomimo kiepskiego połączenia, Sukhdave słyszał głos żony; był pewien, że to ona.

- Chcę z nią pomówić! – powiedział.

Biorąc do ręki komórkę, starał się odczytać numer na wyświetlaczu, ale nie mógł. Kate owinęła wcześniej telefon czarną taśmą.

Nie miało to w tym momencie znaczenia. Chciał tylko usłyszeć głos Surjit. Po pięciu minutach żałował tego.

- Powinieneś wiedzieć, że nie wracam – oznajmiła mu Surjit.
- Co przez to rozumiesz?
- A jak myślisz? Nie wracam, do cholery!
- Surjit, proszę, nie wyrażaj się w ten sposób.

Zamierzał ją uspokoić, ale bezskutecznie. Wyjaśniła, że ma dość Anglii i że jest szczęśliwa ze swoim chłopakiem Rajem.

- Przekaż mojej rodzinie, że nie wracam. Ani za dwa miesiące, ani nigdy.

– Jak możesz tak mówić? A co z Pav? I zapomniałaś, że masz dziewięciomiesięcznego syna?

– Posłuchaj, jeśli nie chcesz chłopca, to zawieź go do Coventry. Moi rodzice przyjmą go z radością.

Potem się rozłączyła. Sukhdave milczał zdruzgotany, zwracając Kate komórkę. Jeszcze raz poprosił o numer telefonu Surjit. Kate, jak zeznał, ponownie odmówiła.

- Tak będzie lepiej.

I oddaliła się tak jak wcześniej.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i szybko minęły. Mimo naszych starań był to ponury czas. Wiadomość przekazana przez Sukhdave'a – że Surjit jest cała i zdrowa – była wspaniała, ale co za matka porzuca w ten sposób własne dzieci? Nie chciałam go o nic pytać. Pomimo tego, przez co przechodził, wciąż mu nie ufałam.

Wydawało się jednak, że znalazł sobie nowy cel. Spędzał cały wolny czas na Heathrow, starając się wyciągnąć od współpracowników Surjit jakieś wiadomości na jej temat. Nikt nie potrafił mu nic powiedzieć o miejscu jej pobytu. Odnosiło się

jednak wrażenie, że bardziej go interesuje jej życie towarzyskie. Potem relacjonował bratu, że jego żona miała reputację osoby sprawiającej kłopoty, takiej, która pójdzie z każdym mężczyzną, jakiemu się spodoba. I choć nikt nie potrafił tego potwierdzić, był przekonany, że zażywała też narkotyki.

Kiedy policja oficjalnie uznała Surjit za osobę zaginioną i zjawiła się 29 grudnia w domu pod numerem 88, Sukhdave powiedział funkcjonariuszom to samo. Przy ich kolejnej wizycie, w przeddzień Nowego Roku, miał dla nich jeszcze więcej informacji uzyskanych od pracowników lotniska; żadna nie była dla Surjit pochlebna.

Jej obraz przedstawiany przez Sukhdave'a nabierał coraz czarniejszych barw. Mimo wszelkich wątpliwości, jakie żywiłam wobec niego i Bachan Kaur, myśl o ucieczce mojej szwagierki przed rodziną była znacznie lepsza od tego, czego się wcześniej obawiałam. Może Bachan Kaur zapłaciła jej za odejście z domu? Była do czegoś takiego zdolna. Zważywszy na to, jak łąsa była Surjit na prezenty podczas pobytu w Indiach, nie należało wykluczać takiego scenariusza. Wyjaśniało to także, dlaczego policja i Crimestoppers niczego nie zrobili – bo nie mieli nic do roboty.

Czułam się tak, jakby zdjęto mi z barków wielki ciężar. Najwidoczniej niewłaściwie oceniałam Surjit. Nie po raz pierwszy zachowała się w sposób, który nie przyszedłby mi do głowy. Tak, wydawało mi się czymś nie do pomyślenia, by matka porzuciła swoje dzieci – zamierzałam jej to powiedzieć przy najbliższej okazji – ale najważniejsze, że żyła. Uznałam, że moje najgorsze koszmary były, no cóż, tylko koszmarami, niczym więcej. Mogłam odetchnąć i zająć się swoim życiem. Cieszyć się rodziną i pomagać przy dzieciach Surjit.

Potem doszło do wizyty, która wszystko zmieniła.

Był styczeń i wszyscy oprócz dzieci zachowywali się tak, jakby chodziło o zwykły początek kolejnego roku. Siedziałam jak zawsze w kuchni. Maluchy bawiły się na górze, a Hardave poszedł do pracy. Usłyszałam, jak ktoś otwiera tylne drzwi, i od razu się spięłam. Skinęłam głową teściowej, która skierowała się do salonu, mówiąc przy tym cicho:

– Posiedź ze mną.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty, ale posłuchałam jej, tak jak się tego zresztą spodziewała. Cieszę się, że tak zrobiłam.

Kiedy weszłam do pokoju, Bachan Kaur niczym nie przypominała tej silnej i apodyktycznej kobiety sprzed zaledwie kilku minut. Siedziała ze spuszczoną głową i drżała; po twarzy płynęły jej łzy. Nie te udawane, które potrafiła wylewać na zawołanie. Te były jak najbardziej szczere, o ile mogłam się zorientować. I drżała naprawdę. Miałam przed sobą kogoś, kto jest załamany.

Pomimo bólu, jaki mi przez te wszystkie lata sprawiała, przysiadłam się do niej

czym prędzej.

– Co się stało? O co chodzi?

Łkała niepowstrzymanie. Nigdy jej takiej nie widziałam. Ta kobieta o budzącej lęk osobowości kiwała się na kanapie, pociągając nosem i mówiąc coś niezrozumiale. Nigdy nie brakowało jej słów, ale teraz musiało upłynąć kilka chwil, nim zdołała przemówić.

– Spokojnie, nie spiesz się – powiedziałam.

Co, na Boga, tak ją dręczyło? Nigdy się tak nie zachowywała, nawet gdy umarł Gian Singh.

Wzięła głęboki oddech.

– To naprawdę okropne...

– O co chodzi? Co się stało?

– Surjit nie wróciła.

– Wiem. Powiedziałaś, że wyjedzie po tobie. Potem powiedziałaś, że wyjechała dwa dni wcześniej. Powiedz mi prawdę. Gdzie ona jest?

Zabrakło mi tchu, kiedy umilkłam. Nigdy wcześniej nie przemawiałam tak bezpośrednio do swojej teściowej. Nie wiem, skąd tym razem czerpałam siłę, ale to, co zamierzała mi wyznać, wydawało się niezwykle ważne. W sytuacji, gdy była taka przybita, czułam się na tyle pewnie, by zaryzykować.

Bachan Kaur wciąż siedziała ze spuszczoną głową.

– To okropne – powtórzyła. – Naprawdę okropne. Może nie należało tego robić, ale przynosiła zbyt duży wstyd rodzinie.

Och nie...

– Czego nie należało robić?

Chyba już wiedziałam. Oczywiście. To był mój koszmar na jawie, który trwał od tego pamiętnego zebrania rodzinnego. Mimo wszystko pragnęłam usłyszeć to z pewnego źródła.

– Nie mogłam dłużej na to pozwalać. Ludzie zaczęli gadać, a mój syn wylądowałby na ulicy, gdyby odebrała nam dom.

– Powiedz mi, gdzie jest Surjit? – powtórzyłam, ale zdawało mi się, że mnie tam nie ma. Bachan Kaur potrzebowała wyrzucić coś z siebie, a ja miałam to usłyszeć, nieważne, czy tego chciałam, czy nie. W swoim czasie. Jej czasie.

– Byłyśmy na weselach – ciągnęła. – Poznała krewnych. Tańczyłyśmy. Byłyśmy szczęśliwe. Potem chciała iść na zakupy, obiecałam jej to, więc dałam jej pieniądze: „Weź, kup sobie, co chcesz”.

– Poszłaś z nią?

Zapłakana kobieta pokręciła głową.

– Nie, ona chciała, ale tego nie zrobiłam.

Wspomnienie tej chwili przyprawiło ją o kolejny atak szloch. Pragnęłam tylko,



żeby mówiła dalej. Tak bardzo chciałam usłyszeć, co ją dręczy, że niemal zapomniałam oddychać. Co zamierzała mi powiedzieć?

– Więc Surjit wsiadła do jeepa, tak jak zostało ustalone. Nie dotarli jednak do sklepów. Dostała wodę i gdy tylko jej się napiła, zrozumiała, że ją odurzili.

Bachan Kaur, relacjonując te szczegóły, odzyskiwała pewność siebie. Im dłużej mówiła, tym normalniejsza się wydawała. Zaledwie kilka minut wcześniej sprawiała wrażenie całkowicie załamanej i przybitej, a teraz wyglądała jak niewiniątko – jak wtedy, gdy gawędziła pod świątynią; ta przemiana robiła wrażenie.

– Kiedy już straciła przytomność, dwaj mężczyźni, z którymi jechała, udusili ją, zdjęli z niej biżuterię i wrzucili jej ciało do rzeki Ravi.

– Więc nie żyje?

Musiałam mieć pewność.

– Tak, nie żyje.

I to wszystko. Tak rzeczowo, tak chłodno. Powiedziała mi właśnie o zamordowaniu swojej synowej, a relacjonowała to jak rozmowę w supermarkecie. Łzy na jej twarzy już obeschły. Siedziała wyprostowana, głowę miała wysoko podniesioną. Odzyskała swą dumną, pewną siebie postać, jaką prezentowała każdego dnia.

Jeśli o mnie chodzi, nawet siedząc, nie potrafiłam zapanować nad drżeniem nóg. Czułam na całym ciele dreszcze, robiło mi się na przemian gorąco i zimno. Nie czułabym się gorzej, gdyby kazano mi ją zabić.

I dlaczego mi się z tego zwierzyła? Nie chciałam wiedzieć. Nie chciałam dzielić z nią tego brudnego sekretu. Czy może właśnie o to chodziło? Czy było to przedstawienie? Czy moja teściowa chciała mi dać do zrozumienia, że i mnie mogą się pozbyć w ten sam sposób? Nie wiedziałam, co mam w tym momencie myśleć. Naprawdę.

A potem, tak nagle, jak się pojawiła, Bachan Kaur wstała, gotowa sobie pójść. Powiedziała swoje, bez względu na to, czy było to skutkiem wyrzutów sumienia, czy zimnej kalkulacji.

– Surjit nie będzie już nam przynosić wstydu – oznajmiła, jak zwykle pewna siebie. – Znow zaczniemy żyć jak przyzwoita rodzina.

Nie mogłam w to uwierzyć. Surjit chciała tylko odejść od męża i jego bliskich – a oni ją zabili.

Wyjściem był rozwód.

Nie śmierć.

Nigdy się jeszcze tak nie bałam.

## Rozdział trzynasty

### JEST JEDYNYM WNUKIEM, JAKIEGO MAM

Idiotka.

Musieli śmiać się ze mnie przez cały ten czas. Hardave, Bachan Kaur, Sukhdave. Siedzieli ze mną w tym samym pokoju i kłamali. Okłamywali bez zmrżenia powiek mnie i moje dzieci. Okłamywali Jagdeesha Singha, jego rodzinę. Okłamywali policję. Nigdy jeszcze nie czułam się tak głupio.

Albo tak niepewnie.

Mama i Sukhdave nie udusili Surjit własnymi rękami, ale kazali to komuś zrobić. Podejrzywałam, że zapłacili też za to. Nie bez powodu zachęcano Surjit, żeby nosiła swoje złote ozdoby i biżuterię. Czyżby chodziło o zadatek?

Wróciłam myślą do poprzedniej wiosny. Sukhdave poleciał na tydzień do Singapuru odwiedzić rodzinę mamy. Nie zaniepokoiło mnie to wówczas. Wręcz przeciwnie, byłam zadowolona, że zniknął na jakiś czas z domu. Kiedy dowiedziawszy się już o zabójstwie Surjit, spytałam o to Hardave'a, ujawnił, że celem podróży jego brata nie był wcale Singapur. Sukhdave pojechał do Indii, do Pendżabu.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – spytał Hardave.

Nie mogłam mu powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Był moim mężem, ale musiałam przemyśleć pewne sprawy, nim zdecydowałam się wyznać mu to, co usłyszałam od jego matki. Z drugiej strony, czy można było żywić jakiegokolwiek wątpliwości?

Wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Sukhdave wybrał się do Indii, żeby osobiście ubić interes. Bez względu na cenę za zabójstwo żony musiał wówczas przypieczętować umowę uściskiem dłoni.

A ja mieszkalam z nimi pod jednym dachem.

Jak do tego wszystkiego doszło? Kilka tygodni wcześniej cierpiałam, nie wiedząc, co się dzieje, i obawiając się najgorszego. Potem wmówiłam sobie, że Surjit obrała własną drogę, choć taką, na którą ja sama nigdy bym się nie zdecydowała. Teraz zaś znałam prawdę. Nie było już miejsca na wątpliwości, na rozważania. Nie było nadziei. Surjit nie żyła.

Po tym jak Bachan Kaur wyznała mi, co się stało, atmosfera w domu zmieniła się natychmiast. Wcześniej Sukhdave unikał mnie jak ognia. Teraz zjawiał się, żeby

mi coś powiedzieć. Nie był zły ani zagniewany, raczej chłodny i poważny. Patrząc na jego twarz, myślałam tylko o jednym.

Mam przed sobą mordercę.

– Słyszałam, że rozmawiałaś dziś z mamą – powiedział.

Skinęłam w milczeniu głową.

– A więc wiesz?

Znowu skinęłam głową.

– I wiesz również, że to samo spotka ciebie, jeśli odważysz się choćby pisać komuś słówko.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, potem wyszedł z domu. Nie byłabym zdziwiona, gdyby sobie przy tym pogwizdywał. Sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego jak nigdy.

Tym bardziej przerażający się wydawał.

\*

Nie mogłam uwierzyć, że Sukhdave nie próbował nawet zaprzeczać rewelacjom matki, tłumaczyć ich histerią. Ale w jego słowach kryła się bez wątpienia groźba. Pomyślałam o Taran i Balveen. Byłam matką dwóch córek i należałam do rodziny, która zabiła już jedną kobietę. Oczywiście potraktowałam jego ostrzeżenie poważnie. Gdyby mnie zabrakło, kto zająłby się dziećmi?

Nie Hardave.

Zakazano mi rozmawiać z kimkolwiek, ale Sukhdave nie wspomniał o Bogu, więc poszłam do pokoju modlitewnego, by omówić tę koszmarną sytuację, w jakiej się znalazłam. Kiedy to nie pomogło, pobiegłam do gurdwary przy Havelock Road, jakby obecność innych pobożnych ludzi mogła nadać moim modlitwom więcej siły. Tylko konieczność opieki nad dziećmi sprawiła, że nie spędziłam tam całego dnia. Zwierzając się ze swych kłopotów moim guru i Wszechmocnemu, mogłam liczyć tylko na odrobinę pociechy, więc pomimo groźby ze strony Sukhdave'a chciałam za wszelką cenę porozmawiać z kimś jeszcze. Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić. Zachowanie milczenia, którego bym się domagała, byłoby dla każdego zbyt wielkim ciężarem. I wiedziałam, co by się stało, gdyby mój szwagier odkrył, że otworzyłam usta.

Kilka dni później moja siostra Inder poprosiła mnie, żebym wybrała się z nią na zakupy. Chciała skorzystać z noworocznych wyprzedaży. Nie miałam pieniędzy, ale była to dobra wymówka, by wyrwać się na jakiś czas z domu, więc się zgodziłam.

Wiedząc, że mam się spotkać z siostrą, Bachan Kaur uprzedziła, żebym trzymała język za zębami. Niepotrzebnie się martwiła. Za bardzo się bałam, żeby

komukolwiek powiedzieć. I z pewnością nie obarczałabym czymś takim swojej małej siostry.

Nie odstępowałam jej jednak cały ranek, siląc się na uśmiech, kiedy na mnie patrzyła, ale jednocześnie byłam pogrążona w swoich myślach. Potem znalazłyśmy się w dzielnicy Uxbridge i gdy weszłyśmy do sklepu, załamalam się. Inder stała obok mnie z otwartymi ustami, a ja wyrzucałam z siebie wszystko. Znała Surjit. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Wystarczyło jednak, że spojrzała na mnie, dostrzegając na mojej twarzy ulgę i łzy, by zrozumieć, że to wszystko prawda.

– Musisz powiedzieć o tym policji – powiedziała.

– Nie mogę. Kazali mi przyrzec, że tego nie zrobię.

– Musisz. Oni zabili Surjit.

– I mnie też zabiją, jeśli cokolwiek powiem. Obiecuj, że nikomu niczego nie powtórzysz.

– Nie wiem...

– Obiecuj mi! Musisz!

Niepotrzebnie jej powiedziałam. To było z mojej strony niesprawiedliwe, egoistyczne. Skoro sama nie potrafiłam dochować tajemnicy, dlaczego oczekiwałam tego po niej? Ale obiecała. I gdy rozstawałyśmy się tego dnia, wiedziałam, że mogę jej ufać. I byłam zadowolona, że jej się zwierzyłam.

Jeśli coś mi się stanie, ktoś przynajmniej będzie znał prawdę...

Uważałam jednak, że nic mi się nie stanie. Musiałam w to wierzyć. Próbowałam sobie desperacko wmawiać raz za razem, że nie jestem Surjit. Że zrobiłam wszystko, by dostosować się do tej rodziny. Że dzięki wychowaniu, które zawdzięczałam swoim rodzicom, żyłam tak, jak Athwalowie oczekiwali po synowej. Z pewnością nie mieli żadnych powodów źle mnie traktować. Ale, jak sobie uświadomiłam, nigdy takich powodów nie mieli.

I nigdy ich to nie powstrzymało.

Moje siostry jednak, podobnie jak Surjit, odznaczały się większą ode mnie niezależnością. Nie wiem, czy była to kwestia osobowości, czy też wynikało to stąd, że wolno im było utrzymywać kontakty z rówieśnikami. W każdym razie odkryłam później, że Inder zignorowała moje prośby o dyskrecję i powiedziała o Surjit policji.

Nie zrobiła tego od razu. Ze względu na mnie i moją niepewną pozycję w rodzinie stłumiła w sobie instynktowną chęć, by zgłosić to w chwili, gdy rozstałyśmy się po zakupach. Pracowała jednak na Strandzie w centrum Londynu i codziennie mijała po drodze posterunek policji przy Charing Cross; odczuwała coraz silniejszą pokusę. Owszem, oznaczałoby to, że zawiedzie moje zaufanie, ale

uważała, że być może ocali mi życie.

Oficer dyżurny przyjął zgłoszenie; spisał szczegóły, które mu podała, i w ogólnych zarysach moją opowieść. Przekazał to dalej. Policja dzwoniła do niej kilka razy, prosząc o złożenie bardziej konkretnych zeznań w obecności starszych stopniem funkcjonariuszy. Nie powiedziała mi o tym, a ja dowiedziałam się dopiero po latach.

Nie bez powodu. Policja nie kiwnęła nawet palcem.

Poinformowano ją po raz trzeci i po raz trzeci nie zareagowała.

Dlaczego? Czy uważano, że to sprawa rodzinna? A może nikt nie chciał zawracać sobie głowy zniknięciem jeszcze jednej sikhijskiej dziewczyny? Niewykluczone też, że sprawa gdzieś utknęła. Patrząc na to z perspektywy czasu, nie potrafię znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi.

Nieświadoma tego, co zamierza zrobić moja siostra, wróciłam do domu w lepszym nastroju niż rano. Dziękując się z nią koszmarem tajemnicą, zrzuciłam z ramion ogromny ciężar. Teraz wiem, że było to z mojej strony krótkowzroczne. I nie mogło przywrócić Surjit życia, ale za bardzo się bałam, żeby sięgać myślą tak daleko w przyszłość. Wtedy, w styczniu 1999 roku, wiedziałam tylko to, że ze względu na dzieci muszę jakoś przetrwać w tym koszmarnym domu. Wydawało mi się, że dzięki rozmowie z Inder znalazłam w sobie dość siły, żeby tego dokonać.

Ale na jak długo jej starczy?

Niemal natychmiast zostałam poddana próbie. Gdy zobaczyłam później Sukhdave'a, okazało się, że poinformował właśnie policję o swoim ostatnim spotkaniu z kobietą o imieniu Kate.

Zmyśloną kobietą.

Powiedział im wszystko. Że Surjit uciekła z mężczyzną o imieniu Raj i że zostało to wcześniej starannie zaplanowane. Że powiedziała mu, by oddał dzieci pod opiekę jej rodziców, jeśli sam nie chce się nimi zajmować. Odgrywał zdradzonego, zdradzonego męża i robił to znakomicie. Jak mu się to udało? Kto potrafi w ten sposób kłamać?

Jeśli nie wiedziałam tego wcześniej, to teraz uświadomiłam sobie, że jest to człowiek, którego należy się obawiać. I który zasługuje na nienawiść – nie tylko za to, co zrobił swojej żonie.

Powiedzieć policji, że Surjit uciekła z obcym mężczyzną, to jedno, ale powtórzyć to samo dzieciom – niewybaczalne.

– Matka was nie kocha – oznajmił zrozpaczonej Pav. Miała tylko siedem lat, ale wiedziała, co oznaczają te słowa. Jej brat był zbyt mały, żeby cokolwiek zrozumieć, ale w ciągu następnych kilku lat miał po temu okazję wielokrotnie. – Uciekła z innym mężczyzną. Nie chce już z wami mieszkać.

Kto byłby zdolny do tego, żeby okłamywać w ten sposób własne dzieci? I tak już cierpiały z powodu nieobecności matki. Lecz winić je za to, że odeszła, było nikczemne i tchórzliwe. Musiał wiedzieć, jaką krzywdę im wyrządza. Sukhdave nie przejmował się tym jednak. Im bardziej nienawidziłyby Surjit, tym bardziej kochałyby jego. I Bachan Kaur.

Na szczęście rzadko go widywałam przez kilka następnych dni. Rodzinne rozmowy toczyły się w sąsiednim domu. Nawet wizyty jego siostr odbywały się właśnie tam. Byłam z tego zadowolona. Sprawiał wrażenie tak przyjaznego, wesołego, bezpośredniego. Mając do czynienia z oboma braćmi, ludzie na ogół obdarzali większą sympatią tego starszego. Świadoma jednak, w jakim żyje kłamstwie, wiedziałam, że ta dobroduszość to tylko maska, pozory. Staralam się – ze względu na dzieci – żyć za wszelką cenę normalnie; im rzadziej go widywałam, tym lepiej.

To samo dotyczyło teściowej. Od chwili gdy zdobyła się na tamto emocjonalne wyznanie, a potem bez mrugnięcia okiem przemieniła z powrotem w dawną siebie, uświadamiałam sobie, jaka z niej doskonała aktorka. Jej widok wywoływał we mnie lęk. W przeciwieństwie jednak do syna mogła zjawić się w każdej chwili w naszym domu, żeby zajrzeć do pokoju modlitewnego. Ilekroć zbliżał się czas jej wizyty, chowałam się w swojej sypialni. Jeśli nie zdążyłam się zorientować, że przyszła, albo zrobiła to niespodziewanie, dostawałam niemal palpacji. Miałam wrażenie, że gdy tylko przekracza próg pokoju, zaczyna w nim brakować powietrza. Z trudem oddychałam, z trudem patrzyłam jej w oczy, z trudem z nią rozmawiałam. Dostrzegała to być może, ale milczała. Na razie.

Zeznanie, jakie Sukhdave złożył na policji w sprawie Raja, miało powstrzymać dalsze pytania. Może w innej sytuacji okazałoby się to skuteczne. Na nieszczęście dla mojego szwagra nie on jeden starał się odnaleźć Surjit. Jagdeesh Singh stał się częstym gościem na posterunku w Hayes albo w Uxbridge, gdzie znajdowała się siedziba wydziału kryminalnego; zjawiał się tam osobiście albo dzwonił. Jego ojciec, Mohinderpal Singh Dhillon, także naciskał na policję w Coventry, a nawet skontaktował się z lokalnym członkiem parlamentu. W rezultacie śledztwo w sprawie zaginięcia Surjit, mimo podejmowanych przez Sukhdave'a prób jego umorzenia, trwało nadal.

Funkcjonariusze wydziału kryminalnego zajmujący się tą sprawą rozmawiali z Jagdeeshem Singhiem i Sukhdave'em wielokrotnie. Odwiedzali też regularnie dom pod numerem 88. Siódmego stycznia 1999 roku postanowili skonfrontować ich ze sobą i poprosili obu o spotkanie przy Willow Tree Lane.

Nie lubiałam odwiedzać sąsiedniego domu, ale przypuszczałam, że dla Jagdeesha będzie to jeszcze gorsze – przebywać w miejscu, gdzie jego siostra była tak

nieszczęśliwa. Zjawił się wcześniej i zaproponował, że wyprowadzi Ricky'ego na spacer, jakby chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Kiedy wrócił po dwudziestu minutach, policja już czekała na niego. Detektyw przekazał ustalenia śledztwa – dotyczyły one siłą rzeczy zeznań Sukhdave'a na temat „Raja” i „Kate”; dowiedział się też, że nie można było skontaktować się telefonicznie z indyjską rodziną Athwalów, mimo że wielokrotnie dzwoniło z Willow Tree Lane do Bachan Kaur, kiedy Surjit przebywała u krewnych na wakacjach. Detektyw poprosił też o próbkę włosów Surjit. Dostał jedną z jej szczotek.

Po tygodniu sytuacja się powtórzyła. Jagdeesh Singh wolał wziąć Ricky'ego na spacer, niż siedzieć w towarzystwie Athwalów. Nawet jeśli nie podejrzewał ich o nieczystą grę, wiedział zbyt dużo o tym, jak traktowano Surjit, kiedy tu mieszkała; nie czuł się dobrze w ich obecności. Tym razem funkcjonariusze poinformowali, że następnym krokiem w sprawie dotyczącej zaginięcia osoby jest podanie tego faktu do wiadomości publicznej. Czy Sukhdave ma jakieś zdjęcie, które może posłużyć przy sporządzaniu odpowiedniego plakatu? Poinformowali też, że zapłacą za komunikaty nadawane co godzinę przez indyjską stację radiową w Londynie, Sunrise AM.

Dopiero gdy Jagdeesh Singh wyszedł z domu, Sukhdave skontaktował się z policją w sprawie jej zamierzonych działań.

– Nie chciałem poruszać tego tematu w obecności szwagra, ale czy moglibyście nie posługiwać się nazwiskiem Athwal? Okryje to wstydem naszą rodzinę.

Wstyd? Znowu to słowo.

Policja wyraziła zgodę.

Dwudziestego stycznia stacja zaczęła nadawać co godzinę długi komunikat z rodzaju „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...”. Podano, w jakich okolicznościach i gdzie widziano Surjit po raz ostatni, a także to, że mogła przylecieć z Delhi i przebywać obecnie na terenie Zjednoczonego Królestwa. Rysopis: około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, krótkie włosy, prawdopodobnie spięte w kok. Problem polegał na tym, że kobieta, której policja poszukiwała, nazywała się Surjit Kaur Dhillon.

Komunikat nadano tylko na terenie Londynu, gdzie nikt nie znał Surjit pod tym nazwiskiem.

Co policja sobie myślała?

1 : 0 dla Sukhdave'a.

Oficjalne śledztwo przybrało po raz kolejny niespodziewany obrót 1 lutego, kiedy minęło sześć długich tygodni od zaginięcia Surjit. By pchnąć sprawę do przodu, postanowiono przesłuchać Dhillonów i Athwalów ponownie. Wszystkich zaproszono na posterunek policji w Uxbridge, gdzie funkcjonariusze

niespodziewanie ujawnili swój zamiar.

Wszyscy mieli być przesłuchiwani jednocześnie.

Nie byłam świadoma tego, co policja wie ani co podejrzewa Mohinderpal Singh i jego rodzina, ale wiedziałam, że gdy tylko Sukhdave zacznie mówić, nie powie nic, co jego powinowaci chcieliby usłyszeć. I, jak się obawiałam, nic, co mogłoby pomóc w poszukiwaniach Surjit. Nie rozumiałam, dlaczego policja postanowiła działać w taki sposób, ale może miała swoje powody i kierowała się najlepszymi intencjami. Może uważano, że doprowadzi to do jakiegoś przełomu w sprawie. Okazało się jednak inaczej.

Według Jagdeesha Singha, który pojawił się na posterunku z ojcem, przesłuchanie wyglądało dziwnie. Posadzono Dhillonów i Athwalów naprzeciwko siebie. Funkcjonariusze zajęli miejsca pośrodku. Obie strony zaczęły się spierać o szczegóły dotyczące tego, co stało się – albo mogło się stać – z Surjit.

Kiedy dowiedziałam się o tym przesłuchaniu, zrobiło mi się żal Jagdeesha Singha i jego rodziny. Tego dnia zmierzyli się nie tylko z Athwalami. Mieli zapewne wrażenie, że przyszło im zmierzyć się także z policją.

2 : 0 dla Sukhdave'a.

Męka, jaką było życie ze świadomością prawdy i jednocześnie w strachu, który nie pozwalał jej ujawnić, każdego dnia odciskała na mnie piętno. Musiałam zajmować się czymkolwiek, bo w przeciwnym razie zaczynałam wariować. W każdej wolnej chwili przypominałam sobie ostatnie minuty życia Surjit, opisane przez Bachan Kaur. Wyobrażałam sobie siłą rzeczy, co przeżywała – samotna, przerażona, walcząca o życie. Wiedziałam też, że powinnam coś zrobić, ale koszmar, który stał się udziałem Surjit, i strach, że to samo stanie się też ze mną, paraliżowały mnie skutecznie. Nie widziałam przed sobą żadnej przyszłości. Nawet o niej nie myślałam; byłam zbyt przerażona. Poświęcałam się całkowicie gotowaniu, sprzątanii, opiece nad dziećmi, żyłam dosłownie z minuty na minutę.

Wydawało się natomiast, że Sukhdave i jego matka zawsze mają na względzie przyszłość. Jakby teraz i przedtem robili wszystko z myślą o dniu jutrzejszym. Najlepszym przykładem było kierowanie śledztwa na niewłaściwe tory. Jak odkryłam znacznie później, jednym z powodów zabicia Surjit był strach przed tym, co mogłoby się stać, gdyby pozwolono jej żyć. Gdyby zdołała rozwieść się z Sukhdave'em.

I zabrać dzieci.

Koniec końców, przeważył lęk przed zniknięciem z życia Bachan Kaur tak długo oczekiwanego dziecka płci męskiej.

„Jest jedynym wnukiem, jakiego mam. Nie zamierzam go stracić”.

Choć wiedziała, że chłopiec nie jest prawdopodobnie synem Sukhdave'a, była



gotowa zabić Surjit, by pozostał w jej rodzinie.

Ogarnęła mnie nagle radość, że dałam jej tylko wnuczki.

Nie zabiłaby, żeby je zatrzymać przy sobie...

## Rozdział czternasty

### ZŁATWIĘ TO

Surjit nie było niespełna dwa miesiące, ale czułam się tak, jakby przybyło mi kilka lat. Z jednej strony, unikając Barchan Kaur, ilekroć się pojawiała, a z drugiej, starając się zachowywać w obecności dzieci normalnie, czułam się równie wyczerpana co przerażona. Najtrudniej było z Hardave'em. To on na moich oczach sprzeciwił się pozostałym podczas tamtego zebrania, teraz jednak pilnował, bym pozostała lojalna wobec rodziny. Pomijając ten jeden raz, Sukhdave nie rozmawiał już potem ze mną o Surjit. Wszystko przekazywał przez brata.

Czasem zastanawiałam się, dlaczego Hardave zgadza się na to. Wiedziałam, że tak samo jak ja boi się matki – ale przecież istniały jakieś granice? Uświadomiłam sobie stopniowo, że Sukhdave karmi mojego męża kłamstwami o tym, co Surjit rzekomo o nim mówiła. Nie mogłam wprost uwierzyć, że próbuje w ten sposób manipulować bratem. Ale okazało się to skuteczne. I dlatego, jak przypuszczam, mój mąż milczał, nie chcąc mówić o tym, co się stało.

3 : 0 dla Sukhdave'a.

Nie wiem, w jakim stopniu to, co stało się po zabójstwie Surjit, było ze strony Sukhdave'a i Bachan Kaur planowane, a w jakim improwizowane. Kiedy 24 stycznia mój szwagier zadzwonił do Dhillonów, wykorzystał obie te taktyki.

Jak twierdził Sukhdave, odebrała matka Surjit. Spytał, czy ma jakieś wiadomości od córki.

– Nie. Sądzę, że nie żyje.

– Nie mów tak!

Wtedy słuchawkę wziął Mohinderpal Singh. On też był przekonany, że Surjit nie uciekła i że została zamordowana podczas swojej indyjskiej podróży. Co więcej, nie miał wątpliwości, kto ponosi odpowiedzialność – i nie bał się wytropić sprawców na rodzimej ziemi.

– Mam tam przyjaciół – oznajmił. – Wyślę ich do wioski i odkryję prawdę.

Sukhdave wiedział, jak głęboko sięgają związki Mohinderpala w Pendżabie. Był poruszony tym, co usłyszał i w czym dostrzegał groźbę. A gdyby indyjski zaufany Athwalów postanowił ujawnić wszystko, co wie?

Sukhdave przekonywał jednak policję, że martwi się o bezpieczeństwo dzieci.

Wierzył rzekomo, że kiedy wyjdzie z nimi na ulicę, to zostanie zaatakowany przez przyjaciół Mohinderpala.

Jakby to była prawda...

Myślę, że Sukhdave'a przeraziła nieustępliwość, z jaką jego teść poszukiwał córki. Lecz Athwal to Athwal – Sukhdave niebawem obrócił tę rozmowę na swoją korzyść.

Jeśli rodzina Dhillonów uważała, że ich córka nie żyje, to z pewnością mógł domagać się wypłaty stu tysięcy funtów z polisy na życie, na której widniało nazwisko jego żony. Zaczął wydzwaniać do firmy ubezpieczeniowej Scottish Amicable i próbował zrealizować roszczenie. Przekonany, że mu się uda, zrezygnował z pracy kierowcy autokaru. Ostatecznie jednak spotkał się z odmową.

Jak zwykle dowiedziałam się o tym po fakcie. Byłam zdziwiona, że Surjit miała jakąś polisę. Moje przeczucia mnie nie zawiodły. Gdy ujrzałam datę na dokumencie, zmroziło mnie. Polisę wystawiono 4 grudnia 1998 roku.

W dniu, w którym Surjit opuściła Zjednoczone Królestwo.

Kolejny trop, kolejny dowód, że Sukhdave wiedział, co się ma wydarzyć. Kolejny fakt, który dowodził, jak bardzo jest przebiegły i arogancki.

I jeszcze jeden, który tylko potwierdzał to, że powinnam się go wystrzegać.

Skoro się okazało, że nie może zyskać finansowo na śmierci Surjit, Sukhdave postanowił wykorzystać ją w inny sposób. Wystąpił o rozwód.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego jest taki zuchwały. Gdyby ktoś był szczerze zaniepokojony tym, że jego żona zaginęła, to czy starałaby się czym prędzej wykluczyć ją ze swojego życia? Nie. Ale gdyby wymyślił sobie, że sama mu powiedziała, by o niej zapomniał i zajął się swoim życiem, to może tak. Właśnie takiej wersji Sukhdave się trzymał.

Wyjaśnia to też, dlaczego miał czelność przedstawić taki a nie inny powód rozwodu: Surjit nie nadaje się na matkę!

Mieszkał sam zaledwie od miesiąca, kiedy zauważyłam, że w sąsiednim domu pojawia się jakaś kobieta. Widywałam ją w szkole swojej córki, choć nigdy z nią nie rozmawiałam. Spytałam o nią męża. Hardave skonsultował się w tej sprawie z bratem, a potem oświadczył:

– To tylko przyjaciółka. Sukhdave płaci jej za zajmowanie się domem.

Gdyby słowa te padły z ust kogoś innego, można by w nie uwierzyć. Ale Sukhdave nigdy nie wydawał gorsza, jeśli mógł mieć coś za darmo. Ta kobieta miała już trójkę dzieci i była samotna. Wiedziałam, na co liczy, wiążąc się z Sukhdave'em. Sam jednak nigdy by nie przyznał, że to ktoś więcej niż tylko sprzątaczką. Na nieszczęście dla niego, skoro kilka razy ukłoniłyśmy się sobie grzecznie na chodniku, wiadomo było, że prędzej czy później porozmawiamy pod

szkołą, czekając na dzieci.

Niestety, Sukhdave też o tym wiedział.

Nie mam pojęcia, czy śledził jedną z nas – choć zważywszy na to, że potrafił śledzić też swoją żonę, nie byłabym zdziwiona – czy też obserwował szkołę albo po prostu znalazł się tam przypadkowo. W każdym razie zauważył pewnego dnia, że rozmawiamy na boisku; czekał już na mnie, kiedy wróciłam do domu.

Tym razem nie wyręczył się bratem. Nie było poleceń i żądań przekazywanych za pośrednictwem Hardave'a.

– Widziałem, jak z nią rozmawiasz.

– Z kim?

– Wiesz z kim. O czym mówiłyście?

– Rozmawialiśmy o dzieciach. Zwykła pogawędka.

– Domyślasz się więc, o kogo mi chodzi?

Wbiłam wzrok w podłogę. Sukhdave nie był wielkoludem, ale potrafił budzić strach. Jak każdy, kto ma krew na rękach.

– Nie wierzę ci – dodał.

– To prawda.

– Nie obchodzi mnie to. Masz z nią więcej nie rozmawiać. Rozumiesz?

– Nie możesz mi zakazać.

Zbliżył się do mnie. Czulałam zapach jego potu.

– Nie proszę cię. Rozkazuję.

Znów miałam trzynaście lat. Stałam przed swoim dziadkiem, który łąał mnie za to, że odpowiedziałam na pytanie jakiegoś chłopca. Nie robiłam wtedy nic złego, a mimo to zostałam w taki sposób potraktowana. Sytuacja się powtarzała. I wiedziałam, że zrobię dokładnie to samo co wówczas. Mówiono mi, z kim mogę rozmawiać, a z kim nie; taki był już mój los. Choć nienawidziłam tego, wiedziałam, że będę posłuszna, tak jak w dzieciństwie. Bo tak właśnie zostałam wychowana.

Myślę, że i Sukhdave to sobie uświadamiał.

Zastanawiałam się jednak nad czymś: co według niego powiedziałam jego dziewczynie. Uważał, że wyjawiałam wszystko, co wiedziałam o Indiach? A może martwił się, że powiem jej o tym, że Surjit była traktowana jak niewolnica, że żyła jak w dziewiętnastym wieku i że była karana fizycznie za wszelkie przejawy buntu.

Niepotrzebnie się martwił. Za bardzo się bałam, żeby mówić o tym komukolwiek.

Niestety, jego dziewczyna nie miała o niczym pojęcia. Udawało mi się unikać jej na boisku szkolnym, ale pewnego dnia na spacerze zauważyłam ją w oddali. Stała pod jakimś domem; zorientowałam się, że tam mieszka. Gdybym o tym wiedziała, wybrałabym inną trasę.

Staralam się zniknąć jej z oczu, ale mnie zawołała. Mając groźby szwagra świeżo w pamięci, chciałam po prostu przejść obok niej, ale nie mogłam. Nie zrobiła przecież nic złego. Nie zasługiwała na niegrzeczne traktowanie z mojej strony. Musiałam się wytłumaczyć.

– Przykro mi, nie mogę z tobą rozmawiać – powiedziałam.

– Co?

– Nie wolno mi z tobą rozmawiać.

– Kto tak twierdzi?

– Sukhdave.

– Sukh...? Nie zrobiłby tego. – Była zmieszana. – To śmieszne.

– Nic do ciebie nie mam – odparłam. – Chcę, żebyś o tym wiedziała. Chodzi o niego. Mówi, że nie mogę z tobą rozmawiać.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Widziałam, że się zastanawia. To, co mówiłam, brzmiało niepoważnie, z drugiej jednak strony po co miałabym zmyślać?

– Wiesz, co się stało z żoną Sukhdave'a? – spytała w końcu.

Nie spodziewałam się tego.

– O niej też mi nie wolno mówić – odparłam.

– Słyszałam plotki.

– Musisz spytać o to Sukhdave'a. Przykro mi.

Skinęła głową, a potem się rozstałyśmy.

Nazajutrz po południu znowu zobaczyłam ją na boisku szkolnym. Odwróciłam się instynktownie, ale po kilku chwilach stanęła obok mnie. Spojrzałam przestraszona w stronę ulicy. A jeśli Sukhdave znów nas szpiegował?

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że zerwałam wczoraj wieczorem z Sukhdave'em.

– Och, przykro mi – odparłam.

– Daj spokój – powiedziała. – Powinnam ci być wdzięczna.

A więc jednak widywał się z nią...

Nigdy nie przyznałam się Sukhdave'owi, że rozmawiałam z jego dziewczyną, ale on i tak wiedział. Dzień po ich rozstaniu znalazł mnie w kuchni. Staralam się zachować spokój, ale znów podszedł do mnie bardzo blisko.

Wyjdź!

Cofnęłam się przed nim, ale po chwili stwierdziłam, że jestem przyparta do szafki. Gdybym potrafiła zemdleć na zawołanie, zrobiłabym to. Wszystko, byle przed nim umknąć. Drżały mi nogi. Sukhdave nie powiedział nawet słowa, ale miałam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

Stał tylko w miejscu, wpatrując się we mnie, jakby chciał rozszyfrować książkę w obcym języku. Potem przysunął się jeszcze o krok.

– Ostrzegalem cię wcześniej – syknął mi nienawistnie prosto w twarz. – Nie wtrącaj się w moje sprawy, okay?

Nie poruszyłam się.

– Powiedziałem: okay?

Skinęłam głową.

– To dobrze – oznajmił i wyszedł kuchni.

Byłam przerażona, ale mimo wszystko czułam, że wykręciłam się sianem. Potem jednak odkryłam, że Sukhdave i mama mieli na głowie prawdopodobnie większe zmartwienia. Ojciec Surjit i jej brat nalegali na podjęcie energicznych działań policyjnych, zarówno na terenie Zjednoczonego Królestwa, jak i Indii. Członek parlamentu z okręgu wyborczego Mohinderpala Singha przekazał szczegóły sprawy ministrowi spraw wewnętrznych, zgodził się także porozmawiać z jego odpowiednikiem w Delhi.

Zapewne w rezultacie tych działań człowiek Bachan Kaur w Indiach zadzwonił pewnego dnia do Athwalów. Przesłuchiwała go policja, powiedział też, że ponieważ ostatni widział Surjit żywą, zostanie niebawem aresztowany jako podejrzany w sprawie o uprowadzenie Surjit Kaur Athwal.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zwrócił się do Sukhdave’a.

– Nie martw się. Załatwię to.

Przez kilka dni w domu toczyły się ożywione dyskusje. Mogłam się tylko domyślać, co się po sąsiedzku dzieje. Jak zwykle starałam się nie wchodzić nikomu w drogę. Znałam tę rodzinę dostatecznie dobrze. Im mniej słyszałam, tym mniej narażałam się na groźby.

Niewiedza to błogosławieństwo.

Sukhdave pracował tylko na pół etatu i miał wolne wtorki, środy i czwartki. Czas ten poświęcał na pisanie listów i angażowanie adwokata. Dwudziestego szóstego kwietnia 1999 roku kancelaria prawnicza A Dua & Co. przesłała list do prowadzącego śledztwo posterunku policji w Pendżabie. Widziałam później ten list i nie mogłam uwierzyć w bezczelne żądania, które zawierał. Napisano w nim: „W żadnym wypadku nie wolno wam prowadzić śledztwa w sprawie zaginięcia Surjit Kaur, jeśli nie uzyskacie pozwolenia ze strony ambasady Indii i ambasady Wielkiej Brytanii w Delhi”.

Napisano także: „Dnia 15 kwietnia 1999 roku nadano w londyńskim radio komunikat, że Surjit Kaur wróciła do Anglii”.

Stwierdzono na koniec, że indyjska policja „powinna skontaktować się ambasadorem Indii przed aresztowaniem i zatrzymaniem lub oskarżeniem [człowieka, z którym kontaktowała się Bachan Kaur; z powodów prawnych nie możemy wymienić w tej książce jego nazwiska]”.

Jakby tego rodzaju naciski na dawną instytucję kolonialną nie były

wystarczające, otrzymała ona jeszcze jeden list z nagłówkiem policji londyńskiej. Napisano w nim, że Surjit miała romans, podano także nazwisko byłego kochanka i jego adres. Wymieniono w nim również innego mężczyznę, z którym się rzekomo spotykała, znanego jedynie jako Raj.

„Miała liczne związki” – napisano w liście.

Kończył się on akapitem, który dawał dużo do myślenia:

„Boi się panicznie swojego ojca, pana Mohinderpala Singha, ponieważ jej styl życia jest bardzo nowoczesny. Obcięła włosy na krótko, pali papierosy i pije alkohol. Ojciec nie pochwała takiego postępowania. To bardzo porywczy człowiek”.

W liście rzekomo od starszego stopniem funkcjonariusza zajmującego się sprawą Surjit wymieniono kilkanaście powodów, dla których mogła ona uciec przed dawnym życiem w Hayes. Nie napisano tam otwarcie, że funkcjonariusze policji indyjskiej powinni zakończyć śledztwo, ponieważ Surjit zaplanowała wszystko od samego początku, ale taka była sugestia – a sugestia ze strony policji londyńskiej ma w Indiach ogromną wagę. Nawet dzisiaj.

Być może to zbieg okoliczności, ale krótko potem śledztwo w Indiach utknęło.

Piętnastego listopada 1999 roku w sądzie hrabstwa Brentford zapadł pod nieobecność Surjit prawomocny wyrok rozwodowy dotyczący jej małżeństwa z Sukhdave'em. Pięć miesięcy później społeczność dowiedziała się, dlaczego tak bardzo mu się spieszyło – 14 kwietnia 2000 roku poprowadził do ołtarza (innymi słowy do biurka w urzędzie stanu cywilnego w Uxbridge) nową wybrankę, Manjit Kaur. Nie zaproszono mnie na tę uroczystość.

Manjit i jej syn pochodzili z Singapuru; zgodnie z obyczajem kobieta została skojarzona z Sukhdave'em dzięki kontaktom obu rodzin. Po krótkim okresie zalotów Sukhdave oświadczył się i jego nowa rodzina przyleciała z dalekiego kraju, by zacząć wspólne życie w domu przy Willow Tree Lane. Ktoś mógłby zauważyć cynicznie, że poślubiając kobietę spoza granic kraju, Sukhdave zapobiegał sytuacji, w której jego wybranka mogłaby usłyszeć jakieś plotki lub pomówienia ze strony miejscowych, takich jak ja, co naraziłoby na szwank rozkwitający związek. Wszyscy jednak wydawali się szczęśliwi.

Tak jak poprzednio, Sukhdave zabronił mi się zbliżyć do swojej partnerki. Jej dziecko nie chodziło do tej samej szkoły co Taran, więc nie było to specjalnie trudne. Zaproszono mnie jednak na rodzinne uroczystości w sąsiednim domu.

Kiedy tam poszłam, zauważyłam pewną charakterystyczną rzecz: nigdzie nie było zdjęć Surjit.

Na dobrą sprawę zniknęły albo zostały usunięte wszelkie ślady mojej szwagierki. Jej błyskotki, ozdoby, fotografie, nawet meble, które sama wybierała. Wszystko to przeszło do historii. Nawet dzieciom kazano nazywać Manjit mamą. Jakby Surjit nigdy nie istniała. Jakby wymiotło ją z pamięci Sukhdave'a.

A teraz chciał, żeby wszyscy inni też o niej zapomnieli.

Ktoś jednak nie zapomniał o Surjit. Kilka tygodni później, biorąc pewnego ranka prysznic, usłyszałam energiczne pukanie do drzwi łazienki. Osuszyłam pospiesznie włosy, włożyłam szlafrok i poszłam sprawdzić, o co chodzi. Stała przede mną kobieta w policyjnym mundurze.

– Sarbjit Athwal? – spytała.

– Tak – odparłam.

– Aresztuję panią pod zarzutem porozumienia przestępczego w celu zamordowania Surjit Athwal.



## Rozdział piętnasty

### NIC NIE MÓW

Była szósta trzydzieści rano 22 maja 2000 roku, a moje życie miało się właśnie zakończyć. Takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Dlaczego mnie aresztowano? Dlaczego odczytano mi moje prawa?

Nic nie zrobiłam, nic nie zrobiłam, nic nie zrobiłam...

Powtarzałam w duchu te trzy słowa, kiedy dwie funkcjonariuszki policji zaprowadziły mnie do sypialni, a potem czekały na zewnątrz, dopóki się nie ubiorę. Kiedy już się ogarnęłam, udało mi się włożyć coś na zrozpaczoną Balveen. Taran siedziała na łóżku, wyraźnie zszokowana.

– Wszystko w porządku – zapewniłam ją.

Spojrzała mi w oczy i od razu wiedziała, że sama w to nie wierzę.

Słyszałam, jak policjantki na dole pouczają Hardave'a.

Kiedy już odzyskałam mowę, wybełkotałam:

– Po co tu przyszłyście? Nic nie wiemy.

Żałowałam, że tak nie jest.

– Czego nie wiesz, Sarbjit? – spytała jedna z policjantek.

– Nie rozmawiam z ludźmi, którzy mieszkają obok.

Twarze funkcjonariuszek były nieprzeniknione. Potem usłyszałam dochodzący z dołu głos teściowej. Znaleźli ją pewnie w pokoju modlitewnym. Jeśli policja już wiedziała, że Bachan Kaur ma sypialnię w domu pod numerem 88, to zrozumiałam, dlaczego moje zapewnienia, że nie rozmawiam z sąsiadami, wzbudziły podejrzenia. Postanowiłam nie mówić nic więcej na ten temat.

Nie tylko ja.

Gdy tylko Hardave zobaczył, że schodzę na dół, zaczął krzyczeć w języku pendżabskim:

– Nic nie mów!

Jedna z policjantek wrzasnęła na niego, żeby siedział cicho, po czym, zwracając się do mnie, spytała ostrym tonem:

– Co on powiedział?

– Nic.

– Chcę wiedzieć, co powiedział.

– Nic nie mów.

– Co przez to rozumiał?

– Nie wiem.

Naprawdę nie miałam pojęcia, kogo się w tym momencie bardziej boję.

Policjantki poinformowały mnie, że zostanę zabrana na posterunek w Kingston.

– A co z moimi dziećmi?

– Może się ktoś nimi zająć? – spytała ta druga.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Moich rodziców nie ma w tej chwili. Zadzwońię do siostry.

Inder wciąż z nimi mieszkała, więc nie była daleko – i z pewnością nie poszła jeszcze do pracy.

– Inder, możesz wyświadczyć mi przysługę i przypilnować dzisiaj moich dzieci?

– Sarb? Wiesz, która jest godzina?

– Przepraszam, ale możesz to dla mnie zrobić?

– Wykluczone. Muszę iść do pracy. Wszystko w porządku? Przykro mi.

– Nie mogę teraz o tym mówić.

Nie wyszło to najlepiej...

Byłam zdenerwowana; jedna z policjantek zaglądała mi przez ramię, ale, co gorsza, w pokoju przebywali także Hardave i Bachan Kaur. Bojąc się, że powiem coś niewłaściwego, nie chciałam wyjaśnić siostrze, dlaczego ma się zająć moimi dziećmi. Nic dziwnego, że się nie zgodziła.

Było mi tak wstyd.

– Jest ktoś jeszcze, kto mógłby się zająć twoimi dziećmi? – spytała policjantka.

– Mogę poprosić sąsiadkę. Ale nie mówi po angielsku – uprzedziłam. – Będę musiała rozmawiać z nią w języku pendzabskim.

– Doskonale. Idziemy.

Było łóżko, szare ściany, szara podłoga. I szare stalowe drzwi, zagradzające drogę ku wolności. Tylko mały kwadratowy otwór w górnej części, przez który można było zaglądać do wnętrza, pozwalał dostrzec chwilami jakiś fragment zewnętrznego świata. Było to najbardziej przygnębiające miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam.

Myślałam, że w celach więziennych zamyka się tylko przestępców.

Potem uświadomiłam sobie, że uważają mnie za kogoś takiego. Nie miałam pojęcia, co im powiedziano albo dlaczego zaczęli teraz działać. Może poznali spisak Sukhdave'a i Bachan Kaur, a może uważali, że wszyscy braliśmy w tym udział. Wiedziałam tylko jedno – nie wolno mi było nic im powiedzieć. Groźby pod moim adresem były równie realne jak ponad rok wcześniej, gdy Sukhdave wysunął je po raz pierwszy. Co więcej, zdążył już dowieść, że nie uznaje ograniczeń narzuconych przez prawo Zjednoczonego Królestwa. Nie orientowałam

się w mechanizmach brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości, ale dobrze znałam swoją rodzinę. Nawet gdyby policja uwierzyła, że nie miałam nic wspólnego z zabójstwem Surjit, to czy zdołałaby mnie ochronić przed Sukhdave'em, Bachan Kaur i ich współnikami, gdybym odważyła się mówić?

Znałam odpowiedź, która przyprawiała mnie o mdłości.

Przez głowę przepływały mi mroczne myśli, kiedy tak czekałam, aż coś się wydarzy. Po co aresztowano mnie o świcie, a potem zostawiono na wiele godzin w szarej celi? Po jakimś czasie zrozumiałam: im dłużej będę tu siedzieć, tym dłużej będę sobie wyobrażała najgorsze i tym bardziej będę chciała się stąd wydostać – mówiąc policji to, co chce usłyszeć.

Kiedy wyobrażnia podpowiadała mi przekonująco, że czeka mnie szubienica, usłyszałam odgłos kroków na korytarzu. Kilka sekund później klapka wizjera odsunęła się na bok i w otworze ukazała się twarz jakiegoś policjanta.

– Mam wiadomość od pani męża, pani Athwal. Chce wiedzieć, czy wszystko w porządku.

Mojego męża?

– Też tu jest? – spytałam, zdumiona faktem, że znajduje się tak blisko.

– Tak, w głębi korytarza.

– Och. Proszę mu powiedzieć, że czuję się dobrze.

Funkcjonariusz powrócił po kilku minutach.

– Pan Athwal panią kocha. Chce, żeby pani to wiedziała.

Z jakiegoś powodu poczułam się wściekła. Gdyby mnie kochał, nie siedziałabym teraz w celi więziennej. Gdyby mnie kochał, uratowałby mnie przed swoją diaboliczną rodziną. Chronił przed groźbami i poszedł na policję, by powiedzieć to, co wie.

Uświadomiłam sobie, że policjant czeka, spodziewając się odpowiedzi z mojej strony.

– Proszę mu powiedzieć, że wiem – oświadczyłam kwaśno. – I żeby już mi nic więcej nie przekazywał.

Byłam w kiepskim nastroju, który się nie poprawił, kiedy mnie wreszcie wezwano na rozmowę. Wręcz przeciwnie. Idąc do pokoju przesłuchań, minęłam okno. Po drugiej stronie dostrzegłam Bachan Kaur. Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się – i pomachała! Jakim cudem potrafiła w takiej chwili zachować spokój?

Wtedy mi zaświtało. Była zadowolona, ponieważ właśnie udało jej się zrzucić winę na kogoś innego. Może na mnie.

Pokój przesłuchań był na swój sposób równie ponury jak cela. Znajdował się tam stół z krzesłami po obu stronach. Oprócz instrukcji, co robić w razie pożaru, ściany były nagie.

Przekazano mnie pod opiekę adwokata i przedstawiono dwóm

funkcjonariuszkom siedzącym naprzeciwko, tym samym, które mnie tu przywiozły. Nazywały się Brunt i Jeffries. Sprawiały wrażenie skutecznych i profesjonalnych. Uśmiechały się, ale w ich oczach malowała się powaga. Powiedziały, żebym się odprężyła, przypomniały, za co zostałam aresztowana, a potem włączyły magnetofon. Wiem, że wyglądałam na winną. Trzęsłam się ze zdenerwowania. Zdawałam sobie sprawę, że cokolwiek teraz powiem, pozostanie na taśmie na zawsze. Jeśli okłamię policję, pozostanie dowód pod postacią nagrania. Ale jeśli powiem prawdę, a Sukhdave się dowie...

Pytały mnie bezustannie, co wiem, a ja nieodmiennie odpowiadałam: „Nie wiem. Nie wiem”.

– Gdzie jest Surjit?

– Nie wiem.

– Wie pani, co się z nią stało?

– Nie wiem.

– Kto...?

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem!

Widziałam, że tracą cierpliwość.

Pójdę do więzienia?

Wreszcie doszły do wniosku, że wystarczy, i po całym dniu psychicznej męki w Kingston i dwóch sesjach przesłuchań, pozwolono mi iść do domu. Teraz miały się zacząć prawdziwe tortury.

\*

Dotarłam do domu tuż przed Hardave'em. Myślę, że mówił na policji to samo, co ja. Lecz nie o swoich zeznaniach chciał rozmawiać.

– Co im powiedziałaś? – spytał, cały zlany potem. Wyglądał na wykończonego, a ja wiedziałam, jak się czuje. – Mam nadzieję, że nic.

– Nie pisnęłam słowa – zapewniłam. Choć była to prawda, kłamałam od tak dawna, że i to wydawało się łgarstwem.

– Jeśli Sukhdave odkryje, że powiedziałaś cokolwiek...

Nie musiał nawet kończyć. Oboje wiedzieliśmy doskonale, co Sukhdave w takiej sytuacji by zrobił.

– Gdzie on jest, tak przy okazji? – spytałam.

– Nie zwolniono go jeszcze ani mamy. Mówię poważnie, Sarb, jeśli...

Z kłopotu wybawił mnie telefon. Poznałam numer Inder.

– To moja siostra.

Hardave skinął głową i wyszedł z pokoju.

– Dobrze się czujesz? – spytała Inder. Wyczuwałam w jej głosie panikę.

– Nic mi nie jest. – Co innego mogłam powiedzieć w sytuacji, gdy w sąsiednim pokoju przebywał Hardave?

– Czytałam o tobie w „Evening Standard”. Mój Boże, Sarb, dlaczego nic mi rano nie powiedziałaś? Przecież zajęłabym się dziećmi.

Poczułam, że spalam się dosłownie z niepokoju.

– Słuchaj, nie mogę w tej chwili rozmawiać.

– Mam przyjechać?

– Nie! Nie.

– Dobrze, spotkajmy się gdzieś.

– Okay.

– Znasz pub Grapes przy Uxbridge Road? Jest tam parking i ciąg sklepów. Za pół godziny.

Byłam wdzięczna Inder za inicjatywę, ale nie miałam pojęcia, jak wyrwać się z domu.

– Dokąd idziesz? – spytał ostrym tonem Hardave.

– Muszę odebrać dzieci – skłamałam. – Niedługo wracam.

– Dobrze.

Wychodząc z domu, pomyślałam: teraz już okłamuję wszystkich.

Jak do tego doszło?

Nigdy nie ucieszyłam się tak bardzo na czyjś widok. Skręciłam na parking i zobaczyłam niebieskiego escorta Inder i jej ładną twarz za szybą samochodu. Gdy tylko wsiadłam, zaczęła gadać jak nakręcona,. Po chwili, uspokoiwszy się trochę, przeprosiła za to, co stało się rano – że nie zajęła się dziećmi. Potem opisała, jak po południu wpadł jej w ręce egzemplarz „Standard”, dzięki czemu uświadomiła sobie z przerażeniem: „Sarbjit została aresztowana za morderstwo!”.

W artykule nie wymieniono nikogo z nazwiska – podano tylko, że zatrzymano cztery osoby w związku z zabójstwem Surjit Athwal – ale Inder zorientowała się, o kogo chodzi. Tak jak zapewne wszyscy, którzy nas znali.

I to wszystko, jeśli chodzi o nasz honor w oczach społeczności. Nawet gdyby Bachan Kaur nie odpowiedziała za zabójstwo Surjit, jej dobre imię było skalane już na zawsze. Nie mogło stać się inaczej.

Inder wsiadła czym prędzej do samochodu i starała się mnie odszukać. Kiedy stwierdziła, że nie ma mnie na posterunku w Hayes, pojechała do Harrow. Ktoś jej w końcu powiedział, żeby spróbowała w Kingston. Zjawiała się tam chwilę po zwolnieniu mnie. Nie mogłam uwierzyć, że zadała sobie tyle trudu. Takiej właśnie miłości brakowało w moim życiu przez ostatnich dwanaście lat. Zaczęłam płakać, jakby moje łzy czekały na tę wyjątkową chwilę.

Tak, dzieliła nas znaczna różnica wieku, ale Inder wydawała się dojrzała ode

mnie. Chciała wiedzieć, co się tego dnia wydarzyło. Spytała o posterunek policji i o to, co tam powiedziałam. Kiedy zapewniłam ją, że nic, spytała:

– Jesteś przekonana, że to rozsądne?

– Nie mogę nic zrobić. Jeśli Athwalowie zorientują się, że cokolwiek powiedziałam, podzielę los Surjit.

Był wiosenny wieczór, ale temperatura w samochodzie przywodziła na myśl zimę.

– Nie możesz być tego pewna – oznajmiła w końcu Inder.

– Mogę.

Wiedziała, że mam rację.

Sukhdave'a i jego matkę zwolniono tego samego wieczoru, tyle że później. Zamiast pójść do siebie, od razu skierowali się w stronę naszych drzwi. Prosto do mnie.

Hardave wystraszył się nie na żarty, że być może powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić, ale jego brat zareagował jeszcze gorzej.

– Jeśli powiesz cokolwiek, pożałujesz – warknął. – Pamiętaj, z kim masz do czynienia.

Powtórzył to, a potem zmienił taktykę.

– Nawet jeśli ci się wydaje, że cię nie dorwiemy, siedząc w więzieniu, to pamiętaj o jednym – pociągniemy cię za sobą.

Do tej pory wysłuchiwałam jego tyrady w milczeniu, ale tego nie mogłam zostawić bez komentarza.

– O czym ty mówisz? Nie mam z tym nic wspólnego.

Sukhdave uśmiechnął się, co nie było w tych okolicznościach przyjemne.

– Uczestniczyłaś w rodzinnym zebraniu – przypomniał zimno. – Jesteś tak samo winna jak wszyscy pozostali. Jeśli ktokolwiek z nas trafi za kratki, dopilnuję, żeby i ciebie to nie ominęło.

Położyłam dzieci do łóżek i od razu pobiegłam do pokoju modlitewnego. Pragnęłam przypomnieć sobie, że jestem niewinna. Że Sukhdave blefował. Że policja nic na mnie nie ma.

Potem przypominałam sobie, jak podczas przesłuchania patrzyła na mnie policjantka Jeffries. Tak samo patrzyła na Bachan Kaur i Hardave'a. W jej oczach byłam winna – a podczas przesłuchania nie zrobiłam i nie powiedziałam nic, co mogłoby zmienić jej opinię.

4 : 0 dla Sukhdave'a.

W czasie naszego aresztowania przesłuchano też znajomego Bachan Kaur w Indiach – pomimo wcześniejszego listu Sukhdave'a do tamtejszej policji. Na

miejsce poleciało dwóch funkcjonariuszy z Londynu. Jednak po kilku tygodniach bezskutecznych prób ustalenia prawdy służby obu krajów musiały się przyznać do porażki. Zarzuty zostały wycofane z braku dowodów, jak poinformowano. Policja indyjska wydała mimo wszystko nakaz aresztowania Bachan Kaur i jej starszego syna. Nie mogli odwiedzić rodzinnego kraju do chwili oczyszczenia z wszelkich podejrzeń.

Jednak praktycznie rzecz biorąc, było po wszystkim. Policja nie zamierzała o nic więcej pytać. Nikt już ode mnie nie wymagał, żebym kłamała podczas przesłuchań. Nie groziło mi, że popełnię błąd i zapłacę najwyższą cenę. Miałam nadzieję, że po raz pierwszy od wielu lat nie będę musiała ze strachem oglądać się za siebie.

W sąsiednim domu panowała atmosfera euforii. Można by pomyśleć, że Bachan Kaur i Sukhdave wygrali główny los na loterii. Udało im się. Uszło im na sucho.

Morderstwo. Dosłownie.

5 : 0 dla Sukhdave'a.

Ale ja znałam prawdę. I gdy tylko oswoiłam się z pełną ulgi myślą, że nie zostanę oskarżona, ta prawda zaczęła boleć. Moja wolność – i radość w domu pod numerem 88 – miały swoją niewyobrażalną cenę. Surjit została zamordowana, ale prawda o tym miała nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Według opinii publicznej i, co ważniejsze, według społeczności sikhijskiej dziewczyna uciekła z kochankiem i porzuciła rodzinę. Bachan Kaur mogła nosić dumnie głowę w świątyni, nie obawiając się krytyki z czyjejkolwiek strony. Co więcej, wydawało się, że cieszy się większym szacunkiem i poważaniem niż kiedykolwiek; ludzie spieszyli z wyrazami współczucia dla ofiary niegodziwej, samolubnej synowej. Robiło mi się niedobrze, kiedy widziałam, jak moja teściowa pławi się w blasku powszechnej uwagi, ale znów milczałam.

Nie brałam udziału w jej zbrodni, ale uczestniczyłam w tym, co działo się teraz.

Koszmarna też była myśl o tym, co przeżywają bliscy Surjit – jej brat Jagdeesh Singh i rodzice. Plotki o jej postępkach nie pasowały do charakteru siostry i córki, którą kochali. Jak pogodzić się z czymś takim? No i były jeszcze jej dzieci. Dorastały w przekonaniu, że ich matka odeszła, by od nich uciec. Patrząc wstecz, zadaję sobie pytanie, dlaczego nie przemówiłam w ich obronie, dlaczego nie starałam się ich pocieszyć?

Wiedziałam dlaczego. Gdyby poznały prawdę, im też groziłoby niebezpieczeństwo. Poza tym bałam się. Tak bardzo się bałam. Czułam to jak drugą skórę: żywy, oddychający, mdły strach, który miał mi towarzyszyć przez całe życie.

Co noc płakałam w poduszkę, wiedząc, że to wszystko jest złe, że Surjit oczerniono w możliwie najgorszy sposób, że cała ta sprawa to jedno wielkie

kłamstwo. I wiedziałam coś jeszcze, coś, co wzbudzało we mnie poczucie głębokiego wstydu: Nikt nigdy nie odda jej sprawiedliwości, na jaką zasługuje.

Nie mogłam tego dłużej znosić.

Musiałam uciec. Musiałam zabrać dzieci, byle dalej od ich babki, wuja i wspólnego domu. Willow Tree Lane jawiło się z pozoru jako miejsce idylliczne, ale w rzeczywistości było piekłem. Bałam się nawet spojrzeć na teściową i szwagra, nie podobało mi się też to, kim sama się staję. Ale dokąd miałabym pójść – i jak mogłabym przekonać Hardave'a?

Okazało się, że mój mąż skłania się do tego równie mocno jak ja – ale dopiero wtedy, gdy zdradziłam mu cel przyszłej podróży.

Kanada.

Anglia, Singapur i Indie nie były jedynymi krajami, które użyczały gościny przedstawicielom naszej dużej rodziny. Moja najstarsza siostra Karmjit przeprowadziła się do Vancouver ze swoim kanadyjskim mężem kilka lat po moim ślubie. Gdy tylko się dowiedziała, jak bardzo pragnę uciec z Hayes, wystąpiła z propozycją, której nie mogłam odrzucić.

– Przyjeżdżaj, i to od razu. Możecie zostać u nas przez kilka miesięcy, dopóki nie znajdziecie sobie czegoś i nie zapuścicie korzeni.

Hardave zaczął natychmiast rozglądać się za jakąś posadą w branży ochroniarskiej. Zajmował się tym ostatnio w Londynie i wołał to znacznie bardziej od elektroniki. Pozostała do pokonania jedna przeszkoda.

Spodziewałam się, że Bachan Kaur będzie miała coś do powiedzenia, i rzeczywiście miała.

– Nie możecie wyjechać. Tu jest wasz dom. Nie pozwolę wam zabrać moich wnuczek.

Ten jeden raz Hardave mnie poparł, co odniosło niespodziewany skutek. Moja teściowa zaczęła być miła.

– Posłuchaj, jeśli zostaniecie, przepiszę na ciebie cały wasz dom. Będzie twój, nie mój ani twojego brata.

Hardave zaczął się wahać. Spytał mnie nawet o opinię.

– Nie obchodzi mnie ten dom – powiedziałam. – Nie wybierałam go i nic w nim nie należy do mnie. Pomijając nasze córki, wiążą się z nim tylko złe wspomnienia.

Jeśli odebrał moje słowa jako obelgę, to nie dał tego po sobie poznać. Zorientował się jednak, że mówię poważnie, i poinformował matkę, że nie zmienimy zdania.

To, że słaby syn Bachan Kaur potrafi się jej sprzeciwić, było dla niej szokiem i poskutkowało kolejną woltą. Taką, którą potrafiłam zrozumieć.

– Dobrze, możecie jechać z moim błogosławieństwem – oznajmiła. – Zasługujecie na to, by żyć z dala od wszystkiego.



Chce, żebym znalazła się jak najdalej od miejscowej społeczności, uświadomiłam sobie. Komu mogłabym powiedzieć coś w Kanadzie?

Choć Bachan Kaur okazała się nagle taka wyrozumiała, skrywała w zanadrzu jeszcze jedną przykrą niespodziankę.

– Ostatnia rzecz – powiedziała. – Zanim wyjedziecie, będziemy musieli sprzedać wasz dom.

– Co? To bez sensu. – Choć mieliśmy nadzieję ułożyć sobie życie za granicą, chcieliśmy zachować pewne poczucie bezpieczeństwa. A gdyby nam nie wyszło w Kanadzie? Gdzie byśmy mieszkali, gdybyśmy zostali zmuszeni do powrotu?

Teraz pokazała swoje prawdziwe oblicze.

– To nie jest mój problem, ale jedna trzecia domu należy do mnie i nie chcę, żeby stał pusty.

– Więc go wynajmij – odparłam. – Możesz zatrzymać sobie cały czynsz, nie weźmiemy nawet pensa. Jeśli wrócimy za rok czy później, będziemy mogli wprowadzić się do niego z powrotem, a jeśli zostaniemy za granicą, będziesz mogła czerpać z niego zyski przez całe życie.

To, co mówiłam, było bardziej sensowne. Więc oczywiście się sprzeciwiła.

Nie potrafiłam zrozumieć, czym się kieruje. Ale zawsze czymś się kierowała. Jeśli Hardave wiedział, to nic nie mówił. Nie naciskałam na niego, ponieważ, jak sobie uświadomiłam, nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko ze sobą. Zamierzaliśmy razem uciec. Wydawało się to prawie romantyczne. Pomijając bagaż wspomnień, który mieliśmy zabrać...

Zajęliśmy się sprzedażą domu z wielką niechęcią. Ale nawet gdy przekazaliśmy Sukhdave'owi dwadzieścia pięć tysięcy funtów, a Bachan Kaur czterdzieści pięć tysięcy jako należną im część, wciąż dysponowaliśmy pokaźną sumą, która pozwoliłaby nam zacząć nowe życie. Gdybyśmy mieli szczęście, nie musielibyśmy korzystać z tych pieniędzy, ponieważ Hardave otrzymał zaproszenie na rozmowę o pracę.

Nie mogliśmy w to uwierzyć. Jakaś firma oczekiwała, że kandydat przebędzie tysiące kilometrów, choć bez żadnej pewności, że zostanie zatrudniony – dlaczego nie przeprowadzić rozmowy przez telefon? – ale chcieliśmy ustalić konkretną datę wyjazdu i oto trafiła się okazja.

Modliłam się, żeby dostał tę posadę!

Jedna z moich sióstr załatwiła za pośrednictwem znajomej w United Airlines tańsze bilety i nim się zorientowaliśmy, siedziałam między Taran i Balveen w boeingu 747, lecącym nad Atlantykiem. Dziewczynki bały się startu; sama bym się bała jeszcze rok wcześniej, ale po tych dwunastu miesiącach nic nie mogło mnie przerazić.

Wreszcie udało mi się uwolnić swoją rodzinę od teściowej.

Jesteśmy teraz bezpieczni, myślałam. Nie może nas tu dopaść.  
Słynne ostatnie słowa...

## Rozdział szesnasty

### TUTAJ TEŻ NIE

Wiele sikhijskich domów na całym świecie jest do siebie podobnych, lecz dom Karmjit w Vancouver był inny. Bardzo duży, położony na ślicznej działce i pięknie urządzony. Byłam ogromnie dumna z siostry, że tak wspaniale sobie poradziła. Wydawało się to niezwykle wymowne.

Poradziła sobie – podczas gdy ja nie miałam wyboru.

Jakkolwiek pobożni byliby moi rodzice w czasach naszego dzieciństwa, ze smutkiem patrzyli na moje zaaranżowane małżeństwo. Sprawdziło się to w ich przypadku, tak jak w przypadku tysięcy innych na całym świecie. Choć nigdy o tym nie wspominali, czuli się chyba winni, że nakłonili mnie przy pomocy krewnych do zawarcia związku z nieodpowiednim człowiekiem. W rezultacie byłam w rodzinie ostatnią, która musiała znosić taki mariaż.

Wspaniale było znowu widzieć Karm; ona, jej mąż Sat-want i dwaj synowie przywitani nas serdecznie. Mieli tak dużą działkę, że Taran i Balveen mogły sobie bezpiecznie biegać z dala od ulicy.

– Jest tu więcej niedźwiedzi niż samochodów – żartowała Karm.

Z radością pomagałam jej w domu. Przynajmniej w ten sposób mogłam się odwdziżyć za jej wielkoduszność. Naprawdę sprawiało mi to przyjemność, inaczej niż w domu przy Willow Tree Lane, gdzie na każdym kroku pilnowała mnie teściowa. O wiele łatwiej znosić coś, co robi się z własnego wyboru.

Niestety, pechowo dla nas wszystkich, Hardave nie został zatrudniony.

– Nie martw się – pocieszała go Karmjit. – Tu jest mnóstwo pracy. Coś sobie znajdziesz.

Mimo że byliśmy zajęci – Hardave wysyłał co chwila CV, ja oswajałam dzieci z nową sytuacją i pomagałam prowadzić dom, mieliśmy też na głowie procedurę imigracyjną – korzystaliśmy z każdej okazji, by zobaczyć jak najwięcej. Jednak myśl, że dobrze się bawię, chociaż wiem, jakie wątpliwości dręczą rodzinę Dhillonów, była trudna do zniesienia. Tak proste przyjemności jak wspólny posiłek czy oglądanie telewizji przyprawiały mnie codziennie o poczucie winy. Trudno było pogodzić się z faktem, że chodzę sobie spokojnie po ziemi, podczas gdy mordercy Surjit wciąż są na wolności, ale nie mogłam pozwolić, by moje problemy ważyły na życiu dzieci. Musiałam je chronić. Dość już było ofiar.

Trudno byłoby znaleźć w Kolumbii Brytyjskiej park narodowy, wiejską rezydencję czy wesołe miasteczko, których byśmy nie odwiedzili. Dzieciaki to uwielbiały – zwłaszcza że ze względu na naszą sytuację nie chodziły jeszcze do szkoły – i nawet ja i Hardave zbliżyliśmy się do siebie. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, pragnęłam jedynie być dobrą żoną, dobrą matką i dobrą córką; nigdy jeszcze nie czułam się tak bliska osiągnięcia tego celu. Nie bez znaczenia była też pogoda. Czy można być nieszczęśliwym w blasku słońca?

Wszystko wydawało się tak doskonałe, ale nie powód, dla którego się tu znaleźliśmy. Przebywałam w Kanadzie nie dlatego, że spełniałam swoje marzenie życia, tylko dlatego, że uciekałam. Każdego ranka, gdy modliłam się przed obliczem Guru Nanaka, powracało poczucie winy z powodu Surjit. Mogłam podróżować do woli, ale nie mogłam umknąć przed wyrzutami sumienia.

Ani przed strachem.

Bywały dni, że chciałam zadzwonić do Scotland Yardu i wyznać całą prawdę. Ale wtedy przypominałam sobie Bachan Kaur i Sukhdave'a. Znajdą mnie, myślałam. Zawsze im się to udawało.

Niestety, upływały miesiące, a Hardave ani razu nie był bliski znalezienia pracy; uświadomiłam sobie, że nasze ambicje, by zacząć wszystko od nowa, spełzają na niczym. Bez względu na to, co mówiła moja siostra, musiałam mieć na względzie jej męża i rodzinę. Nie mogłam korzystać wiecznie z ich gościnności. Na szczęście Hardave też miał krewnych.

Po pięciu niezwykłych miesiącach z płaczem pakowałam walizki i jechałam na lotnisko. Kanadyjski eksperyment zakończył się fiaskiem. Liczyliśmy na to, że bardziej się nam poszczęści w San Jose.

Daler Singh był kuzynem Bachan Kaur i jeszcze jednym skrajnie ortodoksyjnym wyznawcą religii sikhijskiej. Nie wiem, jak Hardave uprzedził go o naszym przyjeździe, ale sprawiał wrażenie przyjacielskiego i serdecznego.

– Jeśli będę mógł wam w jakikolwiek sposób pomóc, zrobię to.

Niestety, możliwości zatrudnienia w Kalifornii były tak samo ograniczone jak na północ od granicy. Na szczęście, podobnie jak w Kanadzie, Ameryka oferowała mnóstwo rzeczy, które pozwalały zapomnieć o kłopotach. Naprawdę mogłabym się tam osiedlić. Okazało się jednak, że ktoś jeszcze myśli o naszym życiu w tym kraju. I że w ogóle mu się to nie podoba.

Nie miałam pojęcia, że Bachan Kaur przylatuje do San Francisco, dopóki nie usłyszałam, jak Daler Singh oświadcza, że musi jechać po nią na lotnisko. Niemal natychmiast doznałam dobrze znanego uczucia: jakby żółć wzbierała mi w żołądku.

Tutaj też nie. Też nie.

Dlaczego nie mogła zostawić mnie w spokoju? Przez pół roku cieszyłam się rodzinnym szczęściem, wolnym od jej toksycznych ingerencji. A teraz wystarczyło

jedno rzucone mimochodem zdanie naszego uczynnego gospodarza, bym straciła wszelką pogodę ducha.

Hardave był zachwycony wizytą matki, a ja chyba odczuwałam zadowolenie, widząc, że moje córki też się cieszą. Oznaczało to, że udało mi się uchronić je przed trucizną obecną w moim życiu. Z trudem się uśmiechnęłam, kiedy pocałowała mnie na przywitanie. Wiedziałam, co się święci. Po tygodniu okazało się, że się nie myliłam.

– Jeśli nie możecie znaleźć tu pracy, musicie wrócić do domu – oświadczyła pewnego wieczoru.

– Nie spiesz się nam – odparłam. – Mamy dość pieniędzy, żeby przetrwać trudny okres.

Prawdę mówiąc, bardziej martwiłam się o ważność naszych wiz niż o gotówkę. Gdybyśmy nie znaleźli pracy, kazano by nam tak czy owak opuścić kraj, ale nie chciałam, żeby moja teściowa o tym wiedziała.

Miałam tego wieczoru wrażenie, że cofnęłam się w czasie. Gdy tylko zostaliśmy sami, Hardave spytał:

– Nie sądzisz, że powinniśmy dać sobie spokój i wrócić do domu?

Twoja matka jest tu od pięciu minut, a ty już siedzisz pod jej pantoflem?

Odparłam jednak:

– Nie, damy radę.

Nie wyraził sprzeciwu, ale wszystko, czego tylko Bachan Kaur dotknęła, zaczynało się prędzej czy później psuć. Pojawiły się kłótnie i nieporozumienia. Widziałam, jak gasną moje nadzieje na początek nowego życia, ale dostrzegłam coś jeszcze: motyw, który krył się za tym, co robił i mówił mój mąż.

– Nigdy nie chciałeś tu zostać.

– Owszem, chciałem.

– Jestem pewna, że nawet nie składałeś tych podań o pracę!

– Sama spróbowałabyś ją znaleźć – odwarknął.

Było to paskudne.

Gdy teściowa wróciła do Londynu, wiedziałam, że bez względu na zapewnienia męża pójdziemy wkrótce w jej ślady. Jeszcze nim wsiedliśmy do samolotu, nabrałam przekonania, że nigdy nie zamierzał się osiedlić w Ameryce; przyjechał tu zwabiony perspektywą odbycia wspaniałej podróży z tysiącami funtów w naszej – jego kieszeni. Wiele godzin później, już na Heathrow, byłam tego pewna.

Mogę się założyć, że poprosił mamusię, żeby przyjechała i zabrała go stamtąd.

Trudno o smutniejszy widok niż odpędzany kopniakiem szczeniak, który uparcie wraca do swojego pana. Ledwie spędziliśmy w kraju pół godziny, a Hardave znów stał się tym biednym, przeganianym szczeniakiem. I nie trzeba

było się domyślać tożsamości jego brutalnego pana – czy raczej pani.

Przeszliśmy przez kontrolę paszportową, wzięliśmy swój bagaż i poszliśmy do hali przylotów. Wszystko powinno być ustalone już wcześniej. Tak w każdym razie sądziłam. Właśnie wtedy mój mąż zadzwonił do domu pod numerem 88. Odebrała jego matka.

– Wróciliśmy – powiedział. – Przyjedziemy na Willow Tree Lane za jakieś czterdzieści minut.

– Czemu chcecie tu przyjechać? – spytała Bachan Kaur.

– Dlaczego? Żeby przenocować. Nie mamy dokąd pójść.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Niemal mu współczułam, widząc, z jaką wprawą jest wałkowany przez swoją matkę. A przecież nie słyszałam, co ona mówi. Jednak narastający gniew tłumił jakąkolwiek litość. Co się u licha działo?

– Mamo, powiedziałaś nam, żebyśmy wrócili, więc wróciliśmy. Powiedziałaś, żebyśmy sprzedali dom, więc sprzedaliśmy. Teraz jesteśmy na Heathrow i nie mamy dokąd pójść.

– No cóż, muszę spytać Sukhdave’a. To jego dom. Zadzwoń za chwilę.

Staliśmy tam dziesięć minut z całym naszym dobytkiem w płóciennych torbach. Hardave wziął się w końcu w garść i ponownie wystukał numer. I znowu usłyszał znajomy głos.

– Nie zgadza się.

– Jak to nie zgadza się?

– Mieszka tu jego żona z synem, ja też. Twój brat twierdzi, że nie ma dość miejsca dla wszystkich.

– Powiedz mu, że prześpiemy się na sofie. Oddajcie nam na jedną noc salon. Nie sprawimy mu kłopotu.

– Przykro mi, Hardave. Nic z tego.

– Ależ mamo, nie mamy dokąd pójść!

– To twój problem, mój drogi.

I na tym się skończyło. Czyżby Sukhdave wziął odwet po tych trzech latach, jakie upłynęły od pamiętnego spotkania, kiedy to mój mąż stanął w obronie Surjit? Nie wiem, czy cała ta sytuacja była dla Hardave’a czymś nowym, czy może obrywał od matki tyle razy, że zdążył się już do tego przyzwyczaić. Jedno było pewne: kazała nam wracać do domu, a teraz nie chciała użyczyć nam nawet łóżka. Właśnie to do niego dotarło. Największy problem, jaki miałam ze swoim bezwolnym mężem w przeszłości, stanowiło to, że był ukochanym synkiem swojej mamusi. Teraz nawet matka nie chciała mu pomóc. W jakiej sytuacji nas to stawiało?

Spędziliśmy noc w Premier Inn w Slough, dokąd pojechaliśmy taksówką.

Następną noc też tam spędziliśmy, potem dwie kolejne. Dzieciom się to podobało. Jednak życie na walizkach w tanim hotelu bez możliwości przygotowania posiłku nie było moim marzeniem. Winiłam za tę sytuację męża, więc to on musiał coś z tym zrobić.

Poniekąd zrobił. Piątego dnia przeprowadziliśmy się do domu znajomego, także w Slough. Mogłam się od samego początku zorientować, że nie jest zachwycony naszą obecnością, ale nie chciał sprawiać Hardave'owi przykrości.

W przeciwieństwie do Kanady, gdzie byliśmy mile widziani, każdy dzień spędzony w Slough uświadamiał nam, jakim jesteśmy ciężarem dla gospodarza. W końcu, po dwóch długich dla każdego tygodniach, oświadczył:

– Przykro mi, rodzina wraca w najbliższy weekend. Musicie opuścić dom.

Chciałam znaleźć dla nas własne miejsce. Lecz kiedy Hardave znów skontaktował się z matką – niezależnie od tego, co robiła, wydawało się, że nie potrafi się od niej uwolnić – ujawniła, że Sukhdave przeprowadza się do Singapuru. Jego żona nie potrafi zaaklimatyzować się w Anglii, więc cała rodzina emigruje.

– Możecie teraz tu zamieszkać – powiedziała. – Ze mną.

Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam. Hardave nie posiadał się z radości.

Z chwilą powrotu na Willow Tree Lane było tak, jakbym nigdy stamtąd nie wyjeżdżała. Znowu przemieniłam się w nieśmiałą dziewiętnastolatkę, gotową być na każde skinienie swojej srogiej teściowej. Okazało się, że dwanaście lat później jest z bliska równie antypatyczna i równie niebezpieczna. Nie przejmowała się w najmniejszym stopniu faktem, że wiem dostatecznie dużo, by posłać ją na całe życie do więzienia. Rozkazywała mi, komenderowała mną i manipulowała. Nawet wizyty u moich rodziców i rodzeństwa były, tak jak wcześniej, uzależnione od jej widzimisie.

Lecz bez względu na to, jak podle mnie traktowała, nie mogło się to równać z tym, co wygadywała za moimi plecami. Podczas jednej z moich pierwszych wypraw do gurdwary w Southall podszedł do mnie pewien starszy członek społeczności.

– Powinnaś się wstydzić – oznajmił, ledwie patrząc mi w oczy.

– Słucham? Mówisz do mnie?

– Wiesz, że tak. I wiesz, co zrobiłaś.

Musiał mnie z kimś pomylić.

– To do ciebie należał dom pod numerem 90 przy Willow Tree Lane, prawda? – spytał.

– No, tak. Zgadza się.

– Sprzedałaś go i uciekłaś z pieniędzmi do Kanady.

– Nie wiem, co ci do tego, ale owszem, sprzedaliśmy dom i wzięliśmy naszą

część – jedną trzecią.

– Nie dość, że oszukałaś rodzinę, która dała ci męża i dach nad głową, to jeszcze ją oczerniasz. Sprzedałaś dom, wzięłaś wszystkie pieniądze i zostawiłaś biedną teściową na bruku. Nie masz dla nikogo litości? Nie masz wstydu?

– Kto naopowiadał ci tych bzdur?

– Sama Bachan Kaur. A oskarżając ją o mówienie nieprawdy, popełniasz kolejny grzech.

Nie było sensu mówić czegokolwiek. Trucizna przeniknęła zbyt głęboko, zbyt silnie podziałała na tego obcego mi człowieka. Nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, że to nazwisko Bachan Kaur widniało na akcie własności, że kazała nam sprzedać dom pod numerem 90 ani że to my na dobrą sprawę byliśmy na ulicy.

Nie potrafiłam tego rozgryźć. Dlaczego opowiadała tak koszmarnie i niegodziwe rzeczy, i to wymierzone we własnego syna? Potem sobie uświadomiłam: chciała być postrzegana jako ofiara. Krążyło już w świątyni tyle nieprzyjemnych historii o jej udziale w zniknięciu Surjit, że musiała się jakoś podbudować w oczach społeczności. Temu właśnie celowi miała służyć rola ofiary rodzinnej chciwości. Jak biedna, krucha, bezdomna Bachan Kaur mogła być winna paskudnych knowań? Co więcej, jeśli ktoś chciał się przekonać, jak wygląda osoba zdolna za parę funtów do wszystkiego, to powinien pomyśleć o kobiecie, która pozbawiła podstępnie swoją teściową należnych jej praw...

Nie tylko o mnie Bachan Kaur rozsiewała plotki. Kiedy brat Surjit, Jagdeesh Singh, przeprowadził się w 2001 roku do zachodniego Londynu, zaczął uczęszczać do lokalnych świątyń. Gdy podjechał pewnego dnia na parking, podszedł do niego jeden ze starszych członków społeczności, tak jak wcześniej do mnie. Czy był to ten sam człowiek, który wylał na mnie nienawiść Bachan Kaur, nie wiem. Podejrzewam, że namąciła w głowie wielu ludziom, więc mógł to być każdy.

Nieznajomy upewnił się, że ma do czynienia z Jagdeeshem Singhiem, a potem oznajmił:

– Niemożliwe, by Athwalowie byli zdolni zabić Surjit. To nie są mordercy. Policja umorzyła śledztwo, ponieważ uświadomiła sobie, że są niewinni. Przestań drażnić tę sprawę i robić zamieszanie. Surjit często uciekała z różnymi mężczyznami. Nie była godna zaufania. Zniknęła z własnej nieprzymuszonej woli.

Jagdeesh Singh osłupiał. Nie tylko dlatego, że ktoś całkowicie obcy zaatakował znienacka jego rodzinę; chodziło też o to, że ten atak, tak jednostronny, mógł mieć tylko jedno źródło.

Jagdeesh już wcześniej zaczął walczyć za pośrednictwem mediów o sprawiedliwość dla Surjit. Uważał, że to jego obowiązek jako brata, zwłaszcza że policja wykazała się w tej sprawie biernością. Spotkanie z nieznajomym tylko pogłębiło jego determinację.



Krótko potem spotkałam Jagdeesha i jego żonę. Jak na ironię doszło do tego w tym samym miejscu: na parkingu pod gurdwarą w Southall. Muszę przyznać ze smutkiem, że gdy tylko ich zobaczyłam, moją pierwszą myślą było uciec, zanim mnie zauważą. Otaczało nas tylu ludzi, tylu potencjalnych szpiegów mojej teściowej, że drżałam na myśl, iż zostanę przyłapana z wrogiem „rodziny”. Byłam na to jednak zbyt dojrzała. Oboje przeżyliśmy stratę, Jagdeesh o wiele boleśniej. Choć bałam się konsekwencji, nie mogłam po prostu uciec. Byłam mu to winna.

– Witaj, Sarbjit – przywitał się ze mną serdecznie jak mało kto. – Co u ciebie?

Opowiedziałam mu pokrótce o Kanadzie i dzieciach. Starłam się zachować spokój i sprawiać wrażenie opanowanej, ale jestem pewna, że mi się to nie udało. Jagdeesh, jak zawsze spostrzegawczy, postanowił ze względu na mnie skrócić nasze spotkanie. Ale kiedy się żegnaliśmy, powiedział coś, czego nie zapomnę do końca życia:

– Nie musisz o niczym mówić, jeśli nie chcesz. Wiem, że żyjesz w tej rodzinie i że jest ci tak samo ciężko jak mojej siostrze. – Umilkł, dobierając starannie słowa.  
– Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Powiem ci tylko jedno, Sarbjit: kiedy już nadejdzie pora, nie wahaj się dać świadectwa prawdzie.

Był niezwykle wyrozumiałym człowiekiem, ale kiepskim sędzią ludzkich charakterów. Nie potrafiłam wyobrazić sobie sytuacji, w której mogłabym kiedykolwiek dać świadectwo prawdzie. I nie byłam z tego dumna.

Nienawiść, z jaką spotykałam się w gurdwarze, była dostatecznie nieprzyjemna, ale nie mogła się równać z brutalnością życia pod jednym dachem z Bachan Kaur. Wiedziałam, że oszaleję, jeśli szybko przed nią nie uciekniemy. Wreszcie udało się nam kupić nowy dom w Crown Meadow w Colnbrook, między Windsorem i Heathrow, tuż przy autostradzie M25. Po raz pierwszy w życiu miałam swoje własne lokum. Takie, za które zapłaciłam, które należało do mnie i które było poza zasięgiem mojej teściowej.

Albo tak mi się wydawało. Hardave miał na ten temat inne zdanie.

- Chcę przepisać ten dom na moją matkę – oświadczył.
- Dlaczego? Nie zapłaciła za niego ani grosza.
- Dlatego, że nie ma żadnego domu na swoje nazwisko.
- Wykluczone. Nie zgadzam się.

Hardave westchnął.

– Nakazuję ci – powiedział.

I oczywiście na tym się skończyło.

Wprowadzając się do nowego domu, powinnam być szczęśliwa. Choć formalnie jego właścicielką była Bachan Kaur, nie zamieszkała u nas, poza tym Hayes znajdowało się zbyt daleko, by mogła wpadać do nas tak często jak wtedy, gdy mieszkała po sąsiedzku, choć zdarzało się to częściej, niżbym sobie tego życzyła. Miałam własną przestrzeń i własny ogród. I szansę, by stworzyć prawdziwy dom dla dziewczynek. Udało mi się nawet wygospodarować trochę miejsca na pokój modlitewny. Wiedziałam jednak w głębi duszy, że próbuję tylko znaleźć jakieś wyjście z kiepskiej sytuacji. Wracałam myślą do idyllicznych czasów w Vancouver i wspaniałego życia, jakie prowadzi moja siostra. Sama je sobie urządziła. Nie zostało jej narzucone. Miała coś, czego nigdy nie zaznałam: wolność.

Pomyślałam o tym, jaka szczęśliwa była Inder, studiując na uniwersytecie. Kiedy odwiedziłam ją na kampusie w Leicester, nie mogłam wprost uwierzyć, że wywodzi się z tej samej rodziny co ja. Nie wolno mi było rozmawiać z trzynastoletnim chłopcem na boisku szkolnym, a ona mieszkała w koedukacyjnym akademiku, gdzie dziewczyny przebywały cały czas ze swoimi chłopakami.

Kiedy patrzę wstecz, myślę sobie, że być może dzięki tej niezależności, jaką cieszyła się na uniwersytecie, Inder uosabiała siłę, która tak często stanowiła dla mnie oparcie. Mam szczęście, że jest moją siostrą.

Zawsze pragnęłam radzić sobie w miarę możliwości z życiem. Gdy jednak uświadamiałam sobie, co straciłam, co mogłoby być, a nie było, nie chciałam widywać się nawet z rodzicami. Kiedy dzwonili i proponowali spotkanie w weekend, myślałam sobie, że wcale nie jestem taka niezadowolona, jeśli Bachan Kaur zarezerwowała sobie wcześniej mój czas. Żywiłam chyba jakąś urazę i sądziłam, że to uczucie przeminie. Niestety, ojciec zadzwonił do mnie wcześniej.

– Nie chcesz z nami rozmawiać, Sarbjit. Coś się stało?

– Nie, tato – skłamałam. – Przecież rozmawiam z tobą teraz, prawda?

– Tak, ale nie dzwonisz od tygodni.

Lont zapłonał...

– To nieprawda.

– I jeśli prosimy cię, żebyś się z nami zobaczyła, mówisz, że jesteś zbyt zajęta w domu męża.

Bum!

– A czego się spodziewasz?! – wybuchnęłam. – To ty mnie zmusiłeś do małżeństwa. Ty skojarzyłeś mnie z tą rodziną. To wszystko twoja wina!

Nigdy w życiu nie krzyczałam na ojca. On też się tego nie spodziewał; nie miał pojęcia, w jakim stresie i strachu żyję od trzech lat. Choć starałam się odbudować jakoś życie prywatne i stworzyć dzieciom dom, na jaki zasługiwały, nie było dnia, żeby w moich myślach nie pojawiła się postać Surjit. Była tam obecna, kiedy się

budziłam, kiedy się modliłam i kiedy kładłam się spać. Patrząc na Taran, przypominałam sobie Pav i szczęśliwe życie, którego pozbawiono tę biedną dziewczynkę i jej brata. Nie wspomnę już o koszmarach, które prześladowały mnie w nocy...

Surjit towarzyszyła mi cały czas. I lęk przed jej zabójcami; on też był nieustannie obecny.

Ojciec nie miał o tym wszystkim pojęcia. Dlatego nie wytrzymałam.

W rezultacie nie rozmawialiśmy przez pół roku. I czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Pomimo przeprowadzki cień mojej teściowej nie zniknął. Często też pojawiała się osobiście. Co gorsza, na początku 2002 roku pojawił się też jej starszy syn. Okazało się, że Sukhdave wrócił.

Jego małżeństwo z Manjit Kaur skończyło się fiaskiem, kiedy tylko znaleźli się w Singapurze, a on sobie uświadomił, że nie jest w stanie dominować w tym związku. Choć bardzo się starał zaznaczyć swój autorytet, Manjit trzymała przede wszystkim ze swoją liczną rodziną. Owszem, Sukhdave miał krewnych w tym wyspiarskim mieście-państwie, ale nie tak wielu. I nie tak blisko.

Teraz poczuł na własnej skórze, czym było dla Surjit i dla mnie zamieszkanie przy Willow Tree Lane. I nie podobało mu się to ani trochę.

Wróciwszy do Anglii – sam – szybko stał się sobą. Od ponad roku nie rozmawiałam o Surjit z nikim prócz Boga, ale Sukhdave nie omieszkiał przypomnieć mojemu mężowi o konsekwencjach, jakie mi grożą w razie nieostrożności.

– Dlaczego tak mówisz? – krzyczałam na Hardave'a. – Jego groźby zrujnowały mi życie w tamtym domu, a teraz chcesz, żebym się bała nawet u siebie? I wiesz co? Tak, boję się. Zadowolony?

Nienawidziłam szwagra, ale robiło mi się niedobrze, kiedy widziałam, jak mój mąż ulega mu pod każdym względem.

Tak żałowałam, że noszę w łonie jego dziecko.

Zaszłam w ciążę, kiedy przeżywaliśmy jeden ze szczęśliwych okresów. Gdy jednak nadeszło lato 2002 roku, patrząc na męża, z trudem panowałam nad odrazą. Był całkowicie bezwolny wobec swojej rodziny. Stosował się nie tylko do poleceń mamusi i brata. Wystarczyło, że jego siostry skomentowały mój ubiór albo coś, co powiedziałam, a natychmiast rzucał się na mnie jak stado wilków. Ktoś mu pewnie powiedział, żeby zaznaczył swój autorytet. Polegało to na tym, że robił wszystko, co mu kazali.

Nie wiem, czy to dlatego, że w moim życiu ponownie pojawił się Sukhdave wraz ze swymi groźbami, czy chodziło o działanie hormonów w szóstym miesiącu

ciąży – czy jedno i drugie – w każdym razie obudziłam się pewnego lipcowego ranka i stwierdziłam, że osiągnęłam punkt krytyczny. Zrobiłam mężowi i córkom śniadanie, potem spakowałam ich do pracy i szkoły. Wgramoliłam się z powrotem na górę i wsadziłam do walizki wszystko, co udało mi się tam wepchnąć. Zeszłam na parter i usiadłam u dołu schodów, z walizką przy boku. Wyjęłam komórkę i wystukałam pewien numer. Cztery lata wcześniej zadzwoniłam na podobną infolinię i nic się nie wydarzyło. Moja prośba pod adresem Crimestoppers pozostała bez echa.

Po policzkach płynęły mi łzy, a ja się modliłam, by Samarytanie zechcieli mnie nie tylko wysłuchać.

Zależało od tego moje życie.

## Rozdział siedemnasty

### NA IMIĘ MAM CLIVE

– Potrzebuję pomocy. Jestem w szóstym miesiącu ciąży i przebywam w rodzinie, która mnie prześladowa. Muszę uciec.

Pani pełniąca dyżur telefoniczny była przemiała. Nie musiałam podawać jej swojego nazwiska, jeśli nie chciałam, ale żeby mi pomóc, spytała, gdzie jestem.

– Okay, chwilowo nie mamy wolnych miejsc w pani okolicy – poinformowała.

– Proszę poczekać, sprawdzę, co da się zrobić.

Odezwała się po kilku minutach. Okazało się, że wyszukała mi awaryjne lokum w odległości mniej więcej pół godziny od Slough.

– Ważne, żeby od razu pani stamtąd odjechała – oznajmiła. – Ma pani samochód?

– Tak, ale mąż go dziś zabrał.

– Może ktoś panią przywieźć?

– Nie, będę musiała skorzystać z autobusu.

– Dobrze, chodzi o to, żeby opuściła pani dom, nim mąż wróci z pracy.

– Mam jeszcze dzieci. Są w szkole.

– Nie może pani na nie czekać. Nie da się wszystkiego od razu załatwić. Najważniejsze jest w tej chwili, żeby opuściła pani dom.

Jak mogłabym porzucić własne dzieci? Ale uświadomiłam sobie, że to nie im zagraża Sukhdave. Hardave nie pozwoliłby ich nawet tknąć swojemu bratu. W każdym razie tych, które przebywały teraz w szkole. Ale to w moim brzuchu potrzebowało mnie, jeśli miało być bezpieczne.

Rozumiałam, czego terapeutka ode mnie oczekuje, w sensie psychologicznym i fizycznym. Musiałam wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Uwolnić się od szkodliwego środowiska i zacząć od nowa.

– Dobrze – powiedziałam. – Zrobię to.

Trzymałam walizkę w ręku, a drzwi były o krok. Potem górę wzięło sumienie. Zaczęłam rozważać praktyczną stronę sytuacji. Co sobie myślałam? Nie mogłam odejść, nic nikomu nie mówiąc.

Wzięłam się w garść i zadzwoniłam do rodziców. Chłód ostatnich sześciu miesięcy zniknął w chwili, gdy usłyszałam głos matki.

– Nie zniosę już tego dłużej, mamu. Zadzwoniłam do Samarytan. Zamierzam

odejść.

– Dokąd? – spytała z niekłamaną troską. – Jesteś w ciąży.

– Znaleźli mi tymczasowe lokum. Pojadę tam i zobaczę, co dalej.

– Nie rób tego. Przyjedź do nas. Tu będziesz bezpieczna. Chcesz, żeby Inder cię zabrała?

Wiedziałam, że tak właśnie powie. Dlatego nigdy nie powinnam była dzwonić. I dlatego pani w infolinii poradziła, żebym odeszła stamtąd natychmiast – by nikt nie mógł mnie skłonić do zmiany zdania.

– Nie, mam, jeśli przyjadę do was, to od razu zaczną mnie tam szukać. Nie masz pojęcia, co to za rodzina.

– Więc mi powiedz.

– Nie mogę.

– W porządku, Sarbjit, skoro wiesz, co robisz. Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła.

Już wcześniej z trudem nad sobą panowałam. Teraz ledwie widziałam przez łyż. Mama ani przez chwilę nie pomyślała o społeczności czy dobrym imieniu rodziny, tylko o mnie. Może rzeczywiście powinnam do niej pojechać?

Nie, obowiązywał określony plan, a ja musiałam się go trzymać. Iść przed siebie. Nie pozwolić, by cokolwiek mnie powstrzymało. Nim jednak dotarłam do drzwi, zadzwonił telefon.

Zignoruj go, nakazałam sobie. Nie zatrzymuj się.

Wydawało się, że telefon dzwoni coraz głośniejsze. A jeśli to coś ważnego? Jeśli to ktoś ze szkoły w sprawie dziewczynek?

Zignoruj go i będziesz wolna...

Odebrałam jednak. To był mój ojciec.

– Nie odchodź – poprosił błagalnym tonem. – Nie możesz opuścić tego domu.

– Muszę, tato. Nie wiesz, co oni mi robią. Nie wiesz, co się dzieje. Nie mogę tak żyć.

– Sarbjit, kocham cię, ale jeśli opuścisz ten dom, okryjesz wstydem tę rodzinę, a oni ci nigdy nie wybaczą. Co więcej, odpłacą ci z nawiązką. Chcesz, żeby Bachan Kaur powiedziała: „Moja synowa uciekła z innym mężczyzną tak jak ta druga”?

Nie obchodziło mnie to. Ale ojciec jeszcze nie skończył.

– Pomyśl o tym, przypomnij sobie, jak skalali imię Surjit. I zniknęła, może nawet gorzej. Wyobraź sobie, że tak samo ludzie będą mówili o tobie, a przecież musisz chodzić do tej samej świątyni!

– Ale tato...

– Pomyśl o swoim honorze, Sarbjit. Pomyśl o honorze rodziny. Nie odchodź, przyjdziemy do ciebie i wesprzemy cię.

Wstyd, honor, wstyd, honor. Te słowa rozbrzmiewały wszędzie, dokądkolwiek

się udawałam. Rządziły wszystkim, co robiłam. Lecz gdziekolwiek je słyszałam, zawsze kończyło się to dla mnie cierpieniem.

Niestety, trudno porzucić kulturę, w której żyło się od samego początku.

– Dobrze, tato – ustąpiłam. – Wygrałeś. Zostaję.

\*

Mój pierwszy syn, Manvinder Singh Athwal, urodził się 4 października 2002 roku. Jak zwykle przybyła cała rodzina, żeby złożyć wyrazy szacunku, z rozradowaną Bachan Kaur na czele. Z pozoru kochała bezgranicznie swego pierwszego wnuka, ale uważała, że chłopiec w oczach społeczności już na zawsze pozostanie skażony zachowaniem swojej matki. Teraz nadarzyła się okazja, by to zmienić.

Choć dopiero co urodziłam, oczekiwano od mnie jak zwykle, że zajmę się przyjęciem. Naprawdę sądziłam, że skoro pozostaję z dala od teściowej przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu, to jednocześnie uwalniam się spod jej władzy. Lecz w sytuacji, gdy mieliśmy przyjąć pod swoim dachem jej córki i wnuki, nie miałam wyboru. Gdybym nie zajęła się gośćmi, nikt by tego nie zrobił.

Sukhdave rzadko zjawiał się w naszym domu, co bardzo mi odpowiadało. Im rzadziej go widywałam, tym lepiej. W 2003 roku, po czterech latach pobierania zasiłku, postanowił uzyskać licencję kierowcy minibusa. Dowiedziałam się o tym, ale nieszczerze mnie to zainteresowało. Nie obchodziło mnie również, że znalazł sobie nową dziewczynę – dwanaście lat młodszą – imieniem Rishi. Jeśli nie dbał o to, co społeczność pomyśli sobie o kolejnej partnerce, to ja tym bardziej. Może zakładał, że po tym wszystkim, na co naraziła go Surjit, będzie mógł liczyć na wyrozumiałość? Tak czy inaczej, kiedy się okazało, że dziecko Rishi uczęszcza do szkoły moich córek, mogłam przewidywać kłopoty.

Jak dowiedziałam się od Hardave'a, Rishi zaczęła bywać na rodzinnych obiadach, ceremoniach religijnych, tradycyjnych uroczystościach, na które ja nigdy nie byłam zapraszana. Sukhdave wiedział, że jedno moje słowo mogłoby zniweczyć wszystkie jego plany. Bądź co bądź, jeśli o niego chodziło, już raz to zrobiłam...

Z drugiej strony musiałam liczyć się z konsekwencjami, gdybym postąpiła niebacznie; Hardave otrzymał polecenie, by mi przypomnieć, jak zostaną potraktowana, jeśli coś komuś szepnę. Wiem, że nie czerpał przyjemności z przekazywania mi zawołanych gróźb starszego brata, ale mimo wszystko to robił. Dziękowałam Bogu, że nie wysłuchuję ich od samego Sukhdave'a.

Niestety, nasze ścieżki znów się skrzyżowały. Tak jak w przypadku pierwszej

partnerki po Surjit, Sukhdave zauważył, że rozmawiam z Rishi pod szkołą, i nie zdążył temu zapobiec. Następnego dnia w naszym domu pojawił się z samego rana gość. Przez kilka minut Bachan Kaur siedziała w milczeniu na krześle. W końcu Hardave spytał:

– Coś się stało, mamó?

– Nic – odparła. Nagle, jakby pod wpływem jakiejś myśli, zwróciła się do mnie.

– Słuchaj, Sarbjit, co się wczoraj stało?

– Wczoraj? – spytałam zdziwiona. Dzień jak co dzień. – Nic mi nie przychodzi do głowy. A o co chodzi?

– Wiesz o co. Co wczoraj powiedziałaś Rishi?

Znowu...

– Rishi? A, no tak.

– No więc? Co jej powiedziałaś?

– Szczerze? Przywitałam się z nią i spytałam, jak miewa się jej rodzina. To wszystko.

Mama usłyszała wystarczająco dużo.

– W porządku. – Wstała, posapując. – Masz z nią więcej nie rozmawiać, zrozumiano? Trzymaj się od niej z daleka.

– Och, na litość boską, co niby miałabym jej powiedzieć? Myślisz, że zamierzam rozbić ich związek, wspominając o Surjit? Nic mi do tego, czy się pobiorą, czy nie.

Mówiłam z każdym słowem coraz głośniej i ten jeden raz w ogóle się tym nie przejmowałam. W przeciwieństwie do Hardave'a.

– Nie podnoś głosu – pouczył mnie. – Nie śmieć odzywać się w ten sposób do mamy.

Nienawidziłam Bachan Kaur za to, co zrobiła Surjit, i za inne rzeczy, ale Hardave wciąż mnie zaskakiwał, i to negatywnie. Dlaczego, na Boga, występował przeciwko swojej żonie, jeśli nawet nie wiedział, o co dokładnie chodzi?

Tchórz.

Rozwścieczona interwencją dwojga najbliższych przedstawicieli rodziny, kiedy tylko zobaczyłam nazajutrz po południu minibus Sukhdave'a pod szkołą, podeszłam do niego. Odsunęłam boczne drzwi i oświadczyłam:

– Podobno masz problem, bo rozmawiam z Rishi.

– Nie mam żadnego problemu. Nie chcę tylko, żebyś z nią rozmawiała.

– Ale dlaczego?

– To moja żona. Ja będę decydował, z kim ma rozmawiać.

– Nie wzięliście jeszcze ślubu.

Nie należało tego mówić. Ogłuszający ryk silnika sprawił, że cofnęłam się przestraszona. Sukhdave, wciskając pedał gazu, patrzył na mnie z nienawiścią.



Mam w nosie jego nienawiść, pomyślałam. To uczucie jest wzajemne.

Idąc z powrotem w stronę szkoły, słyszałam coraz głośniejsze zawodzenie silnika toyoty. Po chwili rozległ się pisk opon; autobus nabierał rozpędu. Odwróciłam się i zobaczyłam, co Sukhdave próbuje zrobić. Miałam szczęście, że spojrzałam.

Minibus pędził prosto na mnie.

Uskoczyłam błyskawicznie w bok i poczułam na dłoniach i kolanach twarde asfalt, lądując między dwoma zaparkowanymi samochodami. Sekundę później zobaczyłam, jak furgonetka przemyka obok miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stałam. Podniosłam się z ziemi; zdałam sobie sprawę, że się trzęsę i że z trudem powstrzymuję mdłości.

Próbował mnie przejechać...

Wciąż opierałam się o zaparkowany samochód, kiedy nadbiegł woźny ze szkoły.

– Próbował panią przejechać?

Skinęłam głową, wciąż łapiąc oddech.

– Zdążyła mu się pani przyjrzeć?

– Tak. To mój szwagier. Sukhdave Athwal.

– Ach, on.

Woźny powiedział, że docierały do niego informacje o tym, jak Sukhdave zachowuje się wobec innych rodziców i pracowników szkoły. Zastraszał ich i traktował po chamsku. Nigdy jednak nie zrobił czegoś takiego.

– Jeśli chce pani wnieść oskarżenie, to mogę być świadkiem – zaproponował.

Podziękowałam mu. Nie zamierzałam tego robić. Wiedziałam, że to było ostrzeżenie. Ale wiedziałam też, czemu ma służyć.

Nawet gdybym nie była wcześniej o tym przekonana, ten incydent dowodził, że Sukhdave nie zawaha się mnie zabić, tak samo jak zabił swoją żonę. Z tą różnicą, że nie musiałby nawet wysłać mnie do Indii.

Czekało mnie coś jeszcze, z czym miałam już do czynienia. Kiedy Hardave wrócił tego wieczoru do domu, był wściekły.

– Mama ci powiedziała, żebyś się trzymała z daleka – rzucił.

– Twój brat próbował mnie przejechać, a ty masz do mnie pretensje?

– Czemu sprawiasz bezustannie kłopoty? Zapomnij o tym, okay?

I znowu brał czyjaś stronę, nie moją. Nie miał nawet zamiaru wysłuchać mojej wersji. I nie spytał, czy nic mi się nie stało.

Dlaczego nie uciekłam, kiedy miałam okazję?

Kiedy ja kuliłam się ze strachu, Jagdeesh Singh, który przeprowadził się do Colnbrook w zachodniej części Slough, okazał się dla Athwalów trudniejszym przeciwnikiem. Nie tylko zignorował niedwuznaczne ostrzeżenie ze strony

nieznajomego na parkingu pod gurdwarą, ale też nasilił kampanię na rzecz swojej siostry. Trudno mi było wtedy powiedzieć, czy rzeczywiście wierzył, że Bachan Kaur i Sukhdave zamordowali Surjit, ale w 2002 roku powiedział w wywiadzie dla „Coventry Evening Telegraph”: „Przyjmujemy do wiadomości, że Surjit nie żyje; jest to dla nas bardzo trudne”. Wiedział, że nigdy jej nie znaleziono, ani martwej, ani żywej. Wiedział, że prawda jest gdzieś ukryta. Wiedział, że nie spocznie, dopóki jej nie odkryje.

Nie on jeden. Od samego początku pomagał mu poseł z okręgu Coventry North East, Bob Ainsworth, który wraz z Johnem McDonnellem (posłem z okręgu Hayes i Darlington) nalegał na brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, by przeprowadziło śledztwo na terenie Indii. Jednocześnie Jagdeesh wraz z żoną przekazali premierowi petycję z tysiącami podpisów, a Paramjeet poleciała do Pendżabu prowadzić własne śledztwo i przy okazji rozdawać ulotki z wiadomością o nagrodzie w wysokości dwudziestu tysięcy funtów za informację, która mogłaby prowadzić do aresztowania zabójcy Surjit.

W listopadzie 2003 roku działania Jagdeesha Singha przyniosły skutek – osiągnął cel, jakim było spotkanie z Jackiem Strawem, ministrem spraw zagranicznych. Nie było to łatwe i wymagało interwencji sekretarza stanu, pani Symons, a także przedstawicieli Slough Race Equality Council i Southall Black Sisters.

Obawiając się, że minister Straw uzna zniknięcie Surjit za sprawę zbyt błahą dla swojego resortu, Jagdeesh Singh postarał się, by historia jego siostry trafiła na biurka redakcji wszystkich poważniejszych mediów. Wprowadził też element kontrowersji, mówiąc dziennikarzom: „Dopiero po pięciu latach usilnych zabiegów z naszej strony minister spraw zagranicznych Jack Straw zgodził się interweniować w tej sprawie. Rząd brytyjski nie stosował w tym wypadku nacisków, do jakich się uciekał wtedy, kiedy chodziło o zaginięcie osób o białym kolorze skóry”.

Podał przykład Lucie Blackman. Ta dwudziestojednoletnia kobieta zniknęła w Tokio w lipcu 2000 roku.

„Kiedy Lucie Blackman zniknęła w Japonii, premier brytyjski publicznie skrytykował Japończyków za to, że nie potrafią jej odnaleźć. W naszym jednak przypadku zabrakło takiej stanowczości. Jakby Surjit była mniej brytyjska niż Lucie. A przecież pracowała dla służb celnych Jej Królewskiej Mości w Londynie”.

Jagdeesh Singh nie tylko występował w licznych programach radiowych od 2000 roku i udzielał wywiadów prasie o zasięgu lokalnym i krajowym, ale współpracował też z BBC – z TV Newsnight, by ustalić, co tak naprawdę stało się z Surjit. W roku 2003 wziął udział w realizacji filmu dokumentalnego *Britain, My Britain*, w którym opowiedziano jej tragiczną historię – tak jak widział ją Jagdeesh

Singh.

Docierało to do mnie tylko w niewielkim stopniu, głównie dzięki córkom, jeśli udało im się zobaczyć coś w telewizji, albo dzięki Hardave'owi, który mówił mi, z jaką wściekłością jego matka i brat reagują na najnowsze doniesienia. Czasem byłam bezpośrednim świadkiem ich gniewu.

– Dlaczego sobie nie odpuści? – pomstował pewnego dnia Sukhdave. – Okrywa nas wszystkich wstydem.

Zachowywał się tak, jakby mnie tam nie było. Nie traktował mnie na tyle poważnie, by ugryźć się w mojej obecności w język.

– Nie martw się, synu. Pokrzyczy, i to wszystko. Dopóki wszyscy będziemy milczeć, nic nie może zrobić.

I była to smutna prawda. Wiedziałam, że Jagdeesh Singh może zaangażować w sprawę nawet samą królową, a zabójcy Surjit Athwal i tak nie staną przed sądem, dopóki ktoś nie zacznie mówić. Ktoś z najściślejszego kręgu rodziny.

Chciałabym mieć na to dość siły...

Brak sił psychicznych nie napawał mnie dumą, ale w 2004 roku zawiodły mnie też siły fizyczne.

Był sobotni poranek. Córki bawiły się albo oglądały telewizję. W przeciwieństwie do swoich rodziców nie miałam nic przeciwko programom dla dzieci. Nie przyszłoby mi do głowy odbierać im przyjemności typowych dla ich wieku. Hardave wyszedł, mogłam więc cieszyć się rzadką chwilą samotności. Nagle poczułam straszliwe szarpnięcie w żołądku, jakby doznał gwałtownych rotacji. Działo się coś złego. Bardzo złego.

Zaczęłam wymiotować krwią.

Dotarłam do toalety na piętrze w niespełna minutę, i to w samą porę, jak się okazało. Pochylając się nad umywalką, miałam wrażenie, że w moim brzuchu doszło do erupcji jakiegoś wulkanu, po czym chlusnęłam na białą emalię gwałtowną strugą szkarłatu. Fala za falą dobywał się z mojego wnętrza potężny strumień, który zdawał się nie mieć końca.

Nie mogłam oddychać.

Dławiłam się własną krwią.

Co się dzieje?

Pomijając poród, nigdy jeszcze nie czułam takiego bólu, nigdy jeszcze moje własne ciało tak mnie nie zawiodło. Wciąż wykrztuszając czerwoną flegmę, osunęłam się na ubikację. Ale to nie był jeszcze koniec; nigdy nie doznałam takiego przerażenia, jak przez kilka następnych sekund; tryskała ze mnie krew, zewsząd, jednocześnie. Jakby każdy organ mojego ciała chciał za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz.

Byłam święcie przekonana, że umrę.

Kiedy konwulsje wreszcie ustały, uświadomiłam sobie, że mam zamknięte oczy. Otworzyłam je, a to, co ujrzałam, wywołało niemal następną falę. Nic już jednak nie zostało. Czułam się pusta, jakby uszło ze mnie powietrze.

Spróbowałam się podnieść i upadłam jak długa na podłogę. Poczułam, że ciężą mi powieki, tak bardzo, że nie mogłam ich podnieść.

Walcz z tym. Zachowaj przytomność. Wezwij pomoc.

Strach zrodzony ze świadomości, że moje ciało zaczyna się wyłączać, był paralizujący. Nawet gdybym miała dość siły, żeby krzyknąć, nic by to nie dało; słyszałam, jak na dole ryczy telewizor. Musiałam jednak coś zrobić. Zdołałam się oprzeć o wannę i podźwignąć, a potem nacisnąć klamkę drzwi łazienki; upadłam na korytarzu. Czekala tam na mnie Taran, wyraźnie zrozpaczona.

– Mam zadzwonić do taty? – spytała z przestachem w szeroko otwartych oczach.

– Tak. – Głos miałam słaby, język wciąż oblepiony krwią i wymiocinami. Odkasznęłam i znów poczułam, jak opadają mi powieki.

Straciłam kilka razy przytomność, nim Hardave wbiegł na piętro.

– Mój Boże, co ci jest? – spytał z paniką w głosie, dźwigając mnie z podłogi i sadzając na stołku.

Moje kończyny były bezwładne. Nie mogłam nawet unieść głowy. Na dodatek gasł mi wzrok. Chciałam tylko spać...

Musiałam najpierw coś powiedzieć.

– Ka... karetka.

– Karetka? Dobrze.

Pognał na dół i po chwili usłyszałam, że dzwoni. Coś było jednak nie tak. Nie rozmawiał z pogotowiem. Rozmawiał ze swoją matką!

Po co do niej zadzwonił? W czym ona może pomóc?

Traciłam co chwila przytomność. Potem pamiętam tylko, że stał nade mną Hardave, mówiąc: „Mama powiedziała, żebym zadzwonił na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Karetka zaraz przyjedzie”.

Zdołałam go jeszcze poprosić, żeby zawiadomił Inder – nie moich rodziców; za bardzo by się martwili – a potem już koniec. Nic. Wszystko zniknęło w ciemności. Nie widziałam, jak zjawili się ratownicy medyczni, ani nie słyszałam, co do mnie mówią. Nie pamiętam, jak przewozili mnie do szpitala i co ze mną po drodze robili. Nie miałam pojęcia.

Przypominam sobie, że potem otaczało mnie kilkanaście osób w białych kitlach; biegali nerwowo tam i z powrotem i mówili, w kółko mówili. Przez ogłuszającą wrzawę przebijał się jeden głos.

– Potrzebuje krwi, potrzebuje krwi! – Powtarzał to bez końca, w kółko....

Potem znowu straciłam przytomność. Ocknęłam się następnego dnia. Pierwsza rzecz, jaką zauważyłam, była biała koszula, którą miałam na sobie. Musiałam oprzytomnieć na dobre, żeby dostrzec kroplówkę podłączoną do ręki.

Co się ze mną stało?

Kiedy zorientowano się, że nie śpię, zjawił się jeden z lekarzy i usiadł przy mnie z tak ciepłym uśmiechem na twarzy, że zaczęłam płakać. Ścisnął mi odruchowo dłoń.

– W porządku – powiedział. – Nic już pani nie grozi.

Niezupełnie, pomyślałam. Ale jemu chodziło o moje zdrowie. Nie wiedział, jak koszarne jest moje życie. Nie wiedział o lęku, prześladowaniach, groźbach, nienawiści i kłamstwach.

– Miała pani mnóstwo szczęścia – dodał lekarz, a potem wyjaśnił, że doznałam pęknięcia wrzodu żołądka. Częstą przyczyną wrzodów jest stres, jak się od niego dowiedziałam. Znowu uśmiechnął się serdecznie. – Przeżyła pani coś przykrego? Coś, co mogło wywołać taką reakcję?

Był tak miły, że omal mu nie powiedziałam. Ale co mógł zrobić jakiś lekarz?

– Nie – odparłam. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Wydawało się, że przyjął to do wiadomości, po czym wyjawiał, że straciłam około trzech i pół litra krwi, większość w domu.

– Jeszcze trochę i umarłaby pani – oznajmił z powagą.

Potem, sama ze swoimi myślami, żałowałam nawet, że tak się nie stało.

Mój mąż zjawił się po południu. Oczywiście nie przyszedł sam. Bachan Kaur podeszła do mojego łóżka i ucałowała mnie. Tylko świadomość, że pozwoliła wezwać karetkę – i pośrednio uratowała mi życie – sprawiła, że się od niej nie odwróciłam.

Kiedy już Hardave zapytał mnie, jak się czuję, matka posłała mu znaczące spojrzenie; zrozumiałam, że to znak, by poruszył sprawę, o którą jej chodzi. Byłam zdziwiona, że zjawiała się z czymś takim w szpitalu, ale nigdy nie robiła niczego bez powodu.

– Twój tata sprawia kłopoty – oznajmił Hardave. – Grozi mojej mamie.

Brzmiało to wręcz niewiarygodnie.

– Naprawdę? Co się stało?

– Zadzwoił do mamy i powiedział: „Jeśli cokolwiek stanie się mojej córce, to ty będziesz ponosiła za to odpowiedzialność”. Czy to nie jest niegrzeczne?

– Nie chcę o tym słyszeć!

– Ale czy to nie jest niegrzeczne? – powtórzył uparcie. – Dlaczego tak się zachowuje? Powinnaś mu coś powiedzieć.

– Posłuchaj, niewiele brakowało, żebym wczoraj umarła. Ledwie tego

uniknęłam, i to nie dzięki tobie. – Uświadomiłam sobie, że mówię coraz głośniej. – Leżę pod kroplówką i nie mam najmniejszej ochoty z tobą rozmawiać.

– Dobrze, dobrze – syknął Hardave, rozglądając się nerwowo. – Pomówimy o tym, kiedy wrócisz do domu.

– Nie – odparłam. – Nie chcę.

– Nie chcesz o tym mówić?

– Nie, nie chcę wracać do domu.

Dostrzegłam panikę na twarzy Hardave'a; wymienił z matką znaczące spojrzenie. Już chciał coś powiedzieć, ale ona uniosła dłoń pojednawczym gestem.

– Pozwólmy Sarbjit odpocząć.

Po ich wyjściu nie mogłam uwierzyć, że zdobyłam się na taką szczerość. Może wynikało to z euforii na myśl, że pokonałam śmierć. A może z poczucia komfortu, jakie dawało mi przebywanie w miejscu pełnym dobra. A może były to leki krążące w mojej krwi. Bez względu na powód, właśnie odmówiłam powrotu do domu.

\*

Później zjawili się moi rodzice. Inaczej niż w przypadku Bachan Kaur, musiałam z nich wszystko wyciągać. Nie było prawdą, że nie chcę o niczym słyszeć – nie chciałam po prostu słuchać zniekształconej wersji mojej teściowej.

Po odjeździe karetki Hardave rzeczywiście zadzwonił do domu rodziców do mojej siostry i zostawił wiadomość. Gdy tylko tata się dowiedział, natychmiast oddzwonił i połączył się z moją teściową.

– Witaj, Bachan Kaur. Możesz mi powiedzieć, gdzie jest moja córka?

Było to proste, grzeczne i zwyczajne pytanie, na które odpowiedziała:

– Nie wiem. To twoja córka. Ty powinieneś wiedzieć, gdzie jest, nie ja.

W tym momencie tata nie wytrzymał.

– Jeśli coś jej się stanie...

Jeżeli miałam jeszcze jakieś wątpliwości, kiedy mówiłam Hardave'owi, że nie wrócę do domu, to teraz pozbyłam się ich na dobre.

– Mogę się u was zatrzymać, mamo?

Choć rodzicom nie podobało się to, co niejednokrotnie robiła Bachan Kaur, oboje wiedzieli, że gdy żona odchodzi od męża, to okrywa teściową wielkim wstydem. Miało to dla nich znaczenie od dnia mojego ślubu i ceremonii z ryżem, kiedy zaczęłam bardziej przynależeć do Athwalów niż Bathów. Przekazali mnie innej rodzinie na oczach społeczności. Cierpieli z powodu tej historii, ale takie były zasady. Ja ze swej strony nie mogłam się z nimi pogodzić. Już nie.

– Wiem, jak to będzie wyglądało – powiedziałam. – I nic mnie to nie obchodzi.

Mogłabym dodać: „Już raz mnie powstrzymaliście, a ja nie pozwolę, by się to

powtórzyło”.

Jak można było przewidzieć, tata się sprzeciwił. Nie tak został wychowany i nie tak mnie wychowywał. Ale nie wiedział tak naprawdę, co się dzieje.

Jeśli będzie się upierał przy swoim, będę musiała mu powiedzieć.

W końcu, wbrew sobie, ustąpili. Kiedy wyszłam ze szpitala, wsiadłam do samochodu taty. I pojechałam do jego domu.

Byłam bezpieczna.

Pomimo zuchwałości, jaką się wykazałam na szpitalnym łóżku, decyzja o opuszczeniu domu w Crown Meadow była niezwykle trudna. Dopiero gdy ustąpiło działanie leków, uświadomiłam sobie, że ucieczka nie oznacza tylko pożegnania z Hardave'em i jego agresywną rodziną – zrozumiałam, że nie będę odtąd budzić się w tym samym domu co moje ukochane dzieci.

W mózgu wryło mi się wspomnienie przerażonej twarzy Taran, która patrzyła z otwartymi ustami, jak wyczołguję się z łazienki. Jak mogłam ją porzucić? O ile się orientowałam, Bachan Kaur powiedziała moim córkom, że nie żyję.

Doszłam do siebie w domu rodziców. Gdy tylko odzyskałam jako tako siły, zadzwoniłam do Hardave'a, żeby ustalić datę spotkania. Zgodził się. Sądził chyba, że zdoła namówić mnie na powrót, kiedy już się zobaczymy.

Stało się inaczej, spróbował jednak ponownie, potem jeszcze raz. Chodziło mi tylko o dzieci, i on o tym wiedział. Dlatego nie pozwolił mi ich zabrać.

Gdy mój pobyt w Hounslow zaczął się przedłużać, a tygodnie zamieniły się w miesiące, rodzice zauważyli, że rozłąka z dziećmi rozdziera mi serce. Owszem, cieszyłam się, że jestem z rodzicami, że nikt nie traktuje mnie jak niewolnicę, że nie muszę obawiać się o życie tylko dlatego, że powiedziałam coś niewłaściwego, że tyle czasu spędzam z ukochanymi siostrami i bratem. Ale czy naprawdę byłam tak złą matką, by wyrzec się własnych dzieci? Z jakiego powodu obrałam taką drogę?

Muszę się pozbierać, stanąć na własnych nogach i zażądać, by mi je oddał.

Nie mogłam zabrać ich po prostu ze szkoły, nie mając szansy zapewnienia im stałego miejsca pobytu. Po trzech miesiącach podjęłam więc drugą najtrudniejszą decyzję w życiu – choć wcześniej postanowiłam dochować zbrodniczego sekretu Sukhdave'a.

Powiedziałam o wszystkim rodzicom.

Zdawało się, że tata siedzi w milczeniu całe wieki. Widziałam, że kilka razy chciał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślał.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś, Sarbjit? – spytał w końcu.

– Bo zagrozili, że mnie zabiją.

– Od jak dawna ci grożą?

– Od pierwszego dnia.

Mama płakała, ja też. Tata z trudem trawił to, co właśnie usłyszał.

– Cierpiełaś samotnie przez tyle lat – zauważył. – Wszystko mogło ci się przytrafić. Bachan Kaur mogła zrobić z tobą to samo, co zrobiła z Surjit.

Skinęłam głowę. Przez cały ten czas dawano mi to jasno do zrozumienia.

– Powiadomiłaś władze? – spytał.

– Nie.

– Musisz iść z tym na policję.

– Nie mogę. Za bardzo się boję.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, to ja to zrobię.

– Tato, wiem, że starasz się postąpić słusznie i chronić swoją córkę, ale przysięgam – jeśli powiesz komukolwiek, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Mówiłam poważnie, byłam taka przerażona. Tata też to widział.

– Dobrze – zgodził się. – Dopóki nic ci nie grozi. To jest najważniejsze.

– Nic mi nie grozi. Pod warunkiem, że dotrzymasz słowa.

To była ogromna ulga – wyrzucić z siebie wszystko. Jednak przez kilka następnych tygodni dzień w dzień namawiano mnie, żebym zawiadomiła policję. Potem, kiedy przebywałam u rodziców już od pół roku, pojawiły się naciski z innego źródła.

Bachan Kaur wydzwaniała co jakiś czas. Ale im dłużej się separowałam, tym bardziej wydawała się zdesperowana – dlatego, że nie miałam ochoty z nią rozmawiać, jak twierdził tata.

– Chciałbyś, żeby taki wstyd ciążył na twojej rodzinie, Sewa Singh? Musisz mi odesłać swoją córkę. Nazwisko Athwal okrywa się hańbą i jest to wina Sarbjit.

Nie wiem, jak tata zdołał podczas tej rozmowy powstrzymać język. Wiedział o wiele więcej, niż zdawało się Bachan Kaur, i bardzo chciał jej o tym powiedzieć. Nie zrobił tego jednak. I gdy mi wszystko powtórzył, zaczęłam się zastanawiać nad jej słowami. Bądź co bądź nie tylko okrywałam wstydem teściową; mogło się to również odbić niekorzystnie na moich rodzicach – i dzieciach.

Moje dzieci.

– Nie zostawię ich dłużej.

Tata osłupiał.

– Nie możesz wrócić do tego domu – oznajmił zdecydowanie. Była to zmiana o sto osiemdziesiąt stopni w porównaniu z tym, co mówił pół roku wcześniej.

Słuchałam jego argumentów i żałowałam, że nie mogę okazać mu posłuszeństwa, choć robiłam to przez całe życie. Jak na ironię, to dzięki ojcu i mamie znalazłam w sobie siłę, by się sprzeciwić. Tak jak dzięki szczerzej rozmowie z Inder w 1999 roku uwolniłam się w jakimś stopniu od tego



straszliwego ciężaru, tak i teraz, dzieląc się swoim sekretem z mamą i tatą, zyskałam na pewności siebie.

Nie byłam już sama. W przeciwieństwie do swoich dzieci.

Wróciłam do Taran, Balveen i Manvintera. Najważniejszych istot w moim życiu.

Po kilku miesiącach okazało się jednak, że muszę do tej listy dodać jeszcze jedno imię.

Kiedy wróciłam do domu, musiałam zgodnie z oczekiwaniami i wymogami naszej kultury podjąć obowiązki małżeńskie. Zrobiłam to niechętnie, ale efekt był ten sam – na początku 2005 roku uświadomiłam sobie, że spodziewam się czwartego dziecka. Mój drugi syn, Karaminder, urodził się w piękny letni dzień, 31 sierpnia.

Nie tylko jednak Karaminder zmienił tego roku moje życie. Podczas uroczystości na cześć mojego syna widywałam się i kontaktowałam ze swoją rodziną częściej niż zwykle. Kiedy więc pewnego popołudnia zadzwonił do mnie tata i zaprosił do siebie, nie zastanawiałam się ani chwili.

Pojawiłam się u rodziców nazajutrz i od razu weszłam do salonu. Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam siedzącego na sofie eleganckiego mężczyznę. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem widziałam w tym miejscu kogoś o białej skórze. Z jakiego powodu rodzice mogliby tak dalece wyjść poza krąg własnej kultury? Znając angielski dość słabo, nigdy tego nawet nie próbowali.

Mężczyzna wstał i przedstawił się.

– Witaj, Sarbjit. Na imię mam Clive. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

## Rozdział osiemnasty

### NIE ZASYPIAJ

Główny Detektyw inspektor Clive Driscoll jest dzisiaj jednym z najbardziej znanych funkcjonariuszy policji londyńskiej; to on stał na czele grupy dochodzeniowej, która z powodzeniem doprowadziła w 2012 roku do oskarżenia dwóch mężczyzn podejrzanych o zabójstwo ucznia z południowego Londynu, Stephen'a Lawrence'a. O jego pozycji może świadczyć fakt, że w tym samym roku poproszono go o składanie zeznań przed komisją Levensona do spraw korupcji w prasie. Ale w roku 2005 był starszym oficerem śledczym w wydziale zajmującym się przestępstwami na tle rasowym. Nie wiedziałam tego jednak. I z pewnością nie tłumaczyło to, dlaczego siedzi w salonie moich rodziców.

Zorientowałam się jednak po wyrazie twarzy mojego ojca.

– Powiedziałeś mi?

– Musiałem, Sarbjit. To dla twojego dobra.

Tata długo nie ujawniał nikomu tego, czego się ode mnie dowiedział. Wreszcie, kiedy podczas wizyt albo rozmów telefonicznych wspominałam mu o kolejnych groźbach i obraźliwych słowach ze strony Bachan Kaur, zaczął tracić cierpliwość. Nigdy nie chciałam wciągać go w całą tę sprawę, ale od chwili, w której dowiedział się prawdy, czuł, że nie może tego tak pozostawić. W końcu zadzwonił na policję; połączono go z Clive'em.

– Detektywie Driscoll, mojej córce grozi niebezpieczeństwo. Rodzina, w której żyje, zamierza ją zabić.

– Dlaczego pan tak twierdzi?

– Bo ci ludzie zabili już jedną kobietę.

Clive zgodził się na spotkanie, a na koniec powiedział:

– Musimy porozmawiać z pańską córką.

– Nie możecie – odparł tata. – Boi się o swoje życie. Jeśli uda się pan do jej domu, zostanie ukarana albo jeszcze gorzej.

– Więc niech pan ją zaprosi do siebie.

I tam go właśnie poznałam. I byłam przekonana, że tam właśnie ojciec podpisał na mnie wyrok śmierci. Powiedziałam mu to bez ogródek.

Wyładowałam na nim swój gniew, bo się bałam. Clive jednak mnie uspokoił i sprawił, że poczułam się pewniej. Naprawdę nie przypominał w niczym innych

funkcjonariuszy, jakich poznałam pięć lat wcześniej na posterunku policji w Kingston. Rozmawiał ze mną w taki sposób, że od razu mu zaufałam. Dał mi jasno do zrozumienia, że naprawdę chce oddać Bachan Kaur i Sukhdave'a w ręce sprawiedliwości, ale że pragnie też chronić mnie i moje dzieci.

– Musi mi pani w tym pomóc – mówił z silnym akcentem południowego Londynu. – Proszę pomyśleć o swoich dzieciach. Chce pani, by i one straciły mamę? Coś pani powiem. Jeśli ci ludzie już raz zamordowali, to są zdolni zamordować znowu. Za drugim razem jest to pod pewnymi względami łatwiejsze. Bo wiedzą, że mogą to zrobić. I już raz uszło im to na sucho.

Starał mi się pomóc, ale jednocześnie przeraził mnie śmiertelnie. Zaczęłam jednak stopniowo pojmować, o co mu chodzi. I miał rację. Dlaczego, na Boga, tak długo mieszkałam pod jednym dachem z tą rodziną?

Clive podniósł mnie na duchu, ale kiedy poprosił, żebym opowiedziała mu wszystko, nie byłam pewna, czy dam radę.

I wtedy przypomniałam sobie szczerą twarz Jagdeesha Singha Dhillona tamtego dnia, gdy spotkaliśmy się na parkingu pod gurdwarą. „Nie wahaj się wyznać prawdy – powiedział wtedy. – Kiedy nadejdzie pora”.

Wiedziałam, że ta pora nadeszła.

Clive uśmiechnął się do mnie.

– Jak już będzie pani gotowa, proszę mi opowiedzieć to, co chce pani powiedzieć.

Zacisnęłam dłonie na kolanach, a potem wlepiłam wzrok w podłogę, wybierając punkt, na którym mogłam skupić wzrok. I zaczęłam mówić. Opowiedziałam mu o tym, jak Surjit nie układało się z mężem, jak pojechała w grudniu 1998 roku do Indii i jak została tam zamordowana.

Długa chwila milczenia.

– Może to pani powtórzyć? – spytał wreszcie Clive.

– Surjit została zamordowana – powiedziałam. – Matka zabrała ją do Indii i wróciła dopiero wtedy, kiedy to zrobiono.

– Kto o tym wie?

– Wszyscy o tym wiedzą.

Popełniłam błąd, podnosząc głowę i napotykając wzrok Clive'a. Starał się być delikatny, ale ja potrafiłam myśleć tylko o Surjit. Zdenerwowałam się i nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. Trwało to bardzo długo. Wreszcie zawołałam:

– Naprawdę mi przykro, że nie powiedziałam o tym wcześniej!

– Dlaczego pani tego nie zrobiła? Aresztowano panią w roku 2000. Miała pani okazję.

– Bałam się. Grozili mi. „Jeśli powiesz komukolwiek, to samo stanie się z tobą”.

– I uwierzyła im pani?

– W stu procentach. – Próbowałam nad sobą zapanować. – Ale zadzwoniłam na infolinię Crimestoppers. I po wyjeździe Bachan Kaur i Surjit do Indii wysłałam list na posterunek policji w Hayes.

Gdybym wiedziała wtedy, że moja siostra zgłosiła się na posterunek przy Charing Cross, też bym o tym wspomniała.

Clive nie krył rozczarowania, że te obie próby przekazania władzom informacji skończyły się niczym. Byłam mu za to wdzięczna.

– Spróbujemy to naprawić i tym razem doprowadzić sprawę do końca – powiedział. – Chcę, żeby złożyła pani oficjalne zeznanie.

Nie, nie, nie, nie, nie!

– Nie mogę tego zrobić, Powiedziałam panu wszystko, co wiem. To już pańska sprawa, czy pan w to wierzy, czy nie. Nie chcę się bardziej w to mieszać.

– Przykro mi – odparł cicho Clive. – Ale naprawdę nie ma pani wyjścia.

Kiedy Clive podniósł się z sofy, mój tata stanął przed nim z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

– Panie Clive, błagam pana, niech pan ocali moją córkę.

Inspektor nie był człowiekiem, który łatwo ulega emocjom albo składa puste obietnice.

– Nie mogłem ocalić Surjit, ale daję panu słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić pańską córkę.

Tata skinął głową. To mu wystarczyło.

Spotkanie z Clive'em odbyło się w styczniu 2005 roku. Przez długich dziesięć miesięcy jego zespół analizował szczegółowo każdą informację otrzymaną podczas dwóch poprzednich śledztw. Dopiero gdy nabrał przekonania, że udało się zgromadzić dostatecznie dużo materiału dowodowego, by wnieść sprawę do sądu, był gotów narazić moje życie i poprosić o oficjalne zeznanie. Otrzymał je 27 października 2005 roku.

Kiedy nadszedł wyznaczony dzień, nie mogłam uwierzyć w to, co zamierzałam zrobić. Zaczekałam, aż Hardave pójdzie do pracy, a potem, samochodem jednego z krewnych, pojechałam ze spuszczoną nisko głową na posterunek policji. Trzęsłam się, wysiadając z wozu. Ruszyłam z wolna w stronę posterunku. Na zewnątrz stało kilka osób, trzy albo cztery; zauważyłam jakiegoś funkcjonariusza azjatyckiego pochodzenia. Przyznam szczerze, że mnie to śmiertelnie przeraziło. Nie, pomyślałam, nie mogę tego zrobić. Ten policjant to Azjata, niewykluczone, że zna Athwalów, może im o wszystkim donieść... Spuściłam głowę i zmusiłam się do tego, żeby wejść do budynku. Czułam, jak wali mi serce, kiedy mijałam grupkę policjantów stojących na chodniku. Ale nawet wtedy, gdy byłam już po drugiej stronie drzwi, zerkałam przez ramię, by się przekonać, czy ktoś mnie śledzi. Czy

ktoś widział, jak wchodziłam do środka?

Pierwszą osobą, jaką spotkałam, był Clive. Dlaczego mu ufam? – zadałam sobie pytanie. – Czy mogę? Policja nie okazała mi wcześniej pomocy. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Czułam jednak, że Clive wszystko rozumie, poza tym nikt nie wywierał na mnie nacisku. Pamiętam, co powiedział – że jest tu po to, by się mną zająć. Nie wiem, czy dałabym radę, gdyby nie jego wiara we mnie.

Poszliśmy do pokoju przesłuchań i usiedliśmy. Wydawało się, że czas zwolnił. Zdawałam sobie sprawę z tego, co mam zrobić.

Ten krok mógł mnie kosztować życie.

Mogłam wszystko stracić.

Kiedy tak siedziałam w tym ponurym pomieszczeniu na posterunku w Feltham, analizując koszmarne podwójne życie, jakie prowadziłam przez ostatni rok, czułam się gorzej niż wtedy, gdy aresztowano mnie za współudział w przygotowaniu morderstwa. Wtedy najbardziej musiałam się obawiać prawa. Natomiast to, co zamierzałam zrobić teraz, narażało mnie na odwet morderców.

Morderców, którzy wiedzieli, gdzie mieszkam, i którzy mieli klucz do mojego domu.

Przychodziło mi co chwila do głowy, że mam dzieci, i to mnie powstrzymywało. Ale myślałam też o Surjit, i to dodawało mi sił. Wiedziałam, że muszę to zrobić. Dla niej. Że muszę sprawić, by sprawiedliwości stało się zadość – dla Surjit. Dla jej rodziny, jej brata – i jej ukochanych dzieci.

Zaczęliśmy.

Na każdym etapie zeznania towarzyszyła mi sierżant Angie Barton. Nie ponaglała mnie ani niczego nie podpowiadała, dopytywała natomiast o szczegóły. Czy jestem pewna, że to i to zrobiła Bachan Kaur, a to i to zrobił Sukhdave?

Zdawałam sobie sprawę z dalekosiężnych konsekwencji swojej decyzji, a mimo to, kiedy opuszczałam posterunek, towarzyszyło mi uczucie ogromnej ulgi. Postąpiłam słusznie. Skutki nie miały znaczenia – zrobiłam to, co powinnam była zrobić pięć lat wcześniej.

Przepraszam, Surjit, że zajęło mi to tyle czasu...

Clive dał mi jednak jasno do zrozumienia, że moje zeznanie będzie miało znaczenie tylko wtedy, gdy sprawa trafi do sądu, a ja wystąpię jako świadek.

Miałam nadzieję, że tego dożyję.

Wrażenie paranoi, jakiego doznawałam po wysłaniu anonimowego listu na posterunek w Hayes w 1998 roku, było niczym w porównaniu z tym, co czułam, wracając tego popołudnia do domu. Wiedziałam, że muszę dotrzeć na miejsce, zanim zjawi się Hardave. Kiedy jednak skręciliśmy w moją ulicę, zauważyłam z przerażeniem jego wóz przy krawężniku. Mój mąż wciąż powinien być w pracy;

zawsze był tam o tej porze. Od razu ogarnęła mnie panika. Nie wiedziałam, co robić. Nie ulegało wątpliwości, że Hardave mnie spyta, gdzie byłam. Co miałam mu powiedzieć, na Boga?

Byłam w koszmarnej sytuacji; nie potrafiłam jasno myśleć. Nie mogłam jednak tego dłużej przeciągać. Zdawałam sobie sprawę, że im później zjawię się w domu, tym więcej pytań mnie czeka. Nie miałam wyjścia. Musiałam udawać, że wszystko jest w porządku i że nie postąpiłam przed chwilą wbrew życzeniom rodziny mojego męża.

Otworzył mi Hardave, kiedy próbowałam poradzić sobie z kluczami. Spytał, gdzie byłam. Odniosłam nieodparte wrażenie, że dobrze wie, co właśnie zrobiłam. Czyżby zauważył, jaka jestem zdenerwowana? Nie miałam wyboru, jak tylko udawać, więc powiedziałam mu, że byłam z siostrą na zakupach. Spytał, gdzie jest, zaskoczony, że nie wpadła na herbatę, odparłam więc, że się spieszyła. Wiedziałam, że mojej wymuszonej niefrasobliwości nie starczy już na długo. Udałam, że trzeba przewinąć dziecko, i prawie wbiegłam na górę; w tej chwili niczego tak nie pragnęłam jak samotności.

Hardave pospieszył jednak za mną.

– Dobrze się czujesz? – spytał wprost.

– Tak, doskonale – zdołałam z siebie wydusić.

Strach pętał mi język. Miałam mdłości i czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy grzebałam w torbie z pieluszkami; starałam się zająć czymś ręce, żeby Hardave nie zauważył ich drżenia.

Patrzył na mnie pytająco. Mogłabym przysiąc, że oboje słyszymy, jak wali mi serce.

– Stało się coś? – spytał wreszcie.

Zdołałam tylko pokręcić głową, ale jakimś cudem to wystarczyło. Zostawił mnie w spokoju, a ja odetchnęłam z ulgą, wciąż bijąc się z myślami. Jednak czekał mnie jeszcze wieczór. Byłam przekonana, że Hardave mnie obserwuje; musiał zauważyć, że jestem zdenerwowana, szykując kolację, że od razu pobiegłam na górę zająć się dziećmi, by nie przebywać w jego towarzystwie dłużej niż to konieczne, że niemal podskakuję, ilekroć się do mnie zwraca.

Stres wywołany obawą, że dostrzeże mój niepokój, przyprawiał mnie o jeszcze silniejsze drżenie. Udało mi się jednak przeżyć wieczór bez większych problemów, zadzwonić do siostry i powiedzieć jej, że wszystko jest w porządku, i położyć się wcześniej do łóżka. Ścisnęło mnie koszmarne w żołądku; nie musiałam nawet udawać, że źle się czuję. Miałam wrażenie, że za chwilę pęknie mi kolejny wrzód. Kiedy tak leżałam, zaciskając mocno powieki i modląc się, by środek nasenny przyniósł mi wreszcie ukojenie, byłam w stanie myśleć tylko o jednym: co ja zrobiłam?

Nazajutrz obudziłam się w nieco lepszej formie. Doszłam do wniosku, że zachowywałam się głupio. Nie było żadnego powodu, by Hardave mógł coś poprzedniego dnia podejrzewać. Nie wiedział, dokąd poszłam, z kim byłam ani co mówiłam. Clive mnie zapewniał, że będę musiała mieć się na baczności dopiero wtedy, gdy jego zespół przystąpi do działania. „Będzie pani wiedzieć, kiedy to nastąpi, ponieważ cała ta rodzina zostanie aresztowana”.

Niestety, wyszło inaczej.

Karmiłam po południu Karamindera, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi wejściowych, tak wściekle, że niemal upuściłam łyżeczkę. Rozpoznałam gniewny głos Sukhdave’a, który wołał mnie przez otwór na listy.

O co mu chodzi, u licha?

Zmroziło mnie.

Dowiedział się czegoś.

Kiedy otworzyłam drzwi, przepchnął się obok mnie i ruszył prosto do salonu. Zniosłam szybko Karamindera do drugiego pokoju i zamknęłam go tam. Pomyślałam, że nawet małe dziecko nie powinno widzieć tego człowieka, kiedy jest w takim nastroju. Czekał, aż wrócę, a potem zaczął tyradę pełną inwektyw.

– Rozmawiałaś z kimś, tak?

Jak się dowiedział?

– O czym? Co masz na myśli? – spytałam, zdumiona własnym spokojem i opanowaniem.

– Wiesz, o czym. Powiedziałaś swojemu ojcu?

– O zamordowaniu Surjit? Nie, nie powiedziałam.

– Więc jak to wyjaśnisz?

Podsunał mi pod nos egzemplarz „Evening Standard”. Był tak wściekły, że drżały mu ręce, ale udało mi się odczytać nagłówek.

– Policja twierdzi, że otrzymała nowe informacje w sprawie zaginięcia Surjit – wrzasnął Sukhdave na wypadek, gdybym się nie zorientowała, o co mu chodzi. – Od kogo, jak myślisz? Tylko ty mogłaś im powiedzieć.

Przejrzałam artykuł. Stało tam czarno na białym: policja londyńska wznowiła śledztwo w związku z ujawnieniem nowych faktów. Dlaczego Clive mnie nie ostrzegł? Przecież pomyślą, że to ja!

Czytając, czułam na sobie przenikliwy wzrok Sukhdave’a. Słowa rozmywały mi się przed oczami; starałam się zachować spokój.

– Dlaczego miałabym zrobić to właśnie teraz? – spytałam w końcu. – Dlaczego miałabym czekać tak długo, żeby komuś powiedzieć? Ukrywałam waszą tajemnicę przez siedem lat. Po co miałabym nagle zmieniać zdanie?

– Nie wiem – mruknął. – Ale pamiętaj o jednym. To nasza tajemnica. Siedzisz w tym po uszy.

– Nieprawda! Ja nic nie zrobiłam!

Sukhdave wykrzywił w złośliwym uśmiechu usta.

– Policja dowie się czegoś innego, jeśli się do mnie dobierze.

Gdy tylko wyszedł, wybuchnęłam płaczem. Nie wiem, jak zdołałam nad sobą zapanować. Ale kiedy żyje się tak długo w kłamstwie...

Choć mojego szwagra już nie było, nie miałam odwagi zadzwonić z telefonu domowego czy nawet komórki. Nie w przypadku rozmowy, którą zamierzałam przeprowadzić. Hardave mógł wrócić w każdej chwili, więc wzięłam Karama na rękę i wybiegłam na ulicę w poszukiwaniu najbliższej budki telefonicznej. Potem zadzwoniłam do inspektora Driscolla i spytałam spokojnie, na ile pozwalało mi zdenerwowanie, dlaczego nie uprzedzono mnie o tym artykule.

– Przyznaję, to był błąd. Ta informacja nigdy nie powinna ujrzeć światła dziennego. To ostatnia pomyłka z naszej strony, ma pani moje słowo.

Oby się pan nie mylił. Mam złe przeczucia...

\*

Nigdy jeszcze nie czekałam na powrót męża z takim niepokojem. Nie ulegało wątpliwości, że rozmawiał wcześniej z bratem. Gdy tylko stanął w drzwiach, zaatakował mnie.

– To ty? – spytał.

– Mówiłam już Sukhdave’owi. Nie.

– Wiesz, że będziesz miała kłopoty, jeśli powiesz komukolwiek.

– Tak, wiem. Od siedmiu lat. A teraz daj mi spokój.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zorientował się, że to nie ma sensu. Nie odznaczał się tak porywczym charakterem jak brat i nie miał tyle do stracenia. Widział zresztą, że próbuję zajmować się dziećmi. Byłam matką czworga. To im powinnam poświęcać całą swoją energię, zamiast martwić się o ich wuja i jego matkę. Myślę, że Hardave zdawał sobie z tego sprawę.

Rozmawiając wieczorem z siostrą, musiałam uważać na to, co mówię, żeby Hardave nie nabrał podejrzeń. Spytała mnie, czy potrzebuję towarzystwa, ale odparłam, że nie będzie to konieczne. Następnego dnia jednak nie miałam wyboru.

Była sobota, więc dom wypełniał gwar całej naszej szóstki, przebywającej w różnych pokojach. Uwielbiałam te chwile, choć przez większość czasu nie słyszałam nawet własnych myśli. Może właśnie dlatego tak bardzo je kochałam. Kiedy biegałam z jednego pokoju do drugiego za Man- vinderem czy Balveen albo grzebałam w bezdennym koszu z bielizną Taran, zapominałam o kłopotach.

Niestety, choć w domu panował harmider, Hardave uznał, że znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby. O wizycie jego matki dowiedziałam się



z dziesięciominutowym wyprzedzeniem. Chwała Bogu – tylko tak długo mogłam się martwić o jej reakcję na artykuł w gazecie. Gdy się zjawiała, byłam jednak mile zaskoczona. Ani razu o nim nie wspomniała. Żadnych krzyków, oskarżeń, gróźb. Mimo to, cokolwiek robiłam, czułam na sobie jej baczny wzrok.

Dlaczego nic nie mówi?

Kiedy wrzeszczała na mnie, to wiedziałam przynajmniej, na czym stoję. Jej milczenie przeciągało się niepokojąco. Gdy w porze lunchu zadzwoniła moja komórka, odczułam wielką ulgę, że mogę oddalić się na chwilę od teściowej.

– W porządku? – To był głos mojej siostry. Tego właśnie potrzebowałam.

– Nie, nie bardzo – odparłam i wyszeptałam: – Bachan Kaur tu jest.

– Boże, nic ci nie grozi?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie mogę się zorientować. – Odwróciłam się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. – Boję się.

Mówiąc to, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam przez cały ranek zdenerwowana. Dzieci pomagały mi o tym zapomnieć, ale w głębi serca czułam się przerażona.

– Przyjeżdżam – oznajmiła siostra.

– Nie, nie rób tego! – To nic nie da. – Jak to będzie wyglądało, jeśli zjawisz się znienacka. Zacznie coś podejrzywać.

– Dlaczego? Wolno mi odwiedzić własną siostrę.

– Ale nigdy tego nie robisz, kiedy ona tu jest.

– No dobrze, postawiłaś na swoim. Ale będę sprawdzać, czy wszystko w porządku. Powiesz mi, gdyby coś się działo.

Nogi miałam jak z ołowiu, kiedy wracałam do kuchni, a gdy ujrzałam teściową siedzącą przy stole, serce zaczęło walić mi jak młotem. Zdawało mi się, że wszyscy to słyszą.

Nie wspomniała jednak słowem o wznowionym przez policję śledztwie. Czy to możliwe, by o tym nie wiedziała? A może Sukhdave starał się ją chronić?

Nieprawdopodobne. Nikt w tej rodzinie nawet nie kichnął bez jej pozwolenia.

Co więc knuła? Bałam się. Bardzo się bałam. Byłam wręcz przerażona. Słuchając jej rozmów z dziećmi, dopatrywałam się ukrytych znaczeń w każdym słowie. Nawet kiedy przemawiała pieszczotliwie do małego, miałam wrażenie, że robi to w jakimś celu. Poszła potem porozmawiać z Hardave'em, co tylko potwierdziło moje wyimaginowane podejrzenia: mówi o mnie. Coś knuje.

Wszystko to zaczynało wyglądać śmiesznie. Byłam tak spięta, że kiedy ponownie zadzwonił telefon, omal nie wyskoczyłam ze skóry. Zdołałam się jednak opanować i wyperswadować siostrze wizytę.

– Przestań dzwonić – wyszeptałam niecierpliwie.

– Nie – odparła. – Nie przestanę.

Nim odłożyłam słuchawkę, stał już przy mnie Hardave.

– Kto to był?

– Moja siostra.

– Dlaczego tu wydzwania?

– Bez szczególnego powodu.

Nie był przekonany.

– O co jej właściwie chodzi?

– O nic. Jest sobota, nudzi się.

Nie miałam odwagi przysiąc się do nich, dopóki nie uspokoiłam się odrobinę. Wciąż jednak traktowałam podejrzliwie wszystkie ich rozmowy, nawet najbardziej błahe. Każda upływająca godzina była coraz trudniejsza do zniesienia. Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci, miałam wrażenie, że mnie rozerwie.

– Lepiej, żeby to nie była znowu twoja siostra! – zawołał opryskliwie Hardave.

Była. Tym razem mój głos musiał odzwierciedlać to, jak się czuję, ponieważ siostra oświadczyła zdecydowanie, że przyjeżdża, czy mi się to podoba, czy nie.

Przynajmniej przestaniesz wydzwaniać...

Odwrociłam się w stronę salonu, gdzie dudnił telewizor.

– Tak, to ona – wyjaśniłam, zanim mój mąż zdążył o cokolwiek spytać. – Chce, żebym z nią wyszła.

– Wykluczone. Mama jest u nas.

– Wiem, wiem. Wpadnie tylko na chwilę.

Miałam nadzieję, że zabrzmiało to zwyczajnie, choć wcale nie byłam pewna. Zdawało mi się, że w pokoju brakuje dla nas trojga powietrza. Czułam, że jeśli zaraz nie usiądę, to zemdleję.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak bardzo się ucieszyłam na czyjś widok. Uśmiech na twarzy mojej siostry zniknął w chwili, gdy przekroczyła próg domu. Czyżby wyczuła panującą w nim atmosferę, czy to też sobie tylko wyobraziłam?

Dzieci oderwały się na chwilę od telewizora, żeby przywitać się z ciocią. Potem poszłyśmy do kuchni przygotować jedzenie i porozmawiać przy okazji. Bachan Kaur też się pojawiła. Nie pomagała i tak naprawdę nie chciała się odzywać. W jej obecności nikt nie miał ochoty na pogawędkę.

O to jej właśnie chodzi.

Zawsze mogłam pogadać swobodnie z rodzeństwem, ale wszystko, o czym mówiłyśmy tego dnia, wydawało się dziwnie sztuczne i fałszywe. Trucizna obecna w tym domu udzielała się również mojej siostrze, która nie była jednak tak zdenerwowana jak ja. Drżała mi ręka, kiedy próbowałam utrzymać cebulę i pokroić ją. Zauważyła to i delikatnie przykryła moją dłoń swoją.

W porządku, mówiły jej oczy. Ale obie wiedziałyśmy, że jest inaczej.

Wytrzymała około godziny, potem pod jakimś pretekstem wyszła. Choć czułam się w jej obecności bezpieczna, doznałam ulgi, kiedy już zniknęła. Wiedziałam, że pomoże mi to uniknąć jakiegóż niezamierzonej wpadki.

Przypuszczałam, że po wyjściu mojej siostry teściowa też się zacznie zbierać. Okazało się inaczej. Sprzątałam ze stołu, gdy Hardave oświadczył:

– Mama zostanie u nas na noc.

Nie wiem, jakim cudem nie upuściłam talerzy.

– Dobrze – zdołałam wydusić z siebie, ale Hardave jeszcze nie skończył.

– Prześpię się na kanapie. Ty i mama możecie przenocować w naszym pokoju.

Co?

– Nie, nie trzeba – powiedziałam pospiesznie. – Ty prześpisz się na kanapie, ja z dziećmi, a mama może skorzystać z naszego łóżka.

Zauważyłam, że Hardave kręci głową.

– Nie, nie, mama nie może spać sama. Oznaczałoby to brak szacunku.

Zawsze sypia sama!

Wiedziałam, że nie da się przekonać. Wydarzenia toczyły się swoim torem, a ja nie mogłam ich zatrzymać. Czy planowali to od początku? Czy zwodzili mnie przez cały dzień, żeby w nocy zrobić ze mną Bóg jeden wie co? Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość – całość, o której nie chciałam nawet myśleć.

Zerknęłam ukradkiem na imponującą sylwetkę teściowej. Mogła z łatwością obezwładnić mnie w sekundę podczas snu. W tym momencie zrozumiałam, że przeczytała ten artykuł w gazecie. I wiedziałam coś jeszcze.

Koniec. Tej nocy umrę.

Nim zadzwonił telefon, byłam już niemal pogodzona ze swoim losem.

– W porządku? – usłyszałam głos siostry. – Poszła już sobie?

– Nie. Zostaje na noc.

Byłam nieprawdopodobnie spokojna. Wydawało się, że jestem otępiała ze strachu.

– Zostaje? – powtórzyła siostra. – Niedobrze.

– I będzie spała ze mną w moim łóżku.

– Och, Sarb, musisz natychmiast wyjść stamtąd.

– Nie mogę. Nie rozumiesz tego? Nie mogę.

– W takim razie powiem tacie, żeby koniecznie zawiadomił policję.

– Zostaw mnie w spokoju. Nie pomagasz mi, wydzwaniasz tu bezustannie.

Bachan Kaur i Hardave przyglądali mi się uważnie, kiedy wróciłam do kuchni. Nie chciało mi się nawet kłamać, więc wzruszyłam tylko ramionami i dalej sprzątałam. Spojrzałam na zegar kuchenny. Trzy godziny do chwili, kiedy kładłam się spać. Trzy godziny, żeby pomyśleć.

Trzy godziny, żeby żyć.

Nie zasypiaj.

Jeśli zamykałam oczy, mogłam sobie wyobrazić, że leżę obok Hardave'a. On i matka byli podobnie zbudowani, pachniała nawet tak samo jak on. Staralam się nie istnieć, zwinięta w kłębek na brzegu łóżka. Byle jej nie dotykać.

Nie zasypiaj.

Hałas ruchu ulicznego za oknem, głosy sobotnich imprezowiczów wracających do domu, nawet helikopter krążący czujnie nad okolicą i pilnujący miasta – wszystko to do mnie docierało. Ja jednak skupiałam się na tym, co działo się wewnątrz domu. Nasłuchiwałam odgłosu przekręcanej gałki przy drzwiach mojej sypialni, konspiracyjnych szeptów, szelestu szlafroka, skrzypienia desek podłogowych.

Nasłuchiwałam swoich morderców.

Nie zasypiaj.

Wiedziałam, że jeśli zasnę, to już się nie obudzę.

## Rozdział dziewiętnasty

### ARESztUJECIE MNIE?!

Pierwszy dzień z reszty mojego życia.

Tak sobie myślałam, zamykając nazajutrz drzwi łazienki. Wszystko było teraz inne. Woda leżąca z prysznica wydawała się bardziej relaksująca, pogoda ładniejsza, a dzieci bawiły się tak, jakby nie mogły się bez siebie obejść.

Wstydziłam się swojej wcześniejszej paranoi. Co mi przyszło do głowy mieszać w to wszystko siostrę? A gdyby zawiadomiła policję? Byłoby to poniżające. Nic dodać, nic ująć. Reagowałam przesadnie, dałam się ponieść wyobraźni. Jeśli moja teściowa naprawdę sądziła, że policja jest na jej tropie, to byłoby rzeczą śmieszną podejrzewać ją w takiej sytuacji o coś głupiego.

Nic się nie wydarzy.

Nie zmrząwszy w nocy oka, odprężyłam się teraz i uśmiechałam w duchu. Z niewiadomego powodu Bachan Kaur nie zrealizowała swojego planu – jeśli w ogóle jakiś miała. Kręciło mi się niemal w głowie.

Nie ja jedna byłam w dobrym nastroju. Skończyłam właśnie przewijać Karamindera, kiedy zauważyłam, że w drzwiach łazienki stoi Bachan Kaur z filiżanką herbaty w dłoni. Rzadko wyglądała na tak zadowoloną.

– Uroczy chłopiec – powiedziała z dumą w głosie.

Nie miałam szczególnej ochoty na pogawędkę, ale musiałam się zgodzić. Najwidoczniej Bachan Kaur była w refleksyjnym nastroju.

– Wiesz, Sarbjit – ciągnęła – tak sobie pomyślałam... nigdy nie poznałaś naszej rodziny w Indiach.

– Nie – przyznałam.

I nie mam ochoty.

– Zamierzam to naprawić. Postanowiłam zabrać cię w podróż do kraju, pojedziemy tylko ty i ja, odwiedzimy wszystkich. Nie martw się o koszty, zajmę się wszystkim.

Zajmę się wszystkim.

Zmroziło mi krew w żyłach. Naprawdę wymówiła te słowa? Naprawdę zaprosiła mnie do Indii? Naprawdę powiedziała, że zabierze mnie w taką samą podróż, w którą zabrała Surjit?

Naprawdę sądziła, że jestem tak głupia?

Jedno nie ulegało wątpliwości. Wiedziała o śledztwie.

– Idę teraz do świątyni.

Bachan Kaur postanowiła wyjść równie niespodziewanie, jak zjawiała się poprzedniego dnia.

– W porządku – powiedziałam. – Wkrótce się zobaczymy.

Gdy tylko za nią i za Hardave'em zamknęły się drzwi, podniosłam słuchawkę telefonu. Odebrała moja siostra.

– Dzięki Bogu! – zawołała. – Co się wydarzyło?

– Nic – odparłam. – Absolutnie nic. Ale wszystko wyglądało dziwnie.

– Chcesz, żebym przyjechała?

– Proszę.

Pół godziny później, podczas gdy dzieci bawiły się w innych pokojach, usiadłyśmy przy herbacie. Siostra chciała wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło ostatniej nocy, więc jej powiedziałam.

– Tak się martwiliśmy – wyznała. – Niewiele brakowało, żeby Clive wyłamał drzwi i cię wyciągnął.

– Co?!

– Kiedy zadzwoniłam do niego wczoraj wieczorem, powiedział mi, żebym kazała ci natychmiast wyjść z domu. Odparłam, że już odmówiłam. A on na to, że skoro nie może cię stamtąd wyciągnąć, to dopilnuje, żeby nikt inny tam nie wszedł.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, że pod twoim domem przez całą noc stał radiowóz?

Zmyśla?

– Po co?

– Policjanci pilnowali drzwi frontowych – wyjaśniła moja siostra. – Clive ich wysłał. Twoja teściowa nie ubrudziła sobie rąk w Indiach, więc martwił się, że poleciała komuś przyjść i złożyć ci wizytę.

Zatkało mnie. Naprawdę stał tam całą noc radiowóz? Dla mnie?

– To nie wszystko – dodała siostra. – Słyszałaś w nocy helikopter?

– Helikopter? Tak mi się wydaje.

– To też Clive.

– Niemożliwe!

Powiedziała mi, że policja niepokoiła się o tylne wejście do domu. Gdyby ludzie Bachan Kaur zauważyli radiowóz od frontu, mogliby spróbować dostać się od drugiej strony, przez ogrody. Ponieważ do drzwi od tyłu nie można się było dostać samochodem i nie biegła tam żadna ścieżka, Clive wysłał helikopter, z którego obserwowano tę część domu.

Nie wierzyłam własnym uszom. Dosłownie osłupiałam. Z trudem znajdowałam

słowa, próbując dojść z tym wszystkim do ładu. Na świecie działo się tyle zła, tylu ludzi błagało o pomoc, a ktoś zadawał sobie trud, żeby mnie chronić?

Czy naprawdę jestem taka ważna?

Tak czy inaczej, emocje nadal miały nade mną władzę. Strach ustąpił rano miejsca uldze. Teraz mogłam oczekiwać czegoś innego. Czego? Uczucia wdzięczności? Już dawno go nie doznałam. Świadomość, że ktoś się o mnie troszczy, że wierzy we mnie i nie szczędzi kosztownych środków, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo, była niemal bolesna. Do oczu napłynęły mi łzy i ten jeden raz nie były wywołane przerażeniem.

Potem zdałam sobie sprawę z czegoś, co zmroziło mnie do szpiku kości.

To, że Clive zadawał sobie tyle trudu, podnosiło mnie ogromnie na duchu. Dowodziło, że wierzy we mnie. Ale świadczyło także o tym, z jak śmiertelną powagą traktuje moje obawy. Policja naprawdę uważała, że groziło mi w nocy niebezpieczeństwo.

I że grozi mi nadal.

Przez kilka następnych dni dzieliłam czas między szkołę, opiekę nad synkiem i rzadkie chwile, gdy w tajemnicy przed całym światem rozmawiałam ze swoim aniołem stróżem ze Scotland Yardu. Dopiero gdy powiedziałam Clive'owi o propozycji wyjazdu do Indii – by podążyć ostatnimi śladami Surjit – zaczęłam się zastanawiać, czy nie doszło już do kolejnego rodzinnego zgromadzenia.

Czy w domu pod numerem 88 przy Willow Tree Lane bracia zasiedli obok swojej matki, o kilka kroków od miejsca, w którym zebrali się siedem lat wcześniej, i doszli do wniosku, że i ja okrywam wstydem rodzinę? Że i ja zhańbiłam dobre imię Athwalów? I że należy mnie wykluczyć z klanu? Czy Bachan Kaur wypowiedziała te same słowa?

Musimy się jej pozbyć?

Żywiłam przekonanie, że mój mąż nie byłby do tego zdolny. Sprzeciwił się tamtej zbrodni. Ale czy biorąc pod uwagę jego uległość wobec matki, mogłam być tego pewna?

Być może niepotrzebnie się martwiłam. Drugiego listopada, prawie tydzień po złożeniu przeze mnie zeznania na policji, Clive oświadczył, że czas zrealizować następny etap operacji „Yewlands”, którym to kryptonimem ochrzczono śledztwo.

– Jutro aresztujemy twoją rodzinę – uprzedził. – Może zechcesz się ulotnić.

– Czy odbędzie się to tak wcześnie jak poprzednim razem? – spytałam, przypominając sobie, jak w 2000 roku obudzono mnie brutalnie o szóstej rano.

Roześmiał się.

– Prawdopodobnie. To najlepsza pora, żeby złapać ludzi w domu. „Złapać” to

określenie operacyjne.

Inspektor wyjaśnił mi następnie zawilósci strony prawnej. Dla niego to był chleb powszedni, ale zdawał sobie sprawę, że jestem w tym przypadku nowicjuską. Ponieważ po raz pierwszy rozmawiałam z Clive'em w styczniu, jego zespół starał się od tego czasu zgromadzić dostatecznie dużo materiału dowodowego, by oskarżenie mogło postawić zarzuty rodzinie albo poszczególnym osobom. Przyznał jednak, że może to być trudne. Poprzednie śledztwo w sprawie tego morderstwa, to z 2000 roku, zostało umorzone z powodu braku dowodów, a pomijając moje zeznanie, niewiele się zmieniło.

– Jeśli się nad tym zastanowić, to mamy do czynienia z morderstwem popełnionym na terenie innego kraju przez inną osobę albo osoby. Poza tym nie znaleziono ciała.

Nie brzmiało to jak coś niepodważalnego. Znów ogarnęły mnie wątpliwości, czy słusznie postąpiłam.

– Naprawdę sądzisz, że można tę sprawę wygrać? – spytałam.

– Biorąc pod uwagę twoje zeznania w sądzie, jest duża szansa.

Duża szansa? Czy usprawiedliwiało to ryzyko, które podjęłam?

Mamy rzucić monetą?

Przez głowę zaczęły mi przebiegać pospieszne, głupie i pełne paniki myśli. Po chwili zniknęły. Po tym wszystkim, co przeżyłam, inspektor był jedynym człowiekiem, jaki kiedykolwiek pokładał we mnie wiarę. Musiałam mu ufać. Musiałam żywić przekonanie, że nie stoczyłam tej wewnętrznej walki na darmo.

Zdałam sobie jednak sprawę, że muszę się przygotować na życie w świecie, w którym prokuratura odmówi wysunięcia zarzutów. Co by się stało, gdyby moja teściowa i szwagier nie trafili do więzienia? Gdyby Clive nie uzyskał wyroku skazującego? Jak można oskarżyć kogoś o morderstwo, jeśli nie znaleziono ciała? Nawet w moich uszach brzmiało to dziwnie.

Wiedziałam aż za dobrze, co by się stało. Wiedziałam też, jak zadziałać, by uniknąć konsekwencji.

– Musisz coś dla mnie zrobić – powiedziałam.

– Wszystko, co zechcesz – odparł ze śmiechem. Rozbawiła go chyba moja nietypowa pewność siebie.

– Kiedy będziesz jutro aresztował wszystkich, zatrzymaj także i mnie.

Clive spoważniał.

– Nie mogę cię aresztować. Jesteś świadkiem!

– Słuchaj, jeśli mnie nie aresztujesz, dowiedzą się, że to ja zaczęłam mówić. Muszę się zabezpieczyć. Jeśli nie uda ci się wsadzić ich za kratki, będę musiała z nimi dalej żyć.

Nie zrozumiał, co prawda, dlaczego będę musiała dalej z nimi żyć – sam



przyznał, że powinien dowiedzieć się jeszcze wiele o sikhach – ale się zgodził.

– Jutro rano. Przygotuj się.

Kiedy nadeszła szósta, nie spałam już od kilku godzin. Jak mogłabym spać, wiedząc, co się stanie? Nic się jednak nie stało. Minęła siódma, potem ósma, a pod domem panował spokój – żadnych hałasów, żadnego ruchu. Nawet kiedy szycowałam dzieci do szkoły, czekanie było koszmarnie.

No dalej, Clive, gdzie się podziewasz?

Była ósma trzydzieści. Najwyższy czas, żeby odwieźć Balveen i Manvindera. Taran wolała chodzić do szkoły sama. Karam został z Hardave'em. Nim wróciłam do domu, mój mąż i syn nie byli już sami. W drzwiach przywitała mnie policjantka. Spodziewałam się tego, ale i tak ugięły się przede mną kolana.

– Sarbjit Athwal? – spytała.

Zaczęło się.

– Tak.

– Aresztuję panią pod zarzutem współudziału w przygotowaniu morderstwa Surjit Athwal.

Zaraz zemdleję.

– Nie! Ja nic nie wiem!

Ogarnęła mnie panika. Przypomniałam sobie nagle, jak to wyglądało poprzednim razem. Nie wiem, czy to z powodu stresu, który mi towarzyszył przez ostatni tydzień, czy naprawdę wariowałam. Myślałam tylko o tym, że dopóki żyję, nie chcę znów znaleźć się w radiowozie policyjnym. Nie myślałam o Clivie, o operacji „Yewlands” ani o tym, że sama podsunęłam mu pomysł aresztowania mnie. Przez tę jedną minutę zachowywałam się irracjonalnie, nie panowałam nad sobą i byłam całkowicie pewna, że trafię do więzienia.

Policjantka pozwoliła mi się wyładować przez kilka sekund, potem nadstawiła uszu, by sprawdzić, czy na schodach nie słychać kroków, i nachyliła się do mnie.

– Proszę nic nie mówić – syknęła. – Spokojnie.

Patrzyłam na nią tępo.

– Aresztujecie mnie? – spytałam. Brzmiało to teraz tak głupio.

– Wystarczy – wyszeptała. Gdyby mogła do mnie mrugnąć, to sądzę, że by to zrobiła.

Dzięki, Clive.

Hardave nie miał tyle szczęścia. Dwaj funkcjonariusze sprowadzili go na dół, po czym każde z nas wsadzono – mnie z małym Karamem – do dwóch różnych radiowozów. Mój mąż ani na chwilę nie spuścił ze mnie wzroku.

Wie...

W tym samym czasie, po drugiej stronie autostrady M25, odprowadzono do

radiowozów sześćdziesięcioośmioletnią kobietę i jej syna. Operacja „Yewlands” była w toku.

W drodze do Sutton doszło do rozdzielenia naszej niewielkiej kawalkady radiowozów. Hardave nie widział, że samochód, w którym jechałam, nie zbliżył się nawet do posterunku, tylko zawiózł mnie do mojej siostry. Nie było mowy, bym mogła teraz wrócić do domu.

Policja miała dostatecznie dużo roboty z prawdziwymi więźniami, żeby się o mnie troszczyć. Zapominałam o tym, co się dzieje, tylko wtedy, gdy jadłam i piłam; nie byłam zdolna do niczego więcej. Po południu moja siostra zabrała dzieci ze szkoły i pojechaliśmy do domu ojca. Żałowałam, że nie wiem, co się dzieje na posterunku w Sutton. Potem, około piątej, zadzwonił do mnie jeden z ludzi Clive’a i powiedział, że Hardave zostanie w ciągu godziny zwolniony za kaucją. Powtórzył radę, którą już wcześniej dał mi Clive.

– Nie wracaj do domu. Nie możemy zagwarantować ci bezpieczeństwa.

Prawdę mówiąc, inspektor poprosił mnie, żebym się zastanowiła nad programem ochrony świadków. Oznaczałoby to nowy dom, nową tożsamość, nowe życie, lecz konsekwencje byłyby niewyobrażalne. Musiałabym zerwać wszelkie kontakty z rodziną, co dla dzieci byłoby ogromnym wstrząsem. Nie chciałam przez resztę życia oglądać się trwożliwie za siebie, by sprawdzić, czy ktoś mnie rozpoznaje, odmówiłam więc zdecydowanie.

Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam na pełne napięcia i niepokoju twarze wszystkich obecnych w salonie moich rodziców.

– Czas zmierzyć się z konsekwencjami – oświadczyłam.

Błagania matki i ojca, a także mojego rodzeństwa, bym nie wracała do domu, na nic się zdały. Byłam na nie głucha. Jeśli nie zamierzałam posłuchać inspektora Driscolla, to ich prośby też nie miały znaczenia.

– To mój dom. Tam mieszkają moje dzieci. Poza tym nie zrobiłam nic złego.

Hardave sprawiał wrażenie człowieka załamane, kiedy się zjawił.

– Kiedy cię wypuścili? – spytał.

– Po południu. – Nienawidziłam kłamać, ale dzięki jego rodzinie nabrałam w tym wprawy.

– Mamę i Sukhdave’a wciąż przetrzymują na posterunku w Heathrow. Błagam, Sarbjit, co im powiedziałaś?

– Nic nie powiedziałam. Nigdy nikomu niczego nie powiedziałam.

Nie wiem, czy Hardave mi uwierzył.

Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle mnie słuchał.

Chodził w kółko jak człowiek opętany.

Nadszedł wieczór, a z Heathrow wciąż nie było żadnych wiadomości. Nie potrafiłam się odprężyć, więc zajmowałam się dziećmi albo pracą w kuchni. Hardave już od dłuższego czasu nie zachowywał się normalnie. Wciąż chodził tam i z powrotem, mrużąc do siebie: „Gdzie oni są?”. „Dlaczego nie ma ich jeszcze w domu?”. „Ktoś się wygadał”. „Kto?”, „Co się dzieje?”. „Gdzie oni są?”.

Staralam się nie wchodzić mu w drogę. Dzieci się jednak niepokoiły.

– Co jest tatusiowi? – spytała Taran.

– Martwi się o swoją mamę i brata – wyjaśniłam. Powiedziałam jej, gdzie są w tej chwili. Była zszokowana.

– Dlaczego policja ich zatrzymała?

– Bo podejrzewa, że zrobili coś twojej cioci.

– Ale przecież ona uciekła. Babcia tak mówiła. I Pav. Wszyscy o tym wiedzą.

Szkoda, że nie mogę powiedzieć ci prawdy.

Byłam właściwie zadowolona, że nie wie, co się wydarzyło, ale dzień prawdy nadchodził; miałam tylko nadzieję, że wybaczy mi to, co zrobiłam.

Nie tylko Hardave cierpiał. Ja też nie mogłam znieść czekania. Co będzie, jeśli Bachan Kaur i Sukhdave dowiedzieli się od przesłuchujących ich funkcjonariuszy, że to ja zaczęłam mówić? Jeśli zostaną zwolnieni, a mnie nikt nie zdąży o tym uprzedzić? Patrzyłam na drzwi wejściowe.

Mogą się w nich pojawić w każdej chwili.

Zamknęłam je na cztery spusty, gdy tylko ta myśl przemknęła mi przez głowę.

A potem, nazajutrz rano, kiedy upłynęło siedem lat bez jednego miesiąca od wyjazdu Surjit do Indii, Bachan Kaur i Sukhdave zostali formalnie oskarżeni o jej zamordowanie.

Dzięki Bogu!

Był to jednak dopiero początek. Dowiedziałam się, że oboje odmówili odpowiedzi na wszelkie pytania, podczas gdy ich adwokaci starali się o wycofanie oskarżenia. Kiedy im się to nie udało, zaczęli zabiegać usilnie o zwolnienie swoich klientów za kaucją.

Wciąż mogą wyjść na wolność.

Modliłam się raz za razem, by sędzia się zorientował, jacy są niebezpieczni, i zamknął ich ze względu na moje bezpieczeństwo. Nie miałam jednak żadnych gwarancji. Nawet Clive był w tej sytuacji bezradny.

Trzymano ich w areszcie, podczas gdy prawnicy toczyli spory. Z jednej strony była policja, która twierdziła, że to zabójcy. Z drugiej obrońcy Athwalów twierdzili, że ich klienci mają czyste ręce i że nie stanowią dla społeczeństwa żadnego zagrożenia.

Wiedziałam, co się dzieje. Przy każdej nadarzającej się okazji wystukiwałam na

komórce numer Clive'a, a on informował mnie na bieżąco. Istniało niebezpieczeństwo, że Hardave mnie przyłapie, ale musiałam wiedzieć. Gdyby Bachan Kaur i Sukhdave uzyskali prawo do zwolnienia za kaucją, oboje mogliby wrócić do domu.

I grozić mi.

Inspektor starał się mnie pocieszać. Policja dysponuje mocnymi dowodami, twierdził zdecydowanie. Ale nic nie było przesądzone i to sąd podejmował w tej sprawie decyzję. Mogliśmy tylko czekać. Czekać. I...

Sąd odrzucił prośbę o zwolnienie za kaucją.

Jakie to uczucie?

Przez lata towarzyszyły mi tak często negatywne emocje. Uświadomiłam sobie, że teraz doznaję czegoś innego. Czegoś dobrego.

To była ulga!

Najczystsza ulga. Poczułam się jeszcze lepiej, gdy Clive powiedział mi, że do procesu dojdzie najprawdopodobniej dopiero za dwa lata. Dwa lata! Z trudem mieściło mi się to w głowie. Miałam nie widzieć Bachan Kaur i Sukhdave'a przez bardzo długi czas.

Podobnie jak Hardave, oczywiście. Był wykończony, ogłupiały, niczym ranne zwierzę. Snuł teorie spiskowe, dotyczące wszystkich, którzy mu tylko przyszli na myśl. To oni ponosili odpowiedzialność za uwięzienie jego ukochanej matki i brata. Kiedy już przestawał pomstować, nieodmiennie skupiał uwagę na mnie.

– Jesteś pewna, że nic nie powiedziałaś?

– Hardave, przysięgam, że to nie ja. Wiem tyle, co ty.

– Okay.

Po godzinie znowu mnie o to pytał. Tak bardzo chciał mi wierzyć, ale w jego głowie nie pojawiał się nikt inny. To, że nie wiedział, dręczyło go straszliwie.

Cierpiał, widziałam to. Dzieci były przerażone jego gwałtowną przemianą. Hardave starał się panować nad sobą, ale przychodziło mu to z trudem. Nie mógł się pogodzić z myślą, że pójdą do szkoły i okrywając rodzinę wstydem, powiedzą: „Moją babcię aresztowano za morderstwo”. Z drugiej strony nie mógł się zmusić do tego, by je okłamywać. W końcu zaczął powtarzać: „To nic takiego. Niedługo zobaczycie babcię”.

Każdy upływający dzień i każda upływająca godzina były istną mordegą. Ta bezustanna obserwacja i wrażenie, że mój mąż patrzy na mnie nawet wtedy, gdy przebywamy w innych pokojach, były nie do zniesienia. Nawet jeśli Hardave nie potrafił wyczytać z mojej twarzy i ruchów ciała tego, co robiłam, bałam się, że powiem coś niechcący. Wydawało się, że rzuca mi w każdej sekundzie wyzwanie. Nie mogłam tego znieść.

Nie jestem aktorką. Nie dam rady.

Uświadomiłam sobie, że także w oczach dzieci zachowuję się dziwnie. O mnie też się martwiły. Przy odrobinie szczęścia Hardave mógł pomyśleć, że tak samo jak on przejmuję się losem jego rodziny. W przeciwnym razie domyśliłyby się prawdy.

Przez cały dzień trapiły mnie mdłości, czułam się słaba i bliska płaczu. Nie mogłam się czuć swobodnie w obecności męża. Czy tak miało być przez dwa najbliższe lata? Nie ma mowy, doszłam do wniosku. Nie dam rady. Dłużej nie wytrzymam.

Tej nocy towarzyszyła mi tylko jedna myśl.

Muszę sporządzić testament.

Jakimś cudem, mimo koszmarnych rozterek, które mnie prześladowały, potrafiłam się skupić na kwestiach praktycznych. Gdyby coś mi się stało, moja część domu nie mogła trafić w ręce Hardave'a ani jego rodziny. Musiały ją otrzymać moje dzieci.

Wtedy pomyślałam, że to nie Bachan Kaur ani jej przyjaciele odbiorą mi życie, tylko ja sama. Osiągnęłam punkt, w którym nie widziałam żadnej alternatywy. Budziłam się rano chora ze strachu, a wieczorem kładłam się w takim samym nastroju. Dłonie drżały mi całymi dniami, serce waliło jak młotem. Odchodziłam od zmysłów. Tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli skończę z tym teraz.

Może nie dla wszystkich. Tylko myśl o dzieciach kazała mi się zastanawiać nad tym ostatecznym krokiem. Ale nawet wówczas wiedziałam, że muszę coś zrobić – nawet jeśli miałyby to zranić tych, których kocham najbardziej.

Rankiem 6 listopada, po trzeciej nieprzespanej nocy, przemknęłam do łazienki i wystukałam z pamięci numer.

– Clive? Tak się cieszę, że odebrałeś. Już dłużej tego nie zniosę. Proszę, przyjedź po mnie. Wyciągnij mnie stąd, bez względu na to, co będziesz musiał zrobić.

Po godzinie rozległo się pukanie do drzwi. Byli to dwaj policjanci. Przedstawili się i poprosili, żebym się z nimi udała.

– Dokąd ją zabieracie? – spytał Hardave.

– Pani Athwal zostaje zatrzymana do wyjaśnienia – poinformował jeden z nich.

Czułam całkowitą obojętność, wpatrując się w twarz męża. Nie mógł mnie w żaden sposób podejrzewać. Nie wiedziałam jednak, co dzieje się w jego głowie. Sprawiał po prostu wrażenie pustego.

I tak było mi już niedobrze na myśl o tym, co zamierzam zrobić. Nie mogłam zniweczyć swojego planu, martwiąc się o swojego męża w jakikolwiek sposób.

– Mogę pożegnać się z dziećmi? – spytałam.

– Oczywiście.

Uściskałam Taran, Balveen i Manvindera, a potem wzięłam na ręce maleńkiego

Karama, którego musiałam ze sobą zabrać. Wciąż karmiłam go piersią. Nie mogliśmy zostać rozdzieleni.

– Do widzenia – powiedziałam, po czym odwróciłam się i ruszyłam w stronę nieoznakowanego radiowozu po drugiej stronie ulicy.

Tak więc rano w dniu trzydziestych szóstych urodzin posłuchałam wreszcie rady Samarytan i odeszłam z domu, porzucając małżeństwo na dobre.

\*

Clive czekał na mnie w samochodzie.

– Wszystko w porządku?

– Nie.

– Zawiozę cię do rodziców.

– Nie chcę tam jechać.

– A dokąd chcesz jechać? Nie możesz wrócić do domu.

– Wiem, wiem.

Jak mogłam mu powiedzieć, że chcę po prostu być sama? I to z powodów, których by nie zrozumiał?

Gdy samochód pędził w stronę Hounslow, nie potrafiłam się zmusić do rozmowy. Powinnam być szczęśliwa i odczuwać ulgę, że udało mi się uciec. Siedząc jednak z tyłu i trzymając na rękach dziecko, miałam ochotę krzyknąć z całych sił. Tak się bałam tego, co może zrobić Hardave, kiedy sobie uświadomi, kto jest głównym świadkiem policji. Już teraz z trudem nad sobą panował. A nawet jeśli niesłusznie się go obawiałam, to przecież cała społeczność była po stronie Bachan Kaur. Jak mogłabym komukolwiek zaufać?

Inspektor mówił do mnie, ale go nie słyszałam. Myślałam tylko o konsekwencjach swojego kroku.

Znowu to samo. Dwukrotnie powiadomiłam władze o śmierci Surjit. Dwukrotnie zostałam zignorowana. Tym razem obiecano mi, że wszystko dobrze się skończy, ale nigdy nie czułam się gorzej.

Spojrzałam na klamkę. Wiedziałam, że nie da się otworzyć drzwi od środka, ale kusiło mnie, żeby spróbować. Przypomniałam sobie, jak bezpiecznie się czułam w szpitalu po tej historii z wrzodem. Tym razem jednak nie chciałam czuć niczego.

Zajechaliśmy pod dom rodziców, nim zdołałam zrobić coś pochoznego. Zbliżałam się do drzwi z niepokojem. Jeszcze nie tak dawno temu, gdyby ich córka odeszła od męża, byłby to dla nich powód do niewyobrażalnego wstydu. Nawet teraz obawiałam się, co powie społeczność i jak moi rodzice – i ja – będziemy znosić krzywe spojrzenia i pełne oburzenia komentarze. Bądź co bądź, choć Athwalowie nie mieli już na nic bezpośredniego wpływu, nawet najbardziej

liberalni sikhowie krzywiliby się na widok kobiety żyjącej z dala od męża. Lękałam się, że odchodząc od niego, okryłam ojca i matkę hańbą.

Niepotrzebnie się jednak martwiłam. Nie posiadali się z radości, widząc, że wreszcie odzyskałam rozsądek. Byli rozczarowani tylko tym, że nie przywiozłam ze sobą starszych dzieci. Trochę mnie to irytowało, szczerze powiedziawszy. By wyciągnąć mnie z domu, policjanci musieli udawać, że jestem zatrzymana. Nie można było aresztować dzieci, prawda?

Myślicie, że chciałam je zostawić?

Clive i jego ludzie zostali ze mną, dopóki się nie rozgościłam w rodzinnym domu. Kiedy zaczęli się zbierać, uświadomiłam sobie, że wszystko jest nie tak.

– Nie mogę tu zostać. – Siedziałam na sofie. Tej samej, na której poznałam Clive'a.

– Słucham? – spytała z niedowierzaniem matka. Od razu przysunęła się do mnie. – Ależ oczywiście, że możesz. Tak długo, jak zechcesz.

– Nie, muszę odejść.

– Co się stało, Sarbjit? – Zorientowałam się po tonie głosu taty, że jest wystraszony.

– Nic – odparłam. – Muszę po prostu odejść. – Spojrzałam na inspektora Driscolla. – Clive, proszę, zabierz mnie stąd. – Byłam zapłakana, wzburzona, zagubiona i przerażona. – Muszę być sama.

Moi biedni rodzice patrzyli na mnie tak, jakbym ich oskarżyła o morderstwo. Było mi niezwykle przykro, że sprawiam im ból; nie mieli nic na sumieniu. Ale musiałam uciec jak najdalej. Nie umiałam tego wyjaśnić. Po prostu chciałam zostać sama.

Clive gdzieś zadzwonił. Po kilku minutach oświadczył:

– Załatwione. Chodź ze mną.

Do dzisiaj nie wiem, co się działo w mojej głowie. Brakowało mi tchu, rozpaczliwie chciałam zostać sam na sam ze swoimi myślami; nie obchodziło mnie nawet to, że być może obrażam rodziców. Zgodziłam się jednak w końcu, żeby mama ze mną pojechała. Wtedy się temu sprzeciwiałam, ale kiedy teraz o tym myślę, cieszę się, że to zrobiła.

Pamiętam, że patrzyłam przez szybę samochodu, gdy jechaliśmy przez zachodni Londyn, i myślałam: nikt nie będzie za mną tęsknił. Złożyłam zeznanie na policji. Dostaną swoich morderców. A ja będę zasypiała, nie bojąc się koszmarów.

Nigdy jeszcze nie czułam się tak fatalnie. Wydawało mi się, że jestem zdolna do wszystkiego, i to w jak najgorszym znaczeniu. Tylko obecność matki pozwalała mi zachować spokój. Trzymała na ręku Karama i widok ten przypominał mi, czego się zamierzam wyrzec. Zapomniałam, czym jest prawdziwa rodzina.

Jechaliśmy około czterdziestu pięciu minut, aż wreszcie dotarliśmy do jakiegoś

hotelu w Epsom.

– Nikt cię tu nie znajdzie – powiedział Clive.

Nie był to Ritz. Dostałyśmy maleńki pokój z oknem, które z trudem dało się otwierać, dwoma pojedynczymi łózkami i jedną łazienką dla matki, mojego synka i dla mnie. Jednak przez kilka cennych godzin miejsce to miało należeć tylko do nas i do nikogo innego.

Leżałam na swoim łóżku z Karamem, dopóki nie zasnął. Potem przysunęłam się do mamy; przez większość nocy płakałyśmy.

– Nie martw się, Sarbjit – pocieszała mnie, szlochając. – Przetrwasz to. Ani się obejrzysz, a będzie lepiej. Wspomnisz moje słowa.

Słuchając dźwięku syren gdzieś na ulicy, miałam wszelkie powody w to wątpić. Ale była moją matką. Poza tym czułam się taka zmęczona...

Odnosiłam wrażenie, że jeśli przeżyję tę noc, to rano będzie inaczej. Nie wydawało się to jednak prawdopodobne, gdy położyłam głowę na poduszce, a w moich myślach pojawił się kalejdoskop obrazów, lęków i żalów. Miałam trzydzieści sześć lat, czworo dzieci i właśnie odeszłam od ich ojca. Co sobie wyobrażałam? Byłam sikhijką. Wychowano mnie tak, bym szanowała instytucję małżeństwa, męża i rodzinę. Co więc wyprawiałam? Całe moje życie wywróciło się do góry nogami i w tym momencie byłam przekonana, że nie mogę winić za to nikogo prócz siebie.

Wiedziałam, że szukam ucieczki. I wiedziałam w głębi serca, że moje życie dobiegło końca.

Potem uświadomiłam sobie, że nastał nowy dzień i że mój synek się śmieje.

Może mimo wszystko będzie lepiej.

To Surjit była w tej historii ofiarą – ale nie jedyną. Jej dzieci, którym wmówiono, że zostały porzucone przez matkę, bo ich nie kochała, straciły teraz ojca i babkę – dwoje najbliższych im ludzi. Moje zeznanie pozbawiło je domu. Zważywszy, że żadne z nich nie wierzyło w moją opowieść – Bachan Kaur i Sukhdave za pośrednictwem listów i podczas odwiedzin w więzieniu mówili im bezustannie, że kłamię – nie było mowy, by mogły zostać ze mną albo z moją rodziną; wzięła je do siebie jedna z ciotek ze strony Athwalów.

Nie tylko one poniosły konsekwencje. Odchodząc od męża, poniżyłam go w oczach rodziny i społeczności, ale porzuciłam też trójkę swoich dzieci. Hardave nie chciał mi ich oddać, a ja nie miałam ich dokąd zabrać, na razie przynajmniej. Oświadczył, że dokądkolwiek się udam, znajdzie nas i zabierze je siłą. Dał to jasno do zrozumienia. Na szczęście był ze mną Karaminder.

Po dwóch nocach spędzonych w bezpiecznym miejscu musiałam się z nimi zobaczyć. To, że dzwoniłam codziennie, nie wystarczało ani mnie, ani im. Tata nie



chciał słyszeć o tym, żebym pojechała do domu.

– Hardave jest wściekły. Nie masz pojęcia, co może zrobić.

Powiedziałam, choć wcale nie byłam tego pewna:

– Nie jest taki jak tamtych dwoje. To on próbował się wtedy sprzeciwić.

– No dobrze – zgodził się ojciec. – Zawiozę cię. Jeśli nie pojawisz się po piętnastu minutach, wejdę do domu.

– Zgoda.

– Chcę też, żebyś zadzwoniła do Clive'a.

– Zadzwonię.

Rozmawiałam właśnie z Clive'em, kiedy zajechaliśmy na niewielki parking pod domem. Wciąż starał się mnie przekonać, żebym nie wchodziła tam sama, ale bez skutku.

– Zadzwoni, jak tylko stamtąd wyjdiesz – poprosił. – I w razie jakichkolwiek kłopotów uciekaj ile sił w nogach.

Obiecałam mu, że tak zrobię, i wysiadłam z samochodu.

– Piętnaście minut – przypomniał mi tata.

Piętnaście minut.

Gdy tylko weszłam do środka i zobaczyłam Balveen, a potem Manvintera i Taran, poczułam na policzkach łzy.

– Mamusiu!

Zamknęłam za sobą drzwi i osunęłam się na kolana, a zewsząd otoczyły mnie wyciągnięte ramiona.

– Proszę, nie odchodź więcej – błagała mnie Balveen.

– Przykro mi, kochanie, ale muszę.

– Więc nas zabierz!

Wszystkie powtarzały to zgodnym chórem. Nawet Taran, która starała się za wszelką cenę być w wieku czternastu lat dorosła.

– Nie mogę tego teraz zrobić, przykro mi. Ale niedługo się to zmieni, obiecuję.

Kres tej chwili położył inny głos.

– Taran, zabierz siostrę i brata do salonu. Ja i mama musimy porozmawiać.

Nikt się nie ruszył.

– Idźcie – powiedziałam. – To nie potrwa długo.

Wstałam w końcu z klęczek i poszłam za Hardave'em na górę do naszego pokoju. Gdy tylko przekroczyłam jego próg, mój mąż wybuchnął. Nigdy go jeszcze takim nie widziałam.

Powinnam wyjść.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego? – Krzyczał, nie panując nad sobą. – Jak mogłaś? Jak mogłaś rozbić rodzinę?

– Hardave, nasze dzieci są na dole.

– Nic mnie to nie obchodzi.

To było do niego niepodobne. Bez względu na to, jak mnie traktował, zawsze starał się chronić dzieci przed konsekwencjami rodzinnych nieporozumień.

Trząsał się, dosłownie wściekał. Wyglądał tak, jakby od tygodnia nie spał.

– Wiem, że to ty – oświadczył, starając się zapanować nad głosem.

– O czym ty mówisz? – spytałam, zbyt przerażona, żeby myśleć.

– Rozmawiałem z adwokatem mamy – ciągnął. – Widzieli twoje zeznanie. Wiedzą, że to ty. I ja też wiem. – Głos mu się teraz łamał. – Jak mogłaś to zrobić, Sarb?

Sprawa miała wrażenie zdruzgotanego, zdradzonego. Jakby cały jego świat się zawalił. Nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Świadomość, że go okłamałam i zeznawałam przeciwko jego rodzinie, przyprawiała go o dławiący wstyd.

Uważał, że to Sukhdave ożenił się fatalnie i wybrał sobie żonę, nad którą nie potrafił zapanować. Natomiast on poślubił przestrzegającą tradycji sikhijkę, która miała słuchać wszystkich jego poleceń. Wierzył, że go nigdy nie okłamie. Nigdy nie zdradzi.

A ja to zrobiłam.

I nie wydawało mi się, by mógł się z tym kiedykolwiek pogodzić.

Wiedziałam, że muszę uciekać. Hardave nie był w stanie trzeźwo myśleć. Nie miałam pojęcia, do czego jeszcze może być zdolny. Przecisnęłam się obok niego i ruszyłam w stronę drzwi.

– Nie wychodź, kiedy do ciebie mówię!

Poczułam bolesne pieczenie na policzku, nim sobie w ogóle uświadomiłam, że mnie uderzył. Odsunęłam się od niego gwałtownie, pośliznęłam na górnym stopniu schodów i wpadłam na ścianę. Tylko dzięki niebywałemu szczęściu zdołałam upaść na podest i nie stoczyłam się ze schodów. Kilka centymetrów i wszystko wyglądałoby inaczej.

Hardave przestał wreszcie krzyczeć.

– Wiesz, dlaczego cię uderzyłem? – spytał łamiącym się głosem.

– Nie.

Nie mogłam nawet na niego patrzeć.

– Bo cię kocham.

– Nie mam ochoty na taką miłość!

Kiedy podnosiłam się z podłogi, z kieszeni wypadła mi komórka. Chwilę później zaczęła dzwonić. Hardave podniósł ją i spojrzał na numer.

– Twój tata – powiedział.

– Jak długo jeszcze? – Ojciec wydawał się zaniepokojony.

– Przepraszam. Jeszcze chwila.

– Wszystko w porządku?

– Zobaczymy się za dziesięć minut. – Rozłączyłam się.

Po trzydziestu sekundach telefon znowu zadzwonił. Hardave wyrwał mi go z ręki i spojrział na ekran.

– Inspektor Driscoll? Dlaczego policja do ciebie dzwoni?

Przez własną głupotę zapisałam w komórce nazwisko i stopień Clive’a.

Hardave budził we mnie teraz przerażenie.

– Nie wiem – odparłam.

– No to odbierz!

On też się bał. Policja mogła uznać, że dzieje się coś niedobrego. Stawką był jego honor.

Telefon zadzwonił ponownie. Starając się zapanować nad głosem, odebrałam.

– Sarbjit – usłyszałam pewny siebie, znajomy głos. – Wszystko w porządku?

Jeśli odpowiem przecząco, nie wiem, co Hardave zrobi.

– Nie – odparłam. – Wszystko okay.

– Co? To bez sensu. Wszystko w porządku?

Słyszałam wyraźnie, że opanowany zwykle policjant jest wyraźnie zaniepokojony. Spróbowałam ponownie przekazać zakodowaną informację – że „nie”, nie jest w porządku, ale że nie mogę mówić. Clive się zorientował.

– Dobrze, masz natychmiast wyjść z domu. Jeśli tego nie zrobisz, wkraczamy.

– Okay, wychodzę. Pożegnaj się tylko z dziećmi.

– Zadzwoni, jak znajdziesz się na zewnątrz.

Hardave gapił się z otwartymi ustami, kiedy wstałam ostrożnie i ruszyłam z wysiłkiem na dół. Już nie krzyczał. Próbował pojąć, dlaczego jego żona wykonuje polecenia białego funkcjonariusza policji, a nie jego. Nie tak go wychowano. I, o czym wiedział, mnie też tak nie wychowano.

– Umyj sobie twarz, zanim wyjdiesz – brzmiały jego ostatnie słowa. Nie chciał, żeby widziano, jak jego żona wychodzi z domu zapłakana.

Martwił się o swój honor.

Znowu odeszłam bez dzieci; było to druzgocące. Chciały ze mną pójść, a ja pragnęłam mieć je przy sobie, ale to on rządził domem i nie pozwalał im odejść. Nie bez walki.

Zadzwoniłam do Clive’a, gdy tylko poczułam na twarzy zimowy chłód.

– Wyszłam.

– Dobrze. Nie wracaj tam nigdy więcej.

## Rozdział dwudziesty

### POWIEDZCIE TACIE, ŻE WRACAM

Nie wracać tam więcej?

Przez kilka tygodni nie pomyślałam o domu ani razu. Ale o ludziach, którzy w nim mieszkali, nie mogłam zapomnieć nawet na moment. W najbardziej mrocznych chwilach wyobrażałam sobie, jak Hardave przeczesuje Londyn i jego przedmieścia w poszukiwaniu moich śladów. I nie potrafiłam uwolnić się od poczucia winy wywołanego świadomością, że zostawiłam troje starszych dzieci.

Wiedziałam, że nic im nie grozi. Nigdy nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jedyne przesładujące mnie pytanie brzmiało: co Hardave im o mnie mówi? Zwłaszcza Taran i Balveen były w wieku, kiedy jest się szczególnie podatnym na sugestie. Tata był dla nich autorytetem. Wiedziałam, z jaką łatwością jego rodzina rozsiewa kłamstwa o Surjit – kłamstwa, które docierały do samych Indii, gdzie były powtarzane uparcie w innym języku. Świat sądził, że nie raz uciekła z mężczyzną. Nawet jej własna córka w to wierzyła.

Stwierdziłam po trzech tygodniach, że nie zniosę tego dłużej.

Muszę je zobaczyć.

Zadzwoiłam do Clive'a, prosząc o radę. Powiedział, że Hardave powinien przywieźć dzieci w jakieś neutralne miejsce. Hardave odmówił. Wobec tego, jak oświadczył inspektor, potrzebuję opiekuna.

– Pod żadnym pozorem nie możesz rozmawiać z mężem sama.

– Nie musisz się o to martwić.

Nie posłużyłam się kluczem. Nie chciałam dawać mężowi powodów do irytacji. Gdy tylko otworzył drzwi, nadbiegły moje dzieci i rzuciły się na mnie – tak jak w czasie poprzedniej wizyty. I, tak jak wtedy, przypominało to cios w żebra.

Co ja wyprawiam, przebywając tak daleko od nich?

Potem zobaczyłam Hardave'a i przypominałam sobie dlaczego.

Cieszyłam się, że nie jestem sama. Towarzyszyła mi ciotka, która zaofiarowała się pójść ze mną. Byłam jej ogromnie wdzięczna. Nie mogła w żaden sposób dorównać mojemu mężowi fizycznie, ale nie obawiałam się go pod tym względem, nawet po tej historii na schodach. Lękałam się tego, co może powiedzieć. Był typowym Athwalem – pluł jadem jak kobra.

– Lepiej się czujesz, mamó? – spytała Taran.

– Byłaś w szpitalu? – Na twarzy Balveen malowała się głęboka powaga.

Dopiero po kilku chwilach zorientowałam się, o czym mówią. Nim zdążyłam odpowiedzieć, mój mąż wyjaśnił:

– Powiedziałem im, że nie czułaś się dobrze i musiałaś pójść do szpitala.

Już chciałam zaprzeczyć, ale się rozmyśliłam. Czy potrafiłyby zrozumieć, dlaczego postanowiłam ostatnim razem wyjść z domu?

Niech Hardave opowiada te swoje kłamstwa. Wiem, dlaczego to robi.

By strzec honoru rodziny. By chronić jej dobre imię w świątyni i społeczności. Z tego samego powodu, dla którego jego matka i brat zabili Surjit.

Nie mogłam uwierzyć, że martwi się o to, jak będzie wyglądał w oczach swoich własnych dzieci. Ale jeśli ktoś został wychowany przez kobietę pokroju Bachan Kaur, która uważa, że liczy się jedynie honor, to może było to zrozumiałe. Wstyd, honor? Przez te dwa słowa zginęła kobieta.

Ale pomyślałam też o tym łagodniejszym człowieku, którego poślubiłam. Może zasługiwał mimo wszystko na jakąś szansę? Miał na względzie dobro dzieci i nie chciał, by wiedziały, że mama je opuściła? Czy dlatego kłamał? Zaczęłam się nad tym zastanawiać i poczułam, że jest mi trochę bliższy.

Odrobinę.

Przeszliśmy do salonu. Przez jedną wspianą godzinę dzieci dzieliły się ze mną nowinami, a ja starałam się za wszelką cenę nie chlipać jak wariatka. Byłam przy nich taka szczęśliwa, że nie miało większego znaczenia, co do mnie mówią. Sam widok ich twarzy dodawał mi sił, których tak potrzebowałam, nie wiedząc, skąd je czerpać. Taran wydawała się zmieszana. Widziałam to w jej oczach. Czyżby nie przełknęła kłamstwa taty o tym szpitalu? Musiała przecież pamiętać, jak przyszła po mnie policja. Żałowałam, że nie mogę jej ze sobą zabrać. Balveen też bezustannie pytała, czy może pójść ze mną.

Po chwili do pokoju wszedł Hardave i poprosił mnie na słowo.

W pierwszym odruchu chciałam powiedzieć: nie. Twarz ciotki mówiła to samo. Jednak widząc pełne niepokoju spojrzenia dzieci, złamałam się. Cokolwiek działo się między ich rodzicami, nie powinny w tym uczestniczyć.

– Dobrze – powiedziałam i wyszłam na korytarz.

Przygotowałam się na jakąś tyradę albo i łyzy. Od 3 listopada, kiedy aresztowano jego matkę, Hardave z trudem nad sobą panował. Nie zaczął jednak krzyczeć ani mówić podniesionym głosem. Wyglądało na to, że nie zamierza grozić mi w żaden sposób.

Myliłam się.

Wyciągnął rękę. Trzymał w niej kawałek papieru. Wzięłam go i przeczytałam słowa nakreślone ręką mojego męża.

„Odwołaj zeznania, bo w przeciwnym razie nigdy nie zaznasz spokoju”.

Wpatrywałam się w kartkę. Słowa, dotąd wyraźne i pełne gniewu, rozmazały się i zaczęły mi skakać przed oczami. Uświadomiłam sobie, że płaczę i że cała się trzęsę.

Właśnie dlatego odeszłam.

Zmięłam papier i rzuciłam nim w Hardave'a. Potem wróciłam do dzieci, próbując skoncentrować się wyłącznie na nich. Nie przychodziło mi to łatwo. Kipiałam w środku.

I byłam skamieniała ze strachu.

Później, wieczorem, w pensjonacie w Tolworth, gdzie teraz mieszkałam, uświadomiłam sobie, że płaczę. Co oznaczała ta uwaga, że nigdy już nie zaznam spokoju?

Od razu pomyślałam o swoim nowym adresie. Czy ktoś za mną szedł? Czy ktoś z rodziny śledził każdy mój krok? Przeszył mnie dreszcz. Społeczność. Athwalowie stanowili dla niektórych wyznawców w świątyni najwyższy autorytet i trzymali ich w garści. Czy ludzie z gurdwary podjęliby przeciwko mnie jakieś działania?

Nie spałam dobrze tej nocy.

Mój pobyt w hotelu i pensjonacie był z założenia tymczasowy. Spędziłam tam łącznie trzy noce. Bez wsparcia policji nie przetrwałabym tak długo. Angie Barton dała mi nawet pieniądze na jedzenie. Ale trudno to było traktować jako miejsce zamieszkania na dłuższą metę – podobnie jak, niestety, moje następne lokum.

Siedziba Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej miała być spokojną przystanią po tych prowizorycznych kwaterach. Nie sprawiała takiego wrażenia. Nasz pokój znajdował się na siódmym piętrze, a winda nie działała. Mogłam bez trudu wnieść Karama, ale mama cierpiała na poważny artretyzm i wysiłek związany z dotarciem na górę przyprawił ją o płacz. Było mi jej żal, czułam też wyrzuty sumienia, że narażam ją na to wszystko.

– Nie możemy wrócić do domu? – spytała błagalnie.

– Ty możesz, mamó, jak najbardziej. Ale ja nie. Jeszcze nie. Nie czuję się bezpieczna.

Jeśli współczułam jej tego wieczoru, to rano nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Zeszliśmy na dół na śniadanie i stanęliśmy w drzwiach stołówki, zbyt zszokowane, by przekroczyć próg tego pomieszczenia.

– Jesteś pewna, że to hotel? – spytała mama.

– Tak mi się wydaje.

Nie byłam jednak przekonana. Na pierwszy rzut oka w sali było pełno narkomanów, chudych nastolatków i osobników cuchnących moczem albo czymś gorszym.

– Co to za ludzie? – spytała mama.  
– Przypuszczam, że też tu mieszkają.  
– Myślisz, że nic tu nie grozi Karamowi?  
– No cóż, byłam pewna, że nie, dopóki o tym nie wspomniałaś. Mam nadzieję, że jest ze mną bezpieczny.

Weszła do sali.

– To nie wygląda jak pensjonat – zauważyła.

– Chyba masz rację.

I miała rację. Jak się dowiedziałam, było to schronisko dla bezdomnych. Mimo wszystko, pomyślałam, to wciąż lepsze miejsce od tego, gdzie byłam.

Po trzech dniach, z powodu bólu, jakiego wymagało pokonywanie schodów, mama poddała się. Było mi smutno, że odchodzi, ale jej jeszcze bardziej.

– Dlaczego nie pójdziesz razem ze mną?

Zastanowiłam się nad tym. Nie widziałam powodu, by tego nie zrobić.

Poradziłam sobie z własnymi demonami. Dlaczego nie miałabym się cieszyć obecnością i towarzystwem ludzi, którzy mnie kochają i troszczą się o mnie?

\*

Widywałam dzieci w każdy weekend. I w każdy weekend Hardave korzystał z okazji i podsuwał mi jakiś świstek. Staralam się nie czytać tego, co było tam napisane. Czasem nie mogłam się oprzeć. Za każdym razem była to wariacja na temat tego pierwszego przesłania: odwołaj zeznanie, bo jak nie, to poniesiesz konsekwencje. Zaczął mi nawet podsuwać papier i pióro. Jakikolwiek zadawał pytanie, oczekiwał odpowiedzi. Dlaczego nie? Byłam na jego rozkazy – tak za sprawą wychowania postrzegą małżeństwo.

Jakie jednak byłyby konsekwencje mojego nieposłuszeństwa, nie wyjaśnił szczegółowo.

Nie musiał tego robić.

Po miesiącach zastraszania załamalam się. Dotychczas niemal każdy dzień spędzałam w czterech ścianach rodzicielskiego domu. Kiedy stamtąd wychodziłam, oglądałam się trwożliwie, dostrzegając wszędzie wrogów. Nawet ludzie, których pamiętałam ze świątyń w Southall albo z Havelock Road, przyprowadzali mnie o nerwowość. A jeśli to oni? A jeśli to ci, którzy zamierzają strzec honoru Athwalów?

Zadzwoiłam do policjantki odpowiedzialnej za kontakty z rodziną, wspaniałej Angie Barton.

– Cześć, Sarbjit, wszystko w porządku?

– Muszę się z wami zobaczyć. Z tobą i Clive'em.

– O co chodzi? – Jej głos, dotąd przyjacielski, przybrał bardziej oficjalny ton. – W czym mogę pomóc?

– Muszę się z wami zobaczyć, to wszystko.

– Okay, oddzwonię.

Oddzwoniła. Spotkałam się z nimi nazajutrz rano. Zwykle po każdej rozmowie z inspektorem czułam się tak, jakbym mogła dokonywać cudów. Tym razem z trudem zmusiłam się do tego, żeby wejść do pokoju, w którym przebywał. Nie zasługiwał na to, co zamierzałam zrobić. Zwłaszcza po tej obietnicy, którą złożył mojemu ojcu – że będzie mnie strzegł. Zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobił.

– O co chodzi? – spytał.

– Zastanawiałam się... – Wcześniej przećwiczyłam sobie wszystko, ale słowa stawiały opór. Było mi niedobrze. Naprawdę zamierzałam to uczynić? Naprawdę zamierzałam okłamać jedyne go człowieka, który mógł mnie ocalić? W końcu wydusiłam siebie: – Chcę odwołać zeznanie.

Przez chwilę milczeli.

– Chcesz odwołać zeznanie? Dlaczego?

– Po prostu chcę. – Wlepiałam wzrok w podłogę, mając nadzieję, że starczy mi sił.

– Ale dlaczego? Nie zależy ci na tym, żeby mordercy Surjit trafili za kratki?

– Oczywiście, że tak. Ale wolałabym nie mieć z tym nic wspólnego.

Clive nachylił się do mnie. Jego przyjacielska zwykle twarz miała teraz surowy wyraz.

– Ktoś wywiera na ciebie naciski?

Pokręciłam głową.

– Możesz mi powiedzieć, jeśli tak jest – ciągnął. – Nikomu nie wolno rozmawiać z tobą o tej sprawie, rozumiesz? Jesteś świadkiem, naszym głównym świadkiem, na litość boską, więc jeśli ktokolwiek próbuje na ciebie wpłynąć, to łamie prawo, a my go możemy zatrzymać. Rozumiesz? Jeśli ktokolwiek choćby zasugeruje, żebyś zmieniła zdanie co do składania zeznań w sądzie, to go przymknę. Nie będzie ci więcej sprawiał kłopotu. – Spojrzał mi prosto w oczy. –

Więc pytam ponownie: kto cię zastrasza?

Zamknęłam się w sobie. Bałam się, że jeśli otworzę usta, to ulegnę jego namowom. Tak się bałam. Czy popełniłam błąd, przychodząc tutaj?

Przypomniała mi się twarz Hardave'a. Pomyślałam o tym, jak bardzo przeżywa to, że jego matka siedzi w więzieniu. Potem pomyślałam o nieprzytomnym, pozbawionym świadomości ciele Surjit wrzuconym do rzeki Ravi i uświadomiłam sobie, że ta kobieta ma moją twarz. Zrozumiałam, że nigdy nie zaznam spokoju.

– Nikt mnie nie zastrasza.

– Okay – powiedział Clive. – Wrócimy jeszcze od tego.



W marcu 2007 roku, kilka miesięcy później, zadzwoniła do mnie Angie, żeby porozmawiać o moim dawnym domu, a zwłaszcza o pewnych rzeczach, które policja tam znalazła. Wspomniała także, dlaczego w ogóle tam weszli.

– Clive chciał, żebyś wiedziała, że Hardave został aresztowany pod zarzutem zastraszania świadka i próby utrudnienia czynności operacyjnych.

Boże. Odebrało mi mowę. Kiedy się to wydarzyło?

Podczas tamtej rozmowy, gdy powiedziałam, że chcę odwołać zeznania, nie uwierzyli w moje zapewnienia. Jeśli ktokolwiek miałby mnie zastraszać, to przede wszystkim mój mąż. Policja aresztowała Hardave'a, a potem zespół techników zaczął przeszukiwać dom. Przeczesano dół i górę, ale nie znaleziono niczego, co mogłoby posłużyć za dowód w sprawie. Potem Clive doznał olśnienia. Poprosił sierżanta Palpindera Singha, sikha i niezwykle doświadczonego funkcjonariusza, o przeszukanie pokoju modlitewnego.

Przez szacunek do naszej kultury i wierzeń policjant zdjął buty. Było to jedyne pomieszczenie, którego nie sprawdzono. Nikt nie śmiał tego zrobić ze względu na jego religijne znaczenie i ryzyko obrazy uczuć mniejszości narodowej. Policja londyńska była wtedy bardzo czuła na tym punkcie, zwłaszcza że instytucjonalny rasizm stanowił drażliwy temat w mediach.

Funkcjonariusz dokonał zwyczajowego przeszukania, a potem zainteresował go jedyny znajdujący się w pomieszczeniu przedmiot, który nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Guru Granth Sahib. Jedenasty Guru. Święta Księga.

Okazując księdze szacunek, jakiego wymaga nasza religia, policjant wertował ostrożnie stronicę. Kiedy już dochodził do końca, zauważył, że coś jest włożone między kartki, blisko grzbietu. Otworzył księgę w tym miejscu, a wtedy na podłogę sfrunęło kilkanaście kartek papieru.

Hardave zachował wszystkie oświadczenia, które mi podsuwał, a których ze strachu nie chciałam od niego wziąć. W rezultacie został aresztowany.

Reakcja Clive'a nie była przyjemna. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby tak się gniewał, przedtem czy potem.

– Nie wolno ci mnie więcej okłamywać. Nic nie będziemy mogli zrobić, jeśli nie będziesz szczerą. Mogę ci ufać czy nie?

Skinęłam głową.

– Przepraszam. Możesz mi ufać.

Kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, Clive obdarzył mnie swoim szerokim uśmiechem, który zdążyłam tak dobrze poznać.

– Jak dotąd byłaś silna, ale musisz wytrwać do chwili, w której sprawa trafi do sądu. Jesteśmy tu po to, żeby pomóc ci w każdy sposób, i obiecuję ci, że jeśli przez to przebrniesz, to nie tylko wywalczysz sprawiedliwość dla Surjit, ale też ocalisz

życie setek dziewczyn takich jak ona. – Po chwili milczenia spytał: – Dasz radę?

– Tak – odparłam.

I zrobiłam to z przekonaniem.

Aresztowanie mojego męża zbiegło się z innym, niezwykle ważnym wydarzeniem: znalazłam sobie lokum. Przeprowadzka stanowiła nie lada wyzwanie, ale oznaczała też, że wydobywam się z mroku, w którym dotąd tkwiłam. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie potrafiłabym zdobyć się na coś tak praktycznego.

Poza tym zmiana ta miała swoją dobrą stronę. Wspaniałą stronę.

Moje nowe mieszkanie, w przeciwieństwie do pojedynczego pokoju w jakimś zapuszczonym schronisku, mieściło się w budynku komunalnym w Kingston. Było skromne i wymagało remontu, ale miało coś, o czym marzyłam: trzy duże sypialnie – dość miejsca dla moich dzieci.

W dniu, w którym odebrałam klucze, czułam się szczęśliwa jak nigdy. Godzinę później pojechałam po dzieci. Jeśli sądziłam jednak, że to początek dobrych czasów, to się myliłam. Upłynęło ledwie kilka minut w nowym domu, gdy Taran zburzyła mój dobry nastrój, wybuchając płaczem.

– Co się stało?

– To ty! – wrzasnęła.

– Ja?

– To przez ciebie aresztowali tatę. To ty wsadziłaś babcię do więzienia. I wujka. Co ty wyprawiasz? Kiedy wreszcie przestaniesz kłamać?

Próbowałam ją objąć, ale mnie odtrąciła. Teraz i ja płakałam. Mając szesnaście lat, Taran była już kobietą – Surjit w tym wieku wyszła za mąż – ale na zawsze miała pozostać moją małą dziewczynką. Widząc ją w takim stanie, odczuwałam ból. Co więcej, odczuwałam ból z powodu tego, co musiałam jej powiedzieć.

– Nie kłamię, Taran. Twoja babcia i wujek zabili mamę Pawanpreet. To właśnie zrobili, cokolwiek próbują ci wmówić. Tata wie o tym. – Popatrzyłam na jej zalaną łzami, zagniewaną twarz. – To nie ja wszystko zmyślam.

Rozumiałam, że jest zdenerwowana z powodu taty. Mogłam też zrozumieć, że gniewa się na mnie. Ale jakie miałam wyjście?

Taran nie była jedyną osobą, na którą Hardave zdołał wpłynąć. Od chwili gdy zaczął widywać się z dziećmi w weekendy, powtarzały jego słowa.

– Dlaczego opowiadasz policji kłamstwa o mamie i wujku? – spytała pewnej soboty Balveen. Tak jak w przypadku Pav, Bachan Kaur nalegała, by moje dzieci nazywały ją mamą.

Otworzyłam usta ze zdumienia. Wykorzystuje teraz ciebie, żeby się do mnie dobrać? I to w chwili, gdy sądziłam, że Hardave nie może już posunąć się dalej.

- Nie opowiadałam żadnych kłamstw.
- Tata mówi, że to robiłaś.
- Tata nie chce źle myśleć o swojej rodzinie.

Nie zamierzałam wdawać się w awantury. Hardave był ich ojcem, dobrym niegdyś. Żadne dziecko nie zasługuje na to, żeby ponosić konsekwencje rodzicielskiego sporu. I nie powinno być w tym sporze wykorzystywane.

Chciałam, żeby Hardave też tak myślał. Jeśli jednak liczyłam na to, że po tej historii z policją zmieni postępowanie, srodze się zawiodłam. Wystarczyło, że przez kilka miesięcy spotykał się z dziećmi. Balveen nie mogła się doczekać, kiedy przekaze mi nowiny.

- Mamo, tata mówi, że znów będziemy żyć jak jedna rodzina.

Był to cios, którego się nie spodziewałam. Nawet po tym wszystkim, co przeszliśmy, po siedemnastu latach małżeństwa, wciąż wierzyłam chwilami, że pojednanie jest możliwe. Uświadomiłam sobie teraz, że to wykluczone. Jak mam żyć z człowiekiem, który wykorzystuje w ten sposób własne dzieci?

Nie mogłam jednak powiedzieć tego ośmiolatce.

- Co tata powiedział, kochanie?

– Powiedział, że jeśli powiesz policji, że kłamałaś, to mama i wujek wyjdą z więzienia i znów będziemy mogli żyć jak rodzina. Zrobisz to? Możesz od razu zadzwonić na policję?

To właśnie jest najtrudniejsze. Powiedzieć dziecku, że nie jest się kłamcą, nie mówiąc mu jednocześnie, że kłamcą jest jego ojciec. Wystarczyło, że spojrzałam na twarz Balveen, na której malowało się głębokie rozczarowanie, bym zrozumiała: cokolwiek powiem, i tak będę winna wszystkiemu, co w jej świecie jest złe.

I tak się przez chwilę czułam.

„Dasz radę?” – Słowa Clive’a odbijały się echem w moich myślach.

„Tak, dam. Bez względu na koszty przetrwam to”.

Kiedy jednak spojrzałam na przygnębione twarze dzieci, zrozumiałam, że to trudne i że będzie jeszcze trudniejsze. Kiedy Hardave przywiózł je pewnej niedzieli do domu, Balveen wbiegła do kuchni.

- Mamo, pomachaj tacie.

- Pomachać mu? Dlaczego miałabym to robić?

– Mamo, chodź! Tata chce, żebyś mu pokazała, że go kochasz. Mówi, że ci wybaczy kłamstwa. Znów będziemy rodziną.

- Nie pomacham mu – odparłam, siląc się na spokój.

- Proszę!

Nawet gdy moja córka wybuchnęła płaczem, krzycząc na mnie, że niszczy jej życie, obstawałam twardo przy swoim. W środku jednak byłam zdruzgotana. Jak on mógł to zrobić? Jak mógł upaść tak nisko, by namawiać mnie za pośrednictwem

dzieci, żebym odwołała swoje zeznanie? Co tam jakieś karteczki; oto było zastraszanie, którego nie mogłaby ujawnić żadna policyjna rewizja.

Potem sprawy sięgnęły dna. To była znowu Balveen, która obwieściła radośnie:

– Tata szykuje ci niespodziankę!

– Co takiego?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– W porządku – odparłam z uśmiechem.

Ma tylko osiem lat. Byłabym zdziwiona, gdyby udało jej się zachować ten sekret choćby przez minutę.

W pewnym momencie nie wytrzymała, a ja przestałam się uśmiechać. Okazało się, że gdy dzieci spotykały się z Hardave'em, prosił je, by sporządzały notatki na mój temat i opisywały to, co im się nie podobało: rzeczy, które mówiłam, kłamstwa, które wypowiadałam, wszystko, co wydawało im się niesłuszne. Sprawilo mi to ogromny ból. Najgorsza była duma, którą Balveen z tego czerpała.

– Moja lista ma osiem stron! Lista Taran ma dziesięć.

Jak Hardave zdołał tak wypaczyć świat naszych dzieci? Nigdy nie czułam się równie poniżona jak wtedy, gdy słyszałam dziecięcą radość w głosie córki, która mi o tym mówiła. W odruchu rozpaczyny zadzwoniłam do starego przyjaciela Athwalów. Dzięki rozmowom, jakie prowadziliśmy przez lata, wiedziałam, że jest głęboko religijnym, cnotliwym człowiekiem, kimś, kogo Hardave niezwykle szanował. Jeśli ktoś mógł przemówić mojemu mężowi do rozsądku, to właśnie on.

Odszukałam numer jego telefonu i czekałam, aż będę sama. Zauważyłam, że drży mi dłoń, kiedy wystukiwałam cyfry na komórce. Wiedziałam jednak, że jeśli przejdę tę próbę, to odmieni ona moje życie.

Odmieniła. Ale nie tak, jak na to liczyłam.

– Sarbjit, musisz przerwać tę kampanię przeciwko swojej rodzinie! – nakazał przyjaciel rodziny. – Wszystkich okrywasz wstydem. Jak śmiałaś pójść na policję?

– Nie rozumiesz! – krzyknęłam. – Oni zamordowali Surjit. Muszę mówić prawdę!

– Musisz strzec honoru rodziny. To wszystko. Co przez to zyskałaś? Wtrąciłaś teściową do więzienia i za co?

– Zrobiłam to dla Surjit.

– Wstydz się.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie zarzucał mi kłamstwa jak wszyscy inni. Nie wspomniał o morderstwie. Interesowało go tylko to, że okryłam wstydem rodzinę i skalałam jej dobre imię – porzucając męża i posyłając do więzienia Bachan Kaur i Sukhdave'a. Mogłam winić tylko jedną osobę za to piekło, przez które przechodziłam – siebie samą, jak powiedział.

Potrzebowałam kilku dni, żeby otrząsnąć się po tej rozmowie. Potem, kiedy już doszłam do wniosku, że nie miał racji i że postąpiłam słusznie, w świątyni doszło do spotkania, którego nie zapomnę. Gdy wyszłam z gurdwary, podążył za mną na parking jakiś człowiek. Rozpoznałam w nim jednego z członków starszyny, niezwykle szanowanego w społeczności.

– Sarbjit Kaur, muszę z tobą pomówić.

– Witaj – odparłam. – O co chodzi?

– Przestań rozpowiadać te kłamstwa o Bachan Kaur.

Ty też?

Doznałam znajomego uczucia mdłości. Ten człowiek miał być wzorem dla innych. Setki, jeśli nie tysiące sikhów patrzyło na niego z podziwem i starało się prowadzić życie na jego modłę. A on też postanowił przedkładać pozory nad niezbite dowody. Nie miało dla niego znaczenia, że niewinna dziewczyna straciła życie.

– Nie kłamię – zapewniłam, starannie dobierając słowa, by go nie urazić. – Bachan Kaur kazała zabić Surjit. Sama mi to powiedziała.

– Kłamstwa! – Oczy wyszły mu na wierzch z wściekłości. Nie przywykł do sprzeciwu. – To święta kobieta, religijna, modli się, uczęszcza do świątyni, przyrządza langar dla społeczności. Powiedz policji, że się myliłaś. Pomóż tej biednej kobiecie odzyskać życie.

Wydawało się, że od chwili, w której ten człowiek przemówił do mnie, inni też pragną powiedzieć swoje. Nikt nie okazał mi wsparcia. Im bardziej zbliżał się termin rozprawy – kwiecień 2007 roku – tym częstsze były komentarze ze strony znajomych i obcych. Gurdwara ma być schronieniem, to dla sikhów sanktuarium i świętość. Ci ludzie przemienili ją w miejsce, które wzdragałam się odwiedzać. Byłam dobrą sikhijką. Żyłam zgodnie z zasadami wiary. A jednak spotkałam się z ostracyzmem własnej społeczności. W imię czego? Honoru morderczyni.

Zacęłam bać się niedzielnych popołudni i w końcu musiałam jeździć do odległych miejsc kultu, w których nikt ode mnie nie stronił.

Spory z nieznanymi nie były łatwe, ale sił pozbawiały mnie długie wieczory wypełnione kłótniami z ludźmi, których kochałam najbardziej. Chwilami miałam ochotę powiedzieć: „W porządku, Taran, w porządku, Balveen, w porządku, chłopcy, przyznaję, kłamałam. Powiedzcie tacie, że wracam”. Tak wiele by to dla nich znaczyło.

Uchroniłoby mnie to także przed szybko zbliżającym się horrorem – nadchodził dzień, kiedy miałam pojawić się w sądzie i stanąć do konfrontacji z dwojgiem ludzi, których obawiałam się przez całe małżeńskie życie. Przerazało mnie to bardziej niż odgrywanie szczęśliwej rodziny z człowiekiem, którego nienawidziłam. Kiedy marzec przeszedł w kwiecień, coraz częściej zdarzały mi się

niespokojne, bezsenne noce wypełnione panicznymi myślami.

Muszę uciec.

Nie mogłam tego jednak zrobić. Wyrządziłabym krzywdę Surjit – i setkom innych dziewczyn, które mogłam ocalić, jak powiedział mi Clive.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### CZY UZGODNILIŚCIE WERDYKT?

Po dwóch koszmarnych latach nadszedł ten moment.

Zbliżał się dzień pierwszej rozprawy; dzieci naciskały na mnie coraz bardziej. Inspektor Driscoll i sierżant Barton służyli mi pomocą na każdym kroku, ale nic nie mogli poradzić na moje zdenerwowanie.

Milczałam tak długo w sprawie Surjit, ponieważ bałam się o swoje bezpieczeństwo; to był główny powód. Ten strach nie mógł się jednak równać z przerażeniem, które odczuwałam na myśl, że moje dzieci – i moja społeczność – nigdy mi nie wybaczą.

Hardave nie zamierzał pomagać. Pomimo tego, co już przeszliśmy, zadzwonił do mnie pewnego dnia z tą samą prośbą, którą powtarzał od dwóch lat.

– Musisz to naprawić – przekonywał. – Jeśli moją matkę i brata uznają za winnych, to mogą pójść do więzienia na całe życie. Błagam cię. Musisz powiedzieć policji, że wszystko zmyśliłaś.

– Niczego nie zmyśliłam! Znasz prawdę. Dlaczego próbujesz mnie zastraszyć?

Był na skraju wyczerpania. Ostatnie lata, które przeżył bez ochronnego kokonu rodziny, mogły go zahartować, a ja miałam wrażenie, że go złamały.

– Po prostu im powiedz, dobrze? Rozmawiałem ze swoim adwokatem. Możesz dostać dwa lata za krzywoprzysięstwo, ale dzięki temu moja rodzina wyjdzie na wolność. Potem wszyscy będziemy mogli zacząć od nowa.

– Mówisz poważnie? Chcesz, żebym skłamała i poszła do więzienia? Żebym pomogła tym mordercom?

Brak odpowiedzi.

– A co z dziećmi? – spytałam.

– Mama się nimi zajmie.

Wszystko sobie obmyślił. Kiedy odmówiłam, wydawał się szczerze zdumiony.

Lubię myśleć, że Taran stanęła po stronie ojca nie dlatego, że kochała go bardziej ode mnie – choć zawsze będę musiała żyć ze świadomością, że w 2005 roku to ja opuściłam dzieci, nie on. Wolę zakładać, że nie chciała źle myśleć o swojej babci. Kto by nie wolał?

Wiedzieć to jedno, ale radzić sobie z czymś takim to co innego.

Kiedy do rozpoczęcia procesu zostały dwa tygodnie, Hardave nasilił swoją negatywną kampanię. Taran była szpikowana kłamstwami o mnie i motywach, którymi się kierowałam. Nie sądzę, by jego głównym zamiarem było nastawianie dzieci przeciwko mnie. Po prostu tak bardzo pragnął przywrócić dobre imię swojej matce i bratu i ocalić ich honor, że chwycił się wszystkiego. A co według niego byłoby najskuteczniejsze? Gdyby moje ukochane dzieci błagały, bym wszystkiemu zaprzeczyła.

Mówił Taran, że jestem chora. Że powinna mi współczuć. Że tracę rozum, że bredzę, że zmyślam różne rzeczy.

– Znasz swoją babcię – powiedział. – Modli się dzień i noc. Nie mogłaby nikogo zamordować. Nigdy.

Taran powinna była znać mnie lepiej. Ale była zagubiona i wystraszona. Wracała ze spotkań z ojcem w bojowym nastroju.

– Gdzie jest ciało? – spytała kiedyś.

– Słucham?

– Tata wie, że kłamiesz. A powód jest taki, że nigdy nie znaleziono ciała. Jeśli Surjit nie żyje, to gdzie jest ciało?

– Nie znaleziono go.

– Jak więc możesz twierdzić, że ją zamordowano?

Mogłam jej to wyjaśnić. Mogłam podać szczegóły i fakty, którymi podzielił się ze mną Clive. Poleciał do Indii i dowiedział się, że rzeka Ravi, która płynie przez Pendżab, prowadzi wprost do Pakistanu; Pendżab stanowił kiedyś część tego kraju, a obecne relacje między nimi nie są najlepsze. Według miejscowych ciało Surjit było jednym z tysięcy wrzucanych do tej rzeki. Jak dowiedział się Clive, nie ma nic bardziej satysfakcjonującego dla hinduskiego mordercy niż świadomość, że zwłoki przepłyną niebawem granicę i że będą musieli się nim zająć zniechęceni sąsiedzi.

Ale oznajmiłam jedynie:

– Nie ode mnie to zależy. Zdecyduje ława przysięgłych. Mogę tylko szczerze i uczciwie powiedzieć, co słyszałam i co wiem.

– Na przykład?

– Na przykład: wiem, że Surjit poleciała do Indii. Wiem, że została odurzona, uduszona i wrzucona do rzeki, ponieważ to właśnie powiedziała mi twoja babka. I brałam udział w rodzinnym spotkaniu, kiedy to wszystko zaplanowała. –

Obiecałam sobie, że nie będę ulegała emocjom, że nie pozwolę, by ten temat stanął między mną a moimi dziećmi. Łzy jednak napływały mi do oczu. – Nie wydaje ci się poza tym dziwne, że nikt przez dziewięć lat nie otrzymał od Surjit żadnej wiadomości? Ani razu nie posłużono się jej kartami kredytowymi, nigdy sama nie skontaktowała się ze znajomymi. Jeśli nie potrafisz uwierzyć w nic innego, zadaj



sobie pytanie: czy ciocia Surjit, którą znałaś i kochałaś, zostawiłaby swoje dzieci? Uwielbiała je, tak jak ja uwielbiam ciebie.

Taran zastanawiała się nad tym. Mogłam mówić dalej, ale chciałam, żeby poznała prawdę, a nie tylko mi wierzyła, bo akurat stałam przed nią i mówiłam to wszystko. To był styl Hardave'a, nie mój.

– Posłuchaj – zwróciłam się do niej – Nie wierz mi na słowo. Nie sądz, że musisz wybierać między twoim tatą a mną. Kończysz niedługo siedemnaście lat, jesteś dorosła. Posłuż się własnym osądem, własnym rozsądkiem. Przyjdź do sądu. Usiądź na galerii i posłuchaj wszystkich zeznań. Nie tylko ja tam będę. Poznasz racje obu stron. Ława przysięgłych musi podjąć decyzję. Ty możesz zrobić to samo.

– W porządku – odparła. – Zrobię to.

Tego wieczoru zadzwoniła do ojca i powiedziała mu, że idzie do sądu.

– Okay. Dowiesz się prawdy – usłyszała od niego.

Byłam zaskoczona. Jednak kilka dni później, po widzeniu się ze swoją matką, Hardave zadzwonił i Taran zmieniła zdanie.

– Nie idę do sądu, mam – oświadczyła.

Co?

– Oczywiście, że musisz pójść. Jesteś teraz dorosła. Możesz wyrabiać sobie zdanie na każdy temat.

Widziałam, że się waha.

– Posłuchaj – ciągnęłam – boję się tam iść, i to bardzo. Możesz siedzieć obok mojej mamy. Wiedząc, że tam jesteście, będę czuła się pewniej.

– Dobrze, wygrałaś. Pójdę.

– Wspaniale – odparłam.

Teraz muszę przekonać samą siebie, żeby tam pójść.

Pawanpreet zakazano stawienia się w sądzie. Bachan Kaur i Sukhdave przesłali rozkazy z więzienia. Świadomość, że tych dwoje wciąż pociąga za sznurki, przyprawiała mnie o jeszcze większą nerwowość niż myśl, że spotkam się z nimi twarzą w twarz. Zaczęłam ulegać fantazjom. A jeśli Bachan Kaur za pośrednictwem młodszego syna kazała się komuś upewnić, że nie dotrę do sądu? Czy mam oglądać się przez ramię?

Zostało tylko kilka dni. Clive i jego ludzie zaczęli w końcu zdradzać pierwsze objawy niepokoju; trzęśli się nade mną, próbując zachować zimną krew – ze względu na mnie. Chcieli, żebym była jak najlepiej przygotowana. Przeanalizowaliśmy już materiał dowodowy z prawnikami. Teraz opisywali sam proces, jego uczestników, topografię sali sądowej – wszystko, co tylko im przychodziło do głowy, bylebym się nie denerwowała. W końcu jednak nie było

już czasu na nic. Nadszedł 25 kwietnia 2007 roku. Dzień sądu. Zaczęło się.

Proces trwał już od kilku tygodni, kiedy zostałam wezwana do złożenia zeznań. W tym czasie oskarżenie i obrona przedstawiły swoje argumenty, wezwano też licznych świadków, którzy byli przesłuchiwanymi przez obie strony. Kaly Kaul i Dafna Spiro, adwokaci Bachan Kaur, oraz Jonathan Rose i P Eastwood, adwokaci Sukhdave'a, wezwali na świadków wszystkie siostry mojego męża, a także duchownego z gurdwary i licznych przyjaciół, którzy wydawali opinie na temat oskarżonych. Jednak najczęściej przesłuchiwanymi byli Bachan Kaur i Sukhdave. Oskarżyciele w osobach radcy królewskiego Michaela Worsleya i Bobbiego Cheemy powołali na świadków mojego ojca i siostry, Jagdeesha Singha, jego żonę i ojca, kilkoro dawnych kolegów Surjit z pracy, a nawet mężczyznę, który był domniemanym ojcem jej synka. Wezwano także inspektora Driscolla, by zrelacjonował wyniki swojego śledztwa.

W trakcie składania zeznań ujawniono mnóstwo rzeczy, o których nawet ja nie wiedziałam. Clive przedstawił bilingi rozmów prowadzonych z telefonu domowego przy Willow Tree Lane pod numerem 88; okazało się, że w czasie poprzedzającym zabójstwo Surjit wielokrotnie dzwonił do Indii. Ujawnił też, że co najmniej miesiąc przed zaginięciem Surjit Sukhdave kontaktował się ze swoją drugą żoną, Manjit Kaur – numer jej telefonu i adres widniały w jego kalendarzu w listopadzie 1998 roku – jakby niemal planował nowy związek. Najbardziej poruszające było jednak odkrycie pamiętnika, który Surjit prowadziła przed swoim zniknięciem, a także notatek sporządzanych z myślą o nieuchronnym rozwodzie. Opisywała, jak mąż i teściowa ją maltretują, zastraszają i prześladują. Byłam załamana, słuchając o jej bólu i cierpieniu, i wiedząc, że nie mogłam w niczym jej pomóc.

Pamiętniki i inne osobiste przedmioty zostały odkryte w niemal komiczny sposób. Zdając sobie sprawę ze znaczenia tych materiałów, Sukhdave schował je do pudła, zawiózł do domu swojej siostry Kalwant i zaniósł na strych. Nie sądzę, by powiedział jej kiedykolwiek, co przechowuje, ale pewnego dnia mąż Kalwant odkrył ten zbiór dokumentów i poinformował mnie o tym, a ja z kolei poinformowałam Clive'a, który był zaszokowany odkryciem tego skarbu. Każdy na miejscu Sukhdave'a zniszczyłby tak obciążający materiał, ale on z jakichś powodów przechowywał go w domu siostry. Pomimo wszelkich podstępów i knoń, jakich dopuścili się Athwalowie, był to według Clive'a koszmarnie amatorski błąd; dziwił się, że tak długo udawało im się unikać schwytania.

Jednak najbardziej znaczące okazały się zeznania samego Sukhdave'a. W trakcie przesłuchania dotyczącego jego spotkań na lotnisku Heathrow z rzekomą przyjaciółką Surjit, „Kate”, przyznał: „Zmyśliłem to”. Na argument pana Worsleya, że było to działanie winnego człowieka, który stara się zatrzeć ślady, Sukhdave odparł: „Znajdowałem się wówczas pod bardzo silną presją. Chciałem, żeby policja

przestała mnie wypytywać”.

Biedny Clive. Wspominał podczas procesu, jak policja odszukała 156 kobiet o imieniu Kate, Catherine, Katharine, Katie, i Katy, a także parę takich, które chciały być nazywane Kate, łącznie z kobietą, która nosiła to imię tylko w weekendy. Było to kosztowne wręcz marnotrawstwo wysiłku – i wszystko dlatego, że Sukhdave miał dość naprzykrzania się ze strony policji.

Tym samym można tłumaczyć jego próbę wstrzymania indyjskiego śledztwa. Podczas pobytu w Pendżabie inspektor Driscoll nie mógł zrozumieć, dlaczego tamtejsza policja zrobiła tak niewiele. Właśnie wtedy pokazano mu list nadesłany rzekomo przez policję londyńską, w którym napisano, że Surjit nie może porozumieć się ze swoim ojcem – co sugerowało, że uciekła.

Funkcjonariusze prowadzący pierwsze śledztwo wyjaśnili, że nigdy nie wysłali takiego listu do Indii, a dokładniejsze badania ujawniły, że była to w rzeczywistości fotokopia nagłówka i dolnej części listu, który Sukhdave otrzymał od policji, natomiast tekst w środku został dołączony później. Nic dziwnego, że policja w Indiach wstrzymała wszelkie działania w tej sprawie. Tak im nakazała wszechwładna policja londyńska!

Sukhdave dopuścił się też innych fałszerstw. W 2004 roku przekazano aktem notarialnym tytuł własności domu pod numerem 88 przy Willow Tree Lane na niego i Bachan Kaur. Mój mąż i ja podpisaliśmy go. Podpis Surjit wyszedł spod drżącej ręki Sukhdave’a.

Był jeszcze jeden powód, dla którego indyjskie śledztwo utknęło w miejscu. Kiedy Clive podjął własne czynności, napotkał wiele przeszkód, niekiedy natury logistycznej, niekiedy kulturowej, a czasem chodziło po prostu o to, żeby utrudnić mu działanie. Zasugerowano mu, że w przypadku policji łapówkarstwo jest w niektórych rejonach Pendżabu powszechne; był zmuszony potraktować to poważnie.

Jeszcze poważniej potraktował rzucony mimochodem komentarz jednego z funkcjonariuszy: „Dlaczego marnujecie tyle czasu i środków na poszukiwania jakiejś dziewczyny? To sprawa rodzinna. Nie ma nic wspólnego z policją”.

Na tym właśnie polegał problem, z którym spotykał się w Londynie – i to był właśnie powód, dla którego Bachan Kaur i Sukhdave żywili tak głębokie przekonanie, że morderstwo ujdzie im na sucho.

Clive wyjaśnił, że niektóre rejony Londynu przypominają bardziej wioski w Pendżabie niż dzielnice w Southall. Jeśli rodziny mają jakiś kłopot, to udają się do starszyny w świątyni. Wszystko pozostaje w obrębie społeczności. A ja dopuściłam się w jej oczach przestępstwa, zmuszając resztę świata do zwrócenia uwagi na tę sprawę.

Świadomość, że proces się toczy, nie uspokajała mnie ani trochę. Nie byłam też zadowolona, gdy pierwszego dnia, w którym miałam zeznawać, otrzymałam wiadomość od pana Worsleya, że przesuwa moje wystąpienie na dzień następny. Oskarżenie postanowiło zacząć od Jagdeesha Singha.

Pozytywne było tylko to, że Taran zdecydowała się pójść do sądu. Niestety, wytrzymała tam tylko pół dnia.

W pierwszej chwili byłam zła, że wyszła. Potem powiedziała mi, co się stało, a ja zaczęłam być zła na kogoś innego.

Gdy Bachan Kaur nie zdołała sprawić, by Hardave zakazał swojej córce uczestniczyć w posiedzeniu sądu, wpadła w panikę. Obserwując Taran na galerii, dostrzegła towarzyszącą jej osobę: moją matkę. Przywołała strażnika i powiedziała mu za pośrednictwem tłumacza: „Na galerii siedzi kobieta, która stroi do mnie miny. Nikt nie może ode mnie oczekiwać, żebym znosiła to spokojnie”.

Po kilku minutach obok mojej mamy pojawili się dwaj funkcjonariusze policji.

– Zechce pani z nami pójść, madam? – powiedział jeden z nich. Taran przetłumaczyła jego słowa.

Całkowicie zaskoczona i wystraszona mama wyszła z policjantami z sali sądu. Taran była zmuszona przeżywać wszystko sama, bez bratniej duszy u boku.

Pobyt w więzieniu nie pozbawił Bachan Kaur jej intryganckich zdolności. Ponownie wygrała.

\*

Nie był to dobry zwiastun.

Siedząc w poczekalni w głębi korytarza, czułam, jak robi się coraz cieplej. Zaczęłam rozpinać ubranie. Doznawałam klaustrofobii. Odniosłam nagle wrażenie, że się duszę, że brakuje mi powietrza.

Zauważyłam, że usta siedzącej naprzeciwko policjantki poruszają się miarowo. Mówiła coś do mnie. Muszę słuchać...

Angie Barton odpowiadała na moje pytanie dotyczące składania zeznań. Wyznałam jej wcześniej, że nie wyobrażam sobie, bym mogła powiedzieć coś niestosownego w obliczu swojej rodziny. Wychowano mnie w poszanowaniu starszych. Przypominając sobie zeznanie z 2005 roku, spytałam, czy nie mogłabym wystąpić przed sądem za pośrednictwem wideo.

– To chyba niemożliwe.

– Ale gdzieś o tym czytałam. Da się to zrobić.

– To nie kwestia techniki – wyjaśniła Angie. – Chodzi o to, żebyś kontaktowała się z sędzią i ławą przysięgłych bezpośrednio. Znam cię, Sarbjit. Każdy, kto cię będzie słuchał, przyzna ci rację. Musisz zrobić to osobiście. Nie możemy

ryzykować.

Spierałyśmy się przez trzy godziny, w trakcie których dręczyły mnie palpacje. Potem w drzwiach pokoju pojawił się sekretarz sądu.

– Już czas – oznajmił.

Angie wyglądała na podekscytowaną.

– Chodźmy – powiedziała. – Oddajmy Surjit sprawiedliwość.

Wydawało się, że wędrówka do sali sądu długim korytarzem bez okien trwa wiecznie. Miałam wrażenie, że moje nogi są z każdym krokiem słabsze. Doszłyśmy do wielkich drewnianych drzwi, a strzegący ich woźny sądowy wszedł do sali sprawdzić, czy możemy wejść. Po chwili wrócił i skinął głową. Omal się nie rozplakałam.

Już. Zaraz to zrobię!

Pamiętałam dzięki szkicowi przedstawiającemu salę sądową, gdzie siedzi sędzia i ława przysięgłych. Myślałam, że przejdę przez te drzwi i znajdę się dokładnie naprzeciwko nich. Nie wzięłam jednak pod uwagę dystansu, jaki będę musiała pokonać, by dojść do swojego miejsca.

Kiedy woźny otworzył drzwi, a ja weszłam do sali, przeżyłam najsilniejszy wstrząs swojego życia. Naprzeciwko wejścia, patrząc wprost na mnie, siedzieli Bachan Kaur i Sukhdave Athwalowie. Nie widziałam ich od prawie dwóch lat, ale serce mi podskoczyło, jakby chodziło o jeden dzień.

Tak bardzo pragnęłam się odwrócić i powiedzieć wszystkim, że to pomyłka. Potem zobaczyłam, jak woźny zatrzymuje się przy moim miejscu. Przystanęłam, usiadłam i odzyskałam oddech. Miałam teraz przed sobą sędziego Gilesa Forrestera i ławę przysięgłych. Kiedy sędzia spytał, jak się nazywam, z trudem odpowiedziałam, jękając się przy tym. Choć nie patrzyłam już na tych dwoje ludzi, mogłam myśleć tylko o czworgu bezlitosnych oczach spoglądających na mnie gniewnie.

Czułam się jak małe dziecko w nowej szkole. Wszyscy obecni w sali byli już tu dzień wcześniej. Tylko ja próbowałam się odnaleźć, dopasować. Gdziekolwiek spojrzalam, widziałam jedynie pozbawione wyrazu twarze ludzi, którzy mnie oceniali, nim wypowiedziałam choć jedno słowo.

I te peruki. I togi. Wydawały się takie dziwne. Clive powiedział mi, że jeśli się odprężę, wszystko będzie dobrze. Jakim cudem, skoro nigdy jeszcze nie czułam się tak nieswojo?

Pan Worsley starał się za wszelką cenę rozproszyć moje obawy. Zaczął krok po kroku omawiać moje zeznanie z 27 października 2005 roku i późniejsze informacje, które przekazałam policji. Szło mi jednak opornie. Pierwsze odpowiedzi z mojej strony przypominały monosylaby. Potem nie było wiele lepiej. Nigdy wcześniej nie przemawiałam publicznie, a już z pewnością nie zwracałam

się po angielsku do tak dużego zgromadzenia. Samo to było dostatecznie deprymujące. Rozpraszał mnie nawet dźwięk własnego głosu, pochłanianego przez ciszę tej wielkiej sali. Nie to jednak stanowiło rzeczywisty problem. Powód, dla którego potykałam się o słowa i jąkałam, znajdował się po prawej stronie. Choć miałam przed sobą ławę przysięgłych, a po lewej sędziego Forrestera i adwokata, kątem oka widziałam bezustannie złośliwe twarze Bachan Kaur i Sukhdave'a Athwalów.

Tylko raz podniosłam głos na swoją teściową, a na szwagra nigdy. Byłam przez nich całkowicie sterroryzowana i przez cały okres małżeństwa panicznie się ich bałam. Jak, u licha, ktoś mógł ode mnie oczekiwać, że zapomnę nagle o zasadzie, jaką mi przez całe życie wpajano – słuchać starszych – i zacznę mówić?

Z każdą odpowiedzią czułam się coraz gorzej. Czy była to tylko moja wyobraźnia, czy naprawdę słyszałam, jak szepczą, żebym się zamknęła? Im częściej myślałam o ich nienawistnych, pełny jadu twarzach, tym trudniej mi się mówiło.

Chcę stąd wyjść.

Pod koniec dnia byłam wyczerpana i pewna jednego. Nie miałam zamiaru robić tego po raz drugi. Niestety, dowiedziałam się, że muszę.

– To może potrwać wiele dni – poinformowała mnie moja opiekunka Angie.

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej byłam przekonana, że nie dam rady przeżywać tej tortury jeszcze raz.

– Przykro mi, Sarbjit – oznajmiła. – Musisz.

– Czy mogę wobec tego zeznawać z ukrycia? Widziałam w telewizji program, świadkowie siedzieli za parawanem, niektórzy nawet w innym pokoju, gdzie ich filmowano.

– Dowiem się.

Czekałam niespokojnie przez pół godziny, nim otrzymałam odpowiedź. Mogłam się zorientować po minie Angie, jaka jest decyzja, jeszcze nim cokolwiek powiedziała.

– Przykro mi. Sędzia twierdzi, że świetnie ci idzie. Nie przysłużyłby się oskarżeniu, gdyby pozwolił ci się ukryć.

Świetnie mi idzie? Wydawało mi się, że robię z siebie idiotkę. Byłam taka zdenerwowana, że pomyliłam kilka faktów i musiałam je skorygować. Nie widziałam w tym nic świetnego.

Następnego dnia, po kiepsko przespanej nocy, stało się jednak coś dziwnego. Nie wiem, może za sprawą sędziego, który we mnie wierzył, a może dlatego, że nie czułam się już taka przytłoczona przez otoczenie – w każdym razie zaczęłam zeznawać z większym przekonaniem. Trwało to chwilę, ale strach, który dotąd

pętał mi język, przerodził się niebawem w gniew – z powodu tego, co uczyniono Surjit, i z powodu tego wszystkiego, do czego się uciekali, by zatuszować prawdę – i było to wyraźnie słychać na sali sądowej.

Mogłam się zorientować po minie pana Worsleya, że jest zadowolony. Niestety, kiedy już przestał mnie wspierać podczas zadawania pytań, nadszedł czas na atak ze strony obrońców. Przez dwa następne dni nazywano mnie kłamczynią, ale robiono to tym razem w bardziej wyrafinowany sposób. Podsumowuje to jedna wymiana zdań. Szesnastego maja panna Kaul oświadczyła: „Od samego początku kłamie pani w tej sprawie”. Na co odpowiedziałam: „Nie kłamie”.

Linia obrony Bachan Kaur i Sukhdave’a polegała na próbie udowodnienia, że zaczęłam ich oczerniać dopiero teraz. Obaliły to zeznania mojej siostry Inder, która ujawniła, że dowiedziała się ode mnie prawdy już w 1999 roku, a także odkrycie przez śledczych mojego listu, który w roku 1998 napisałam do policji w Hayes, a który przez dziewięć lat przeleżał bezużytecznie w jakiejś szafie. Nie powstrzymało to jednak panny Kaul i jej kolegów przed brutalnym podważaniem mojej uczciwości, godzina za godziną.

Kilka lat wcześniej udałooby im się mnie złamać. Lecz gdy stałam na miejscu dla świadków w maju 2007 roku, uświadomiłam coś sobie: Zarzucano mi kłamstwo i grożono niemal przez dziesięć lat – i robili to ludzie o wiele bardziej niebezpieczni.

Jedyni ludzie na świecie, których się bałam, siedzieli w tej samej sali, ale nie byli w togach ani perukach. Świadomość, że moje świadectwo ochroni mnie przed nimi, dodawała mi siłę.

A potem było po wszystkim. Moja chwila w świetle jupiterów przeminęła, obrona i oskarżenie wygłosiły mowy końcowe, a przysięgli poszli uzgodnić werdykt.

– Jak to długo potrwa? – spytałam Clive’a.

– Może pół godziny, a może miesiąc.

Uważał raczej, że to pierwsze, ale w przypadku ławy przysięgłych nic nigdy nie było przesądzone.

Kiedy pierwszy dzień nie przyniósł werdyktu i nastąpiła noc, uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem spięta. „Pamiętaj, żeby oddychać, Sarbjit”. Ulga, jaką odczułam, opuszczając miejsce dla świadka, ulotniła się bez śladu. Całe moje życie zależało w tej chwili od decyzji podjętej przez obcych mi ludzi, na których patrzyłam przez trzy dni.

Drugiego dnia znalazłam w sobie dość siły, żeby wyjść z domu. Nie było to łatwe. Od początku procesu wiadomości podawały mnóstwo szczegółów. Moje nazwisko i zeznanie znalazły się niemal natychmiast w internecie, potem w radiu,

telewizji i prasie. Idąc po swojej ulicy, byłam przekonana, że ludzie na mnie patrzą. I to w chwili, gdy sądziłam, że wszystkie nieprzyjemności są już za mną. Było to coś zupełnie nowego.

Kiedy przysięgli obradowali już od tygodnia, byłam na skraju wyczerpania nerwowego. Czy tak trudno im podjąć decyzję? Czy nie słyszeli tego, co mówiłam? Chciałam tylko usłyszeć słowa sędziego: „Członkowie ławy przysięgłych – czy uzgodniliście werdykt?”. Byłam tak roztrzęsiona, wychodząc z domu, że przestało mnie nawet obchodzić, czy podejmą decyzję o uniewinnieniu. Chciałam tylko, by to wszystko już się skończyło. Moja teściowa nie zdołała mnie zabić, ale miałam wrażenie, że wyręczy ją niepewność.

Gdy moja siostra Inder poprosiła mnie, żebym poszła z nią na Victoria Station odebrać paszport dla córki, odmówiłam. Kiedy mnie w końcu przekonała, zgodziłam się pod warunkiem, że nie potrwa to długo. Myśl, że będę przebywała tak daleko od domu, narażona na ciekawskie spojrzenia obcych ludzi, pozbawiała mnie tchu.

Stałam przed biurem paszportowym, kiedy zadzwoniła moja komórka.

Numer Clive’a.

Za bardzo drżały mi palce, żebym mogła od razu odebrać. Zdołałam po chwili wcisnąć klawisz i podnieść telefon do ucha, nie upuszczając go na ziemię. Byłam tak spięta, że nie rozumiałam z początku, co Clive mówi, ale dotarło do mnie jedno słowo.

Winni.

Przestałam w tym momencie dostrzegać cokolwiek. W głowie miałam całkowitą pustkę, zaczęłam się krztusić, zdawało mi się, że zaraz zwymiotuję, ugiwały się pode mną nogi. Siostra znalazła mnie kilka minut później opartą bezwładnie o ścianę budynku.

– Sarb! Nic ci nie jest? Co się stało?

Ledwie mogłam mówić, ale zdołałam powtórzyć to jedno słowo, które usłyszałam.

– Winni.

Inder objęła mnie z taką siłą, że omal nie połamala mi żeber.

– Dokonałaś tego, Sarb! Wygrałaś!

Nie czułam się w tym momencie jak zwycięzczyni. Lecz gdy Bachan Kaur skazano na dwadzieścia lat więzienia, a Sukhdave’a na dwadzieścia siedem, zaczęłam wierzyć, że mi się udało.

To koniec – pomyślałam. – Wreszcie koniec.

Po długich dziewięciu latach dokonaliśmy tego. Pokonaliśmy ich.

Wywalczyliśmy sprawiedliwość dla Surjit.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie, co oznacza moje imię. Być może tata



coś jednak przeczuwał. Może ten jeden raz rzeczywiście zasługiwałam na miano „zawsze zwycięskiej”.

## Epilog

### GDYBYM MIAŁA NÓŻ

W wyniku apelacji złożonej w maju 2009 roku adwokaci reprezentujący Bachan Kaur i Sukhdave'a uzyskali dla swoich klientów skrócenie wyroków – do lat dwudziestu w jego przypadku i do lat piętnastu w przypadku jego matki. Po procesie prokuratura zdecydowała się nie wnosić przeciwko Hardave'owi oskarżenia o zastraszanie świadka; uznano, że byłoby to niezgodne z interesem publicznym.

W związku z ustaleniem, że Sukhdave sfałszował podpis swojej żony, żeby przepisać dom pod numerem 88 przy Willow Tree Lane na siebie i matkę, Clive wniósł o konfiskatę. Pozbawiając Surjit prawa własności, Sukhdave w praktyce okradł własne dzieci z należnego im dziedzictwa. Mimo że pieniądze zostały ulokowane na różnych kontach bankowych pod różnymi nazwiskami, policja zdołała je odzyskać. Dwoje dzieci Surjit otrzymało ponad czterdzieści tysięcy funtów, które przekazano pod zarząd powierniczy do chwili osiągnięcia przez nie określonego wieku.

Nigdy nie wybaczę Bachan Kaur Athwal sprzeniewierzenia się naukom dziesięciu guru. Przez lata zadawałam sobie wielokrotnie pytanie, czy za śmierć Surjit należy winić moją religię. Nie. Bachan Kaur twierdziła, że działa w imię społeczności, w imię sikhijskiego honoru. Nieprawda. Zawsze działała w imię zła, egoizmu, chciwości i próżności.

Po dziś dzień staram się unikać świątyni w Southall. Kiedy się tam jednak udaję, zawsze trafiam na kogoś, kto oskarża mnie o to, że wtrąciłam do więzienia swoją teściową i szwagra i tym samym okryłam rodzinę wstydem. Jest to objaw wypaczonej logiki, ceniącej wyżej dobre imię mordercy niż życie młodej dziewczyny, której jedynym przestępstwem było to, że została zmuszona do małżeństwa bez miłości.

W grudniu 2012 roku, po długich pięciu latach zmagania, udało mi się w końcu uzyskać rozwód z Hardave'em. Jestem szczęśliwa, że moje dzieci mieszkają ze mną w nowym domu w Surrey; staram się im zapewnić dzieciństwo, na które nie pozwalał Hardave i którego mnie także pozbawiono. Chodzą na basen, oglądają telewizję, nocują u swoich przyjaciół i mają w nauce wsparcie, jakie tylko mogę im zapewnić. Nie oznacza to jednak, że w moim domu nie ma miejsca na religię. Moje

dzieci nie mówią w języku pendzabskim, ale na ścianach wciąż wiszą wizerunki pierwszego guru i Złotej Świątyni w Amritsarze. Wszyscy jesteśmy sikhami. Moja wiara, mimo tego, co się wydarzyło, jest niezachwiana.

Tak dla ścisłości, gdyby którekolwiek z moich dzieci zwróciło się do mnie z prośbą o zaaranżowanie małżeństwa – odmówię zdecydowanie.

Zainspirowana niewiarygodną i bezinteresowną pracą, dzięki której inspektor Driscoll wraz ze swymi ludźmi zaprowadził morderców Surjit przed oblicze sprawiedliwości, w listopadzie 2008 roku zmierzyłam się z nowym wyzwaniem: zaczęłam szkolenie dla funkcjonariuszy sił pomocniczych policji. Gdyby nie policjanci, ich cierpliwość i wsparcie, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Dzięki Clive'owi, który zrozumiał trudności, z jakimi się borykam, i natchnął mnie odwagą i siłą, zmieniłam swoje życie. To doświadczenie pozwoliło mi narodzić się na nowo. W efekcie zapragnęłam dać coś z siebie i wspierać innych ludzi, którzy znaleźli się w takiej sytuacji jak ja. Jeśli zdołam pomóc choć jednej osobie, to mój wysiłek okaże się wart zachodu.

Niewiele jednak brakowało, by moja historia nie zakończyła się szczęśliwie. Byłam w domu rodziców. Od ogłoszenia wyroku upłynęło już kilka tygodni. Pojawiła się moja córka Taran. Zaskoczyła nas wszystkich, mówiąc:

– Pav czeka na zewnątrz.

– No cóż, wobec tego zaprosz ją – odparłam.

– Jesteś ostatnią osobą, którą chce widzieć.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? To ty posłałaś jej babkę i ojca do więzienia, jedynych ludzi, którzy byli jej bliscy. Nie ma nikogo i tobie to zawdzięcza.

– Jeśli tak uważa, to muszę się z nią zobaczyć – oznajmiłam.

Taran wyszła. Po chwili wróciła w towarzystwie pięknej młodej kobiety, która była małą dziewczynką, kiedy z nią ostatni raz rozmawiałam. Po tak wielu latach separacji narzuconej przez Sukhdave'a – zakazał jej ze mną rozmawiać – byłam szczęśliwa, że ją widzę. Ona ze swej strony wyglądała tak, jakby chciała mnie uderzyć.

Okazało się, że jest jeszcze gorzej.

– Gdybym miała nóż, tobym cię nim ugodziła – powiedziała spokojnie i chłodno.

– Co cię powstrzymuje? – spytałam zaskoczona.

Nie odpowiedziała od razu; przewróciła wymownie oczami i oznajmiła:

– Przez ciebie nie mam już nikogo. Mama uciekła, a ty skłamałaś i teraz mój tata i babcia siedzą w więzieniu.

Od razu się zorientowałam, że Hardave i jego siostry na polecenie brata i Bachan Kaur zdołali w jakiś sposób sprawić, by Pav nie śledziła tej sprawy w mediach. Nie wiem jak – wszędzie się o tym mówiło. Nie spotykała się też chyba z nikim; cała społeczność komentowała wyrok.

– Słuchaj, Pawanpreet, nigdy bym cię nie okłamała i teraz też nie zamierzam tego robić.

– No dobrze – odparła, starając się zapanować nad sobą. – Gdzie wobec tego jest mama?

Och, biedne dziecko.

– Twojej mamy tu nie ma – oznajmiłam jak najspokojniej.

– A jednak mnie zostawiła, prawda? Uciekła z kimś.

– Nie, to nie było tak. Nigdy by cię nie zostawiła.

– Nie kłam. Babcia mnie ostrzegła, że będziesz kłamać. Powiedziała, że jesteś naszym największym wrogiem.

– Pav, spójrz na mnie. Matka opuściła cię tylko raz, wtedy gdy pojechała z twoją babką na wakacje. Wakacje, rozumiesz? Myślała, że wróci po dwóch tygodniach. Tak zamierzała. Nie wyobrażała sobie, by mogła wytrzymać dłużej bez ciebie i twojego brata.

Biedna dziewczyna była teraz całkowicie zdezorientowana, jej gniew ustępował pragnieniu, by się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z jej matką.

– Chcesz, żebym ci powiedziała? – spytałam. – Naprawdę chcesz wiedzieć, co się wydarzyło?

– Tak.

– Bardzo mi przykro Pav, ale...

Nie mogę tego zrobić. Nie ja powinnam jej powiedzieć.

Nikt nigdy nie był wobec tej dziewczyny szczery. Jak mogłam wyznać teraz prawdę, wiedząc, że złamie jej to serce? Ktoś jednak musiał. Nie mogła żyć dalej w kłamstwie, któremu nie była winna. Odetchnęłam głęboko, powstrzymałam łzy i powiedziałam:

– Zrobili to. Zabili twoją mamę. Przykro mi, że mówię ci o tym w ten sposób, ale inaczej się nie da.

– Nie! – krzyknęła, twarz miała czerwoną z wściekłości. – Tata kochał ją, choć mama była dla niego okropna. A babcia mnie wychowała. Sama wiesz, jaka jest religijna. – Drżała na całym ciele. Chciałam ją objąć, ale nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. – Nigdy by tego nie zrobili.

– No cóż, prawda jest inna. Ale tak jak powiedziałam Taran i swoim pozostałym dzieciom, nie wierz mi na słowo. Spytaj policję. Ma wszystkie informacje. Podanie o rozwód złożone przez twoją mamę, a nawet jej pamiętnik. Poproś o protokół procesu. Nie ja jedna składałam zeznania.

– Tata powiedział, że tylko ty.

Nie wiem, dla której z nas było to trudniejsze. Musiałam jednak mówić dalej, nawet jeśli widziałam, jak z każdym kolejnym słowem moja siostrzenica załamuje się coraz bardziej.

– Jak myślisz, dlaczego zabronił ci iść do sądu? – spytałam, starając się zrobić to jak najłagodniej. – Dlaczego powiedział twojej ciotce, żeby nie pozwoliła ci oglądać telewizji? Słuchać radia? Wychodzić z domu? Wie, co zrobił, i wie, że i ty byś to odkryła, gdybyś słuchała wiadomości, spotkała przypadkowo jakąś przyjaciółkę albo siedziała w sądzie podczas procesu.

Pav milczała przez kilka minut. Była wyraźnie roztrzęsiona. Jak każdy, kto usłyszałby coś takiego.

– Tata powiedział, że zrobiłaś to dla pieniędzy – oświadczyła w końcu.

Że co?

– Jakich pieniędzy? – spytałam. Z trudem powstrzymałam się od śmiechu.

– Tata i babcia siedzą w więzieniu, a ty mieszkasz w rezydencji, prawda? Skąd wzięłaś na to pieniądze?

– Mówisz poważnie? Kto ci to powiedział?

Wszyscy o tym wiedzieli, jak wyjaśniła. W domu i w społeczności. Nie byłam zaskoczona. Przyjaciele Bachan Kaur już wcześniej, i to bez wahania, oskarżyli mnie o kradzież jej pieniędzy, kiedy poleciliśmy do Kanady. Pav oświadczyła też, że jestem właścicielką nowiotkich samochodów dzięki nieuczciwym zyskom, które mi przyniosły zeznania przeciwko Bachan Kaur i Sukhdave'owi.

– Po co miałybyś to robić? – spytała Pav. – Musiałaś coś z tego mieć.

– Tak właśnie mówi twoja babcia?

Skinęła głową.

– W porządku – powiedziałam. – Wyświadczyć mi przysługę i obejrzyj mój dom. To pół godziny jazdy samochodem.

– Nie mam ochoty jechać do twojej rezydencji.

– Proszę. Błagam cię. Zobaczysz dziurę, w jakiej żyję.

Miałam wtedy nowy wóz, kupiłam go na raty – ale nowy był tylko dla mnie. Nie znalazłoby się w Londynie większego gruchota, ale docierałam nim z punktu A do punktu B. I teraz dotarłam do domu razem z Pav. Nie uwierzyła, że jesteśmy na miejscu. Nawet gdy stanęliśmy pod skromnym bliźniakiem, a ja wyjęłam klucze z kieszeni i wsunęłam je w zwykły zamek, wciąż się dopytywała:

– Gdzie mieszkasz?

Pchnęłam drzwi i wskazałam proste wnętrze.

– Tutaj.

Wyjaśniłam jej, że od dwóch lat żyję w nędznych warunkach. Że miało to być tymczasowe lokum, ale wydaje się, że będziemy tu mieszkać zawsze. Pav nie

musiała oglądać całego domu; uświadomiła sobie, że mówię prawdę.

– Więc mnie okłamali, jeśli chodzi o pieniądze – powiedziała, a potem rozglądała się w milczeniu, jakby chcąc się przekonać naocznie, że spod obłazącej farby nie prześwituje złoto.

– Chodzi o to, Pav, że jeśli kłamali w sprawie pieniędzy, to...

Nie musiałam nic więcej mówić. Skinęła z wolną głową, przygnieciona nagle brzemieniem prawdy. Dość się już dowiedziała; byłam tego pewna.

– Chcę pomówić z policją – odezwała się w końcu.

Jakiś czas później, zapoznawszy się z materiałem dowodowym zebrany w czasie śledztwa, Pav napisała do ojca i babki; poinformowała oboje, że nigdy więcej ich nie odwiedzi – i wyjaśniła dlaczego.

Nie dało mi to satysfakcji. Dziecko powinno wierzyć swoim rodzicom. Mówiąc Pav prawdę, pozbawiłam ją więzi z ojcem. Ale, jak musiałam sobie bezustannie przypominać, nie chodziło tylko o nią i jej brata. Wszystko, co robiłam, czynione było z myślą o Surjit.

Po latach mogę z dumą oświadczyć, że utrzymuję bardzo bliskie relacje z Pav, jej bratem i mężem – a także jej córką i synem. Żałuję tylko, że jej matka nie dzieli z nami tej radości. Staramy się pod jej nieobecność pomagać sobie nawzajem.

W 2012 roku Pav i ja przewodniczyłyśmy spotkaniu w parlamencie, poświęconemu kwestii „honorowych zabójstw”. Widząc, jak Pav przemawia do przywódców naszego kraju, byłam niezwykle dumna ze swojej siostrzenicy.

Tego dnia obecny w parlamencie był także Clive. Mówił przekonująco i wzruszająco o swojej determinacji, by oddać sprawiedliwość Surjit w sytuacji, gdy dwa poprzednie śledztwa nie przyniosły rezultatu. W przeciwieństwie do mnie i Pav nie znał jej i nie darzył miłością, ale nie da się przecenić jego poświęcenia i oddania sprawie. Gdy już zapoznał przedstawicieli stowarzyszeń zwalczających przemoc opartą na honorze, ofiary tej przemocy i parlamentarzystów ze szczegółami swojego dochodzenia, robiąc na wszystkich ogromne wrażenie, wskazał na mnie i powiedział:

– Ta kobieta, panie i panowie, jest moim bohaterem.

Nie wiedziałam, czy mam się czerwienić, czy płakać.

Mogłam przynajmniej odplacić mu się komplementem. Ponieważ w całej tej historii jest tylko jeden bohater – właśnie on. Ja tylko przewyciężyłam swój strach i powiedziałam w końcu prawdę. Clive natomiast dokonał niemożliwego. To on we mnie uwierzył i sprawił, że sama w siebie uwierzyłam. To on zdołał doprowadzić do końca śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w innym kraju – śledztwo przeciwko dwojgu ludziom, którzy nie popełnili zbrodni osobiście, i to w sytuacji, gdy nie odnaleziono ciała. Jest to rzecz bez precedensu w brytyjskim wymiarze sprawiedliwości.

– Mówiąc najprościej, Clive Driscoll jest człowiekiem, który ocalił mi życie – powiedziałam, przełykając łzy.

On jednak wraz ze swoim zespołem dokonał czegoś więcej. Dotrzymał obietnicy złożonej mojemu ojcu w styczniu 2005 roku. Uwolnił mnie od życia pełnego strachu i przywrócił wiarę dwojgu dzieciom, którym wmówiono, że matka je porzuciła. Wywalczył sprawiedliwość dla Surjit Athwal i przywrócił jej dobre imię.

Lecz, co ważniejsze, udowodnił całemu światu, że mordercy kierujący się tak zwanym honorem nie mogą czuć się bezkarni. Nie w Anglii. Nigdy więcej. Nie podczas jego służby.

Bachan Kaur odsiadyuje wyrok piętnastu lat więzienia; wyjdzie na wolność w roku 2022.

Sukhdave Athwal odsiadyuje wyrok dwudziestu lat więzienia; wyjdzie na wolność w roku 2027.

Indyjscy mordercy Surjit Athwal nigdy nie stanęli przed sądem – ale walka trwa nadal.

Ciała Surjit nigdy nie odnaleziono.



## Podziękowania

Mam dług wobec tak wielu ludzi – nie tylko za pomoc przy pracy nad tą książką, ale także w życiu.

Przede wszystkim wobec swojej rodziny, której tak dużo zawdzięczam.

Mamo, tato, przepraszam, że naraziłam was na trudy i upierałam się, byście w samym środku ciemnej zimy, w śnieżne i chłodne dni, mając problemy ze zdrowiem, wozili mnie samochodem, dzięki czemu mogłam zobaczyć się z dziećmi. Dziękuję wam nieskończenie za wsparcie, jakie bezustannie okazywaliście mnie i moim dzieciom; za to, że zawsze mogłam na was liczyć, że byliście cierpliwi i pełni zrozumienia. Za wartości i zasady, które mi wpajaliście, i za to, że zawsze staliście niezachwianie po mojej stronie.

Taran – Taz – dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś, za twoją wyrozumiałość, za nasze szczerze rozmowy, za wspólne łązy, za twoje uściski, za nieustępliwość i, co ważniejsze, za to, że mogłam zawsze na ciebie liczyć. Tak, jesteśmy teraz bliżej niż kiedykolwiek w ciągu minionych lat; przykro mi z powodu czasu, który spędziłyśmy osobno, i cennych chwil, które straciłyśmy. Taz, jestem z ciebie taka dumna – z powodu tego, co osiągnęłaś. Jesteś piękna, jesteś mądra, pełna miłości i troskliwa. Życzę ci wszelkiego szczęścia i jestem pewna, że spełnisz wszystkie swoje marzenia. I pamiętaj: zawsze byłaś, zawsze jesteś i zawsze będziesz małą księżniczką mamy.

Balveen, byłaś małą zagubioną dziewczynką, która próbowała odnaleźć we wszystkim sens, którą dręczyły pytania, ale która nie znajdowała odpowiedzi. Przykro mi z powodu cennych chwil, które utraciłyśmy; przepraszam, że nie poświęcałam ci tyle czasu, ile powinnam. Trudno mi wyrazić wszystko, co czuję. Zawsze byłaś, gdy cię potrzebowałam; obejmowałaś mnie, całowałaś, dawałaś mi nadzieję. To, co mi mówiłaś, nawet jeśli nie było ważne, miało dla mnie ogromne znaczenie, a twój uroczy uśmiech zawsze rozjaśniał moje ponure dni. Jesteś troskliwą, łagodną, kochającą córką, jakiej pragnie każda matka. Jestem z ciebie taka dumna, Balveen, i dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś, pomimo tego, czego musiałaś doświadczać. Wiem, że spełnisz wszystkie swoje marzenia. Życzę ci wszelkiego szczęścia i jeszcze więcej; zawsze będę twoją najlepszą przyjaciółką, a ty zawsze będziesz moim skarbem.

Manvinder, nie było dnia, żebym nie usłyszała od ciebie: „Mamo, kocham cię”. Byłeś moim małym chłopcem, który zawsze okazywał mi miłość, troskę i serdeczność, który był bystry i zabawny. To takie wspaniałe widzieć, jak

wyrastasz na młodego przystojnego mężczyznę. Zawsze byłeś silny, nawet w trudnych dla siebie chwilach, pomagałeś mamie i mówiłeś, żeby też była silna. Manvinder, jesteś niezwykły; mama zachowała siły tylko dzięki twoim ciepłym uściskom, pocałunkom i uśmiechom. Czeka cię tyle marzeń do spełnienia, kiedy dorośniesz, i wiem, że wszystkie je zrealizujesz. Życzę ci, byś zaznał jak najwięcej miłości i szczęścia; nigdy się nie martw i nigdy się nie poddawaj. Jesteś moim słoneczkiem.

Karaminder, często nazywałam cię swoją szczęśliwą gwiazdą; byłeś moim wybawcą od dnia, w którym się urodziłeś. Jesteś mądrym małym chłopcem, którego czeka jeszcze wiele i który w tak młodym wieku ma tyle wspaniałych pomysłów. Jesteś bystry, sprytny, miły, kochający, troskliwy i pewny swego; zawsze przybiegałeś do mnie, gdy tylko dostrzegłeś, że mi smutno, i pytałeś: „Wszystko dobrze, mamusiu?”. Ucz się, czego tylko zdołasz, i bądź silny, szukaj wciąż nowych dróg i spełnij wszystkie swoje marzenia.

Pawanpreet, tak mi przykro z powodu wszystkiego, co musiałaś przeżyć; wiem, jak trudno ci było odkrywać prawdę o swojej mamie. Mimo tego, co wydarzyło się w twoim życiu, okazałaś się silną osobą. Dziękuję za chwile, w których mnie wspierałaś. Życzę ci, byś zaznała szczęścia ze swoją nową rodziną; wiem, że obdarzysz swoje piękne małe skarby nieskończoną miłością. Jestem z ciebie taka dumna.

Inder, jesteś dla mnie aniołem w ludzkim przebraniu: odznaczasz się niezwykłą intuicją, inteligencją i mądrością. Zawsze dawałaś i pomagałaś, w dobrych i złych czasach. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Gdybym miała jedno życzenie, to brzmiałoby ono: dać ci tyle, ile ty dałaś mnie. Choć poddawałam naszą siostrzaną więź licznym próbom, byłaś moją opoką, zawsze i wszędzie. Podawałaś mi dłoń, gdy tylko mogłaś. Zwracam się też do twojego męża Pauljita – dziękuję ci z całego serca za wsparcie i za to, że jesteś wzorem dla moich dzieci.

Dalvinder, jestem ci tak wdzięczna za wsparcie okazywane w trudnych chwilach. Byłaś jeszcze bardzo młoda, a mimo to tak wiele uczyniłaś. Doceniam te wszystkie drobne rzeczy, które miały dla mnie i moich dzieci ogromne znaczenie. Wiedziałam, że bez względu na okoliczności mogę na ciebie liczyć. Dziękuję za wszystkie chwile, które spędziłaś ze mną, kiedy byłam samotna, za rozmowy i uśmiechy, którymi się dzieliłyśmy. Dziękuję ci przede wszystkim za to, że zawsze mogłam na ciebie liczyć.

Wujku Bobby, dziękuję za wsparcie i zrozumienie, za nasze rozmowy i za czas, który poświęciłeś mnie i moim dzieciom.

Kamaljit, dziękuję ci, a także twojemu mężowi, za wsparcie i słowa otuchy.

Karmjit, wsparcie, jakie ty i twój mąż Satwant mi okazaliście, było nieocenione. Dziękuję.

Jagdeesh Singh, jesteś świętym. Tak cię podziwiam za twoją siłę, odwagę i determinację. Bez względu na okoliczności okazywałaś wytrwałość, nie traciłaś nadziei i nigdy się nie poddawałaś. Mam nadzieję, że dzięki tej książce zrozumiesz, jaką presję musiałam znieść.

Jest wielu ludzi, którzy zrobili dla mnie tak dużo, że wydają mi się bliscy jak rodzina.

Pierwsze miejsce na tej liście zajmuje Główny Detektyw inspektor Clive Driscoll. Clive, to dla mnie przywilej i zaszczyt, że cię poznałam. Żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności. Doceniam głęboko wszystko, co zrobiłaś dla mnie i dla moich dzieci. Dziękuję za wsparcie, za odwagę, którą we mnie rozbudziłaś, i za wyrozumiałość. Dziękuję, że we mnie uwierzyłaś, gdy inni zawiedli. Jesteś chlubą londyńskiej policji; proszę, nie zmieniaj się. Moja wdzięczność nie ma granic. Dziękuję za ocalenie mi życia.

Na specjalną wzmiankę z mojej strony zasługują też takie osoby jak sierżant Angie Barton, sierżant Allan Goodley, komisarz Shaun Keep, komisarz Pal Singh, sierżant Richard McGuinness i wszyscy ci, którzy współpracowali z Clive'em przy operacji „Yewlands”. Doceniałam niezwykle waszą ciężką pracę, profesjonalizm i wsparcie w czasie śledztwa.

Chciałabym także wyrazić uznanie dla sędziów przysięgłych, którzy przez długie tygodnie uczestniczyli w procesie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak trudne to dla nich było. Pragnę też podziękować sędziemu Gilesowi Forresterowi i radcy królewskiemu, panu Worsleyowi, który jest niezwykle ciekawym człowiekiem.

Za pomoc w przekazaniu światu historii Surjit muszę podziękować swojemu agentowi literackiemu Robertowi Smithowi, współautorowi książki Jeffowi Hudsonowi, redaktorce Kate Moore i całemu jej zespołowi w wydawnictwie Virgin Books.

Na podziękowanie zasługuje też Stephen Times, który zaprosił Pav i mnie do parlamentu, gdzie mówiłyśmy o Surjit i honorowych zabójstwach; doktor Thacker i doktor Shah, i wszyscy pracownicy centrum medycznego za bezustanną pomoc i wsparcie; kadra Slough Grammar School, Kingston College, King Athelstan Primary i TGS za wsparcie okazane moim dzieciom; Alastair Carlton za wsparcie i szybką reakcję, która zapewniła bezpieczeństwo mojej córce.

Na słowa wdzięczności zasługują też niezwykle przyjaciele, których poznałam: Rohema Miah, Bal i Phil Howardowie, Harpreet, Preeya Kaur, Jatinder Khatkar; także Mandlu Penji za odwagę, siłę, wsparcie, czas, wyrozumiałość i znacznie więcej; Jo Keogh za jej ciężką pracę i wsparcie; i ci wszyscy, których nie wymieniłam – doceniam, że poświęcaliście mi swój cenny czas.

Pragnę podziękować Kristine Pommert i Michaelowi Fordowi za zaproszenie do BBC World Service i możliwość podzielenia się ze słuchaczami swoim

doświadczeniem; Cressidzie Dick za to, że zaprosiła mnie wraz z rodziną na uroczystość w New Scotland Yard i za pochwałę odwagi i prawości, jakimi się wykazałam w trakcie operacji „Yew- lands”. Dziękuję także Christine Boot z Grants Solicitors za ciężką pracę, wsparcie i zrozumienie w trudnych dla mnie chwilach.

Amanda Murr z policji w Norfolk; Sally Goldfinch i komisarz Darren Sibley z policji w Essex; komisarz Stuart Hooper z Komendy Głównej Policji w Essex; Camberwell Protection Team; Paul z Hendon Police College; Tonya Antonis z policji w Suffolk; Komenda Główna w Suffolk; Basildon Women’s Aid; prokurator Nazir Afzal; Donald Macintyre i William Marx – im wszystkim dziękuję z całego serca.

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Przedmowa](#)

[Prolog](#)

## [CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

## [ZDJĘCIA](#)

## [CZĘŚĆ DRUGA](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)